FILM NA PODSTAWIE KSIĄŻKI W KINACH

# HOBBIT

J.R.R. TOLKIEN

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

J.R.R. Tolkien

# Hobbit

## czyli tam i z powrotem

Przełożyła
Maria Skibniewska

Tytuł oryginału
*The Hobbit, or There and Back Again*

Wiersze przełożył
Włodzimierz Lewik

Projekt okładki i stron tytułowych
Andrzej Barecki

© George Allen & Unwin Ltd., 1937, 1951, 1966, 1978
This edition published by arrangement with HarperCollins Publishers Ltd., London

For the Polish edition copyright © by Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 1960
For the Polish translation copyright © by Rafał Skibiński, Warszawa 1997

ISBN 978-83-224-1115-3 (EPUB); 978-83-224-1115-3 (MOBI)
Wydanie elektroniczne 2021

e-mail: iskry@iskry.com.pl
www.iskry.com.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

# Spis rozdziałów

Rozdział 1.Nieproszeni goście
Rozdział 2. Pieczeń barania
Rozdział 3. Krótki odpoczynek
Rozdział 4. Górą i dołem
Rozdział 5. Zagadki w ciemnościach
Rozdział 6. Z patelni w ogień
Rozdział 7. Dziwna kwatera
Rozdział 8. Muchy i pająki
Rozdział 9. Beczki
Rozdział 10. Serdeczne powitanie
Rozdział 11. Na progu
Rozdział 12. Na zwiadach w obozie wroga
Rozdział 13. Smauga nie ma w domu
Rozdział 14. Ogień i woda
Rozdział 15. Chmury się zbierają
Rozdział 16. Nocny złodziej
Rozdział 17. Chmury pękają
Rozdział 18. Droga powrotna
Rozdział 19. Ostatni akt
Mapy

## Rozdział 1

# Nieproszeni goście

pewnej norze ziemnej mieszkał sobie pewien hobbit. Nie była to szkaradna, brudna, wilgotna nora, rojąca się od robaków i cuchnąca błotem, ani też sucha, naga, piaszczysta nora bez stołka, na którym by można usiąść, i bez dobrze zaopatrzonej spiżarni; była to nora hobbita, a to znaczy: nora z wygodami.

Miała drzwi doskonale okrągłe jak okienko okrętowe, pomalowane na zielono, z lśniącą, żółtą mosiężną klamką, sterczącą dokładnie pośrodku. Drzwi prowadziły do hallu, który miał kształt rury i wyglądał jak tunel: był to bardzo wygodny tunel, nie zadymiony, z boazerią na ścianach i chodnikiem na kafelkowej podłodze; nie brakowało tu politurowanych krzeseł ani mnóstwa wieszaków na kapelusze i płaszcze, bo hobbit bardzo lubił gości. Tunel wił się w skrętach, wił się i wił, wdrażając się głęboko, choć wcale nie prostą drogą, we wnętrze pagórka – a raczej: Pagórka, bo tak go nazywano w promieniu wielu mil – a mnóstwo okrągłych drzwiczek otwierało się to po jednej, to po drugiej jego stronie. Hobbici nie uznają schodów. Sypialnie, łazienki, piwnice, spiżarnie (mnóstwo spiżarni!), garderoby (hobbit miał kilka pokoi przeznaczonych wyłącznie na ubrania), kuchnie, jadalnie – wszystko mieściło się na tym samym piętrze, a nawet wzdłuż tego samego korytarza. Najparadniejsze pokoje znajdowały się z lewej strony (patrząc od wejścia), ponieważ tylko te miały okna, głęboko

osadzone, okrągłe okna z widokiem na ogród, a dalej na łąki, zbiegające w dół ku rzece.

Ów hobbit był bardzo zamożnym hobbitem, a nazywał się Baggins. Bagginsowie żyli w okolicy Pagórka od niepamiętnych czasów i cieszyli się powszechnym szacunkiem nie tylko dlatego, że prawie wszyscy byli bogaci, lecz także dlatego, że nigdy nie miewali przygód i nie sprawiali niespodzianek: każdy z góry wiedział, co Baggins powie o tej czy innej sprawie, tak że nie potrzebował go trudzić zadawaniem pytań. W tej historii opowiemy o Bagginsie, którego spotkała przygoda i który zrobił oraz powiedział wiele rzeczy niespodziewanych. Mógł był wskutek tego utracić szacunek sąsiadów, ale zyskał... no, przekonacie się sami, czy coś zyskał w końcu.

Matką naszego hobbita... ale co to jest hobbit? Zdaje mi się, że wymaga to wyjaśnienia. W dzisiejszych czasach bowiem hobbitów bardzo rzadko można spotkać: nie ma ich wiele, a poza tym unikają Dużych Ludzi – jak nazywają nas. Hobbici są – czy może byli – małymi ludźmi, mniejszymi od krasnoludów – różnią się też od nich tym, że nie noszą brody – lecz znacznie większymi od liliputów. Nie uprawiają wcale albo prawie wcale czarów, z wyjątkiem chyba zwykłej, powszedniej sztuki, która pozwala im znikać bezszelestnie i błyskawicznie, kiedy duzi, niemądrzy ludzie, jak ty i ja, zabłądzą w ich pobliże, hałasując niczym słonie, tak że na mile można ich usłyszeć. Hobbici są skłonni do tycia, zwłaszcza w pasie: miewają wypięte brzuchy; ubierają się kolorowo (najchętniej zielono i żółto); nie używają obuwia, ponieważ stopy ich z przyrodzenia opatrzone są twardą podeszwą i porośnięte bujnym, ciemnym, brunatnym włosem, podobnie jak głowa (zwykle kędzierzawa); mają długie, zręczne, smagłe palce i poczciwe twarze, a śmieją się dużo, basowo i serdecznie (szczególnie

po obiedzie, który – w miarę możności – jadają dwa razy dziennie). Teraz już wiecie o nich dość na początek. Jak więc mówiłem, matką naszego hobbita – to jest Bilba Bagginsa – była słynna Belladonna Tuk, jedna z trzech niepospolitych córek Starego Tuka, głowy wszystkich hobbitów, mieszkających Za Wodą, czyli za rzeczką, która płynęła u stóp Pagórka. Powiadano, że dawnymi czasy ten i ów Tuk brał żonę z plemienia czarodziejów (nieżyczliwi twierdzili, że to były gobliny); rzeczywiście Tukowie zawsze mieli w sobie coś niezupełnie hobbickiego, a od czasu do czasu zdarzało się, że ktoś z członków tego rodu wyruszał w świat szukać przygód. Taki Tuk znikał dyskretnie, a rodzina nie rozgłaszała sprawy; fakt jednak, że Tukowie nie byli tak szanowani jak Bagginsowie, chociaż niewątpliwie od nich bogatsi.

Co prawda Belladonna Tuk, odkąd została panią Bungową Baggins, nie miewała żadnych przygód. Bungo, ojciec Bilba, zbudował dla niej (częściowo za jej posag) norę tak wspaniałą, że nie znalazłoby się nic podobnego ani pod Pagórkiem, ani za Pagórkiem, ani Za Wodą, i w tej norze mieszkali małżonkowie aż do końca swoich dni. Mimo wszystko wydaje się prawdopodobne, że Bilbo, jedyny syn Belladonny, chociaż wyglądał i zachowywał się dokładnie tak, jakby był drugim wydaniem swojego solidnego i spokojnego ojca, odziedziczył po kądzieli ziarenko dziwactwa i że to ziarenko czekało tylko na okazję, by zakiełkować. Okazja jednak się nie nadarzyła, aż Bilbo dorósł, skończył pięćdziesiąt lat czy coś około tego, zamieszkał w pięknej hobbickiej norze zbudowanej przez ojca, w norze, którą wam już opisałem i – jak się zdawało – osiadł w swoim domu na dobre.

Dziwnym trafem pewnego ranka, dawno, dawno temu, w czas dla świata spokojny, gdy mniej na nim było zgiełku, a więcej

zieleni, gdy hobbici żyli liczni i szczęśliwi, a Bilbo Baggins zjadłszy śniadanie stał pod swymi drzwiami i ćmił olbrzymią, długą, drewnianą fajkę, sięgającą mu prawie do kosmatych palców u nóg (porządnie wyszczotkowanych) – przechodził tamtędy Gandalf. Gandalf! Gdybyście o nim słyszeli bodaj ćwierć tego, co ja – a ja słyszałem ledwie małą cząstkę tego, co o nim mówią – już byście wiedzieli, że czeka was na pewno niezwykła historia. Gdziekolwiek bowiem zjawił się Gandalf, opowieści i przygody jakby cudem wyrastały dokoła niego. Nie przechodził drogą pod Pagórkiem od bardzo dawna, a mianowicie od śmierci swego przyjaciela, Starego Tuka, toteż hobbici niemal zapomnieli, jak wygląda. Małe hobbity i hobbitki zdążyły podorastać przez czas, gdy Gandalf bawił w sobie wiadomych sprawach daleko za Pagórkiem i po drugiej stronie Wody.

Nic więc nie podejrzewał Bilbo, gdy owego ranka zobaczył małego staruszka w wysokim, spiczastym, niebieskim kapeluszu, w długim szarym płaszczu przepasanym srebrną szarfą, z długą siwą brodą, sięgającą poniżej pasa, obutego w ogromne czarne buty.

– Dzień dobry – powiedział Bilbo i powiedział to z całym przekonaniem, bo słońce świeciło, a trawa zieleniła się pięknie. Gandalf jednak spojrzał na niego spod bujnych, krzaczastych brwi, które sterczały aż poza szerokie rondo kapelusza.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał. – Czy życzysz mi dobrego dnia, czy oznajmiasz, że dzień jest dobry, niezależnie od tego, co ja o nim myślę; czy sam dobrze się tego ranka czujesz, czy może uważasz, że dzisiaj należy być dobrym?

– Wszystko naraz – rzekł Bilbo. – A na dodatek, że w taki piękny dzień dobrze jest wypalić fajkę na świeżym powietrzu. Jeżeli masz przy sobie fajkę, siądź przy mnie, poczęstuję cię moim tytoniem.

Nie ma co się śpieszyć, cały dzień przed nami. – To rzekłszy Bilbo siadł na ławce obok swych drzwi, założył nogę na nogę i dmuchnął pięknym, siwym kółkiem dymu, które nie tracąc kształtu pożeglowało w powietrzu aż nad szczyt Pagórka.

– Bardzo ładnie – powiedział Gandalf. – Ale nie mam dziś czasu na puszczanie kółek z dymu. Szukam kogoś, kto by zechciał wziąć udział w przygodzie, to znaczy w wyprawie, którą właśnie przygotowuję; bardzo trudno kogoś takiego znaleźć.

– Ja myślę, że trudno! W naszych stronach! My tu jesteśmy naród prosty i spokojny, nie potrzeba nam przygód. Przygody! To znaczy: nieprzyjemności, zburzony spokój, brak wygód. Przez takie rzeczy można się spóźnić na obiad. Nie pojmuję, co się w tym komuś może podobać – rzekł nasz pan Baggins, zatknął wielki palec lewej ręki za wycięcie kamizelki pod pachą i wypuścił drugi z kolei, jeszcze większy pierścionek dymu. Potem sięgnął po ranną pocztę i zaczął czytać listy, udając, że nie zwraca wcale uwagi na staruszka. Doszedł do wniosku, że nie jest to odpowiednie dla niego towarzystwo, i chciał się go co prędzej pozbyć. Ale Gandalf nie ruszył się z miejsca. Stał oparty na lasce i nic nie mówiąc przyglądał się hobbitowi, aż w końcu Bilbo zmieszał się, a nawet trochę rozgniewał.

– Dzień dobry – powiedział wreszcie. – Nie życzymy sobie tutaj żadnych przygód, dziękujemy pięknie. Spróbuj za Pagórkiem albo po drugiej stronie Wody.

Miało to znaczyć, że uważa rozmowę za skończoną.

– Jakże wiele różnych znaczeń ma w twoich ustach „dzień dobry”! – rzekł Gandalf. – Tym razem chciałeś przez to powiedzieć, że masz mnie dość i że dzień nie będzie naprawdę dobry, póki stąd nie odejdę.

– Ależ co znowu, co znowu, drogi panie?! Proszę cię, wybacz, bo coś mi się zdaje, że nie znam twojego nazwiska.

– Tak, tak, mój drogi, ale ja znam twoje nazwisko, panie Bilbo Baggins. Ty także znasz moje, chociaż zapomniałeś, jak wygląda ten, kto je nosi. Jestem Gandalf. Gandalf to ja. Nie do wiary, że doczekałem, by mnie syn Belladonny Tuk częstował swoim „dzień dobrym" jak wędrownego kramarza, co handluje guzikami.

– Gandalf! Gandalf! Wielkie nieba! Czyżby ten sam wędrowny czarodziej, który Staremu Tukowi podarował magiczne brylantowe spinki, co to same się zapinały, a odpinały tylko na rozkaz? Ten, co podczas przyjęć opowiadał takie cudowne historie o smokach, goblinach i wielkoludach, o ratowaniu księżniczek i o niespodziewanym szczęściu wdowich synów? Ten Gandalf może, który puszczał takie nadzwyczajne, wspaniałe ognie sztuczne? Pamiętam je! Stary Tuk bawił nas nimi w noc sobótkową. Cudowne! Strzelały w górę jak olbrzymie ogniste lilie, lwie pyszczki i złoty deszcz i wisiały w półmroku na niebie przez cały wieczór. – Zauważyliście już z pewnością, że pan Baggins nie był wcale tak prozaicznym hobbitem, za jakiego chciał uchodzić, i że bardzo lubił kwiaty. – A niechże cię! – ciągnął dalej. – Czyżby ten sam Gandalf, z którego namowy wiele spokojnych chłopców i dziewcząt ruszyło w świat po szaleńcze przygody, zaczynając od łażenia po drzewach, a kończąc na podróżowaniu na gapę statkami, pływającymi między tym a Drugim Brzegiem? Słowo daję, życie było wtedy wcale zabaw... to znaczy, chciałem powiedzieć, że w swoim czasie narobiłeś niemało zamieszania w tej okolicy. Przepraszam cię, nie miałem pojęcia, że wciąż jeszcze zajmujesz się tymi rzeczami.

– A cóż bym mógł robić innego? – odparł czarodziej. – Swoją drogą, rad jestem, że to i owo zapamiętałeś o mnie. Mam wrażenie, że moje ognie sztuczne w każdym razie mile wspominasz, a to już

budzi pewne nadzieje. Doprawdy, przez przyjaźń dla twego dziadka, Starego Tuka, i tej biednej Belladonny dam ci to, o co mnie prosiłeś.

– Wybacz, proszę. O nic nie prosiłem.

– Owszem, owszem, nawet dwukrotnie. Prosiłeś o wybaczenie. Udzielam ci go. A nawet zrobię więcej: wyślę cię na tę wyprawę, żebyś użył przygody. Będzie to bardzo zabawne dla mnie, a dla ciebie bardzo zdrowe, a w dodatku prawdopodobnie korzystne, oczywiście jeśli w ogóle wyjdziesz z tego cało.

– Przepraszam! Nie życzę sobie przygód, dziękuję ślicznie! Nie dziś. Do widzenia! Ale proszę cię, zajdź do mnie na herbatkę, kiedy ci dogadza. Czemuż by nie jutro, na przykład? Przyjdź jutro. Do widzenia. – To rzekłszy hobbit zrobił w tył zwrot, skoczył do wnętrza nory przez okrągłe, zielone drzwiczki, które zatrzasnął za sobą pośpiesznie, nie tak jednak pośpiesznie, by Gandalf mógł się poczuć dotknięty. Bądź co bądź czarodziej to czarodziej.

Po kiego licha zaprosiłem go na herbatę! – rzekł do siebie Bilbo, kierując się w stronę spiżarni. Dopiero co zjadł śniadanie, przyszło mu jednak do głowy, że kawałek... lub dwa kawałki ciasta, popite jakimś trunkiem, dobrze mu zrobią po przeżytym strachu.

Gandalf tymczasem wciąż jeszcze stał za drzwiami i śmiał się dość długo, chociaż cichutko. Po chwili podszedł bliżej i ostrzem laski wyskrobał na pięknych, zielonych drzwiach frontowych hobbita jakiś dziwaczny znak. Odszedł potem, w tym samym momencie, gdy Bilbo, kończąc drugi kawałek ciasta, nabrał przeświadczenia, że bardzo sprytnie wymigał się od wszelkich przygód.

Nazajutrz prawie zapomniał o Gandalfie. Nigdy nie pamiętał zbyt dokładnie różnych rzeczy, jeśli ich nie zapisał w swoim kalendarzyku terminowym, na przykład tak: środa, herbata z Gandalfem. Poprzedniego dnia zanadto był podniecony, by o czymś takim pomyśleć.

Gdy zbliżała się pora podwieczorku, u drzwi wejściowych przenikliwie zadźwięczał dzwonek i wtedy dopiero Bilbo przypomniał sobie wszystko. Pędem pobiegł nastawić imbryk, do nakrycia dodał drugą filiżankę i talerzyk oraz parę ciastek, po czym ruszył do drzwi. Miał na końcu języka słowa: „Przepraszam, że dałem ci czekać" – kiedy nagle spostrzegł, że za drzwiami stoi wcale nie Gandalf, lecz krasnolud z błękitną brodą zatkniętą za złoty pas i z oczyma jasno błyszczącymi spod ciemnozielonego kaptura. Ledwie drzwi się uchyliły, a krasnolud już wpakował się do hallu, jak gdyby był oczekiwanym gościem.

Powiesił płaszcz z kapturem na najbliższym kołku i...

– Dwalin, do usług – oświadczył, kłaniając się nisko.

– Bilbo Baggins, nawzajem – rzekł hobbit, zbyt zdumiony, by zdobyć się od razu na jakieś pytanie. Gdy milczenie, które potem zapadło, przedłużało się kłopotliwie, dodał: – Właśnie miałem siąść do podwieczorku; proszę cię, wejdź i napij się ze mną herbaty. – Brzmiało to może trochę oschle, Bilbo jednak miał jak najlepsze intencje. Cóż byś ty zrobił na jego miejscu, gdyby jakiś krasnolud nieproszony przyszedł do ciebie i powiesił swój płaszcz w twojej sieni, nie usprawiedliwiając się ani słowem?

Nie zabawili długo za stołem, ściśle mówiąc zaczynali dopiero po trzecim kawałku ciasta, gdy rozległ się znowu dzwonek, jeszcze głośniejszy niż poprzedni.

– Wybacz! – rzekł hobbit i pobiegł do drzwi.

„A więc jesteś nareszcie" – chciał zawołać, pewny, że tym razem ujrzy Gandalfa. Ale to nie był Gandalf. Zamiast niego ukazał się w progu bardzo stary krasnolud z białą brodą, w czerwonym kapturze; ten również skoczył skwapliwie w uchylone drzwi, jakby został zaproszony.

– Zaczynają się, jak widzę, schodzić – powiedział, spostrzegając na kołku zielony kaptur Dwalina, i powiesił w najbliższym sąsiedztwie swój, czerwony. – Balin, do usług – rzekł, kładąc rękę na piersi.

– Dziękuję – rzekł Bilbo, któremu zdumienie dech zaparło. Nie była to wcale stosowna odpowiedź, lecz słowa „zaczynają się schodzić" zrobiły na nim wstrząsające wrażenie. Lubił gości, lubił jednak znać osoby, przychodzące do jego domu, i wolał też zapraszać je z własnej chęci. Mignęła mu okropna myśl, że ciasta może nie starczyć dla wszystkich, a wówczas on, jako gospodarz – znał bowiem obowiązki gościnności i gotów był ich przestrzegać, nawet gdyby okazały się bardzo bolesne – będzie musiał obejść się smakiem.

– Proszę, wejdź i wypij filiżankę herbaty – zdołał wyjąkać, nabrawszy tchu w piersi.

– Wolałbym małe piwo, jeśli ci to nie zrobi różnicy, zacny panie – rzekł siwobrody Balin. – Nie mam wszakże nic przeciw ciastu, zwłaszcza gdyby się znalazł kawałek placka z kminkiem.

– Znajdzie się niejeden! – Bilbo sam się zdziwił, słysząc swoją szybką odpowiedź, po czym, nie wiedząc kiedy i jak, skoczył do spiżarni po dwa piękne, krągłe placki, które upiekł wczesnym popołudniem, żeby mieć co przekąsić do poduszki.

Kiedy wrócił, zastał Balina i Dwalina gawędzących przy stole jak dwaj starzy przyjaciele (rzeczywiście byli rodzonymi braćmi). Bilbo zdążył postawić przed nimi piwo i ciasto, gdy znów dzwonek zadźwięczał donośnie raz i drugi.

„Teraz to już z pewnością Gandalf" – pomyślał Bilbo i sapiąc pomknął przez tunel. Ale to nie był Gandalf, tylko dwóch krasnoludów. Obaj mieli niebieskie kaptury, srebrne pasy i żółte brody, a każdy dźwigał worek z narzędziami i łopatę. Skoczyli

w drzwi natychmiast, gdy je Bilbo otworzył – on wszakże już się temu wcale nie dziwił.

– Czym mogę służyć? – spytał.

– Kili, do usług – powiedział pierwszy krasnolud.

– I Fili – dodał drugi, po czym obaj ściągnęli niebieskie kaptury i ukłonili się grzecznie.

– Nawzajem, sługa wasz i waszych rodzin – odparł Bilbo, tym razem już nie zapominając o dobrym wychowaniu.

– Dwalin i Balin już tu są, jak widzę – powiedział Kili. – Dołączmy się więc do gromady.

„Gromada! – pomyślał pan Baggins. – Nie podoba mi się to wyrażenie. Doprawdy, muszę przysiąść choć na minutę, zebrać myśli i napić się czegoś". Ledwie pociągnął jeden łyk – przycupnąwszy w kącie, podczas gdy czterech krasnoludów rozsiadło się za stołem, gadając o kopalniach i o złocie, i o kłopotach z goblinami, i o spustoszeniach dokonywanych przez smoki, i o tysiącu innych rzeczy, których Bilbo nie rozumiał i nie chciał rozumieć, ponieważ brzmiały zbyt awanturniczo – gdy: ding, dong, ling, dang – zaśpiewał dzwonek, jak gdyby jakiś mały, niegrzeczny hobbitek próbował urwać sznur.

– Ktoś jest pod drzwiami – powiedział Bilbo, mrugając nerwowo.

– Czterech ktosiów, sądząc z dzwonka – rzekł Fili. – Zresztą idąc tu widzieliśmy ich daleko na drodze za nami.

Biedny mały hobbit usiadł w hallu i ukrył głowę w dłoniach, zadając sobie w duchu pytanie, co się właściwie stało i co się dalej stanie, i czy wszyscy ci goście zostaną u niego na kolacji. Ale dzwonek zadźwięczał najgłośniej, jak potrafił, więc Bilbo pobiegł do drzwi. Okazało się, że to wcale nie czterech, lecz pięciu krasnoludów. Ten piąty zdążył nadejść, gdy Bilbo marudził w hallu. Ledwie gospodarz nacisnął klamkę, a już wszyscy przybysze byli

we wnętrzu jego domu i kłaniali się mówiąc „do usług” jeden przez drugiego. Dori, Nori, Ori, Oin i Gloin brzmiały ich imiona; wkrótce też pięć kapturów: dwa purpurowe, jeden szary, jeden brązowy i jeden biały – zawisło na kołkach, krasnoludy zaś, zatknąwszy krzepkie dłonie za złote i srebrne pasy, ruszyły do jadalni. Zebrała się tam już spora gromada. Ten wołał o piwo, tamten o porter, ów o kawę, a wszyscy o ciastka; toteż hobbit miał przez pewien czas pełne ręce roboty.

Potężny dzban kawy właśnie grzał się na kominku, placki już zniknęły, a krasnoludy zabrały się do maślanych bułeczek – gdy nagle głośne kołatanie dobiegło ich uszu. Nie dzwonek, lecz trach, trach! Ktoś walił laską w piękne zielone drzwi hobbita!

Bilbo puścił się korytarzem bardzo zagniewany i do cna ogłupiały. Równie fatalnej środy w życiu nie pamiętał. Otworzył drzwi znienacka, tak że wszyscy runęli do środka, jeden na drugiego. Znowu krasnoludy, czwórka! A za ich plecami stał Gandalf oparty o laskę i śmiał się głośno. Wydrapał laską porządną szramę w pięknych drzwiach, a przy tej sposobności zatarł tajemniczy znak, który na nich zrobił poprzedniego ranka.

– Ostrożnie, ostrożnie! – rzekł. – Wcale to do ciebie niepodobne, mój Bilbo, żeby najpierw przetrzymywać gości na słomiance, a potem otwierać drzwi tak, jakbyś z procy strzelał. Pozwól, że ci przedstawię: oto Bifur, Bofur, Bombur, a nade wszystko – Thorin!

– Do usług! – krzyknęli Bifur, Bofur i Bombur, stając w szeregu. Powiesili na kołkach dwa kaptury żółte i jeden jasnozielony oraz czwarty: błękitny z długim srebrnym chwastem. Błękitny kaptur należał do Thorina, ogromnego, dostojnego krasnoluda; był to nie kto inny, lecz sławny Thorin Dębowa Tarcza we własnej osobie, zgoła w tym momencie nie zachwycony, że przydarzyło mu się paść plackiem w sieni Bilba, z Bifurem, Bofurem i Bomburem

na grzbiecie. Na dobitkę grubas Bombur był bardzo ciężki. Thorin zachował się wyniośle i nie wspomniał nic o „usługach", lecz biedny pan Baggins tyle razy powtórzył: – Och, przepraszam! – że wreszcie dumny krasnolud mruknął: – Nie ma za co – i rozchmurzył czoło.

– Nikogo nie brakuje – rzekł Gandalf, spoglądając na trzynaście wiszących rzędem kapturów – a były to kaptury odświętne, wizytowe, odpinane od płaszczy – i na swój własny kapelusz obok nich. – Wcale wesołe zgromadzenie! Mam nadzieję, że dla maruderów zostało coś jeszcze do zjedzenia i wypicia. Co tam masz? Herbatę? Nie, dziękuję. Co do mnie, proszę o kropelkę czerwonego wina.

– Ja też – powiedział Thorin.

– I o konfitury malinowe, i o szarlotkę.

– I o paszteciki z mięsem, i o ser.

– I o gulasz wieprzowy z sałatą.

– Jeszcze ciastek, jeszcze piwa, jeszcze kawy, jeśli łaska – wołały inne krasnoludy zza drzwi jadalni.

– Bądź tak dobry i ugotuj kilka jajek! – krzyknął Gandalf w ślad za hobbitem, który już kuśtykał w stronę spiżarni. – A przy okazji przynieś na zimno kurczęta pieczone i pomidory.

„On, zdaje się, zna moją spiżarnię równie dobrze jak ja sam" – pomyślał pan Baggins, całkowicie skołowaciały; zaczynał już podejrzewać, czy najokropniejsza przygoda nie spotka go we własnym domu. Nim zmieścił na ogromnej tacy wszystkie butelki, półmiski, noże, widelce, szklanki, talerze, łyżeczki i tak dalej – oblał się potem, dostał wypieków i stracił do reszty humor.

– Tam do licha z tymi krasnalami! – powiedział głośno. – Nie mógłby to jeden z drugim ruszyć się i pomóc trochę?

I patrzcie! W drzwiach kuchni już stali Balin i Dwalin, a za nimi Fili i Kili. Nim Bilbo zdążył bodaj kichnąć, chwycili tacę i kilka małych stolików, zanieśli do sali i zmienili wszystkie nakrycia.

Na honorowym miejscu siedział Gandalf, a trzynastu krasnoludów wokół niego przy stole. Bilbo zaś, na stołeczku przy kominku, żuł biszkopt (apetyt opuścił go całkowicie) i usiłował robić dobrą minę, jakby wszystko, co się działo, było rzeczą najzwyklejszą w świecie, a wcale nie żadną przygodą. Krasnoludy jadły i jadły, gadały i gadały, a czas płynął. Wreszcie odsunęły krzesła od stołu, a Bilbo zerwał się, żeby pozbierać talerze i szklanki.

– Przypuszczam, że zechcecie wszyscy zostać na kolacji? – spytał, jak umiał najgrzeczniej, lecz bez nalegania.

– Ma się rozumieć! – odparł Thorin. – Po kolacji także. Nie uporamy się z naszymi sprawami do późna w noc, a przedtem musimy trochę użyć muzyki. Teraz sprzątajcie!

Na to dwunastu krasnoludów – ale nie Thorin, bo Thorin był zbyt dostojny i został przy stole, rozmawiając z Gandalfem – skoczyło na równe nogi i zaczęło układać nakrycia w wysokie stosy. Nie czekając na tace, ruszyli do kuchni, a każdy niósł na jednej dłoni chwiejącą się piramidę talerzy, ukoronowaną na szczycie pustą butelką; hobbit biegł za nimi aż piszcząc ze strachu: „błagam, uważajcie!", „po cóż się trudzicie?!", „ja przecież sam chętnie..." Ale krasnoludy zamiast odpowiedzieć zaśpiewały chórem:

Tłuczmy szklanki, spodki, miski,
Niech gospodarz żyje nasz!
A choć Bilbo płaczu bliski,
Niechaj drzazgi lecą z flasz!

Obrus w strzępy, dzbanek mleka
O podłogę! Trzask i huk!
Kości wkoło porozwlekać,
Butlę wina prask o próg!

Buch czerepy w garnek śmiało,
Szkło na drobny tłuczmy piach –
A co jeszcze pozostało,
O podłogę bęc i trach!

Baczność! Bilbo płaczu bliski,
Zaraz usłyszycie jęk –
Więc uwaga tam na miski!
Trach i prask, i bęc, i brzdęk!

Oczywiście krasnoludy nic z tych okropności nie wprowadziły w czyn, wszystko w mig zostało umyte i porządnie ustawione, a przez cały czas hobbit kręcił się pośrodku kuchni, usiłując podpatrzyć, co dziwni goście robią. Potem wrócili do sali i zastali tam Thorina z nogami opartymi o kratę przed kominkiem i ćmiącego fajkę. Wydmuchiwał ogromne pierścienie z dymu, a każdy z nich leciał tam, gdzie mu Thorin kazał: kominem w górę, za stojący na parapecie kominka zegar, pod stół lub pod sufit, gdzie krążyły w kółko, w kółko; ale gdziekolwiek leciały, nie mogły umknąć przed Gandalfem, który ze swej krótkiej drewnianej fajeczki – pyk! – wypuszczał mniejsze pierścionki dymu prosto w środek Thorinowych. Potem te kółka Gandalfa zieleniały z radości, że sztuka się udała, i wracały nad głowę czarodzieja. W chmurze kolorowych pierścieni dymu wyglądał naprawdę czarodziejsko. Bilbo stał jak urzeczony – bardzo lubił kółka z dymu – i zaczerwienił się na myśl, że poprzedniego ranka taki był dumny ze swoich pierścionków, które wysyłał nad Pagórek.

– A teraz muzyka! – rzekł Thorin. – Przynieście instrumenty.

Kili i Fili skoczyli po swoje worki i wrócili każdy ze skrzypcami; Dori, Nori i Ori wydobyli spod płaszczy flety, Bombur przyniósł z hallu bęben; Bifur i Bofur także wyszli na chwilkę i zjawili się z klarnetami, które pozostawili przedtem wśród lasek w sieni;

Dwalin i Balin powiedzieli: – Przepraszam, zostawiłem swój instrument na ganku – na co Thorin zawołał: – Przynieście i mój przy sposobności! – Przytaszczyli więc dwie ogromne wiolonczele, większe niemal od nich samych, oraz harfę Thorina w zielonym pokrowcu. Była to piękna złota harfa, a gdy Thorin dotknął strun, natychmiast zabrzmiała muzyka tak niespodziana i słodka, że Bilbo zapomniał o wszystkim i wyobraźnia przeniosła go daleko, w tajemnicze krainy, nad którymi świecą dziwne księżyce, daleko za Wodę, daleko od hobbickiej norki pod Pagórkiem.

Mrok płynął do sali przez małe okienko otwarte w stoku Pagórka, płomienie na kominku migotały – był kwiecień – a krasnoludy grały wciąż, grały, a cień brody Gandalfa drżał na ścianie.

Ciemności wypełniły pokój, ogień zgasł, cienie zniknęły – a krasnoludy grały jeszcze. Nagle któryś zaczął śpiewać do wtóru melodii, potem inni przyłączyli swe głosy, niskie, przytłumione głosy krasnoludów przyzwyczajonych z dawnych czasów do śpiewania w swoich głębokich podziemnych siedzibach. A oto parę strofek z ich pieśni, chociaż naprawdę nie sposób wyobrazić jej sobie bez muzyki:

Ponad gór omglony szczyt
Lećmy, zanim wstanie świt,
By jaskiniom, lochom, grotom
Czarodziejskie wydrzeć złoto!

Już krasnali działa czar;
W ciszę młotów dźwięk się wdarł,
Tam gdzie mrok pod skałą władnie
I gdzie dziwy drzemią na dnie.

Dawnych elfów możny ród
Złota tu zgromadził w bród
I w podziemnych kuźniach młotem

Z kruszcu miecze kował złote.

Na srebrzystych nitek pas
Nizał błyski lśniących gwiazd,
W złotych koron zaś obręcze
Księżycowe wplatał tęcze.

Ponad gór omglony szczyt
Lećmy, zanim wstanie świt,
By jaskiniom, lochom, grotom
Zapomniane wydrzeć złoto!

Złote harfy leżą wiek,
Gdzie nie kopał żaden człek,
A w nich pieśni drzemie mnogo
Nie słyszanych przez nikogo.

Nagle sosen słychać szum,
Wichrów nocą zawył tłum
I czerwonym, żywym ogniem
Drzewa płoną jak pochodnie.

Gdzieś w dolinie bije dzwon,
Ludzie patrzą z wszystkich stron,
A gniew Smoka ciska gromy
Na struchlałe, kruche domy.

Dymią góry w blasku gwiazd,
Dla krasnali przyszedł czas.
Po pagórkach, po urwiskach
W księżycowych biegną błyskach.

Ponad gór omglony szczyt
Lećmy, zanim wstanie świt,
Żeby wydrzeć lochom, grotom
Nasze harfy, nasze złoto!

Gdy tak śpiewali, Bilbo poczuł, że budzi się w nim miłość do pięknych rzeczy, które powstają dzięki pracy rąk, zręczności i czarom, namiętna i zazdrosna miłość, najgorętsza pożądliwość serc

krasnoludzkich. Coś z dziedzictwa Tuków ocknęło się w hobbicie, zapragnął ruszyć w świat, zobaczyć wysokie góry, usłyszeć szum sosen i potoków, zbadać głębie jaskiń, miecz nosić u boku zamiast laski. Wyjrzał przez okno. Na ciemnym niebie ponad drzewami świeciły gwiazdy. Pomyślał o klejnotach krasnoludów, błyszczących w mroku podziemi. Nagle z lasu Za Wodą wystrzelił w górę płomień – ktoś pewnie rozpalił ognisko – i hobbitowi wydało się, że to zbójeckie smoki spadły na jego spokojny Pagórek i chcą wszystko puścić z dymem. Wzdrygnął się i bardzo szybko stał się znów zwykłym panem Bagginsem z Bag End, pod Pagórkiem.

Wstał, drżąc cały. Pół jego duszy mówiło mu, że trzeba niby to iść po lampę, a naprawdę ukryć się w piwnicy za beczkami piwa i nie wyłazić stamtąd, póki ostatni krasnolud nie opuści jego domu. Nagle spostrzegł, że muzyka i śpiew ucichły i że wszyscy goście patrzą na niego błyszczącymi w ciemności oczyma.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Thorin takim tonem, jakby zgadywał, co się dzieje w obu połowach duszy hobbita.

– Czy nie przydałoby się trochę światła? – odparł Bilbo, usiłując się usprawiedliwić.

– Lubimy ciemności – oznajmiły chórem krasnoludy. – Ciemne sprawy najlepiej załatwiać po ciemku. Jeszcze mamy kilka godzin do świtu.

– Oczywiście – rzekł Bilbo i usiadł z takim pośpiechem, że zamiast na stołek, trafił na brzeg kominka; narobił przy tym straszliwego hałasu, zrzucając pogrzebacz oraz szufelkę.

– Cisza! – zawołał Gandalf. – Thorin ma głos!

Thorin zaczął w te słowa:

– Szanowny Gandalfie, szanowne krasnoludy, szanowny panie Baggins! Zebraliśmy się tutaj dziś, w domu naszego przyjaciela i współspiskowca, tego oto znakomitego i zuchwałego hobbita –

oby włos nawet nie spadł z jego nogi! Cześć jego świetnemu winu i piwu...

Mówca przerwał z braku tchu oraz dlatego, że czekał na jakąś grzeczną uwagę ze strony gospodarza, lecz wszystkie komplementy padły w próżnię; nieszczęsny Bilbo Baggins daremnie poruszał wargami, żeby zaprotestować przeciw nazywaniu go zuchwałym hobbitem, a co gorsza – spiskowcem; tak skołowaciał, że nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Thorin więc ciągnął dalej:

– Zebraliśmy się, żeby omówić nasze zamiary, sposoby ich urzeczywistnienia, środki, politykę i taktykę. Wkrótce, nim dzień zaświta, wyruszymy w daleką drogę, na wyprawę, z której, kto wie, może wielu z nas, może nawet nikt (z wyjątkiem naszego przyjaciela i doradcy, mądrego czarodzieja Gandalfa) żywy nie wróci. Chwila to uroczysta. Cel, jak sądzę, znają wszyscy.

Lecz dla szanownego pana Bagginsa i może dla najmłodszych krasnoludów – nie pomylę się chyba, jeśli wymienię na przykład imiona dwóch: Fili i Kili – warto pokrótce wyjaśnić aktualną sytuację...

Takim stylem przemawiał Thorin. Był bardzo dostojnym krasnoludem. Gdyby mu pozwolono, mówiłby pewnie aż do utraty tchu w ten sam sposób, to znaczy tak, że nikt nie usłyszałby od niego nic, czego by już od dawna sam nie wiedział. Lecz przerwano mu brutalnie. Biedny Bilbo nie mógł tego dłużej wytrzymać. Przy słowach: „Kto wie... może nikt z nas żywy nie wróci" – Bilbo poczuł, że z jego żołądka podnosi się w górę aż do gardła okropny krzyk, który też zaraz wyrwał mu się z ust, niby gwizd lokomotywy wyjeżdżającej z tunelu. Gandalf zapalił niebieskie światełko na końcu swej czarnoksięskiej różdżki i w tym magicznym blasku wszyscy ujrzeli, że biedny mały hobbit klęczy na dywanie przed kominkiem i dygoce jak galareta. Wtedy Bilbo

padł plackiem, wykrzykując raz po raz: „Piorun mnie trafił, piorun mnie trafił!” Nic więcej przez długi czas nie mogli od niego wydobyć. Podnieśli go więc i położyli na uboczu, na kanapie w salonie, postawili kieliszek wina w zasięgu jego ręki i wrócili do narady nad swymi ciemnymi sprawami.

– Ten malec łatwo wpada w zapał – rzekł Gandalf, gdy wszyscy znów siedzieli przy stole. – Miewa takie dziwne ataki, ale to zuch nad zuchy, w razie czego będzie się bił jak smok.

Kto z was widział, jak w razie czego zachowuje się smok, ten dobrze rozumie, że porównanie to byłoby tylko poetycką przesadą w zastosowaniu do jakiegokolwiek hobbita, nawet gdyby chodziło o stryjecznego dziadka Wielkiego Tuka, Bullroarera, który odznaczał się tak olbrzymim jak na hobbita wzrostem, że mógł dosiadać konia. Natarł on konno na zastępy goblinów z Góry Gram w bitwie na Zielonych Polach i jednym zamachem kija strącił królowi Golfimbulowi głowę z karku. Głowa ta przeleciała sto łokci w powietrzu i zaryła się w króliczej jamie; w ten sposób bitwa zakończyła się zwycięsko, a jednocześnie wynaleziona została gra w golfa.

Tymczasem wszakże łagodniejszy od swego przodka potomek Bullroarera odzyskiwał w salonie zmysły. Po chwili odpoczynku i dobrym łyku wina podreptał nerwowym kroczkiem do drzwi sali. Przemawiał właśnie Gloin, a oto co Bilbo usłyszał:

– Hmmm... – (czy coś w tym rodzaju, w każdym razie mruknięcie). – Myślicie, że on się nada? Łatwo Gandalfowi mówić, że to jest hobbit dzikiego męstwa, ale jeden taki wrzask zapału wystarczy, żeby zbudzić ze snu smoka razem z całą rodziną, a nam wszystkim zgotować śmierć. Mnie się zresztą wydaje, że to brzmiało raczej jak wrzask strachu, a nie zapału. Doprawdy, gdyby nie znak na drzwiach, byłbym przekonany, że trafiliśmy do niewłaściwego

domu. Od razu, jakem zobaczył w progu tego malca, nabrałem wątpliwości, bo tylko się kłaniał i sapał. Wygląda mi bardziej na korzennego kupca niż na włamywacza.

Wówczas pan Baggins nacisnął klamkę i wszedł do sali. Krew Tuków wzięła w nim górę. Gotów był w tej chwili wyrzec się snu i śniadania, byle zyskać sławę dzikiego męstwa. Zresztą na wspomnienie słów o malcu, który się kłaniał i sapał w progu, ogarniał go naprawdę dziki gniew. Wielekroć później Bagginsowska cząstka natury hobbita żałowała tego, co w owym momencie zrobił, i mówiła mu: „Głupiś był, mój Bilbo. Sam z własnej woli wpakowałeś się w awanturę".

– Wybaczcie – rzekł – że podsłuchałem, coście tutaj mówili. Nie rozumiem oczywiście, o co właściwie chodzi i co znaczą te wzmianki o włamywaczach, ale sądzę, że mam prawo mniemać (tak się wyraził, bo chciał wystąpić z wielką godnością), iż macie mnie za niegodnego swojej kompanii. Przekonacie się sami. Na moich drzwiach nie ma żadnych znaków, pomalowałem je świeżo ledwie tydzień temu i jestem pewien, że trafiliście do niewłaściwego domu. Od razu, jakem zobaczył na progu wasze dziwne miny, nabrałem wątpliwości. Ale, proszę, uważajcie, że trafiliście, gdzie należało. Powiedzcie mi, o co chodzi, a postaram się to zrobić, choćbym musiał stąd pomaszerować na najdalszy wschód wschodu i walczyć z Robakołakami na Najdalszej Pustyni. Moim praprapradziadem był Bullroarer Tuk, toteż...

– Owszem, owszem, był, ale bardzo dawno temu – rzekł Gloin. – Teraz jest mowa o tobie. A co do znaku, zapewniam cię, że jest na twoich drzwiach znak, który wedle przyjętego w naszym cechu zwyczaju znaczy – albo przynajmniej znaczył dawniej: włamywacz szuka odpowiedniego zajęcia, wymagane silne wrażenia i godziwy zarobek. Tak się ten znak odczytuje. Można zresztą zamiast

„włamywacz” wyrazić się: „doświadczony poszukiwacz skarbów” – jeżeli chcesz. Niektórzy to wolą. Nam nie robi to różnicy. Gandalf zawiadomił nas, że ktoś nadający się do naszej kompanii mieszka w tej okolicy i szuka zajęcia od zaraz, więc wyznaczył tutaj wszystkim spotkanie w środę w porze podwieczorku.

– Oczywiście, że znak jest na drzwiach – rzekł Gandalf. – Sam go zrobiłem. Nie bez powodu. Domagaliście się, żebym znalazł czternastego uczestnika wyprawy, no i wybrałem pana Bagginsa. Jeżeli ktoś uważa, że wybrałem niewłaściwą osobę i niewłaściwe miejsce, proszę bardzo, ruszajcie w trzynastu, narażajcie się na pecha, skoro wam się podoba, albo wracajcie do kopalni węgla.

Spojrzał tak gniewnie na Gloina, że krasnolud aż skulił się w fotelu; a gdy Bilbo otworzył usta, żeby zadać jakieś pytanie, Gandalf obrócił się nachmurzony i zjeżył krzaczaste brwi tak, że hobbit prędko zamknął usta, aż klasnęły.

– W porządku – rzekł Gandalf. – Dość sprzeczek. Ja wybrałem pana Bagginsa, to powinno wszystkim wystarczyć. Skoro ja wam powiadam, że jest włamywaczem, to znaczy, że jest albo w swoim czasie będzie z niego włamywacz. Coś więcej tkwi w tym hobbicie, niż wam się wydaje, kto wie, może też o wiele więcej, niż on sam przypuszcza. Może dożyjecie tego, że mi jeszcze podziękujecie. A teraz, Bilbo, mój chłopcze, przynieś lampę, trzeba to i owo wyjaśnić.

W świetle ogromnej lampy z czerwonym abażurem rozpostarł na stole arkusz pergaminu, jak gdyby mapę.

– Rysował to twój dziadek, Thorinie – odparł na żywe pytania krasnoludów. – To jest mapa Góry.

– Nie zdaje mi się, żeby nam mogła wiele pomóc – powiedział z rozczarowaniem w głosie Thorin, rzuciwszy okiem na mapę. – Pamiętam dość dobrze Górę i jej okolice. Wiem też, gdzie leży

Mroczna Puszcza i Zwiędłe Wrzosowiska, skąd są rodem wielkie smoki.

– Nad Górą wymalowany jest czerwony smok – rzekł Balin – ale przecież i tak znajdziemy go bez trudu, byleśmy tam w ogóle doszli.

– Jest na mapie coś, czego nie zauważyliście – powiedział czarodziej – a mianowicie naznaczone tajemne wejście. Widzicie te znaki runiczne po zachodniej stronie i rękę z wytkniętym palcem? Wskazuje ona ukryte przejście do Niższych Sal. (Spójrzcie na mapę, która znajduje się na końcu książki, a zobaczycie tam czerwone pismo runiczne.)

– Przejście było może ongi ukryte – odezwał się Thorin – ale kto wie, czy nie zostało już teraz ujawnione? Stary Smaug mieszka tam od tak dawna, że chyba zbadał dokładnie całe podziemie.

– Nawet jeśli o przejściu wie, na pewno od wielu lat nie może go używać.

– Dlaczego?

– Bo jest za małe. Drzwi mają pięć stóp wysokości, a wszerz zmieści się trzech krasnoludów naraz, jak mówią runy, lecz Smaug nie wcisnąłby się w otwór tych rozmiarów nawet za młodu, a tym bardziej teraz, po pożarciu tylu dziewic z doliny.

– Mnie się ta dziura wydaje ogromna – pisnął Bilbo (nie miał pojęcia o smokach, znał się tylko na hobbickich norach). Tak się zapalił i zainteresował, że zapomniał o trzymaniu języka za zębami. Przepadał za mapami, w jego sieni wisiała duża mapa Okolicy, na której czerwonym atramentem ponaznaczał swoje ulubione spacery. – Jakim sposobem ktoś, nie mówiąc już o smoku, mógłby nie zauważyć z zewnątrz tak wielkich drzwi? – spytał. Nie zapominajcie, że Bilbo był tylko małym hobbitem.

– Mogą być ukryte na różne sposoby – odparł Gandalf. – Którego z nich użyto w tym przypadku, nie wiemy i nie dowiemy się, póki

nie zobaczymy na miejscu. Z tego, co mówi mapa, domyślam się, że zamkniętych drzwi nie można odróżnić od reszty ściany Góry, bo tę sztukę zwykle stosują krasnoludy. Mam rację czy nie?

– Masz rację – rzekł Thorin.

– Zapomniałem też dodać – ciągnął Gandalf – że do mapy dołączony jest klucz, mały, dziwny kluczyk. Oto on! – To mówiąc wręczył Thorinowi srebrny kluczyk ze skomplikowanymi nacięciami na długiej rurce. – Pilnuj go dobrze!

– Z pewnością będę go pilnował – odparł Thorin i umocował kluczyk na pięknym łańcuchu, który nosił na szyi pod kubrakiem. – Teraz więc sprawa zapowiada się o wiele pomyślniej. Nowiny, które tu usłyszeliśmy, znacznie poprawiają nasze widoki. Dotychczas nie wyobrażaliśmy sobie dość jasno, co robić. Zamierzaliśmy maszerować na wschód jak najciszej, najostrożniej, aż nad Długie Jezioro. Dalej zaczęłyby się trudności...

– Trudności zaczną się o wiele wcześniej, o ile cokolwiek wiadomo mi o szlakach wschodnich – przerwał mu Gandalf.

– Minąwszy Długie Jezioro – ciągnął Thorin, nie zwracając uwagi na słowa czarodzieja – można by iść wzdłuż Bystrej Rzeki do ruin Dali, starego miasta w dolinie, w cieniu Góry. Ale żadnego z nas nie nęci myśl o Głównej Bramie. Rzeka przełamuje się tam wśród urwistych brzegów na południe od Góry, ale tamtędy również wychodzi smok, i to o wiele za często, jeśli nie zmienił obyczajów.

– To na nic – rzekł czarodziej. – Nie poradzilibyście sobie tam bez potężnego wojownika albo wręcz bohatera. Usiłowałem kogoś takiego znaleźć, ale wojownicy zajęci są wzajemnymi walkami w odległych krajach, a bohaterów w tych stronach trudno czy może wręcz nie sposób spotkać. Tu miecze przeważnie stępiały, toporów używa się do rąbania drew, a tarcze służą za kołyski albo za pokrywki na garnki; smoki są niegroźne, bo żyją daleko stąd

(dlatego też stały się legendą). Z tych powodów zdecydowałem się raczej na włamanie, tym bardziej kiedy sobie przypomniałem o istnieniu bocznego wejścia. A oto nasz mały Bilbo Baggins, włamywacz, włamywacz z wyboru i wyborowy. A teraz radźmy dalej i ułóżmy jakiś plan.

– Dobrze. W takim razie – rzekł Thorin – niech rzeczoznawca-włamywacz przedstawi nam swoje pomysły i propozycje.

I Thorin z drwiącą uprzejmością zwrócił się do hobbita.

– Najpierw chciałbym się czegoś więcej o tej sprawie dowiedzieć – rzekł Bilbo, bardzo zmieszany i trochę drżący w głębi serca, lecz wciąż jeszcze, jak przystało na potomka Tuków, niezachwiany w postanowieniu, że weźmie udział w przygodzie. – To znaczy o złocie i o smoku, i o wszystkim, skąd się tam to złoto wzięło i czyją jest własnością, itepe, itede.

– To dopiero! – powiedział Thorin. – Czyż nie obejrzałeś mapy? Czy nie słyszałeś naszej pieśni? Czyż nie o tym właśnie mówimy od czterech godzin?

– A jednak wolałbym mieć jasne i dokładne informacje – upierał się hobbit; przybrał taką minę jak przy omawianiu poważnych interesów (zwykle robił taką minę, kiedy na przykład ktoś usiłował naciągnąć go na pożyczkę) i bardzo się starał wyglądać na mądrego, przezornego fachowca, za jakiego przedstawił go Gandalf. – Chciałbym też wiedzieć, na jakie narażam się ryzyko, jakie są przewidziane wydatki gotówką, ile czasu zajmie ta robota, ile będzie wynosiło moje wynagrodzenie i tak dalej! – a mówiąc to hobbit myślał po prostu: „Co ja z tego będę miał? I czy wrócę żywy?".

– No, więc słuchaj – powiedział Thorin. – Przed laty, za życia mojego dziadka, gromada krasnoludów, wyparta z dalekiej północy, przybyła wraz z całym majątkiem i narzędziami pod tę Górę, którą widziałeś na mapie. Zaczęli tu wykopy, zbudowali tunele i ogromne

podziemne hale oraz warsztaty, a w dodatku znaleźli, o ile mi wiadomo, mnóstwo złota i drogich kamieni. W każdym razie zdobyli ogromne bogactwa i sławę, a mój dziadek został Królem pod Górą i był traktowany z wielkim szacunkiem przez śmiertelnych ludzi, którzy mieszkali na południu, a z czasem osiedlili się nad górnym biegiem Bystrej Rzeki, aż po dolinę w cieniu Góry. Założyli tu podówczas wesołe miasto Dal. Królowie przysyłali po naszych snycerzy i nawet mniej biegłych wynagradzali hojnie. Ojcowie przyprowadzali do nas swoich synów na naukę i płacili za nią szczodrze, przede wszystkim w naturze, żywnością, bo my nie trudziliśmy się uprawą ziemi ani staraniem o prowianty. Były to pod każdym względem złote czasy dla nas, najuboższy z krasnoludów miał dość pieniędzy na własne potrzeby i na pożyczkę dla innych, a także dość czasu, żeby wyrabiać piękne przedmioty po prostu dla własnej rozrywki, nie mówiąc już o przepięknych, czarodziejskich zabawkach, jakich dziś próżno byś szukał na świecie. Toteż sale w domu mego dziadka były pełne cudownych klejnotów, rzeźb i pucharów, a w sklepie z zabawkami w Dali można było oczy wypatrzyć.

Te właśnie rzeczy skusiły smoka. Smoki, jak wiadomo, kradną złoto i klejnoty ludziom, elfom i krasnoludom, gdziekolwiek się da; strzegą swoich łupów do ostatniego tchu (czyli na wieki, bo nie umierają, chyba że je ktoś zabije), ale nie umieją się nimi cieszyć, nie używają z nich nic, bodaj miedzianego pierścionka. Smoki wcale nie odróżniają pięknej roboty od partactwa, chociaż dobrze się zazwyczaj znają na rynkowej cenie przedmiotów. Same też nic nie potrafią zrobić, nie umieją nawet zreperować obluzowanej łuski na własnym pancerzu. W owych czasach na północy żyło wiele smoków, złoto zaś stało się zapewne rzadkością, kiedy krasnoludy zbiegły na południe lub wyginęły, a smoki szerzyły coraz gorsze

nieszczęścia i spustoszenia. Szczególnie chciwy, silny i zły był gad imieniem Smaug. Pewnego dnia przefrunął on na południe. Najpierw usłyszeliśmy okropny szum, jakby huragan nadciągał z północy, a sosny na Górze skrzypiały i skrzypiały na wietrze. Garstka krasnoludów, które przypadkiem były na powierzchni (do tych szczęśliwców i ja należałem, byłem wtedy młodym, żądnym przygód chłopcem i stale włóczyłem się wokół Góry, to właśnie ocaliło mi życie)...Zobaczyliśmy z daleka, jak smok spadł na Górę i jak trysnęły wokół niego płomienie. Potem zsunął się po stoku w dół, a gdziekolwiek przeszedł, las stawał w ogniu. Wówczas już dzwony w Dali uderzyły na trwogę, a wojownicy chwytali za broń. Krasnoludy rzuciły się do swojej Głównej Bramy, lecz tam czyhał na nie smok. Nikt nie uszedł tą drogą z życiem. Rzeka zagotowała się i wezbrała, miasto przesłoniła mgła, a pod jej osłoną smok zbliżył się niepostrzeżony i wymordował większość wojowników; zwykła nieszczęsna historia, aż nazbyt pospolita w tamtych czasach. Smok zawrócił do Głównej Bramy, wpełznął do środka, splądrował wszystkie hale, uliczki, tunele, zaułki, piwnice, mieszkania i korytarze. Nie został we wnętrzu Góry ani jeden żywy krasnolud, a smok zagarnął wszystkie bogactwa. Prawdopodobnie zwyczajem smoków zgromadził je w najgłębszej jaskini, spiętrzył na kupę i sypia na górze skarbów niby na łóżku. Odtąd nieraz wypełzał przez Główną Bramę i nocą napadał na Dal, porywając ludzi, a szczególnie dziewczęta, by je pożreć; w końcu miasto upadło, wszyscy mieszkańcy albo wyginęli, albo uciekli. Co się tam teraz dzieje, nie wiem na pewno, ale przypuszczam, że nikt dzisiaj nie mieszka bliżej Góry, niż sięga brzeg Długiego Jeziora.

My, którzyśmy ocaleli będąc na powierzchni, siedzieliśmy w ukryciu, płacząc i przeklinając Smauga, gdy niespodzianie zjawił

się przy nas mój ojciec i dziadek, obaj z osmalonymi od ognia brodami. Byli bardzo chmurni, nie mówili nic prawie. Kiedy spytałem, jakim sposobem wydostali się z podziemi, kazali mi trzymać język za zębami i powiedzieli, że dowiem się tego kiedyś, we właściwym czasie. Potem wszyscy wywędrowaliśmy stamtąd i musieliśmy zarabiać na życie, jak się dało i gdzie się dało, w różnych krajach; często wiodło nam się tak źle, że pracowaliśmy jako prości kowale albo w kopalniach węgla. Nigdy jednak nie zapomnieliśmy o naszym zrabowanym skarbie. Nawet teraz, kiedy – przyznaję – uciułaliśmy coś niecoś i mamy się nie najgorzej – tu Thorin pogładził złoty łańcuch, który nosił na szyi – nie wyrzekliśmy się zamiaru odzyskania skradzionych bogactw i chcemy się zemścić na przeklętym Smaugu, jeśli to będzie możliwe.

Często zastanawiałem się nad tajemnicą ocalenia mego ojca i dziadka. Dziś rozumiem, że musieli mieć ukryte boczne drzwi, nikomu prócz nich dwóch nie znane. Okazuje się, że narysowali je na mapie. Ciekaw jestem, jakim sposobem Gandalf zdobył tę mapę i dlaczego nie dostała się mnie, prawowitemu spadkobiercy.

– Nie zdobyłem jej, ale ją dostałem – odparł czarodziej. – Twój dziadek został zabity, jak sobie zapewne przypominasz, w kopalniach Morii przez goblina...

– Przeklęty goblin, wiem – rzekł Thorin.

– A twój ojciec ruszył w świat dwudziestego pierwszego kwietnia; w ostatni czwartek upłynęło sto lat od tego zdarzenia. Odtąd nie widziałeś go już...

– Prawda, prawda – rzekł Thorin.

– Otóż właśnie twój ojciec dał mi mapę i kluczyk, żebym te rzeczy tobie przekazał; jeśli spełniłem to dopiero teraz i w sposób, jaki uznałem za stosowny, nie możesz mieć do mnie pretensji; wiesz, jak

trudno było ciebie odnaleźć. Twój ojciec nie pamiętał własnego imienia, kiedy mi wręczał ten dokument, toteż i twego nie mógł mi powiedzieć. W gruncie rzeczy sądzę, że zasłużyłem tylko na pochwałę i wdzięczność. Masz! – zakończył podając mapę Thorinowi.

– Nie rozumiem – rzekł Thorin, a Bilbo pomyślał, że chętnie powiedziałby to samo. Wyjaśnienie nic im jakoś nie wyjaśniło.

– Twój dziadek – odparł czarodziej z wolna i gniewnym głosem – nim poszedł do kopalni Morii, oddał dla bezpieczeństwa mapę synowi. Twój ojciec po śmierci dziadka ruszył szukać szczęścia i wziął mapę z sobą. Przeżył wiele bardzo przykrych przygód, nigdy jednak nie zdołał dotrzeć w pobliże Góry. Nie mam pojęcia, jak się tam dostał, ale spotkałem go jako więźnia w lochach Czarnoksiężnika.

– A cóż ty tam robiłeś? – spytał Thorin ze zgrozą, a wszystkie krasnoludy zadrżały.

– To już niech cię nie obchodzi. Jak zawsze czegoś szukałem; była to paskudna, niebezpieczna wyprawa. Nawet ja, Gandalf, ledwo się uratowałem. Chciałem ocalić twego ojca, ale już było za późno. Postradał rozum, majaczył, zapomniał niemal o wszystkim prócz mapy i kluczyka.

– Dawno zapłaciliśmy goblinom z Morii – rzekł Thorin. – Trzeba by pomyśleć i o Czarnoksiężniku.

– Nie mów głupstw. To ponad siły wszystkich krasnoludów razem wziętych, gdyby nawet udało się zebrać rozproszonych na cztery wiatry z powrotem do gromady. Jedynym życzeniem twojego ojca było, żebyś odczytał mapę i użył klucza. Smok i Góra to zadanie i tak aż za wielkie na twoje siły.

– Słuchajcie, słuchajcie! – pomyślał Bilbo i przypadkiem pomyślał na głos.

– Czego mamy słuchać? – spytali wszyscy razem, zwracając się szybko w jego stronę.

Bilbo tak był podniecony, że odparł:

– Tego, co chcę wam powiedzieć.

– A co masz do powiedzenia?

– Ano to, że moim zdaniem powinniście iść na wschód i rozejrzeć się tam dobrze. Bądź co bądź są tam ukryte boczne drzwi, a nawet smoki muszą czasem sypiać, jak mi się zdaje. Jeśli siądziecie na progu i będziecie myśleć długo, to w końcu chyba coś wymyślicie. A teraz, wiecie, myślę, że już dość nagadaliśmy się jak na jedną noc, jeśli rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć. Może byśmy tak poszli spać, a jutro wybrali się od samego rana i w ogóle? Dam wam porządne śniadanie, zanim ruszycie w drogę.

– Ruszymy, a nie ruszycie, chciałeś powiedzieć – poprawił Thorin. – Czyż nie jesteś włamywaczem? Czy siedzenie na progu nie należy do twojego zawodu, że już nie wspomnę o włamywaniu się do wnętrza? Ale co do spania i śniadania zgadzam się z tobą. Przed podróżą lubię zjeść pół tuzina jajek z szynką; w jajecznicy, nie sadzone, i uważaj, żeby zanadto nie rozbełtać.

Z kolei inni zaczęli zamawiać śniadania, a żaden nawet nie dodał: „proszę” (co bardzo zirytowało hobbita), po czym wstali od stołu. Bilbo musiał każdemu znaleźć miejsce na nocleg, zapełniając wszystkie gościnne pokoje i ścieląc posłania na fotelach i kanapach. Dopiero kiedy ułożył całe towarzystwo, mógł się sam także położyć w swoim małym łóżku, bardzo zmęczony i nie bardzo szczęśliwy. Postanowił sobie mocno, że nie wstanie o świcie i nie będzie się fatygował przyrządzaniem dla gości wymyślnych dań na śniadanie. Żyłka Tuków zmiękła w nim i wcale już nie był pewien, czy się w ogóle wybiera w jakąś podróż nazajutrz.

Leżąc słyszał jeszcze, jak Thorin w sąsiednim – najelegantszym – pokoju nuci sobie:

Ponad gór omglony szczyt
Lećmy, zanim wstanie świt,
By jaskiniom, lochom, grotom
Czarodziejskie wydrzeć złoto.

Bilbo usnął z tymi słowami w uszach i miał bardzo niemiłe sny. Słońce już stało wysoko, kiedy się następnego ranka obudził.

## Rozdział 2

# Pieczeń barania

yskoczył z łóżka i otuliwszy się szlafrokiem pobiegł do jadalni. Nie było tam żywej duszy, ale na stole ujrzał ślady obfitego i pospiesznego śniadania. W pokoju wszystko było przewrócone do góry nogami, a w kuchni piętrzyły się stosy brudnych naczyń. Można by bez przesady powiedzieć, że nie oszczędzono ani jednego garnka, ani jednej patelni. Zmywanie było tak niewątpliwą i przykrą rzeczywistością, że Bilbo musiał się wyrzec złudzeń, iż goście poprzedniego wieczora przyśnili mu się tylko. Doprawdy, oddychał z ulgą na myśl, że w końcu poszli sobie bez niego i nie przyszło im do głowy budzić gospodarza (chociażby po to, żeby podziękować!); mimo woli wszakże był jakby odrobinkę zawiedziony. To uczucie zdziwiło go bardzo.

„Nie bądź durniem, Bilbo – rzekł sam do siebie. – Kto słyszał, żeby hobbit w twoim wieku myślał o smokach i w ogóle o tych tam zagranicznych głupstwach!”

Przepasał się fartuchem, rozpalił ogień w piecu, zagrzał wodę, pozmywał wszystko. Potem, nim wrócił do jadalni, zjadł w kuchni smaczne śniadanko. Słońce tymczasem już świeciło jasno, a przez otwarte drzwi wejściowe płynął do wnętrza ciepły, kwietniowy powiew. Bilbo zaczął głośno gwizdać i zapominać o zdarzeniach poprzedniego wieczora. Właśnie zasiadł pod otwartym oknem jadalni do drugiego śniadania, kiedy wszedł Gandalf.

– Ależ, mój drogi! – rzekł. – Kiedyż wreszcie przyjdziesz? Mieliśmy przecież wyruszyć wczesnym rankiem! A ty o pół do jedenastej najspokojniej jesz śniadanie, czy jak tam ten posiłek nazywasz. Tamci zostawili ci wiadomość, bo nie mogli dłużej czekać.

– Jaką wiadomość? – spytał biedny pan Baggins, okropnie zmieszany.

– Na wielkiego słonia! – zawołał Gandalf. – Ktoś cię chyba odmienił dzisiejszego ranka! Więc nie starłeś kurzu z parapetu kominka?

– Co ma jedno do drugiego? Dość było roboty ze zmywaniem po czternastu osobach.

– Gdybyś starł kurz z kominka, znalazłbyś pod zegarem to – rzekł Gandalf wręczając hobbitowi liścik (napisany oczywiście na jego własnym papierze listowym).

Oto, co Bilbo przeczytał:

*Od Thorina i kompanii pozdrowienie dla włamywacza Bilba! Za gościnę serdeczne dzięki, a Twoją ofertę fachowej pomocy chętnie przyjmujemy. Warunki: zapłata przy dostawie w wysokości nie przekraczającej czternastej części całego zysku (jeżeli w ogóle będą zyski); zwrot kosztów podróży zapewniamy w każdym przypadku; koszty pogrzebu – jeśli okaże się to konieczne i nie będzie załatwione inaczej – ponosimy my lub nasi przedstawiciele.*

*Nie widząc potrzeby zakłócania Twego cennego snu, wyruszyliśmy na razie sami, by poczynić niezbędne przygotowania. Oczekujemy szanownej osoby w gospodzie „Pod Zielonym Smokiem", nad Wodą, o jedenastej przed południem punkt. Licząc na punktualność z Pańskiej strony, mamy zaszczyt pozostać*

*szczerze oddani*
*Thorin i kompania.*

– Masz dziesięć minut na drogę. Musisz biec – rzekł Gandalf.

– Ale... – zaczął Bilbo.

– Nie ma czasu na żadne ale – powiedział czarodziej.

– Ale... – powtórzył Bilbo.

– Na to także nie ma czasu. Ruszaj!

Do końca życia Bilbo nie mógł sobie przypomnieć, jakim sposobem znalazł się wtedy na dworze, bez kapelusza, bez laski, bez pieniędzy, bez żadnej z rzeczy, które zazwyczaj brał ze sobą, wychodząc z domu; drugiego śniadania nie dokończył, statków po nim nie pozmywał, wcisnął klucze do ręki Gandalfowi i puścił się ścieżką w dół pędem, ile sił w kosmatych nogach; minął Wielki Młyn, przeprawił się przez Wodę i przebył w tym tempie milę z okładem.

Biła jedenasta, gdy zasapany dopadł gospody nad Wodą i stwierdził, że zapomniał chustki do nosa.

– Brawo! – rzekł Balin, który z progu wypatrywał hobbita.

Zza zakrętu drogi od strony wioski nadciągała już reszta towarzystwa. Jechali na kucach, a każdy kuc był objuczony wszelkiego rodzaju bagażem, tobołkami, pakunkami i rozmaitym dobytkiem. Jeden mały kuc szedł luzem, zapewne przeznaczony dla Bilba.

– Siadajcie obaj na konie i ruszamy – rzekł Thorin.

– Strasznie mi przykro – powiedział Bilbo – ale zapomniałem kapelusza i chustki do nosa, nie mam też przy sobie ani grosza. Przeczytałem wasz list dopiero o godzinie dziesiątej minut czterdzieści pięć, punkt.

– Nie bądź taki dokładny – odezwał się Dwalin – i nie przejmuj się drobiazgami. Nim dobrniemy do celu podróży, nauczysz się obywać bez chustki do nosa i bez wielu innych rzeczy. Jeżeli zaś chodzi o kapelusz, mam w kuferku zapasowy kaptur i płaszcz.

Tak się stało, że pięknego ranka w przeddzień maja wyruszyli wszyscy razem sprzed gospody truchtem na kucykach, a między innymi Bilbo, ubrany w ciemnozielony (trochę podniszczony) kaptur i ciemnozielony płaszcz pożyczony od Dwalina. Płaszcz i kaptur były na niego za duże, toteż wyglądał dość śmiesznie. Strach pomyśleć, co by jego ojciec, Bungo, powiedział, gdyby go tak zobaczył. Bilbo pocieszał się tylko tym, że nie ma brody, nikt więc nie może go wziąć za krasnoluda.

Nie ujechali daleko, gdy dogonił ich Gandalf, bardzo wspaniały na siwym koniu. Przywiózł cały zapas chustek do nosa, a także fajkę i tytoń hobbita. Wędrowali dalej wesoło, opowiadając bajki i śpiewając w marszu przez cały dzień, oczywiście z przerwami na popasy. Co prawda zarządzano te przerwy nie tak często, jakby sobie Bilbo życzył, ale mimo to hobbit zaczął dochodzić do wniosku, że przygody to niezła rzecz.

Jechali tak przez czas dość długi. Mieli do przebycia najpierw rozległy szmat spokojnego kraju, zaludnionego przez spokojnych mieszkańców: ludzi, hobbitów, elfy i tym podobne stworzenia; drogi były dobre, tu i ówdzie stały gospody, a od czasu do czasu mijali krasnoluda albo chłopa, albo wędrownego blacharza, spieszących za swymi sprawami. Później jednak znaleźli się w okolicy, gdzie ludność mówiła innym językiem i śpiewała pieśni, jakich Bilbo nigdy nie słyszał. Gospody spotykali teraz rzadko i mniej ponętne, drogi były gorsze, w oddali na widnokręgu wzgórza piętrzyły się coraz wyżej. Na szczytach wzgórz stały niekiedy zamki obronne, ale wiele z nich wyglądało tak, jakby nie wzniesiono ich wcale w godziwych zamiarach. W dodatku pogoda, dotychczas tak piękna, jak bywa maj w opowieściach i legendach, zepsuła się teraz.

– Pomyśleć, że jutro będzie pierwszy czerwca – stękał Bilbo, brnąc za innymi przez rozmiękłe błoto. Pora podwieczorku minęła, deszcz lał bez przerwy od rana, krople kapały mu z kaptura na nos, płaszcz przemókł na wylot, a zmęczony kuc potykał się na kamieniach. Towarzyszom w złych humorach nie chciało się pogawędek. „Z pewnością ubrania i zapasy w jukach także zmokły – dumał Bilbo. – Do licha z rozbójnictwem i przygodami. Wolałbym siedzieć w domu, w mojej miłej norze, przy kominku, i słuchać, jak woda śpiewa w imbryku".

Nieraz miał jeszcze zatęsknić do tego!

Tymczasem krasnoludy kłusowały przed siebie, żaden się nie oglądał i żaden nie zważał na hobbita. Gdzieś za burymi chmurami słońce widać zaszło, bo zaczęło się ściemniać. Zerwał się wiatr i wierzby wzdłuż rzeki pochyliły się z westchnieniem. Nie wiem, jak się ta rzeka nazywała, ale wiem, że miała wodę czerwoną, a nurt rwący i wezbrany po ostatnich deszczach i spływała z pagórków i gór widocznych w oddali.

Wkrótce ciemność zapadła niemal zupełna. Wiatr rozdarł bure chmury i spomiędzy ich strzępów wyjrzał nad wzgórzami blady księżyc. Wtedy wędrowcy zatrzymali się, a Thorin mruknął coś o kolacji i o tym, że nie widać suchego miejsca na nocleg.

Dopiero w tej chwili spostrzegli, że nie ma wśród nich Gandalfa. Dotąd odbywał razem z nimi całą drogę, nie wyjaśniając, czy zamierza wziąć udział w wyprawie, czy tylko przez czas jakiś chce im dotrzymać kompanii. Jadł, gadał i śmiał się więcej niż inni, aż nagle po prostu zniknął.

– Właśnie teraz, kiedy czarodziej najbardziej by się nam przydał! – stęknęli Dori i Nori (podzielali oni upodobanie hobbita do posiłków regularnych, obfitych i częstych).

W końcu zdecydowali się rozbić obóz tu, gdzie stanęli. Ani razu jeszcze w tej podróży nie spali pod gołym niebem, a chociaż wiedzieli, że wkrótce przyjdzie im z reguły obozować w ten sposób, skoro znajdą się w Górach Mglistych, z dala od okolic zamieszkanych przez spokojne istoty, ten dżdżysty wieczór nie wydawał im się wcale dobry na początek. Zboczyli ku kępie drzew, pod którymi grunt był wprawdzie suchszy, ale za to wiatr strącał z liści za kołnierz krople – kap, kap – bardzo niemiło. Ogień też jakby na złość płatał im figle. Krasnoludy umieją na ogół rozniecać ognisko z byle czego i byle gdzie, nawet na najgorszym wietrze; tej nocy jednak nikt nie mógł sobie z tym poradzić, nawet Oin i Gloin, mistrze w tej sztuce.

Potem jeden z kuców spłoszył się nie wiadomo dlaczego i uciekł. Nim go dopędzili, już był w rzece, a nim go schwytali, Fili i Kili omal nie utonęli, a wszystkie bagaże, którymi kuc był objuczony, popłynęły z wodą. A że była to głównie żywność, niewiele zostało na kolację i jeszcze mniej na śniadanie.

Siedzieli więc posępni, zmoknięci i klęli pod nosem, podczas gdy Gloin i Oin dalej biedzili się nad rozniecenieм ogniska, kłócąc się przy tym zawzięcie. Bilbo dochodził do żałosnego wniosku, że przygody nie polegają wyłącznie na konnej przejażdżce w majowym słońcu, kiedy nagle Balin, zazwyczaj pełniący straż, powiedział:

– Tam się coś świeci.

W pewnym oddaleniu, na wzgórzu pokrytym dość gęstym lasem, widać było wśród drzew błyskające światło; czerwonawy, ciepły blask, jak gdyby ognisko czy migotanie pochodni.

Przyglądali się czas jakiś, potem wybuchły spory. Jedni mówili „nie", inni mówili „tak". Jedni powiadali, że warto by iść i zbadać rzecz z bliska i że wszystko lepsze niż skąpa kolacja, chude śniadanie

i mokra odzież na grzbiecie przez całą noc. Drudzy na to: „Okolica mało znana, góry też. Policja nie zapuszcza się w te strony, nie dotarli tutaj nawet ludzie, co rysują mapy. Mało kto w tym kraju wie o królu, im mniej będziemy wścibiać po drodze nosa w to, co się tutaj dzieje, tym mniej nazbieramy guzów". Ktoś zauważył: „Bądź co bądź jest nas czternastu". Ktoś inny rzekł: „Gdzież się ten Gandalf podział?" – i to pytanie zadawali sobie wszyscy. W dodatku deszcz lunął jeszcze rzęsiściej, a Oin i Gloin wszczęli bójkę.

To rozstrzygnęło sprawę. „Koniec końców mamy w kompanii włamywacza czy nie mamy?" – powiedzieli i ruszyli w kierunku światła, prowadząc kuce za uzdy z całą należytą ostrożnością. Dotarli do wzgórza i wkrótce las ich ogarnął. Wspinali się w górę, nie trafili wszakże nigdzie na ścieżkę, która by mogła prowadzić do jakiegoś domu czy zagrody. Mimo wszelkich starań nie uniknęli hałasu, szelestów, skrzypienia, trzasku gałęzi pod stopami (a także stękania i przekleństw pod nosem) w tym pochodzie wśród gęstwy drzew, w noc czarną jak smoła.

Nagle czerwone światło dość już blisko błysnęło między pniami.

„Teraz kolej na włamywacza" – orzekły krasnoludy, mając oczywiście na myśli hobbita.

– Musisz tam iść, wybadać, co to za światło, kto i po co je rozniecił, czy tam jest zupełnie bezpiecznie i spokojnie – zwrócił się Thorin do Bilba. – Biegnij co żywo i wracaj prędko, jeśli wszystko w porządku. A jeśli nie w porządku, no to wrócisz, jeżeli zdołasz. A jeżeli nie zdołasz, huknij dwa razy jak sowa i raz jak puszczyk, a wtedy my zobaczymy, co się da zrobić.

I Bilbo musiał ruszyć na zwiady nie zdążywszy nawet wyjaśnić, że nie umie naśladować żadnego gatunku sowy ani też nie potrafi latać jak nietoperz. W każdym razie hobbici umieją posuwać się lasem bezszelestnie, tym się szczycą, toteż Bilbo prychał z pogardą

na „krasnoludzkie hałasy” w tym pochodzie, chociaż ty ani ja nic pewno nie dosłyszelibyśmy w wietrzną noc, nawet gdyby cała kawalkada przemknęła o dwa kroki od nas. Kiedy zaś Bilbo skradał się w stronę ognia, nawet czujna łasica nie ruszyłaby wąsem. Toteż dotarł tuż do ogniska – bo to było rzeczywiście ognisko – przez nikogo nie zauważony. I oto, co zobaczył:

Na ogromnym ogniu płonęły pnie brzóz, a wokoło grzało się trzech olbrzymów. Na długich patykach przypiekali mięso baranie i zlizywali tłuszcz z palców. Zapach rozchodził się bardzo smakowity. Opodal stała beczka zacnego piwa, a olbrzymi coraz to łykali ze dzbana. To były trolle. Bez wątpienia trolle. Nawet Bilbo, który spędził żywot w zaciszu, poznał się na tym, widząc wielkie, grubo ciosane twarze, olbrzymi wzrost, kształt stóp, nie mówiąc już o tym, że dosłyszał ich język, wcale, ale to wcale nie salonowy.

– Baranina wczoraj, baranina dzisiaj, a niech mnie diabli, jeśli jutro znowu nie będzie baranina – mówił jeden z trollów.

– Już zapomniałem, kiedy ostatni raz miałem na zębie kęs ludzkiego mięsa – powiedział drugi. – Coś ty, u licha, myślał sobie, William, kiedy nas ściągałeś w te strony? A najgorsze, że już i w beczce dno widać – dodał szturchając Williama, który właśnie wychylał dzbanek.

William zachłysnął się.

– Zamknij gębę! – wykrztusił, kiedy wreszcie mógł dobyć głosu. – Chciałbyś, żeby ludzie tu siedzieli i czekali, aż ich zjecie na spółkę z Bertem. We dwóch zżarliście już półtorej wsi, odkąd przyszliśmy z gór. Czego więcej wam się zachciewa? A były takie czasy, żebyście Billowi podziękowali za ochłap tłustego barana z tej doliny! – To rzekłszy William ugryzł przypieczone udo baranie i otarł usta rękawem.

Tak, niestety, nie inaczej zachowują się trolle, i to nawet te, które mają tylko po jednej głowie. Bilbo usłyszał dość i powinien był natychmiast coś zrobić: albo zawrócić cichcem i ostrzec przyjaciół, że przy ogniu siedzi trzech trollów dużego kalibru, w złym humorze, którzy na pewno chętnie przekąsiliby dla odmiany pieczonego krasnoluda czy bodaj kucyka; albo szybko i zgrabnie wykonać robotę porządnego włamywacza. Prawdziwy bowiem, legendarny włamywacz pierwszej klasy przeszukałby w tym momencie kieszenie trollów – co się prawie zawsze opłaca, o ile oczywiście się uda – zwędziłby barana z rożna, ukradłby beczkę piwa i umknął nie postrzeżony. Włamywacz zaś innego pokroju, bardziej praktyczny, lecz obdarzony mniejszą ambicją zawodową, przeszyłby może jednego trolla po drugim sztyletem, nimby się obejrzeli. Wówczas ta noc zakończyłaby się dla krasnoludów pomyślnie.

Bilbo wszystko to rozumiał. Czytał o wielu rzeczach, których nigdy nie widział ani nie robił. Trząsł się zarówno ze strachu, jak i ze wstrętu. Marzył, by znaleźć się co prędzej o sto mil od tego miejsca, a jednak... a jednak, nie wiedzieć czemu, nie mógł się zdecydować na powrót do Thorina i kompanii z pustymi rękami. Stał więc w mroku, pełen rozterki. Spośród rozmaitych złodziejskich sztuk, o jakich w życiu słyszał, najłatwiejsza wydawała mu się kradzież kieszonkowa, toteż w końcu podpełznął w cieniu drzew tuż za plecy Williama.

Bert i Tom właśnie oddalili się ku beczce z piwem. William pociągnął ze dzbanka. Bilbo zebrał się na odwagę i wsunął małą swą rączkę do przepaścistej kieszeni trolla. Była w niej sakiewka, dla hobbita wielka jak worek węgla. „Ha! – pomyślał, zapalając się do tej nowej dla siebie roboty i ciągnąc ostrożnie sakiewkę w górę – dobry początek!”

Rzeczywiście, dobry! Bo sakiewki trollów z reguły bywają zaczarowane, a ta nie stanowiła wyjątku. „Ejże, coś ty za jeden?" – pisnęła, gdy ją Bilbo wyciągał z kieszeni; William odwrócił się błyskawicznie i capnął hobbita za kark, nim biedak zdążył dać nura między drzewa.

– Rety, Bert, patrzaj, co upolowałem! – zawołał William.

– Co to takiego? – spytali tamci, podchodząc bliżej.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem. Coś ty za jeden?

– Bilbo Baggins, włamy... hobbit – rzekł nieszczęsny Bilbo, trzęsąc się od stóp do głów i zastanawiając, jak by tu huknąć sowim głosem, zanim mu troll zdusi gardło.

– Włamyhobbit? – spytali trochę zaskoczeni. Trolle na ogół ciężko myślą i bardzo podejrzliwie traktują każde nowe zjawisko.

– I co ma taki włamyhobbit do roboty w mojej kieszeni? – spytał William.

– Nada się toto na pieczeń? – spytał Tom.

– Można spróbować – rzekł Bert, chwytając za szpikulec.

– Nie starczy bodaj raz na ząb – powiedział William, który był już po dobrej kolacji. – Mało zostanie, jak się odrzuci skórę i gnaty.

– Może jest ich więcej gdzieś w pobliżu, to udusiłoby się w potrawce – rzekł Bert. – Gadaj no, małe paskudztwo, czy jest dużo takich jak ty w tym lesie? – spytał, przyglądając się kudłatym stopom hobbita, po czym chwycił go za wielkie palce u nóg i potrząsnął.

– Mnóstwo! – krzyknął Bilbo, zapominając w pierwszym strachu, że nie wolno zdradzać przyjaciół. – Nie ma ani na lekarstwo – poprawił się natychmiast.

– Co to znaczy? – spytał Bert, nie wypuszczając go z ręki, ale teraz trzymając już za włosy, głową do góry.

– To, co mówię – bez tchu odpowiedział Bilbo. – Proszę, niech mnie łaskawi panowie nie pieką na rożnie. Sam jestem doskonałym kucharzem i wolę gotować niż być gotowanym, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Przyrządzę wam coś pysznego, wspaniałe śniadanko, byleście mnie nie zjedli na kolację.

– Biedny głuptak – rzekł William. (Jak już wspomniałem, najadł się na kolację po gardłodziurki i wypił morze piwa). – Biedny głuptak. Puśćmy go żywego.

– Nie puszczę, dopóki nie powie, co to znaczy: i mnóstwo, i ani na lekarstwo – powiedział Bert. – Nie chcę, żeby mi poderżnęli gardło, jak zasnę. Będę mu na ogniu przypiekał pięty, póki nie wygada wszystkiego.

– Nie zgadzam się – odparł William. – Ja go złapałem, nie ty.

– Spasiony dureń z ciebie, Williamie – rzekł Bert – jak to już zresztą dawno zauważyłem.

– A z ciebie cham!

– Tego ci nie daruję, Billu Huggins – krzyknął Bert i kropnął Williama pięścią między oczy.

Bójka rozpętała się na dobre. Bilbo miał jeszcze dość przytomności umysłu, żeby skorzystać z zamieszania, i gdy go Bert upuścił na ziemię, wymknął się między nogami dwóch trollów, którzy już rzucili się na siebie niby wściekłe psy, wrzeszcząc przy tym różne wyzwiska, bardzo szkaradne, ale najzupełniej dla nich stosowne. Wkrótce spleceni wzajemnie ramionami tarzali się po ziemi, omal nie wpadając w ognisko, wierzgając i grzmocąc się pięściami, podczas gdy trzeci kamrat, Tom, obu walił kijem; chciał ich w ten sposób przywołać jakoś do rozumu, ale oczywiście tym bardziej zapaśników rozwścieczył.

Bilbo w tym momencie powinien był umknąć, ale noga, zgnieciona w potężnej pięści Berta, bardzo go bolała, tchu

brakowało w piersi, w głowie się kręciło. Leżał więc jeszcze przez długą chwilę tuż pod kręgiem światła bijącego od ogniska i dyszał ciężko.

Trolle wciąż się ze sobą biły, kiedy nadszedł Balin. Krasnoludy słyszały z daleka zgiełk, a nie mogąc się doczekać ani powrotu hobbita, ani hukania sowy, ruszyły naprzód jeden za drugim, kierując się w stronę ogniska i przemykając możliwie jak najciszej. Ledwie Balin ukazał się w blasku ognia, Tom ryknął przeraźliwie. Trolle wręcz nienawidzą krasnoludów, patrzeć na nie nie mogą (lubią je tylko na półmisku). Bert i Bili natychmiast przerwali bójkę. – Dawaj worek, Tom, żywo! – krzyknęli obaj. Balin rozglądał się, gdzie wśród tej awantury może być Bilbo, lecz nim zrozumiał, co się dzieje – worek spadł na jego głowę i krasnolud obezwładniony legł na ziemi.

– Przyjdzie ich tu więcej – rzekł Tom – albo się grubo mylę. Z nimi tak: albo żaden, albo kupą. Nie jakieś tam włamyhobbity, ale krasnoludy. Bo ten mi wyglądał na krasnoluda, na pewno.

– Masz rację – powiedział Bert. – Schowajmy się w cieniu.

Tak też zrobili. Z workami, których używali do przenoszenia porwanych owiec lub innej zdobyczy, przyczaili się w ciemnościach. Co który krasnolud wychynął z lasu i zagapił się na ognisko, na przewrócone dzbanki i ogryzione baranie kości – hop! – spadał mu znienacka cuchnący worek na głowę. Wkrótce leżał tak uwięziony Dwalin obok Balina, Fili, Kili obaj w jednym worku, a Dori, Nori i Ori na kupie, Oin zaś, Gloin, Bifur, Bofur i Bombur jeden na drugim bardzo niewygodnie tuż przy ognisku.

– Będą mieli nauczkę – rzekł Tom, ponieważ Bifur i Bombur sprawili mu dużo kłopotu walcząc zawzięcie, jak zwykle krasnoludy, gdy je ktoś przywiedzie do desperacji.

Ostatni przyszedł Thorin i ten przynajmniej nie został zaskoczony znienacka. Idąc już węszył zasadzkę i nim jeszcze spostrzegł nogi swych przyjaciół, sterczące z worków, zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego. Zatrzymał się więc nieco dalej w ciemnościach i spytał:

– Co to za awantura? Kto moich towarzyszy pobił?

– Trolle! – odparł Bilbo ukryty za drzewami; zbóje tymczasem zapomnieli o hobbicie. – Czają się tam w krzakach z workami – dodał.

– To tak?! – zawołał Thorin i dał susa ku ognisku, nim trolle zdążyły zarzucić worek. Chwycił długą gałąź, płonącą na drugim końcu, i śmignął nią w oczy Bertowi, który nie zdołał w porę odskoczyć. Bert na długą chwilę musiał wycofać się z walki, Bilbo natomiast włączył się do niej, jak umiał. Złapał Toma za nogę – chociaż objąć jej nie mógł, bo tęga była jak pień drzewa. Lecz Tom jednym kopniakiem sypnął Thorinowi w twarz snop iskier, a hobbita wysłał w powietrze tak, że wylądował nieborak na szczycie jakiegoś krzaka.

Tom dostał za to gałęzią w zęby i utracił w ten sposób jeden z siekaczy. Zawył tak, że nie macie pojęcia. Ale w tym momencie zza jego pleców wysunął się William i nakrył Thorina workiem – od głowy aż do stóp. Walka była skończona. Nie ma co mówić, krasnoludy wpadły okropnie: wszystkie znalazły się w workach, mocno zawiązanych postronkiem, a trzech wściekłych trollów – z których dwaj na dobitkę byli poparzeni i posiniaczeni – radziło nad nimi, czy je upiec na wolnym ogniu, czy posiekać w drobną kostkę i ugotować, czy po prostu, siadając kolejno na workach, zmiażdżyć na galaretę. Bilbo zaś, uczepiony w koronie krzaka, w podartym ubraniu i z podrapaną skórą, nie śmiał drgnąć nawet, żeby go zbóje nie usłyszeli.

I w tym momencie powrócił Gandalf. Nikt jednak go nie spostrzegł. Trolle właśnie zdecydowały się upiec krasnoludy niezwłocznie, a pożreć dopiero później; taki wniosek wysunął Bert, a dwaj jego kamraci zgodzili się na to po długiej dyskusji.

– Nie ma sensu brać się teraz do pieczenia, zajmie nam to całą noc – rozległ się głos. Bert myślał, że powiedział to William.

– Nie zaczynaj znów od początku, Billu – rzekł – bo wtedy spór zajmie nam całą noc.

– A kto się tu spiera? – oburzył się William, przekonany, że głos należał do Berta.

– Ty się spierasz – rzekł Bert.

– A ty łżesz – powiedział William i sprzeczka znowu rozgorzała. W końcu uradzili posiekać krasnoludy w drobną kostkę i ugotować.

– Gotowanie nie ma sensu. Wody nam brak, a do źródła daleko i w ogóle za dużo kramu – odezwał się głos. Bertowi i Williamowi wydało się, że to głos Toma.

– Zamknąłbyś gębę – powiedzieli – bo nigdy z tym nie skończymy. Zamiast tyle pyskować, idź lepiej po wodę.

– To ty zamknij gębę – odparł Tom, przekonany, że to był głos Williama. – Kto pyskuje, jak nie ty sam, chciałbym wiedzieć.

– Głupiec z ciebie – rzekł William.

– Tyś sam głupiec! – krzyknął Tom.

I znów się zaczęli kłócić, jeszcze zapalczywiej niż przedtem, aż wreszcie postanowili siadać na workach kolejno, żeby zmiażdżyć krasnoludy na galaretę, a ugotować dopiero później.

– Którego weźmiemy na początek? – spytał głos.

– Najlepiej będzie zacząć od ostatniego – rzekł Bert, któremu Thorin boleśnie podbił oko. Bert myślał, że pytanie zadał Tom.

– Coś ty? Sam do siebie gadasz? – zdziwił się Tom. – Ale jeśli chcesz, możesz siąść najpierw na ostatnim. Który to?

– Ten w żółtych pończochach – rzekł Bert.

– Bzdury pleciesz – powiedział głos, naśladując bas Williama. – W szarych.

– Założę się, że w żółtych – odparł Bert.

– Racja, w żółtych – potwierdził William.

– To czegoś gadał, że w szarych? – krzyknął Bert.

– A bo ja coś mówiłem? To przecież Tom.

– Ja? Anim pisnął – rzekł Tom. – To ty powiedziałeś.

– Jak ci dwóch mówi, że ty, to się przestań wreszcie kłócić – rzekł Bert.

– Do kogo ta mowa? – spytał William.

– Dość tego! – obaj razem zawołali Tom i Bert. – Noc mija, dzień teraz świta wcześnie. Bierzmy się do roboty.

– Świta dzień, co was w kamień obróci! – odezwał się głos, podobny do basu Williama. Ale to nie był głos Williama. W tym momencie bowiem świt błysnął nad wzgórzem, a w gałęziach rozległ się świergot ptasi. William nie mógł się odezwać, bo tak jak stał, pochylony nad workiem, nagle skamieniał. A Bert i Tom, patrząc na niego, w tym samym okamgnieniu zastygli w skałę. Stoją na tym miejscu po dziś dzień, samotni, chyba że ptak jakiś przysiądzie któremuś na ramieniu. Albowiem trolle, jak zapewne wam wiadomo, muszą przed świtem wracać pod ziemię, a jeśli tego nie zrobią, obracają się z powrotem w skałę, z której powstali, i nigdy już nawet drgnąć nie mogą. To się właśnie przydarzyło Bertowi, Tomowi i Williamowi...

– Wspaniale – rzekł Gandalf, wychodząc z zarośli. Pomógł hobbitowi zleźć z cierniowego krzaka. Bilbo już zrozumiał wszystko. To głos czarodzieja podżegał trollów do waśni i kłótni tak długo, aż brzask ich zaskoczył.

Zaraz we dwóch wzięli się do rozwiązywania worków i uwalniania krasnoludów. Nieboraki, na pół uduszone, miny miały dość kwaśne. Niewielka to przyjemność leżeć bezsilnie i słuchać, jak trolle naradzają się, czy cię upiec, czy posiekać, czy zemleć. Bilbo musiał dwa razy powtarzać swoją opowieść o całej przygodzie, nim wreszcie dali mu spokój.

– Nie w porę zachciało ci się wprawek w kradzieży kieszonkowej – rzekł Bombur – kiedy nam było trzeba nie czego innego, lecz tylko ogniska i jadła.

– A tych dwóch rzeczy na pewno nie dostałbyś od trollów bez walki – powiedział Gandalf. – Bądź co bądź teraz nie ma co tracić czasu. Czy nie rozumiecie, że trolle musiały mieć gdzieś w pobliżu piwnicę czy jaskinię, w której chowały się przed słońcem? Warto by tam zajrzeć.

Przeszukali więc okolicę i wkrótce trafili na ślady wydeptane ciężkimi butami trollów wśród lasu. Idąc tym tropem pod górę, znaleźli ukryte w zaroślach ogromne kamienne drzwi do podziemi. Nie mogli ich jednak otworzyć, chociaż pchali wszyscy naraz, a Gandalf próbował różnych zaklęć.

– Może to na coś się przyda? – spytał Bilbo, gdy już cała kompania zmęczyła się i zirytowała na dobre. – Znalazłem to na ziemi, kiedy trolle biły się między sobą. – I pokazał ogromny klucz, który Williamowi zapewne wydawał się maleńki i łatwy do ukrycia. Musiał ten klucz wypaść trollowi z kieszeni; na szczęście stało się to, nim cały olbrzym w kamień się obrócił.

– Czemuż, u licha, wcześniej tego nie powiedziałeś? – krzyknęły krasnoludy, a Gandalf chwycił klucz i wcisnął go w otwór zamka. Kamienne drzwi jednym potężnym zamachem otwarły się na oścież, a cała kompania zeszła w głąb piwnicy. Na ziemi poniewierały się ogryzione kości, w powietrzu unosił się przykry

zaduch, ale było sporo żywności niedbale rzuconej na półki lub po kątach, między bezładnymi stosami łupów wszelkiego rodzaju – od mosiężnych guzików do garnków wypełnionych złotymi monetami. Na gwoździach wzdłuż ścian wisiało też sporo ubrań, zbyt małych na trolle – obawiam się, że była to odzież zdarta z ich ofiar – a wśród nich również broń, miecze rozmaitego pochodzenia i kształtu, różnej też wielkości. Dwa szczególnie zwracały uwagę, tak piękne miały pochwy i rękojeści zdobione drogimi kamieniami.

Gandalf i Thorin wzięli je dla siebie, Bilbo zaś wybrał nóż w skórzanej pochwie. Dla trolla był to ledwie kozik kieszonkowy, ale hobbitowi mógł zastąpić krótki miecz.

– Ostrza bardzo porządne – rzekł czarodziej, obnażając miecz do połowy i przyglądając mu się z zaciekawieniem. – Nie może to być robota trollów ani kowali ludzkich z tych okolic i z naszych czasów. Ale jeśli odczytamy runy, które tu widzę, dowiemy się czegoś więcej.

– Wyjdźmy wreszcie z tego okropnego zaduchu! – rzekł Fili. Wynieśli więc z piwnicy garnki ze złotymi monetami oraz te prowianty, które wydawały się nie tknięte przez trollów i zdatne do spożycia, a także baryłkę piwa, jeszcze pełną. Wszyscy już marzyli o śniadaniu i tak byli głodni, że nie kręcili nosami na wątpliwe przysmaki trollowej spiżarni. Własne ich zapasy już się kończyły. Teraz bądź co bądź mieli chleb i ser, piwa pod dostatkiem i słoninę, którą przysmażali po kawałku w żarze ogniska.

Potem przespali się, bo należało im się trochę snu po tak burzliwej nocy, i do popołudnia nie brali się już do żadnej innej roboty. Wówczas dopiero sprowadzili z dołu kuce, załadowali na nie garnki ze złotem, by je zakopać opodal drogi nad rzeką, dobrze ukryte; miejsce naznaczyli różnymi tajnymi znakami na wypadek, gdyby udało im się wrócić z wyprawy i odzyskać łup.

Kiedy się z tym uporali, wsiedli znów na wierzchowce i ruszyli truchtem dalej ku wschodowi.

– Gdzież to bywałeś, jeśli wolno wiedzieć? – spytał Thorin Gandalfa, gdy jechali obok siebie.

– Przepatrywałem drogę przed nami – odparł czarodziej.

– A co cię sprowadziło z powrotem w najodpowiedniejszej chwili?

– Spojrzałem w porę na drogę za sobą – odpowiedział Gandalf.

– Rzeczywiście – rzekł Thorin – ale czy nie mógłbyś mówić jaśniej?

– Pojechałem na zwiady. Wkrótce czeka nas droga niebezpieczna i trudna. Myślałem też o uzupełnieniu kończących się zapasów. Ale nie ujechałem daleko, gdy spotkałem paru przyjaciół z Rivendell.

– Gdzie to jest? – spytał Bilbo.

– Nie przerywaj! – rzekł Gandalf. – Jeśli ci się poszczęści, będziesz tam za kilka dni, a wtedy sam wszystko zobaczysz. Otóż, jak mówiłem, spotkałem dwóch dworzan Elronda. Spieszyli się bardzo ze strachu przed trollami. Powiedzieli mi, że trzech trollów zeszło z gór i osiadło w lasach opodal drogi; wypłoszyli już wszystkich mieszkańców z tej okolicy i czyhali na przejezdnych. Od razu wyczułem, że będę wam potrzebny. Obejrzałem się za siebie i zauważyłem w oddali ogień. Natychmiast ruszyłem w tę stronę. No, resztę już wiecie. Bardzo was proszę, bądźcie na przyszłość ostrożniejsi, bo inaczej nigdy nie dojedziemy do celu.

– Dzięki ci, Gandalfie – rzekł Thorin.

## Rozdział 3

# Krótki odpoczynek

hociaż pogoda się poprawiła, nie śpiewali pieśni, nie opowiadali sobie żadnych historii tego dnia ani nazajutrz, ani dzień później. Czuli już bliskość niebezpieczeństwa, czającego się ze wszystkich stron. Obozowali pod gwiazdami, a wierzchowce więcej miały do jedzenia niż jeźdźcy, bo trawa rosła tu bujnie, lecz sakwy świeciły pustkami: nie na długo starczyło zdobytej u trollów żywności. Pewnego popołudnia przeszli w bród rzekę w miejscu, gdzie rozlewała się szeroko i płytko, pieniąc się i hucząc na kamieniach. Przeciwny brzeg był stromy i oślizły. Gdy się wreszcie na niego wygramolili, wiodąc kuce za uzdy, ujrzeli przed sobą wysokie góry, tak jakby się nagle wysunęły na ich spotkanie. Zdawało się, że od podnóży najbliższej dzieli ich ledwie dzień niezbyt forsownego marszu. Wznosiły się czarne i ponure, jakkolwiek tu i ówdzie plamy słońca ozłacały im bure grzbiety, a ośnieżone szczyty nad granią lśniły bielą.

– Czy to już ta nasza Góra? – spytał Bilbo głosem uroczystym, szeroko otwierając okrągłe oczy. Nigdy dotychczas nie widział czegoś równie wielkiego.

– Oczywiście nie! – odparł Balin. – To dopiero początek Gór Mglistych; musimy przez nie przejść na drugą stronę, górą czy dołem, jak się da, żeby dostać się na Pustkowie. Za tym łańcuchem jeszcze nas czeka długa droga do Samotnej Góry na wschodzie, gdzie Smaug waruje na naszych skarbach.

– O! – powiedział Bilbo i nagle poczuł się tak zmęczony, jak nie był jeszcze nigdy w życiu. Znów w tej chwili wspomniał wygodny fotel przy kominku, w ulubionym pokoju własnej norki, i śpiew imbryka. Ale nieraz miał to jeszcze z żalem wspominać.

Teraz pochodem kierował Gandalf.

– Nie wolno nam zejść ze szlaku, bo zginiemy – rzekł. – Przede wszystkim potrzeba nam żywności i odpoczynku w jakimś możliwie bezpiecznym miejscu; bardzo ważne jest, byśmy idąc przez Góry Mgliste trzymali się właściwej ścieżki, inaczej zabłądzimy; musielibyśmy zawracać i zaczynać marsz od początku... o ile w ogóle wyszlibyśmy z tego żywi.

Dopytywali się, dokąd ich prowadzi, Gandalf więc odpowiedział:

– Dotarliśmy na skraj Dzikich Krajów, jak wielu z was pewnie już się orientuje. Gdzieś przed nami ukryta jest piękna dolina Rivendell, w której, w ostatnim przyjaznym domu na tym szlaku, mieszka Elrond. Posłałem mu przez przyjaciół wiadomość, będzie nas oczekiwał.

Zapowiedź brzmiała mile i obiecująco, wszyscy pewnie wyobrażacie sobie, że nic łatwiejszego, jak trafić prostą drogą do ostatniego przyjaznego domu po zachodniej stronie Gór Mglistych. Przed wędrowcami nie było widać lasów ani dolin przecinających teren, tylko rozległy stok wznoszący się łagodnie aż do podnóży najbliższej góry, szeroką szarą przestrzeń wrzosów i rumowisk skalnych, tu i ówdzie poznaczoną zielonymi łatami trawy i mchu, w miejscach, gdzie można było spodziewać się źródeł.

Popołudniowe słońce świeciło jasno, ale nigdzie w tej cichej pustce nie dostrzegali znaku życia czy jakichś osiedli. Jadąc naprzód, wkrótce zrozumieli, że dom Elronda może się kryć niemal wszędzie, gdzieś między nimi a górami. Trafiali niespodzianie na doliny ciasne, zamknięte stromymi ścianami, otwierające się znienacka

u ich stóp, i patrząc w głąb jarów, ze zdumieniem spostrzegali na ich dnie drzewa i strumienie. Napotykali szczeliny tak wąskie, że prawie mogli je susem przesadzić, lecz głębokie i huczące od wodospadów. Napotykali ciemne wąwozy, których nie dało się przeskoczyć, i tak urwiste, że w żaden sposób nie zdołaliby zejść w nie i potem wspiąć się znowu na drugi brzeg. Napotykali grzęzawiska z pozoru nęcące świeżą zielenią, różnobarwnymi, bujnymi kwiatami, lecz objuczony konik, który się tam dał skusić, nigdy już nie powrócił.

Nikt z was nie zgadłby nawet, że tak strasznie dziki kraj dzieli bród na rzece od gór. Bilbo nie mógł się temu dość nadziwić. Jedyną ścieżkę znaczyły białe kamienie, ale niektóre bardzo małe, inne znów zarośnięte wrzosem lub mchem. Słowem, mozolna była to droga, chociaż Gandalf, który, jak się zdawało, znał ją dość dobrze, służył za przewodnika.

Czarodziej kręcił głową, wystawiał brodę to w prawo, to w lewo, wypatrując ścieżki, wszyscy zaś sunęli za nim krok w krok bardzo ostrożnie; nie ujechali daleko, gdy już zaczęło się zmierzchać. Pora podwieczorku dawno minęła, zapowiadało się na to, że pora kolacji również wkrótce przeminie. Ćmy polatywały nad ich głowami, mrok zgęstniał, bo księżyc nie wzeszedł. Kuc Bilba potykał się na kamykach i korzeniach. Dotarli do krawędzi stromego urwiska tak niespodzianie, że koń Gandalfa omal nie zsunął się po zboczu.

– Nareszcie! – zawołał czarodziej, a cała kompania, cisnąc się wokół niego, zaglądała ciekawie w parów. Zobaczyli w jego głębi dolinę, do uszu ich dobiegł szum bystrej wody, płynącej na dnie w kamienistym łożysku; w powietrzu pachniało drzewami, a na przeciwległym zboczu nad strumieniem błyskało światło.

Bilbo do śmierci nie mógł zapomnieć tej wędrówki po ciemku, gdy osuwali się i ześlizgiwali krętą, spadzistą dróżką w tajemniczą

dolinę Rivendell. W miarę jak schodzili niżej, ogarniało ich ciepło, a zapach sosen tak upajał, że Bilbo co chwila kiwał się w siodle i mało brakowało, a byłby spadł, a przynajmniej nos rozbił o szyję kucyka. Zjeżdżali w głąb doliny i serca im rosły. Zamiast sosen otoczyły ich teraz brzozy i dęby, półmrok zdawał się bezpieczny. Zieleń trawy zszarzała do reszty, gdy wychynęli w końcu na otwartą polankę tuż nad brzegiem strumienia.

„Hm! Pachnie mi tu elfami" – pomyślał Bilbo, wznosząc oczy ku gwiazdom. Błyszczały na niebie jasne i błękitne. W tej samej chwili wśród drzew wybuchnął śpiew podobny do kaskady śmiechu:

O! co tu robicie
I dokąd spieszycie?
Koń zgubił podkowę,
Rzeka rwie parowem!
Tra-la-li tra-lo-le
Doliną w dole.

O! czego szukacie
I dokąd zdążacie?
W piecu niedaleko
Już się placki pieką!
Tra-la-la tra-le-le
W dolinie wesele
ha, ha!

O! czemu milczycie
I brody stroszycie?
Dlaczego pan Baggins,
Tak słynny z powagi,
Z Balinem, Dwalinem
Kłusuje w dolinę
W tę noc
hoc, hoc!

O! czy zostaniecie,
Czy też uciekniecie?

Już światło dnia gaśnie,
Jeździec w siodle zaśnie,
Konik się potyka,
A u nas muzyka
ha, ha!

Tak śmiali się i śpiewali mieszkańcy tego lasu. Nic mądrego, powiecie zapewne. Ale ich by to nie wzruszyło, śmialiby się jeszcze głośniej, gdybyście im to powiedzieli. Bo to były oczywiście elfy. Kiedy ciemność zapadła na dobre, Bilbo dostrzegł je wśród drzew. Bardzo lubił elfy, chociaż rzadko je w życiu widywał i trochę się ich bał. Krasnoludy niezbyt dobrze z nimi żyją. Nawet tak rozsądne krasnoludy jak Thorin i jego kompania uważały, że elfy mają lekkiego bzika (ale to też jest bzik, żeby tak uważać), a czasem się na nich obrażały. Niektóre elfy bowiem lubią przekomarzać się z krasnoludami i kpią sobie z nich, szczególnie z powodu długich bród.

– No, no! – rozległ się czyjś głos. – Patrzcie państwo! Hobbit Bilbo na kucu, nie do wiary! Co za widok!

– Przepiękny i wspaniały!

I znów zabrzmiała piosenka, równie niedorzeczna jak ta, którą wam przedtem w całości przytoczyłem. Wreszcie spośród drzew wyszedł młody, smukły elf i ukłonił się Gandalfowi oraz Thorinowi.

– Witajcie w dolinie! – rzekł.

– Dziękujemy za miłe przyjęcie – odparł Thorin odrobinkę kwaśno, ale Gandalf już zeskoczył z konia i wmieszał się między elfy, zagadując wesoło.

– Zboczyliście trochę z drogi – powiedział elf – jeśli chcecie trafić na jedyną ścieżkę, która wiedzie za rzekę do tamtego domu. Chętnie was poprowadzimy, ale zejdźcie lepiej z koni, póki nie przejdziecie przez most. Czy zostaniecie chwilę z nami, żeby razem pośpiewać,

czy też wolicie zaraz śpieszyć dalej? Kolacja już się tam przygotowuje – dodał. – Czuję zapach z komina.

Bilbo mimo wielkiego zmęczenia miał ochotę zostać z elfami. Śpiewu elfów, i to w gwiaździstą czerwcową noc, warto posłuchać, o ile, oczywiście, ktoś lubi te rzeczy. Bilbo chętnie też zamieniłby w cztery oczy kilka słów z osobami, które, jak się okazało, znały jego nazwisko i coś niecoś o nim wiedziały, chociaż nigdy ich w życiu nie spotkał. Ciekaw był, co sądzą o jego przygodzie. Elfy dużo wiedzą i są specjalistami od wszelkich nowin, które szerzą się wśród nich równie szybko, a może nawet szybciej, niż woda płynie w potoku.

Ale krasnoludom okropnie pilno było zasiąść do wieczerzy, nie chciały więc ani chwili marudzić. Ruszyli naprzód, prowadząc kuce, póki nie znaleźli się na wygodnej ścieżce i nie doszli nad sam brzeg rzeki. Płynęła żywo i hałaśliwie, jak zwykle górskie potoki w letnie wieczory, po słonecznym dniu, który topi śniegi na szczytach. Kamienny most, nie opatrzony poręczą, tak był wąski, że ledwie jeden kucyk naraz mógł się na nim zmieścić. Szli więc powoli, ostrożnie, gęsiego, a każdy swego wierzchowca prowadził za uzdę. Elfy oświetlały brzeg kolorowymi latarniami i umilały przeprawę wesołym śpiewem.

– Nie zamocz brody w potoku, ojczulku! – krzyczały do Thorina, który zgarbił się i sunął niemal na czworakach. – Już dość urosła bez podlewania!

– Pilnujcie Bilba, żeby nie zjadł wszystkich ciastek! – wołały. – I tak grubas nie przelezie przez dziurkę od klucza.

– Cicho, sza, przyjaciele! Dobranoc! – rzekł Gandalf, idący na ostatku. – Doliny mają uszy, a niektóre elfy za długie języki. Dobranoc!

Tak w końcu dotarli do Ostatniego Przyjaznego Domu i zastali jego drzwi na oścież otwarte.

Dziwna rzecz: o tym, co najlepsze, i o dniach najmilej spędzonych niewiele się ma do opowiadania, a słuchanie o tym nie tak bawi słuchacza; za to o rzeczach przykrych, niepokojących czy wręcz groźnych można opowiadać wspaniałe historie i starczy tematu na długo. Nasi wędrowcy spędzili w owym dobrym domu dwa tygodnie z górą i ciężko im było go opuścić. Bilbo chętnie by tam został na zawsze – nawet gdyby mógł w cudowny sposób i bez trudu wrócić do swojej norki. A mimo to niewiele mam do powiedzenia o tym popasie.

Pan domu był przyjacielem elfów, jego przodkowie brali udział w niezwykłych sprawach w czasach przedhistorycznych, kiedy elfy toczyły wojny ze złymi goblinami, a pierwsi ludzie przybyli tu z północy. W latach, w których rozgrywa się nasza historia, żyli jeszcze dość liczni potomkowie elfów i dawnych bohaterów, a Elrond był ich przywódcą.

Miał rysy twarzy szlachetne i piękne jak władca elfów, był silny jak wojownik, mądry jak czarodziej, dostojny jak król krasnoludów, a łagodny jak pogoda latem. Imię jego spotyka się w wielu opowieściach, ale w dziejach wielkiej przygody Bilba odegrał rolę dość małą, chociaż ważną, jak się przekonacie, jeżeli doczytacie tę książkę do końca. W domu Elronda każdemu było dobrze, czy kto lubił jeść, czy spać, czy pracować, czy opowiadać różne historie, czy śpiewać, czy po prostu siedzieć i rozmyślać, czy też wszystko to po trosze łączyć w przyjemną całość. Nic złego nie miało dostępu do tej doliny.

Żałuję, że z braku czasu nie mogę wam powtórzyć chociaż kilku opowieści, chociaż jednej czy dwóch pieśni, które nasi podróżni zasłyszeli w tym domu. Wszyscy, nie wyłączając kucyków,

odpoczęli i pokrzepili siły już w ciągu paru pierwszych dni. Zreperowano ubrania, wygojono sińce, odzyskano humor i otuchę. Sakwy wypełniły się zapasami żywności, lekkiej, ale dość posilnej, by mogli przetrwać ciężki marsz przez górskie przełęcze. Dobre rady umożliwiły im udoskonalenie planów wyprawy. Tak doczekali najkrótszej nocy przed najdłuższym w roku dniem; nazajutrz o wczesnym świcie mieli wyruszyć w dalszą drogę.

Elrond umiał czytać wszelkie runiczne pisma. Owego wieczora obejrzał miecze zdobyte w jaskini trollów i rzekł:

– To nie jest robota trollów, ale stare, prastare miecze elfów, dziś zwanych gnomami. Wyrabiano taką broń w mieście Gondolin na wojnę z goblinami. Te miecze pochodzą zapewne ze skarbców jakiegoś smoka lub goblina, bo właśnie smoki i gobliny zniszczyły i złupiły Gondolin przed wiekami. Twój miecz, Thorinie, runy nazywają Orkristem, co w dawnym języku Gondolina znaczy: „pogromca goblinów"; ostrze jego dobrze się wsławiło. A ten, Gandalfie, to Glamdring – „młot na wroga"; nosił go u boku ongi król Gondolina. Strzeżcie pilnie tych mieczy!

– Ciekawe, skąd wzięły się u trollów? – rzekł Thorin, oglądając broń z nowym zainteresowaniem.

– Na pewno nie wiem – odparł Elrond – ale można zgadywać, że wasi trolle złupili innych rabusiów albo znaleźli resztki zagrabionego mienia w jakiejś górskiej kryjówce na północy. Słyszałem, że po dziś dzień można natrafić w opuszczonych podziemiach kopalni Morii na skarby zapomniane tam od czasów wojny krasnoludów z goblinami.

Thorin zadumał się głęboko.

– Będę miał ten miecz w wielkiej czci – rzekł. – Oby wkrótce znów gromił gobliny!

– To życzenie może się ziścić niebawem, podczas przeprawy przez góry – powiedział Elrond. – Ale pokażcie mi tę swoją mapę!

Rozwinął pergamin, przyglądał mu się długo, wreszcie pokiwał głową; miał co prawda to i owo do zarzucenia krasnoludom, bo nie pochwalał ich miłości złota, ale smoka i smoczego okrucieństwa nienawidził gorąco i bolał na wspomnienie gruzów miasta Dali, jego wesołych dzwonów umilkłych na zawsze, wypalonych pożarem brzegów Bystrej Rzeki. Miesiąc świecił tego wieczora szerokim sierpem. Elrond podniósł mapę tak, że biała poświata przeświecała przez pergamin.

– A to co? – rzekł. – Oprócz zwykłych runów, które mówią: „drzwi wysokie na pięć stóp, trzech zmieści się wszerz" – widzę tu litery księżycowe.

– Co to za litery? – spytał hobbit rozgorączkowany. Jak wam już wspomniałem, Bilbo kochał się w mapach, lubił też bardzo runy, napisy i tajemne alfabety, chociaż sam pisząc stawiał litery jakby pajęcze i chuderlawe.

– Litery księżycowe to także runy, ale niewidoczne w zwykłych warunkach – wyjaśnił Elrond. – Żeby je zobaczyć, trzeba patrzeć pod księżyc, a co więcej, gdy chodzi o runy bardzo sekretne, o tej samej porze roku i dnia i przy tej samej kwadrze księżyca, jaka była w chwili ich wypisywania. Pismo takie wymyśliły krasnoludy, używając do niego specjalnych srebrnych piór. Twoi przyjaciele z pewnością to potwierdzą. Runy na mapie musiały być wypisane w najkrótszą letnią noc, gdy księżyc miał kształt sierpa, dawno, dawno temu.

– A co mówią? – spytali jednocześnie Gandalf i Thorin, obaj trochę może dotknięci, że nie któryś z nich, lecz Elrond pierwszy odkrył tajemnicę; co prawda w inne dni nikt nie mógł był odczytać runów

księżycowych, tak jak dziś nie mógł zgadnąć, kiedy zdarzy się znów po temu okazja.

– Stań na szarym głazie, kiedy drozd dziobem zastuka – czytał Elrond – a zachodzące słońce ostatnim promieniem dnia Durina wskaże ci dziurkę od klucza.

– Durin, Durin! – rzekł Thorin. – To praojciec jednego z dwóch plemion krasnoludów, mianowicie długobrodych, praszczur mojego dziadka.

– Kiedyż więc jest dzień Durina? – spytał Elrond.

– U krasnoludów pierwszym dniem Nowego Roku jest, jak wszystkim oczywiście wiadomo, pierwszy dzień ostatniego księżyca jesieni, na progu zimy – rzekł Thorin. – Nazywamy i w naszych czasach dniem Durina ten dzień, gdy ostatni księżyc jesienny spotyka się na niebie ze słońcem. Ale obawiam się, że niewiele nam ta wskazówka pomoże, bo przy dzisiejszym stanie wiedzy nie umiemy obliczyć, kiedy takie zjawisko powtórzy się znowu.

– To jeszcze się okaże – rzekł Gandalf. – Nic więcej nie napisano?

– Nic, co dałoby się odczytać przy tym księżycu – odparł Elrond i zwrócił mapę Thorinowi. Potem z całą kompanią zeszli nad rzekę, przyglądać się tańcom elfów w noc sobótkową i słuchać ich śpiewu.

Nazajutrz najdłuższy letni dzień wstał piękny i świeży jak marzenie: na błękitnym niebie nie było ani chmurki, a blask słońca migotał na wodzie. Żegnani pieśnią ruszyli więc w drogę żywo, z gotowością na nowe przygody w sercach, a w głowach z jasnym obrazem drogi, która ma ich poprowadzić przez Góry Mgliste do kraju leżącego za nimi.

## Rozdział 4

# Górą i dołem

iele ścieżek prowadziło w góry i wiele przełęczy otwierało przez nie przejście, lecz większość tych dróg była tylko zwodniczą pułapką i nie prowadziła nigdzie albo też prowadziła do katastrofy; na wszystkich też niemal ścieżkach czyhały złe moce i okropne niebezpieczeństwa. Krasnoludy jednak wraz z naszym hobbitem, wspomagane mądrymi radami Elronda oraz wiedzą i pamięcią Gandalfa, obrały właściwą drogę do właściwej przełęczy.

Wydostali się z doliny i pozostawili o wiele mil za sobą Ostatni Przyjazny Dom, lecz przez długie jeszcze dni pięli się wciąż w górę, coraz wyżej i wyżej. Ścieżka była trudna i niebezpieczna, droga kręta, odludna i daleka. Spoglądali teraz z wysoka na rozpostartą u ich stóp i bardzo już odległą krainę, którą opuścili. Bilbo wiedział, że tam, daleko, daleko na zachodzie, gdzie wszystko wydawało się błękitne i przymglone, leży jego ojczyzna, kraj rzeczy bezpiecznych i wygodnych, i że tam została jego własna norka. Dreszcz go przejął. W górach chłód kąsał i wiatr przenikliwy dął wśród skał. Od czasu do czasu wielkie odłamki skalne, skruszone przez południowe słońce przygrzewające śniegi, toczyły się po zboczach i albo przelatywały między krasnoludami, omijając ich z dala (na szczęście), albo tuż nad ich głowami (ku ich przerażeniu). Noce spędzali niewygodnie, zziębnięci, nie ośmielając się śpiewać ani nawet głośno rozmawiać, bo każdy głos rozbrzmiewał

niesamowitym echem, jak gdyby cisza nie znosiła żadnych zakłóceń prócz szumu potoku, wycia wiatru i łoskotu kamieni.

„Tam, na nizinie – myślał Bilbo – trwa lato, sianokosy i wycieczki na zieloną trawę. A jak tak dalej pójdzie, to nim zejdziemy na drugą stronę, pewnie już będzie i po żniwach, i po zbiorze jagód".

Inni snuli teraz podobne smutne myśli, chociaż, żegnając się z Elrondem w blasku nadziei letniego ranka, tak wesoło mówili o przeprawie przez góry i o szybkim pochodzie przez kraj za górami. Roili sobie, że może staną pod tajemnymi wrotami Samotnej Góry o pierwszym księżycu jesieni. „Może to właśnie będzie ów dzień Durina" – powiadali. Tylko Gandalf wtedy kręcił głową i milczał. Krasnoludy od wielu lat nie chodziły tymi drogami, ale Gandalf miał je świeżo w pamięci, wiedział, jak rozpleniło się wszelkie zło i groza na pustkowiu, odkąd smoki wygnały stąd ludzi, a gobliny rozpanoszyły się pod ziemią po obrabowaniu kopalni Morii. Nawet najlepsze plany mądrych czarodziejów, jak Gandalf, i życzliwych przyjaciół, jak Elrond, zawodzą niekiedy, gdy odważysz się na niebezpieczną przygodę na rubieżach Pustkowia. Gandalf był zbyt mądrym czarodziejem, aby tego nie wiedzieć.

Wiedział, że mogą się zdarzyć nieprzewidziane rzeczy, nie śmiał spodziewać się, by w tej przeprawie, wśród ogromnych, wyniosłych gór, gdzie szczyty sterczą w niebo samotnie, a w dolinach nie rządzi żaden król, udało się uniknąć straszliwych przygód. I rzeczywiście nie udało się! Wszystko szło pomyślnie, póki pewnego dnia nie spotkali burzy, a nawet gorzej: wojny dwóch burz. Wiecie oczywiście, jaka straszna bywa potężna burza na nizinach i w dolinach rzecznych, szczególnie gdy dwie wielkie chmury burzowe zetkną się z sobą i zetrą w walce. Ale stokroć jeszcze straszniej biją pioruny i lśnią błyskawice nocą w górach, gdy burza ze wschodu spotka burzę z zachodu i stacza z nią bitwę. Błyskawice

rozszczepiają się na szczytach, skały drżą, okropne grzmoty rozdzierają powietrze i przetaczają się, dudniąc echem w grotach i zapadlinach; ciemność pełna jest ogłuszającego łoskotu i oślepiających błysków.

Bilbo w życiu czegoś podobnego nie widział ani sobie nie wyobrażał. Znaleźli się na ciasnej półce skalnej, z której po jednej stronie ściana opadała przeraźliwie stromo w czarną przepaść. Schronili się na noc pod nawis skalny, a Bilbo, zawinięty w koc, dygotał od stóp do głów. Ilekroć wystawiał spod koca głowę, widział w świetle błyskawic po drugiej stronie przepaści kamiennych olbrzymów, którzy wyszli z kryjówek i zabawiali się ciskaniem głazów to w siebie nawzajem, to w ciemność przepaścistej doliny, gdzie padały z łoskotem między drzewa, rosnące na jej dnie, rozpryskując drzazgi. Potem zerwał się wiatr i lunął deszcz, a wiatr, smagając ulewę, bryzgał kroplami wody i gradem na wszystkie strony, tak że nawis skalny nie mógł już wcale wędrowców ochronić. Wkrótce też wszyscy przemokli do nitki, a kuce pospuszczały głowy, wtuliły ogony między nogi i zaczęły rżeć z przerażenia. Dziki śmiech i wrzask olbrzymów rozlegał się dokoła po górach.

– To na nic! – rzekł Thorin. – Jeśli nas wicher nie zmiecie, deszcz nie zatopi albo piorun nie ustrzeli, olbrzymy gotowe zabawić się nami w piłkę nożną i kopniakiem posłać do nieba.

– Ano, jeśli znasz lepsze miejsce, zaprowadź nas – powiedział na to Gandalf, bardzo markotny i również wcale nierad z sąsiedztwa olbrzymów.

W końcu postanowiono, że Fili i Kili rozejrzą się za lepszym schronieniem. Obaj mieli wzrok bystry, a jako młodsi o dobre pięćdziesiąt lat od innych krasnoludów, zwykle pełnili tego rodzaju służbę (skoro powszechnie było wiadome, że z Bilba nie doczekano

by się żadnej w tych razach pociechy). Jeśli się chce coś znaleźć, trzeba po prostu szukać – tak przynajmniej pouczył Thorin swoich młodych podwładnych. Rzeczywiście, kto szuka, ten najczęściej coś znajduje, niestety czasem zgoła nie to, czego mu potrzeba. Tak się właśnie w tym przypadku stało. Fili i Kili wkrótce przypełzli z powrotem, czepiając się skał w obronie przed wiatrem.

– Znaleźliśmy suchą jaskinię – oznajmili – tuż za najbliższym załomem skał; zmieszczą się w niej również kuce.

– Czy zbadaliście ją dokładnie? – spytał czarodziej, świadomy, że groty w górach rzadko bywają nie zamieszkane.

– Ależ tak, tak! – zapewnili Fili i Kili, chociaż wszyscy wiedzieli, że dwom zwiadowcom nie starczyło czasu na dokładne badanie, bo zbyt pośpiesznie wrócili. – Nie jest bardzo wielka i nie sięga daleko w głąb.

Na tym bowiem, jak wiadomo, polega największe niebezpieczeństwo grot: często nie sposób rozpoznać, jak daleko sięgają w głąb, dokąd prowadzą lochy i co czyha na ich dnie. Ale wieści przyniesione przez zwiadowców wydawały się na razie pomyślne. Zaczęli się wszyscy zbierać do przeprowadzki. Wiatr wciąż dął, grzmoty huczały, niemało mieli więc kłopotu, nim przeszli sami i przeprowadzili kuce do jaskini. Szczęściem była niedaleko, wkrótce też stanęli pod sporą skałką, zagradzającą ścieżkę. Za tą skałką krył się w ścianie góry niski, sklepiony otwór, w sam raz wystarczająco duży, by wprowadzić kuce, ale pojedynczo i bez juków ani siodeł. Mijając tę bramę, odetchnęli, że wichura została za nią i już nimi nie szarpie i że są bezpieczni od napaści olbrzymów i kamiennych lawin. Czarodziej jednak nie chciał nic ryzykować. Zaświecił swoją różdżkę – pewnie pamiętacie, że już raz zrobił to przedtem w jadalni hobbita; jakże odległy wydawał się

teraz tamten dzień! – i przy jej świetle obejrzał jaskinię od brzegu do brzegu.

Była dość obszerna, nie wyglądała wszakże ani na zbyt wielką, ani na tajemniczą. Dno miała suche, w załomach ścian przytulne zakątki. W jednym końcu pomieściły się wszystkie kuce; rade z odmiany, zanurzyły pyski w workach z paszą, a mokra sierść parowała im na grzbietach. Oin i Gloin mieli ochotę rozpalić u wejścia ognisko, żeby wysuszyć odzież, ale Gandalf nie chciał o tym słyszeć. Rozpostarli więc tylko przemoknięte ubrania na ziemi i przebrali się w suche, wyciągnięte z tłumoków; zawinęli się w koce, dobyli fajek i zaczęli puszczać kółka z dymu, a Gandalf, żeby zabawić kompanię, barwił swoje kółka na różne kolory i kazał im tańczyć pod sklepieniem. Rozgadali się wszyscy i zapominając o burzy opowiadali, co który zrobi ze swoją częścią skarbu (jeśli go odzyskają, co w tej chwili wcale już nie wydawało im się nieprawdopodobne). Wreszcie posnęli jeden po drugim. Ale tego wieczora ostatni raz widzieli swoje wierzchowce, pakunki, bagaże, narzędzia i wszelkie manatki, które dotychczas nieśli ze sobą.

Tej nocy okazało się, jak dobrze zrobili, przyjmując mimo wszystko małego Bilba do kompanii. Hobbit bowiem, nie wiedzieć czemu, długo nie mógł zasnąć, a gdy wreszcie zasnął, męczyły go okropne sny. Śniło mu się, że w głębi groty otwiera się w ścianie szczelina i rośnie, i rozszerza się z każdą sekundą. Bilbo, bardzo przerażony, ani krzyknąć, ani poruszyć się nie mógł, leżał tylko i patrzał. I dalej śnił, że dno groty zapada się, a on się osuwa, leci, leci w dół, w niewiadomą przepaść.

Wzdrygnął się z przerażenia, ocknął i przekonał, że połowa snu była jawą. Rzeczywiście w głębi groty ściana się rozstąpiła, otwierając dość szerokie przejście. Bilbo zdążył jeszcze zobaczyć ogon ostatniego kucyka, który znikał w czeluści. Rozumie się,

że wrzasnął z całych sił, tak przeraźliwie, jak to tylko hobbici potrafią, a trzeba wiedzieć, że głos mają jak na swój mały wzrost nie do wiary potężny.

I nim byś zdążył wymówić: góry – mury – hop! – wyskoczyły gobliny, ogromne, grube, szpetne gobliny, tłum goblinów. Sześciu przypadło na każdego krasnoluda, a Bilbem zajęło się aż dwóch. W mig wszystkich pochwyciły i zanim byś krzyknął: rety do mety! – wywlokły przez szczelinę całe towarzystwo z wyjątkiem Gandalfa. Tyle przynajmniej pomógł wrzask Bilba. Czarodziej zbudził się w okamgnieniu i kiedy gobliny przyskoczyły, by go porwać, nagle błysk okropny jak od pioruna rozjaśnił jaskinię, zapach prochu wypełnił wnętrze, a kilku goblinów padło trupem.

Szczelina zamknęła się z trzaskiem, ale Bilbo i wszystkie krasnoludy już były po tamtej stronie ściany! Gdzie się podział Gandalf? Nikt tego nie wiedział, ani przyjaciele, ani napastnicy, gobliny zresztą wolały nie czekać, aż się czarodziej znajdzie. Chwyciły Bilba, chwyciły trzynastu krasnoludów i powlokły więźniów w dół. Ciemności tu zalegały tak gęste, że tylko gobliny, przywykłe do życia we wnętrzu gór, mogły coś rozeznać. Korytarze krzyżowały się, plątały, wiły we wszystkich kierunkach, ale gobliny znały te przejścia nie gorzej, niż ty znasz drogę do najbliższej skrzynki pocztowej. Tylko że ich droga spadała w dół, w dół, a duszno było tu okropnie. Gobliny zachowywały się brutalnie, szczypały jeńców bez miłosierdzia, gdakały przy tym i rechotały wstrętnymi, kamiennymi głosami. Tak nieszczęśliwy jak w tym momencie Bilbo nie czuł się nawet wówczas, kiedy troll trzymał go za pięty, głową do dołu. I znowu zatęsknił boleśnie do swojej ślicznej własnej norki. Ale nieraz miał jeszcze do niej tęsknić.

Nagle błysnęło przed nimi czerwone światełko. Gobliny zaczęły śpiewać czy raczej skrzeczeć, tupiąc płaskimi stopami po kamieniach

do taktu i do taktu też poszturchując więźniów.

Ciap! Klap! Mrucz, sap!
Pcha cię sto łap
W dół, w dół, w nasz gród,
W głąb, na sam spód –
    Jazda, mój chłopcze!

Ach! Cóż za łup!
Młot w łeb aż chrup!
Trzask, prask, w pył, w proch,
W dół, w głąb, w spód, w loch –
    Hopla-hop, chłopcze!

Szach, mach. Tnie bicz,
Męcz, jęcz, tnij, ćwicz!
Z grot grzmi sto ech –
Nasz wrzask, nasz śmiech –
Hej ho, w krąg, w krąg,
I z rąk do rąk –
    W kółeczko, chłopcze!

Brzmiało to doprawdy przerażająco. Ściany odbijały echem: „Ciap! Klap!", a potem „Trzask, prask!" i okropny śmiech goblinów, „Hopla-hop, chłopcze!" Sens pieśni nietrudno było zrozumieć, bo gobliny wyciągnęły bicze i smagały więźniów, wrzeszcząc do wtóru: „Tnij, ćwicz!" i pędząc ich przed sobą tak, że mało nóg nie pogubili. Niejeden też krasnolud w głos lamentował i beczał jak nieboskie stworzenie, kiedy wreszcie wpadli do ogromnej pieczary.

Pośrodku paliło się tu wielkie, czerwone ognisko, wzdłuż ścian płonęły pochodnie, a goblinów zgromadziło się bez liku. Śmiały się, przytupywały, klaskały w ręce, gdy krasnoludy i biedny hobbit, który znalazł się na samym końcu pochodu, najbardziej wystawiony na baty, wbiegły gnane przez poganiaczy, strzelających za nimi z biczów. Kuce już stały stłoczone w kącie, a worki i pakunki były

pootwierane; gobliny przetrząsały rzeczy, obwąchiwały, obmacywały wszystko i kłóciły się o łup.

Obawiam się, że po raz ostatni wówczas krasnoludy oglądały swoje dzielne, małe kuce, a między nimi ślicznego, krzepkiego siwka, którego Elrond pożyczył Gandalfowi, ponieważ jego wierzchowiec nie nadawał się na górskie ścieżki. Gobliny bowiem jadają konie, kuce i osły (jedzą zresztą także o wiele gorsze rzeczy) i stale są głodne.

Na razie jednak więźniowie martwili się wyłącznie o własną skórę. Gobliny skuły im ręce za plecami i wszystkich połączyły wspólnym łańcuchem, po czym zawlokły w drugi kąt pieczary. Mały Bilbo znalazł się na samym końcu.

W ciemnym kącie, na wielkim płaskim kamieniu siedział olbrzymi goblin z potężną głową, otoczony przez żołnierzy zbrojnych w topory i krzywe szable, ulubiony oręż goblinów. Otóż gobliny są okrutne, przewrotne i złe do gruntu. Nie wyrabiają pięknych przedmiotów, ale na innej robocie znają się dość dobrze. Umieją, jeśli im się chce, budować tunele i szyby kopalni nie gorzej niż krasnoludy, chociaż z natury są niedbałe i brudne.

Szczególnie udają im się młoty, siekiery, miecze, sztylety, kilofy, kleszcze, a także wszelkie narzędzia tortur; umieją robić je sami, ale jeszcze chętniej zmuszają do pracy pod swoim kierunkiem więźniów i jeńców, trzymając ich pod ziemią, póki nieszczęśnicy nie wymrą z braku powietrza i światła. Niewykluczone, że to właśnie gobliny były wynalazcami pewnych maszyn, które z czasem stały się utrapieniem świata, a przede wszystkim przemyślnych urządzeń do zabijania mnóstwa istot za jednym zamachem; gobliny bowiem lubią koła i mechanizmy, a nade wszystko gwałtowne wybuchy; lubią też wyręczać się w robocie, o ile się da, cudzymi rękami. W owych jednak czasach i w dzikim kraju nie doszły jeszcze do tak

wielkich (jak to się nazywa) osiągnięć. Nie żywiły do krasnoludów szczególnej nienawiści, a nienawidziły ich tylko tak jak wszystkiego i wszystkich, a zwłaszcza istot lubiących porządek i szczęśliwych; zdarzało się w niektórych okolicach, że przewrotne plemiona krasnoludów zawierały nawet sojusz z goblinami. Do Thorina wszakże i jego plemienia gobliny pałały wielką złością z powodu wojny, o której wam wspomniałem, lecz której dzieje nie należą do tej historii. W każdym zaś razie goblinom jest obojętne, kogo przychwycą, byle udało się to zrobić szybko i cicho i byle więźniowie nie mogli się bronić.

– Co to za łachmytki? – spytał Wielki Goblin.

– Krasnoludy i jedno takie coś! – odpowiedział któryś z poganiaczy, ciągnąc na łańcuchu Bilba tak, że hobbit padł na kolana. – Znaleźliśmy ich obozujących w naszym Frontowym Przedsionku.

– Co to ma znaczyć? – zwrócił się Wielki Goblin do Thorina. – Na pewno nic dobrego! Szpiegujecie wewnętrzne sprawy mojego narodu, jak widzę! Nie zdziwiłbym się, gdybyście się okazali bandą złodziei. Kto wie, możeście nawet mordercy i przyjaciele elfów? Chodź no tu bliżej. Co masz do powiedzenia?

– Jestem Thorin, krasnolud, do usług – odparł Thorin, po prostu przez grzeczność. – Ani nam w głowie nie postały te rzeczy, o które nas podejrzewasz i które sobie wyobrażasz. Schroniliśmy się przed burzą w jaskini, bo nam się wydała dogodna i przez nikogo nie zajęta. Nic nie może być bardziej obce naszym zamiarom niż naprzykrzanie się goblinom w jakikolwiek sposób.

Thorin mówił prawdę.

– Hm! – rzekł Wielki Goblin. – Tak twierdzisz. A czy wolno zapytać, czemu w ogóle kręcicie się po górach, skąd przyszliście i dokąd idziecie? Chciałbym wiedzieć o was dokładnie wszystko.

Zresztą nic wam już nie pomoże, Thorinie Dębowa Tarczo, za dużo wiem o twoim plemieniu. Mów prawdę, bo jak nie, to spotkają cię dodatkowe nieprzyjemności.

– Jesteśmy w podróży, wybraliśmy się w odwiedziny do krewnych, siostrzeńców i siostrzenic, a także ciotecznych i przeciotecznych braci oraz pociotków i w ogóle potomstwa naszego dziadka, które zamieszkuje po wschodniej stronie tych nadzwyczaj gościnnych gór – rzekł Thorin, nie bardzo zrazu wiedząc, co właściwie powinien odpowiedzieć, skoro prawdy, rzecz jasna, wyznać nie mógł.

– To kłamca, najpotężniejszy nasz panie! – odezwał się jeden z poganiaczy. – Kiedy tam, w jaskini, zapraszaliśmy grzecznie te stwory w gościnę, nagle piorun poraził kilku naszych żołnierzy i padli martwi na miejscu. A poza tym niech on wytłumaczy się z tego! – I pokazał miecz, który Thorin nosił u pasa, miecz zabrany z kryjówki trollów.

Wielki Goblin spojrzał i z wściekłości ryknął straszliwie, a wszyscy żołnierze zaczęli zgrzytać zębami, szczękać tarczami i tupać nogami. Poznali na pierwszy rzut oka ten miecz, od którego zginęły setki goblinów w owych czasach, gdy szlachetne elfy z Gondolina ścigały je pośród wzgórz lub odpierały w bitwach pod murami swoich miast. Elfy zwały go Orkristem, Pogromcą Goblinów, ale gobliny po prostu nazywały go Siekaczem. Nienawidziły tego miecza, a jeszcze bardziej nienawidziły każdego, kto ten miecz u boku nosił.

– Mordercy! Przyjaciele elfów! – wrzasnął Wielki Goblin. – Rąbać ich! Bić! Gryźć! Miażdżyć! Precz z nimi! Do lochu, gdzie się żmije kłębią, i niech żaden więcej nie ujrzy światła dziennego! – Wielki Goblin tak się rozwścieczył, że zeskoczył ze swego tronu i z rozdziawioną paszczą rzucił się na Thorina.

Lecz w tejże chwili wszystkie światła zgasły w pieczarze, a ogromne ognisko – paf! – wystrzeliło słupem rozżarzonego, sinego dymu pod sklepienie, rozsypując deszcz piekących, białych iskier pomiędzy gobliny.

Jaki wtedy rozległ się pisk, skrzek, charkot i szwargot, wycie, jęki i klątwy, krzyk i wrzask – nie da się opisać. Kilka setek dzikich kotów i wilków pieczonych żywcem na wolnym ogniu nie dałoby takiego koncertu. Skry wypalały dziury w skórze potworów, a dym, opadając spod stropu, tak wypełnił powietrze, że nawet oczy goblinów nie mogły przeniknąć ciemności. Wpadały też jeden na drugiego i po chwili już tarzały się kupą po ziemi, gryząc, wierzgając, grzmocąc i bijąc się wzajem jak wariaci.

Nagle jeden miecz błysnął własnym światłem. Bilbo ujrzał ostrze przeszywające Wielkiego Goblina, który stał osłupiały pośród rozszalałego tłumu. Padł martwy, a straż rozbiegła się z krzykiem, uciekając przed mieczem w ciemność.

Miecz skrył się w pochwie.

– Za mną, żywo! – zawołał głos srogi, lecz spokojny. Bilbo, nim się opamiętał, już biegł ile sił w nogach na końcu łańcucha, znowu w dół przez mroczne korytarze, a wrzask goblinów kłębiących się w pieczarze cichł stopniowo w oddali. Nikłe światełko przewodziło im na czele kolumny.

– Szybciej, szybciej! – przynaglał głos. – Lada chwila łuczywa znów się zapalą.

– Chwileczkę! – rzekł Dori, który poprzedzał Bilba w łańcuchu, a był dobrym towarzyszem. Kazał hobbitowi wgramolić się na swoje plecy, co też Bilbo uczynił dość żwawo mimo spętanych dłoni, a potem puścili się znów pędem, dzwoniąc kajdanami i potykając się często, bo nie mogli rękami pomagać sobie

w utrzymaniu równowagi. Biegli długo, a kiedy wreszcie zatrzymali się, byli z pewnością w samym sercu góry.

Wówczas Gandalf zaświecił swoją różdżkę. Oczywiście to był Gandalf, ale na razie mieli co innego na głowie niż wypytywać go, jakim sposobem znalazł się między nimi. Czarodziej wyciągnął z pochwy miecz, który znów błysnął własnym blaskiem w ciemnościach. Przedtem, czując w pobliżu gobliny, rozpłomienił się wściekle, teraz, uszczęśliwiony zabójstwem najgorszego władcy podziemia, lśnił błękitnym światłem. Bez trudu rozciął goblinowe łańcuchy i uwolnił z nich więźniów niemal błyskawicznie. Miecz ten, jak pewnie pamiętacie, zwał się Glamdring, Młot na Wroga. Gobliny nazywały go po prostu Zabijaczem i nienawidziły jeszcze bardziej niż Siekacza. Orkrist zresztą także ocalał, bo Gandalf wziął go z sobą, wyrwawszy z rąk oszołomionego gwardzisty. Gandalf miał głowę na karku, a chociaż i on nie umiał zrobić wszystkiego, mógł dokonać wiele dla przyjaciół w ciężkiej potrzebie.

– Czy wszyscy są tutaj? – spytał, oddając z ukłonem miecz Thorinowi. – Sprawdzimy lepiej: Thorin – a więc raz! Dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście... Gdzie Kili i Fili? Aha, jesteście. Dwanaście, trzynaście... A tu pan Baggins: czternaście. W porządku. Mogło być gorzej, ale mogło być i znacznie lepiej. Nie ma kuców, nie ma żywności i nie wiadomo dokładnie, gdzie jesteśmy, a horda rozwścieczonych goblinów depcze nam po piętach. Naprzód, marsz!

Ruszyli więc naprzód. Gandalf nie mylił się: z głębi korytarzy, które dopiero co przebiegli, dochodził już zgiełk i okropne wrzaski goblinów. To jakby dodało skrzydeł krasnoludom, a że biedny Bilbo nie mógł im dotrzymać kroku – bo trzeba wiedzieć, że krasnoludów, gdy ich strach pędzi, mało kto doścignie – dobrzy towarzysze kolejno brali go na barana.

Ale gobliny na ogół są szybsze nawet od krasnoludów, a przy tym tutejsze gobliny znały lepiej drogę (same przecież zbudowały te korytarze) i były rozjątrzone; na próżno więc krasnoludy wyciągały nogi, jak mogły – krzyki i wycia zbliżały się z każdą chwilą. Wkrótce słychać już było tupot płaskich stóp, bardzo wielu stóp, i to jakby tuż za ostatnim zakrętem. Migotał już blask czerwonych żagwi w głębi tunelu, a zbiegów tymczasem ogarniało śmiertelne zmęczenie.

– Po cóż, ach, po cóż opuściłem moją własną norkę?! – rzekł biedny pan Baggins, podrygując na grzbiecie biegnącego Bombura.

– Po cóż, ach, po cóż zabraliśmy z sobą na wyprawę po skarby tego mazgaja hobbita?! – rzekł biedny Bombur; był gruby i ze strachu oraz pośpiechu tak się zgrzał, że kroplisty pot spływał mu po nosie.

W tej samej chwili Gandalf, a za jego przykładem i Thorin zatrzymali się nagle. Właśnie brali ostry zakręt.

– W tył zwrot! – krzyknął Gandalf. – Dobądź miecza, Thorinie!

Nic lepszego nie mogli zrobić, a goblinom wcale to nie było w smak. Wypadły z krzykiem zza zakrętu, gdy nagle błysnął im prosto w zdumione oczy zimnym, jaskrawym blaskiem Pogromca Goblinów i Młot na Wroga. Żołdacy z pierwszego szeregu wypuścili z rąk żagwie i raz tylko zdążyli wrzasnąć, nim padli. Drugi szereg, wrzeszcząc jeszcze przeraźliwiej, odskoczył w tył, przewracając tych, co biegli za nim. „Siekacz! Zabijacz!" – krzyczeli. Wkrótce cały zastęp skłębił się bezładnie, a większość pierzchła z powrotem tą samą drogą, którą przybyła.

Długa chwila upłynęła, nim się któryś znów odważył zapędzić za ten zakręt. Lecz krasnoludy tymczasem pomknęły dalej i przebiegły duży, duży szmat ciemnych korytarzy królestwa goblinów. Spostrzegłszy to, gobliny pogasiły łuczywa, obuły

miękkie pantofle i wybrały spośród siebie najszybszych biegaczy, obdarzonych najbystrzejszym wzrokiem i najczujniejszym słuchem. Ci pomknęli w pogoń tak zwinnie jak łasice, a tak cicho prawie jak nietoperze.

Dlatego to ani Bilbo, ani krasnoludy, ani nawet sam Gandalf nie słyszeli ich kroków. Nie widzieli też nic. Za to gobliny, biegnąc za nimi cichcem, widziały dobrze przeciwników, bo Gandalf zapalił nikłe światełko na swojej różdżce, chcąc oświetlić krasnoludom drogę.

Nagle Dori, na którego plecach w tym momencie siedział Bilbo, krzyknął i padł, szarpnięty znienacka w tył przez ukrytego w ciemności goblina. Hobbit stoczył się z ramion padającego krasnoluda w czarną otchłań i stuknął głową o twardą skałę. Więcej nic już nie pamiętał.

Rozdział 5

# Zagadki w ciemnościach

iedy otworzył oczy, wątpił przez chwilę, czy je naprawdę otworzył, bo ciemność nie stała się ani trochę przejrzystsza niż wówczas, gdy miał oczy zamknięte. W pobliżu nie było nikogo. Wyobrażacie sobie chyba przerażenie Bilba! Nic nie widział, nic nie słyszał, nic nie czuł prócz twardej skały pod plecami.

Podniósł się z wolna i zaczął omackiem sunąć na czworakach, aż dotknął ściany tunelu; lecz ani przed sobą, ani za sobą nic nie znalazł, nie było śladu po krasnoludach, nie było śladu po goblinach! Hobbitowi kręciło się w głowie, nie był wcale pewien, w którym kierunku zmierzała kompania w momencie, kiedy od niej odpadł. Ruszył więc niemal na chybił trafił i przepełznął spory kawałek drogi, gdy nagle poczuł pod ręką coś jak gdyby mały krążek z zimnego metalu, leżący na podłodze chodnika. Ten moment miał odmienić całe jego życie, ale Bilbo wówczas tego nie wiedział. Prawie bezwiednie wsunął do kieszeni pierścień, który nie mógł mu się przecież na nic przydać w tej chwili. Hobbit nie poszedł już wiele dalej, siadł na zimnym dnie tunelu i na dość długi czas pogrążył się w desperacji. Wspomniał, jak to w swoim domu, we własnej kuchni osobiście smażył jajka na boczku – żołądek mówił mu, że najwyższy czas na śniadanie czy inną przekąskę – ale to wspomnienie wprawiło go w jeszcze gorszą rozpacz.

Nie miał pojęcia, co robić, nie miał pojęcia, co się właściwie stało, dlaczego kompani zostawili go samego, dlaczego, skoro został sam, gobliny go nie porwały, nie wiedział nawet, dlaczego głowa tak strasznie go boli. A naprawdę przeleżał czas dość długi bez poruszenia w bardzo ciemnym kącie i wszyscy go stracili na razie z oczu i z pamięci.

Po pewnej chwili wymacał w kieszeni fajkę. Była cała, a to już stanowiło jakąś pociechę. Poszukał woreczka: została w nim resztka tytoniu – a to była jeszcze lepsza pociecha. Zaczął więc szukać po kieszeniach zapałek, ale nie znalazł ani jednej, więc wszystkie nadzieje runęły znowu. Później, gdy zastanowił się nad tym przytomniej, zrozumiał, że miał szczęście. Kto wie, kogo i co wywabiłby z ciemnych czeluści tego okropnego podziemia błysk zapałki i zapach tytoniu? W pierwszym momencie Bilbo załamał się zupełnie. Lecz przetrząsając kieszenie i obmacując się pilnie w poszukiwaniu zapałek, natrafił ręką na swój mieczyk – ów scyzoryk odebrany trollom, o którym jakoś dotychczas nie pomyślał. Gobliny nie zauważyły tej broni u więźnia, bo nosił ją wsuniętą za spodnie.

Teraz dobył mieczyka z pochwy. Ostrze zabłysło mu przed oczyma nikłym światełkiem. „A więc to także robota elfów – stwierdził w duchu Bilbo – a goblinów nie ma zbyt blisko, chociaż wolałbym, żeby były jeszcze dalej".

Bądź co bądź mieczyk dodał mu nieco otuchy. Niemały to zaszczyt nosić u boku ostrze wykute w Gondolinie na wojnę z goblinami, opiewaną w tylu pieśniach. A przy tym Bilbo już wiedział, jakie wrażenie robi taka broń na goblinach, gdy im błyśnie znienacka nad głowami.

„Wracać? – myślał. – To na nic! Skręcić w bok? Niemożliwe! Iść naprzód? Jedyna rada! A więc naprzód, marsz!" Wstał i podreptał

naprzód, w jednej ręce wznosząc przed sobą lśniący mieczyk, a drugą trzymając się ściany. Serce mu pukało i pikało głośno w piersi.

Bilbo rzeczywiście był, jak się to mówi, przyparty do muru. Pamiętajcie jednak, że dla Bilba to położenie nie było tak okropne, jakby się wydawało mnie albo tobie na jego miejscu. Hobbici różnią się bardzo od zwykłych ludzi, a chociaż ich norki są ładne, wesołe, czyste i przewietrzane należycie, niepodobne do lochów goblinów, hobbici są bądź co bądź bardziej niż my przyzwyczajeni do podziemi i nie tracą tak łatwo orientacji w podziemnych korytarzach – pod warunkiem, oczywiście, że przestanie im się kręcić w rozbitej głowie. Hobbici mają też ruchy nadzwyczaj zwinne, umieją się kryć doskonale, wracają bardzo szybko do siebie po upadkach i rozbiciu, posiadają w dodatku ogromny zasób wiedzy i mądrych przysłów, o których większość ludzi nigdy nie słyszała albo od dawna zapomniała.

Mimo wszystko nie chciałbym być w skórze pana Bagginsa w owej chwili. Tunel ciągnął się bez końca. Bilbo widział tylko tyle, że posuwa się wciąż dość stromo w dół i że trzyma się na ogół stale jednego kierunku, chociaż droga tu i ówdzie wiła się albo zakręcała. Od czasu do czasu od głównego tunelu odbiegały węższe chodniki; Bilbo dostrzegał je przy lśnieniu mieczyka lub wyczuwał ręką na ścianie. Nie zwracał jednak na nie uwagi, mijał je tylko szybko, bojąc się goblinów i różnych przeczuwanych jedynie stworów, które mogłyby wychynąć z ciemnych czeluści. Szedł wciąż naprzód i wciąż w dół, ale w dalszym ciągu nic nie słyszał prócz łopotu nietoperza przelatującego mu niekiedy koło ucha; z początku wzdrygał się na te spotkania, ale potem zdarzały się tak często, że się z nimi oswoił. Nie wiem, jak długo wędrował w ten sposób; marsz mu obrzydł do cna, ale zatrzymać się nie śmiał i szedł, szedł

przed siebie, aż wreszcie ogarnęło go zmęczenie gorsze od najgorszego zmęczenia. Zdawało mu się, że będzie musiał tak iść do jutra i do pojutrza, i do popojutrza nawet.

Nagle zupełnie niespodziewanie chlupnął nogą w wodę. Uff! Zimna była jak lód. To go wreszcie zatrzymało w miejscu. Nie wiedział, czy napotkał po prostu kałużę na dnie chodnika, czy znalazł się na brzegu podziemnego strumienia, przecinającego drogę, czy też stanął nad głębokim, czarnym, podziemnym jeziorem. Mieczyk ledwie że lśnił. Bilbo stał i nadsłuchiwał, ale chociaż dobrze wytężał uszy, nie słyszał nic prócz kap, kap – kapania kropel z niewidocznego stropu do wody na dnie.

„A więc kałuża albo jezioro, nie rzeka podziemna" – pomyślał. Nie ważył się jednak zapuścić w bród po ciemku. Pływać nie umiał, a przy tym pamiętał także o szkaradnych, oślizłych stworach z wielkimi, wyłupiastymi, ślepymi oczami, rojących się w takich wodach. Bo we wnętrzu gór, w stawach i jeziorach, żyją przedziwne istoty: ryby, których przodkowie nie wiedzieć przed ilu wiekami tu zapłynęli, by nigdy się już nie wydostać; od natężania wzroku w ciemnościach oczy im rosły i rosły, aż urosły ogromne. Są też stworzenia bardziej jeszcze obrzydłe od śliskich ryb. Nawet w tunelach i lochach, które gobliny same dla siebie pobudowały, żyją bez wiedzy gospodarzy różne stwory, co się tu z zewnątrz zakradły i przyczaiły w ciemnościach. Niektóre zaś z tych lochów pochodzą z wcześniejszej jeszcze epoki, gobliny je później tylko poszerzyły i połączyły chodnikami, ale pierwotni właściciele zostali w tajemnych zakamarkach, czyhając i węsząc po kątach.

W głębi podziemi nad czarną wodą mieszkał stary Gollum. Nie wiem, skąd się tutaj wziął ani też kim czy może czym był naprawdę. Nazywał się Gollum i był cały czarny jak noc, z wyjątkiem oczu, wielkich, okrągłych i wypełzłych. Miał łódź

i pływał nią bezszelestnie po jeziorze – bo to było jezioro rozległe i głębokie, i lodowato zimne. Wiosłował wielkimi stopami, zwieszając je po obu stronach łodzi, ale woda nigdy przy tym nawet nie plusnęła. Taką sztukę znał Gollum. Bladymi, wielkimi jak latarnie oczyma wypatrywał ślepych ryb i wyławiał je błyskawicznym ruchem długich palców. Mięso także lubił. Gobliny, jeśli udało mu się którego schwycić, bardzo mu smakowały, ale musiał uważać, by nie dowiedziały się o jego istnieniu. Mógł więc tylko czasem, zaszedłszy od tyłu, zdusić śmiałka, który samotnie zapuścił się nad jezioro, gdy Gollum polował przy brzegu. Ale gobliny rzadko tu się pokazywały wyczuwając, że jakaś szkarada czai się w dole, u korzeni góry. Natrafiły na jezioro przy budowie tunelu, dawno, dawno temu, musiały więc zaniechać wybijania dalszej drogi w tym kierunku; tu się zatem kończył chodnik i nie było po co tędy chodzić, chyba że Wielki Goblin tak rozkazał. Czasem zachciewało mu się ryby z jeziora, ale najczęściej wysłannik nie wracał już z wyprawy, a władca musiał obejść się smakiem.

Gollum urządził sobie mieszkanie na oślizłej skalistej wysepce pośrodku jeziora. Stąd właśnie obserwował z dala hobbita swymi bladymi ślepiami niby przez lunetę. Bilbo go nie widział, Gollum jednak przyglądał mu się ze zdziwieniem, bo od razu poznał, że to nie goblin. Wsiadł więc do łodzi i odbił od wysepki, żeglując w stronę, gdzie na brzegu Bilbo siedział całkiem już zbity z pantałyku, u kresu drogi i pomysłów. Niespodzianie zbliżył się do niego Gollum i zagadał świszczącym szeptem:

– Co za szczęście, co za szansa, mój ssskarbie! Smaczny kąsssek widzimy, będzie co na zzząb położyć, glum, glum! – A mówiąc „glum, glum" przełknął z okropnym gulgotem ślinkę. Od tego właśnie przyzwyczajenia pochodziło jego imię, chociaż sam do siebie zwracał się zawsze: mój ssskarbie.

Hobbit mało ze skóry nie wyskoczył, słysząc ten syk koło ucha, i nagle dostrzegł wytrzeszczone blade ślepia, które się w niego wpatrywały.

– Kto tu? – spytał, podnosząc przed sobą mieczyk.

– Kto to może być, jak myśśślisz, mój ssskarbie? – syknął Gollum (przywykł mówić sam do siebie, nie mając nikogo innego do rozmowy). Bardzo chciał się dowiedzieć, z kim ma do czynienia, bo był w tej chwili bardziej zaciekawiony niż głodny. Gdyby nie to, schwyciłby zdobycz najpierw, a poszeptał dopiero potem.

– Nazywam się Bilbo Baggins. Zgubiły mi się krasnoludy, zgubił mi się czarodziej, nie wiem, gdzie jestem, i nawet nie życzę sobie wiedzieć, bylem się stąd jakoś wydostał.

– Co on tam trzyma w ręku? – spytał Gollum, przyglądając się mieczykowi, który mu się niezbyt podobał.

– Miecz z gondolińskiej stali.

– Sss! – rzekł Gollum i nagle dziwnie wygrzeczniał. – Może siądziesz i pogadasz z nim troszeczkę, mój ssskarbie. Może on lubi zagadki, może lubi, ccco? – Starał się udawać życzliwość, przynajmniej na razie, póki nie dowie się czegoś więcej o mieczyku i o tym stworzeniu, czy znalazło się tu naprawdę zupełnie samo, czy jest smaczne i czy Gollum jest naprawdę już znowu głodny. Nic prócz gry w zagadki nie przyszło mu do głowy. Zadawanie zagadek, a czasem i odgadywanie było jedyną rozrywką, jakiej zażywał w towarzystwie innych dziwacznych stworów przyczajonych w swoich jaskiniach; ale to było dawno, dawno temu, nim stracił wszystkich przyjaciół, został wypędzony ze swej siedziby i samotnie przeczołgał się w głąb, w głąb ziemi, w ciemne czeluście pod górami.

– Dobrze, możemy pobawić się w zagadki – odparł Bilbo myśląc, że trzeba być uprzejmym, przynajmniej na razie, póki się nie dowie

czegoś więcej o tym stworze, czy jest tutaj sam zupełnie, czy jest dziki, krwiożerczy i głodny, i czy nie jest przypadkiem sojusznikiem goblinów. – Ty pytaj pierwszy – powiedział Bilbo, bo nie zdążył jeszcze przypomnieć sobie żadnej zagadki.

Gollum więc zasyczał:

Korzeni nie widziało niczyje oko,
A przecież to coś sięga bardzo wysoko,
Od drzew wybujało wspanialej,
Chociaż nie rośnie wcale.

– E, to łatwe – rzekł Bilbo. – Po prostu góra.

– On tak łatwo zgaduje? Niech on ssstanie z nami do zawodów. Jeśli mój ssskarb ssspyta, a on nie odpowie, to mój ssskarb go zje. A jeżeli on ssspyta, a ssskarb nie odpowie, to ssskarb zrobi wszystko, czego on sssobie będzie życzył. Na przykład pokaże mu wyjście na świat.

– Zgoda – rzekł Bilbo, nie śmiąc się sprzeciwić, i zaczął sobie wręcz łamać głowę, żeby wymyślić taką zagadkę, która by go ocaliła od pożarcia.

W czerwonej stajni trzydzieści białych koni
Kłapie, tupie, a czasem ze strachu dzwoni.

Nic innego nie przyszło mu do głowy, nie mógł się opędzić od myśli o jedzeniu. Zagadka była dość stara, toteż Gollum umiał na nią odpowiedzieć nie gorzej niż ty i ja.

– Ssstara, z brodą zagadka – syknął. – Zęby, zęby oczywiście, mój ssskarbie.

Z kolei on powiedział:

Nie ma skrzydeł, a trzepocze,
Nie ma ust, a mamrocze,
Nie ma nóg, a pląsa,

Nie ma zębów, a kąsa.

– Chwileczkę! – krzyknął Bilbo, któremu wciąż myśl o jedzeniu przeszkadzała się skupić. Na szczęście coś podobnego do tej zagadki kiedyś słyszał, więc wysiliwszy trochę mózgownicę, znalazł odpowiedź. – Rozumie się, że to wiatr.

I uradowany, że zgadł, na poczekaniu wymyślił zupełnie nową zagadkę. „Tego ten podziemny stwór nie będzie wiedział!" – cieszył się w duchu.

Oko, co tkwiło w niebieskiej twarzy, ucieszyło się ogromnie,
Gdy zobaczyło w zielonej twarzy drugie oko.
„Ono jest zupełnie podobne do mnie,
Tylko że błyszczy nisko, a ja wysoko".

– Sss – zasyczał Gollum. Od dawna siedział pod ziemią, więc zapomniał o takich rzeczach. Bilbo już się zastanawiał, w jaki sposób Gollum spełni jego życzenie, gdy stwór nagle odgrzebał w pamięci odległe, bardzo odległe wspomnienia z czasów, gdy ze swoją babką mieszkał w norze wydrążonej w wysokiej skarpie nad rzeką.

– Sss, mój ssskarbie – rzekł – to sssłońce i ssstokrotka.

Ale te zwyczajne, pospolite zagadki z powierzchni ziemi męczyły go bardzo. Przypomniały mu też dawne dni, gdy nie był taki samotny, podstępny i zgryźliwy jak teraz, toteż zniecierpliwił się wreszcie. Co gorsza zaczynał być głodny, postanowił więc tym razem dać hobbitowi trudniejsze i mniej przyjemne zadanie.

Nie można tego zobaczyć ani dotknąć palcami,
Nie można wyczuć węchem ani usłyszeć uszami;
Jest pod górami, jest nad gwiazdami,
Pustej jaskini nie omija,
Po nas zostanie, było przed nami,
Życie gasi, a śmiech zabija.

Gollum nie miał szczęścia, bo hobbit słyszał kiedyś podobną zagadkę, a zresztą rozwiązanie było wszędzie dokoła.

– Ciemność! – krzyknął, nie namyślając się długo i nie drapiąc nawet w głowę.

Pudełko bez zawiasów, klucza ani wieka,
A przecież skarb złocisty w środku skryty czeka.

Grał na zwłokę, by tymczasem wymyślić coś naprawdę trudnego. Ta zagadka wydawała mu się bardzo oklepana i łatwa, chociaż ją wypowiedział trochę innymi słowami niż zwykle. Ale dla Golluma zadanie okazało się bardzo trudne. Syczał sam do siebie, a nie mogąc znaleźć rozwiązania, szeptał i gulgotał.

Po chwili Bilbo się zniecierpliwił.

– No, więc co to jest? – spytał. – Sądząc z odgłosów, jakie wydajesz, myślisz, że chodzi o kipiący garnek, ale nie zgadłeś.

– Zossstaw szansssę, zossstaw szansssę mojemu ssskarbowi.

– Wiesz wreszcie? – spytał znów po długiej chwili Bilbo. – Zgadłeś?

Nagle Gollum przypomniał sobie, jak przed wielu laty okradał gniazda i siedząc pod skarpą rzeczną uczył swoją babkę wysysać...

– Jajko! – powiedział. – Jajko!

Po czym zadał hobbitowi zagadkę:

Nie oddycha, a żyje,
Nie pragnie, a wciąż pije.

Teraz Gollum z kolei sądził, że zadanie jest śmiesznie łatwe, ponieważ on sam miał wciąż przedmiot tej zagadki na myśli. Na razie nie przyszło mu do głowy nic lepszego, bo zdenerwował się tą historią z jajkiem. A tymczasem dla Bilba, który przez całe życie unikał wody, była to istna łamigłówka. Przypuszczam, że wy

już oczywiście zgadliście albo zaraz zgadniecie, ale to nie sztuka, kiedy się spokojnie siedzi w domu i groźba pożarcia przez Golluma nie rozprasza umysłu. Bilbo chrząknął raz, chrząknął drugi, odpowiedź jednak nie zjawiała się jakoś.

Po chwili Gollum zasyczał sam do siebie z uciechy:

– Czy on aby sssmaczny? Czy sssoczysty? Czy ssskórkę ma chrupiącą?

I z ciemności łakomie zerkał na Bilba.

– Trzeba się possspieszyć, possspieszyć – syknął Gollum gramoląc się już z łódki na brzeg, by dobrać się do hobbita. Ale w momencie kiedy zanurzył swoją pajęczą łapę w wodzie, jakaś spłoszona ryba podskoczyła i upadła hobbitowi na nogę.

– Fe! – zawołał Bilbo. – Jakie to zimne, jakie mokre! – 1 nagle zgadł: – Ryba! Ryba! – wykrzyknął.

Gollum był zły, że się tak zawiódł w ostatniej chwili, ale Bilbo zadał nową zagadkę, jak mógł najszybciej, więc stwór co prędzej usiadł znów w łódce, żeby namyślić się spokojnie.

Beznogi leży na jednonogim,
dwunogi siedzi na trójnogim,
a czworonóg dostanie resztki.

Ta zagadka doprawdy nie była stosowna w danych okolicznościach, ale Bilbo bardzo się spieszył. W innym momencie może by się Gollum biedził nad rozwiązaniem, ale w tej chwili, skoro tylko co była mowa o rybie, nietrudno było odgadnąć, że beznogi to właśnie ryba – a wtedy wszystko już stało się jasne. Ryba na małym stoliku, człowiek na trójnogim stołku, a kot dostanie ości – takie jest rozwiązanie i Gollum wkrótce na nie wpadł. Postanowił teraz zadać hobbitowi najtrudniejszą i przerażającą zagadkę. Powiedział tak:

Coś, przed czym w świecie nic nie uciecze,
Co gnie żelazo, przegryza miecze,
Pożera ptaki, zwierzęta, ziele,
Najtwardszy kamień na mąkę miele,
Królów nie szczędzi, rozwala mury,
Poniża nawet najwyższe góry.

Nieszczęsny Bilbo siedział w ciemnościach i próbował do tej zagadki dopasować imiona wszystkich olbrzymów i smoków, o jakich słyszał w legendach, ale żaden z nich nie dokonał tylu strasznych rzeczy naraz. Hobbit czuł, że tu chodzi o jakąś inną zupełnie odpowiedź i że powinien ją znać, ale nie mógł jej w pamięci znaleźć. Ogarnął go strach, a strach bardzo przeszkadza w myśleniu. Gollum znów zaczął gramolić się z łodzi. Już zlazł do wody i brodząc szedł ku brzegowi. Bilbo widział coraz bliżej jego blade oczy. Język skołowaciał mu w ustach, chciał krzyknąć: „Zostaw mi jeszcze trochę czasu! Trochę czasu!" – ale z gardła wydobył mu się tylko pisk:

– Czas! Czas!

Ocalił go po prostu szczęśliwy przypadek. Bo to właśnie było rozwiązanie zagadki.

Gollum po raz drugi przeżył przykry zawód, był już teraz zły, a także znużony grą. Wysiłek umysłowy pobudził w nim apetyt. Tym razem nie wrócił do łodzi. Siadł w ciemnościach obok Bilba. Hobbit, zdenerwowany tym bliskim sąsiedztwem, nie mógł zebrać myśli.

– Niech on ci zada jeszcze jedno pytanie, mój ssskarbie, proszę, proszę, tylko jedno jeszcze – rzekł Gollum.

Ale Bilbo nic nie mógł wymyślić, czując tuż obok siebie tę mokrą, zimną poczwarę, która go dotykała i potrącała. Na próżno hobbit drapał się i szczypał, nic nie przychodziło mu do głowy.

– Proszę, proszę – nalegał Gollum.

Bilbo znów uszczypnął się, dał sam sobie klapsa, ścisnął w garści rękojeść mieczyka, a nawet drugą rękę wetknął do kieszeni. Natrafił tam na pierścień, który przedtem podniósł w tunelu, lecz o którym zdążył zapomnieć.

– Co ja mam w kieszeni? – powiedział głośno. Mówił do siebie, ale Gollum wziął pytanie za nową zagadkę i okropnie się zaniepokoił.

– To nieprzepisssowo, nieprzepisssowo – syknął. – Nieprzepisssowo, żeby on pytał mojego ssskarba, co ma w ssswojej wssstrętnej kieszeni.

Bilbo zorientował się w nieporozumieniu, ale nie znajdując lepszej zagadki, postanowił uprzeć się przy swoim pytaniu.

– Co mam w kieszeni? – powtórzył jeszcze głośniej.

– Sss – syknął Gollum. – On musi zgodzić się, żeby mój ssskarb zgadywał do trzech razy, do trzech razy sztuka.

– No dobrze. Masz prawo do trzech prób. Zaczynaj! – rzekł Bilbo.

– Rękę! – powiedział Gollum.

– Źle – odparł Bilbo, który na szczęście już wyjął rękę z kieszeni. – Próbuj drugi raz.

– Sss... – syczał Gollum, coraz bardziej zdenerwowany. Pomyślał o rzeczach, które sam nosił w kieszeniach: rybie ości, zęby goblinów, mokre muszle, strzępek błony nietoperza, morski kamień do ostrzenia pazurów i temu podobne paskudztwa. Potem starał się przypomnieć sobie, co w kieszeniach nosili inni.

– Nóż – powiedział wreszcie.

– Źle – odparł Bilbo, który zgubił nóż dość już dawno temu. – Próbuj po raz trzeci i ostatni.

Gollum był teraz w znacznie gorszym kłopocie niż poprzednio, gdy Bilbo zadał mu zagadkę o jajku. Syczał, prychał, kiwał się to

naprzód, to wstecz, plaskał stopami o kamienną podłogę, kręcił się i wił – ale nie śmiał zaryzykować ostatniej szansy.

– Mówże – powiedział Bilbo – czekam! – Udawał zuchwalstwo i dobry humor, nie był jednak wcale pewien, jak się ta gra skończy, niezależnie od tego, czy Gollum zgadnie, czy nie. – Czas dozwolony mija!

– Sznurek albo nic – zaskrzeczał Gollum, trochę nieuczciwie, bo w jednej odpowiedzi zmieścił dwie do wyboru.

– Ani jedno, ani drugie – zawołał Bilbo oddychając z ulgą; zerwał się natychmiast i stanął oparty plecami o najbliższą ścianę, dobywając mieczyka z pochwy. Wiedział oczywiście, że gra w zagadki uświęcona jest starożytną tradycją i że nawet najbardziej przewrotne stwory nie ważą się w niej oszukiwać. Czuł jednak, że tej oślizłej poczwarze nie można ufać, by zechciała z dobrej woli dotrzymać słowa. Gollum mógł wymigać się pod pierwszym lepszym pozorem. Bądź co bądź ostatnie pytanie nie było prawdziwą zagadką, zgodnie z prastarymi regułami gry.

W każdym razie Gollum nie zaatakował hobbita natychmiast. Widział mieczyk w jego ręku. Siedział spokojnie, drżąc tylko i szepcząc coś pod nosem. W końcu Bilbo stracił cierpliwość.

– No i co? – spytał. – Jak będzie z twoją obietnicą? Chcę stąd wyjść. Musisz mi pokazać drogę.

– Czyś ty, mój ssskarbie, obiecał to naprawdę? Czyś obiecał pokazać wssstręt-nemu małemu Bagginsssowi wyjście? Ale co on tam ma w kieszeni? Nie ma sznurka i nie ma nic. Nie, nie, glum, glum!

– Mniejsza z tym – rzekł Bilbo. – Słowo to słowo.

– On się złości, on się niecierpliwi – zasyczał Gollum – ale on musi poczekać, musi. Mój ssskarb nie może wybrać się do tunelu tak

szybko. Mój ssskarb musi przedtem wziąć coś z domu, coś, co nam dopomoże.

– Dobrze, ale pośpiesz się – rzekł Bilbo zadowolony, że Gollum chce się oddalić. Przypuszczał, że to tylko wymówka i że poczwara więcej nie wróci. Bo o czym on mówił? Jaki pożyteczny przedmiot mógł trzymać na ciemnym jeziorze? Bilbo jednak mylił się w tych przypuszczeniach, Gollum naprawdę zamierzał wrócić. Był teraz zły i głodny. A że był też nędzną, złą poczwarą, uknuł pewien plan.

W pobliżu leżała wysepka, o której Bilbo nic nie wiedział, i tam, w swojej kryjówce, Gollum zgromadził garść obrzydliwych rupieci, lecz między nimi jedną jedyną piękną, bardzo piękną, bardzo cudowną rzecz: pierścień, złoty, bezcenny pierścień.

– Mój urodzinowy dar – szeptał sam do siebie, jak często robił w ciągu samotnych, dłużących się bez końca dni w ciemnościach. – Tego właśnie potrzebuje teraz mój ssskarb, właśnie tego!

Był mu potrzebny pierścień, który posiadał czarodziejską moc: kto go wsunął na palec, ten stawał się niewidzialny; można go było dostrzec tylko w pełnym słońcu, a i wtedy nie widziało się jego samego, lecz jedynie cień, zresztą drżący i nikły.

– Urodzinowy dar, bo przecież dostałeś go na urodziny, mój ssskarbie! – Tak zawsze mówił sobie.

Ale kto wie, jakim sposobem Gollum zdobył ów klejnot przed wiekami, w czasach, kiedy takie pierścienie bywały jeszcze na świecie? Może nawet Mistrz, który tymi pierścieniami rządził, nie umiałby na to pytanie odpowiedzieć. Gollum początkowo nosił go stale na palcu, póki się nim nie znudził; potem trzymał go w sakiewce za pazuchą, póki sobie nie podrapał nim skóry na piersi; ostatnio zwykle chował go w szparze między skałami na wysepce i często tam wracał, by się napatrzyć swemu skarbowi. Ale od czasu do czasu kładł go na palec, gdy się stęsknił do tej ozdoby albo gdy

był bardzo, bardzo głodny i miał dość rybnej diety. Skradał się wówczas ciemnymi korytarzami, polując na zabłąkane, samotne gobliny. Mógł zresztą ryzykować nawet wycieczki do pieczar, gdzie łuczywa świeciły blaskiem, od którego musiał mrużyć olśnione oczy; byłby i tam bezpieczny, tak, najzupełniej bezpieczny, nikt bowiem nie zobaczyłby go, nikt by nie zauważył nic, póki by nie poczuł na gardle jego szponów. Właśnie przed paru godzinami, mając swój pierścień na palcu, Gollum złowił małego goblinka. Jakże ten smarkacz wrzasnął! Została po nim jeszcze jakaś kostka do ogryzienia, lecz Gollum marzył o większym kąsku.

– Bezpieczny będziesz, bezpieczny, mój ssskarbie – szepnął do siebie. – On cię wcale nie zobaczy, więc ten szkaradny mieczyk na nic mu się nie zda, na nic, na nic.

Takie plany knuł w swoim nikczemnym łbie, gdy nagle odsuwając się od Bilba, poczłapał do łodzi i odpłynął od brzegu w ciemność. Bilbo myślał, że już go nigdy nie ujrzy więcej. Czekał jednak czas jakiś, nie miał bowiem pojęcia, jak bez niczyjej pomocy znaleźć wyjście.

Nagle usłyszał wrzask. Ciarki przeszły mu po krzyżach. Tam, w mroku, niezbyt daleko sądząc po głosie, Gollum klął i lamentował. Biegał po wysepce, szperał, szukał, przetrząsał wszystkie zakamarki, ale na próżno.

– Gdzie się podział, gdzie się podział? – słyszał Bilbo jego płaczliwe słowa. – Zgubiłeś go, mój ssskarbie, zgubiłeś! Przekleństwo! Nieszczęście! Zginął mój urodzinowy prezent!

– Co się stało? – zawołał Bilbo. – Co tam zgubiłeś?

– Niech on nie pyta o nic! – zaskrzeczał Gollum. – To nie jego rzecz. Glum! Zginął, zginął, glum, glum, glum!

– Ja także zginąłem – krzyknął Bilbo – i chcę się odnaleźć! Wygrałem przecież grę, a ty mi dałeś słowo. Chodźże więc tutaj!

Chodź i wyprowadź mnie stąd, a potem będziesz szukał swojej zguby. – Gollum jęczał i był najwyraźniej szczerze zrozpaczony, ale Bilbo nie znajdował w sercu litości dla niego, rozumiejąc, że żaden przedmiot, tak bardzo przez tę poczwarę pożądany, nie może z pewnością służyć dobrym celom. – Chodźże wreszcie! – Zawołał.

– Nie, nie, nie teraz – odparł Gollum. – Muszę szukać mojej zguby, glum.

– Ale nie umiałeś rozwiązać mojej ostatniej zagadki i obiecałeś! – rzekł Bilbo.

– Nie umiałeś rozwiązać jego zagadki? – powiedział Gollum. Nagle pośród gulgotania odezwał się ostry syk: – A ccco on ma w kieszszeni? Niech zaraz powie! Muszę najpierw to wiedzieć!

Bilbo nie widział właściwie powodu, by nie odpowiedzieć szczerze. Gollum szybciej od niego mógł domyślić się prawdy; byłoby to naturalne, skoro od wieków myślał wciąż o tym jednym przedmiocie i ustawicznie drżał ze strachu, żeby mu go nie ukradziono, ale hobbita rozdrażniła przedłużająca się zwłoka. Ostatecznie wygrał przecież grę, wygrał dość uczciwie, podejmując okropne ryzyko.

– Rozwiązanie trzeba zgadnąć, a nie pytać o nie – rzekł.

– Ale to nie była przepisssowa zagadka – powiedział Gollum. – To nie była zagadka, nie.

– No, jeśli chodzi o zwyczajne zapytanie – odparł Bilbo – to ja pytałem pierwszy, co zgubiłeś. Najpierw mi na to odpowiedz.

– A ccco on ma w kieszeni? – głos zasyczał tym razem głośniej i ostrzej, a gdy Bilbo spojrzał w stronę, skąd dochodził, ujrzał z przerażeniem wpatrzone w siebie dwa błyszczące punkciki. Podejrzenie, które się zrodziło w umyśle Golluma, rozjarzyło blade płomyki w jego oczach.

– Powiedz, co zgubiłeś! – upierał się Bilbo.

Ale błysk w oczach Golluma pozieleniał, rozognił się i szybko zbliżał się do hobbita. Gollum znów wsiadł w łódkę i wiosłował wściekle ku czarnemu brzegowi; takie szaleństwo ogarnęło jego serce, rozżalone stratą i rozjątrzone podejrzeniem, że już się nawet miecza przestał lękać.

Bilbo nie wiedział, co tak rozwścieczyło poczwarę, ale rozumiał, że cała gra na nic i że Gollum tak czy inaczej postanowił go zgładzić. W ostatnim momencie zdążył odwrócić się i trzymając się lewą ręką ściany, na oślep pobiegł czarnym korytarzem w tę stronę, z której przedtem przyszedł.

– Ccco on ma w kieszeni? – usłyszał głośny syk za swymi plecami i po chlupotaniu wody poznał, że Gollum wyskoczył z łodzi.

„Co ja tam właściwie mam?" – zastanowił się Bilbo sapiąc, lecz nie ustając w biegu. Wsadził rękę do kieszeni. Pierścień wydał mu się bardzo zimny, gdy wsunął go po omacku na palec.

Syk rozlegał się tuż za nim. Bilbo obejrzał się i zobaczył ślepia Golluma niby dwie zielone latarnie pnące się na brzeg jeziora. W panice poderwał nogi do jeszcze szybszego biegu, ale nagle zaczepił palcem stopy o jakąś nierówność gruntu i runął jak długi, nakrywając sobą mieczyk.

W okamgnieniu Gollum był przy nim. Lecz Bilbo nie zdążył drgnąć, odzyskać tchu, wstać, machnąć mieczykiem, gdy Gollum minął go, nie zwracając wcale uwagi na leżącego hobbita; po prostu, klnąc i mamrocząc, pobiegł dalej.

Co to mogło znaczyć? Gollum przecież dobrze widział w ciemnościach. Bilbo, nawet patrząc nań teraz z tyłu, wyraźnie dostrzegał blade, zielone światło, bijące ze ślepiów poczwary. Wstał z wysiłkiem, schował ledwie lśniący mieczyk do pochwy i bardzo ostrożnie ruszył śladem Golluma. Nie miał wyboru. Po cóż

by wracał nad Gollumowe jezioro? A w ten sposób mógł się spodziewać, że Gollum mimo woli poprowadzi go ku wyjściu.

– Przekleńssstwo! Przekleńssstwo! Przekleńssstwo! – syczał Gollum. – Przeklęty Bagginsss! Zniknął! Co on ma w kieszeni? Domyślasz się, domyślasz, mój ssskarbie. To Bagginsss znalazł twoją zgubę, to on wziął twój urodzinowy dar.

Bilbo nadstawił uszu. Nareszcie zaczynał i on rozwiązywać zagadkę. Przyśpieszył kroku, podbiegając jak śmiał najbliżej do Golluma, który wciąż pędził nie oglądając się za siebie, lecz kołysząc głową na boki, co Bilbo poznawał po nikłym odblasku jego oczu na ścianych.

– Twój urodzinowy dar! Przekleńssstwo! Jak to się ssstało, że go zgubiłeś, mój ssskarbie? To musiało być wtedy, kiedy szedłeś tędy ossstatnim razem i ssskręcałeś kark temu skrzeczącemu sssmarkaczowi. Tak, tak. Przekleńssstwo! Ześliznął ci się z palca po tylu, tylu latach! Zginął, glum, glum.

Nagle Gollum siadł i zapłakał, aż przykro było słuchać tego świszczącego, bulgocącego chlipania. Bilbo zatrzymał się i przywarł płasko do ściany tunelu. Po chwili Gollum przestał płakać i znów zaczął gadać. Zdawało się, że sam z sobą o coś się spiera.

– Nie ma sssensssu wracać tą drogą i szukać dalej. Nie pamiętasz przecież, mój ssskarbie, wszystkich miejsc, w których byłeś. Nic to nie pomoże. Bagginsss go ma w kieszeni, to ten wssstrętny, wścibski Bagginsss go znalazł, powiadam ci.

To tylko domyssssły, mój ssskarbie, tylko domyssssły. Na pewno dowiesz się dopiero wtedy, kiedy odnajdziesz to wssstrętne ssstworzenie i ściśniesz je dobrze. W każdym razie Bagginsss nie wie, jaką twój klejnot potrafi zrobić sztukę. Trzyma go w kieszeni, po prossstu. Nic nie wie i nie może uciec daleko. Zabłądził, wssstrętny wścibski. Nie zna drogi do wyjścia. Sssam tak

powiedział... Powiedział, ale to oszust. Nie mówi tego, co naprawdę myśli. Nie chciał powiedzieć, co ma w kieszeni. On wie. Trafił do wejścia, to i do wyjścia trafi. Poszedł w stronę tylnej bramy. Tak, tak.

Tam gobliny go złapią. Nie wyjdzie tamtędy.

Sss, sss, glum, glum! Gobliny! Ale on ma twój urodzinowy dar, więc jak gobliny go złapią, znajdą twój klejnot, glum, glum. One się domyślą, do czego sssłuży. Już nigdy, nigdy nie będziesz tutaj bezpieczny, mój ssskarbie, glum, glum! Nikt przecież nie dostrzeże goblina, jeśli włoży to na palec. Goblin podejdzie, a ty go nie zobaczysz, mój ssskarbie. Nawet twoje dossskonałe oczy ci nie pomogą i goblin chytrze, cichcem złapie cię, glum, glum!

Dość gadania, mój ssskarbie, possspiesz się trochę. Jeżeli Bagginsss poszedł tą drogą, musimy prędko dogonić go i przekonać się wreszcie. Idź! To już niedaleko. Ssspiesz się!

Jednym susem Gollum zerwał się i ruszył wielkimi krokami naprzód. Bilbo podążał za nim, w dalszym ciągu bardzo ostrożnie, chociaż teraz nic mu nie groziło, chyba żeby się znów potknął o jakiś sterczący kamień i upadając narobił hałasu. W głowie wirowało mu od nadziei i zdumienia. A więc pierścień, który mu się dostał, był zaczarowany, obdarzał właściciela niewidzialnością! Bilbo oczywiście słyszał o takich rzeczach, mówiły o nich prastare legendy, lecz trudno było uwierzyć, że on sam taki właśnie pierścień znalazł, i to przypadkiem. Miał jednak niezbity dowód: Gollum mimo bystrych oczu nie zauważył go, chociaż przeszedł ledwie o krok od niego.

Posuwali się dalej naprzód, Gollum człapał pierwszy, sycząc i klnąc, Bilbo za nim tak cicho, jak tylko hobbici potrafią. Wkrótce doszli do miejsca, gdzie, jak spostrzegł Bilbo idąc tędy poprzednio,

liczne korytarze odbiegały od głównego tunelu na boki. Gollum zaczął je liczyć.

– Jeden w lewo, dobrze. Jeden w prawo, dobrze. Dwa w prawo, dobrze. Dwa w lewo, dobrze, dobrze... – i tak dalej.

W miarę jak rósł rachunek, Gollum zwalniał kroku i coraz wyraźniej trząsł się, coraz głośniej chlipał, bo zostawiając jezioro coraz dalej za sobą, coraz bardziej się bał: gobliny mogły kręcić się w pobliżu, a on nie miał pierścienia. Wreszcie przystanął przy niskim otworze, który teraz – wspinając się w górę tunelu – mieli po lewej ręce.

– Siedem w prawo, dobrze. Siedem w lewo, dobrze – szeptał Gollum. – To ten. Tędy droga do tylnej bramy, tak. Tu jest przejście. Zajrzał w głąb, ale odskoczył.

– Nie ważysz się tam wejść, mój ssskarbie, nie można. Tam są gobliny. Mnóssstwo goblinów. Czujesz je nosssem, mój ssskarbie, sss... No i co zrobimy? Przekleńssstwo i klęssska. Musimy tu poczekać, mój ssskarbie, poczekajmy, zobaczymy, co będzie.

Stanęli w martwym punkcie. Gollum wprawdzie doprowadził hobbita do właściwej drogi, ale Bilbo nie mógł z niej skorzystać. U wejścia do niej przycupnął bowiem Gollum i kiwał głową, zwiesiwszy ją między kolanami, a ślepia błyszczały mu zimnym płomieniem.

Bilbo ciszej niż myszka odsunął się od ściany, ale Gollum natychmiast sprężył się i zaczął węszyć, aż oczy mu znów pozieleniały. Syknął cichutko, lecz złowrogo. Nie mógł dojrzeć hobbita, był jednak zaalarmowany, a życie w ciemnościach zaostrzyło mu prócz wzroku inne zmysły: słuch i węch. Jak gdyby skulony tuż przy ziemi, z rękoma na płask wspartymi o dno tunelu, wysuwał naprzód głowę i nos przytknął niemal do skały. W bladym świetle, bijącym z oczu Golluma, hobbitowi majaczyła

tylko jego czarna sylweta, ale wyczuwał, że potwór, napięty jak cięciwa łuku, cały się pręży do skoku.

Bilbo wstrzymał niemal dech w piersi i sam także zesztywniał. Był w desperacji. Mówił sobie, że trzeba uciec z tych okropnych ciemności, póki jeszcze sił staje. Trzeba walczyć. Trzeba przeszyć mieczem tę poczwarę, zgasić jej oczy, zabić. Przecież Gollum czyha na jego własne życie. Ale nie, taka walka byłaby nierówna. Bilbo stał się niewidzialny. Gollum nie miał broni. Zresztą Gollum jak dotąd nie zagroził mu wyraźnie śmiercią, nie próbował go zabić. Gollum w tej chwili był nieszczęśliwy, samotny, zrozpaczony. Nagle – obok zgrozy – wyrozumiałość i litość wezbrały w sercu Bilba: objął myślą niezliczone, monotonne dni bez światła, bez nadziei na jakąś poprawę losu, twarde kamienie, zimne ryby, ciągłe czajenie się w mroku, szeptane rozmowy z samym sobą. W ułamku sekundy wszystko to ukazało się jego wyobraźni. Zadrżał. I w następnej sekundzie, jakby pchnięty jakąś nową siłą i decyzją, błyskawicznie skoczył naprzód.

Śmiały skok, nie na wroga jednak, lecz w ciemność. Dał susa tuż nad głową Golluma, przeleciał w powietrzu siedem stóp w dal, a trzy wzwyż; nie wiedział nawet, jak mało brakowało, by rozbił czaszkę o niski strop bocznego korytarza.

Gollum rzucił się wstecz, zamachał rękami w momencie, gdy hobbit przelatywał nad nim, lecz spóźnił się: jego dłonie klasnęły, napotykając tylko powietrze, a Bilbo, spadłszy zgrabnie na równe nogi, puścił się pędem w głąb nowego tunelu. Nie oglądał się nawet, żeby sprawdzić, co robi Gollum. Z początku słyszał syk i klątwy niemal przy własnych piętach, potem wszystko ucichło. I nagle ciszę rozdarł mrożący krew w żyłach wrzask, nabrzmiały nienawiścią i rozpaczą. Gollum zrozumiał swoją klęskę. Nie śmiał posunąć się dalej korytarzem. Wszystko stracił: nie tylko łup,

na który polował, lecz także jedyną rzecz, którą kochał w życiu, swój najcenniejszy skarb. Na ten głos serce Bilba podskoczyło do gardła, lecz hobbit nie zatrzymał się nawet. Z daleka, słaby już jak echo, ale wciąż groźny, doszedł go syk:

– Złodziej, złodziej, złodziej Bagginsss! Nienawidzisz go, nienawidzisz, mój ssskarbie, na wieki!

Wreszcie zapadła głucha cisza, ale ona także wydawała się hobbitowi złowroga. „Jeżeli gobliny są tak blisko, że Gollum czuł je węchem – myślał – to z pewnością usłyszały jego krzyki i przekleństwa. Uwaga zatem, bo inaczej ta droga może mnie zaprowadzić do jeszcze gorszej przygody".

Korytarz był niski i niedbale wykuty. Droga dla hobbita nie przedstawiała wielkich trudności, z tym jedynie wyjątkiem, że chociaż uważał bardzo, obtłukł sobie parę razy stopy o przykre kamienie sterczące na dnie chodnika. „Trochę za niski tunel dla goblinów, zwłaszcza dla tych większych" – myślał Bilbo, nie wiedząc, że nawet największe gobliny z plemienia górskich orków umieją bardzo szybko posuwać się w postawie przygarbionej, prawie wlokąc rękami po ziemi.

Po jakimś czasie korytarz, dotychczas spadający w dół, zaczął piąć się znów ku górze, wkrótce nawet dość stromo. Bilbo wskutek tego musiał zwolnić kroku. W końcu wyszedł na równą drogę, lecz za następnym zakrętem droga znów sprowadziła go niżej, aż wreszcie u stóp lekkiej pochyłości hobbit dostrzegł przebłyskujące zza nowego zakrętu jakieś światło. Nie czerwonawe, jak blask ogniska lub latarni, lecz białawe światło dzienne. Bilbo puścił się pędem naprzód.

Mknąc ile sił w nogach, minął ostatni skręt i nagle wypadł na otwartą przestrzeń, a po tak długim pobycie w ciemnościach oświetlenie tutaj wydało mu się olśniewające. W rzeczywistości

tylko wąski snop promieni słonecznych przenikał przez wrota, bo ciężkie kamienne drzwi były uchylone.

Bilbo aż oczy zmrużył. Nagle spostrzegł gobliny: siedziały w progu uzbrojone po zęby, z obnażonymi mieczami i szeroko otwierając oczy strzegły wejścia i prowadzącego doń korytarza. Były czujne, zaniepokojone, gotowe na wszystko.

Zobaczyły Bilba, nim jeszcze on je spostrzegł. Tak, zobaczyły go! Czy to przypadkiem, czy też pierścień po raz ostatni spróbował się zbuntować, nim przystał na służbę nowemu panu – dość, że w tym momencie nie tkwił na palcu hobbita. Z wrzaskiem tryumfu gobliny rzuciły się na Bilba.

Serce ścisnęło mu się z przerażenia i rozpaczy, jakby w nim powtórzył się echem lament Golluma. Zapominając nawet o mieczu, Bilbo wsunął ręce w kieszenie. A tam, w lewej kieszeni, spoczywał pierścień i teraz sam wsunął się hobbitowi na palec. Gobliny zatrzymały się w pół skoku jak wryte. Nie było przed nimi ani śladu po hobbicie! Zniknął! Wrzasnęły znowu raz i drugi, lecz już nie tak tryumfalnie jak przedtem.

– Gdzie on się podział?! – krzyknął któryś.

– Cofnął się pewnie w korytarz! – zawołało kilku.

– Tędy! – wrzeszczeli jedni.

– Tamtędy! – wrzeszczeli drudzy.

– Uważać na wrota! – ryczał kapitan straży.

Rozlegały się gwizdy, zbroje dzwoniły, miecze szczękały, gobliny, klnąc i złorzecząc, biegały to tu, to tam, wpadały na siebie wzajem, coraz bardziej rozwścieczone. Powstał okropny zgiełk, krzątanina i zamęt.

Bilbo mimo przerażenia zachował tyle przytomności umysłu, by zrozumieć, co się stało, i wśliznął się za olbrzymią beczkę, w której strażnicy trzymali piwo; dzięki temu usunął się goblinom

z drogi, tak że nie mogły go potrącić, stratować czy też schwycić po omacku.

„Muszę dostać się do wrót, muszę dostać się do wrót" – powtarzał sobie wciąż w duchu, lecz minęła długa chwila, zanim się odważył na jakąkolwiek próbę. Była to jak gdyby straszliwa gra w ciuciubabkę. Pośród rojących się i biegających na wszystkie strony goblinów biedny mały hobbit kluczył to w prawo, to w lewo; raz któryś ze strażników przewrócił nieboraka, nie zdając sobie sprawy, z czym się zderzył; w końcu Bilbo na czworakach przebiegł między nogami kapitana, wtedy dopiero wyprostował się i pomknął jak strzała do wrót.

Były jeszcze nie zaryglowane, ale jeden z goblinów przymknął je tak, że została ledwie ciasna szpara. Bilbo mocował się chwilę z drzwiami, nie mógł ich jednak poruszyć z miejsca. Wówczas spróbował przecisnąć się przez szparę. Wciskał się, wciskał, aż utknął! Położenie było okropne. Guziki kurtki zaklinowały się między drzwiami a futryną. Bilbo już widział otwarty świat: kilka stopni skalnych prowadziło w dół, do wąskiej doliny między dwiema wysokimi ścianami gór. Słońce wyjrzało zza chmury i świeciło jasno po drugiej stronie tych drzwi, ale Bilbo nie mógł się z nich wydostać.

Nagle któryś z goblinów we wnętrzu pieczary krzyknął:

– Widzę jakiś cień pod drzwiami! Ktoś za nimi stoi!

Hobbitowi serce podeszło do gardła. Szarpnął się rozpaczliwie. Guziki prysnęły na wszystkie strony. Był za drzwiami. Kurtkę i kamizelkę miał w strzępach, ale zwinnie jak kozica sadził po stopniach w dół. Tymczasem ogłupiałe ze zdumienia gobliny wciąż jeszcze zbierały w progu jego piękne, mosiężne guziki.

Oczywiście po chwili puściły się za nim w pogoń, hukając i nawołując pośród drzew jak na łowach. Ale gobliny nie cierpią

słońca. W jego blasku dostają zawrotów głowy, a nogi im się plączą. Nie mogły odnaleźć Bilba, który, wciąż z pierścieniem na palcu, przemykał w cieniu drzew szybko i bezszelestnie, unikając jak mógł słońca; toteż po krótkim czasie gobliny, mrucząc gniewnie i klnąc siarczyście, zawróciły do drzwi, których strzegły. Bilbo uciekł.

## Rozdział 6

# Z patelni w ogień

ilbo umknął wprawdzie goblinom, ale nie miał pojęcia, gdzie jest. Stracił kaptur, płaszcz, prowianty, kuca, guziki i kompanię. Szedł naprzód, naprzód, póki słońce nie zaczęło chylić się ku zachodowi – za góry. Cień gór padał teraz w poprzek ścieżki hobbita. Bilbo obejrzał się wstecz, potem znów spojrzał przed siebie, lecz tu zobaczył tylko grzbiety i stoki wzgórz, opadające na równiny i niziny, które niekiedy przebłyskiwały między drzewami.

– Wielkie nieba! – krzyknął. – Zdaje się, że wyszedłem po drugiej stronie Gór Mglistych, prosto na Skraj Ziemi za Górami. Gdzież, ach gdzież podział się Gandalf? Gdzie mogą być krasnoludy? Mam nadzieję, że nie zostały tam, w niewoli u goblinów!

Znów wędrował naprzód, wyszedł z wysoko położonej dolinki przez zamykający ją grzbiet i skłonem zbiegł w dół. Lecz w jego głowie obudziła się pewna myśl, która nękała go bezustannie: czy nie powinien by teraz, skoro ma czarodziejski pierścień, wrócić do tamtych okropnych, okropnych lochów i poszukać przyjaciół? Doszedł wreszcie do wniosku, że to jest jego obowiązkiem, i postanowił – chociaż bardzo zrozpaczony – zawrócić; lecz w tej samej chwili usłyszał jakieś głosy.

Przystanął, nadstawiając uszu. Głosy nie przypominały skrzeczenia goblinów, zaczął się więc skradać bliżej, bardzo ostrożnie. Znajdował się na kamiennej ścieżce zygzakiem biegnącej w dół; po lewej ręce miał skalną ścianę, a po prawej stok górski; tuż

poniżej ścieżki, w rozpadlinach rosły gęsto niskie drzewa i krzaki. Właśnie w jednej z tych kotlinek pośród zarośli toczyła się żywa rozmowa.

Bilbo podpełznął jeszcze bliżej i niespodzianie ujrzał sterczącą między głazami głowę w czerwonym kapturze: to Balin pełnił wartę. Hobbit miał ochotę klasnąć w ręce i krzyknąć z radości, lecz nie zrobił tego. Nie zdjął dotychczas z palca pierścienia z obawy przed jakimś nieoczekiwanym i niepożądanym spotkaniem, teraz więc stwierdził, że Balin, patrząc wprost na niego, wcale go nie widzi.

„Sprawię im niespodziankę" – pomyślał czołgając się pośród krzaków, brzegiem kotlinki. Gandalf o coś się spierał z krasnoludami. Omawiali wszystko, co im się przytrafiło w lochach, a także zastanawiali się i naradzali, co teraz należy zrobić. Krasnoludy szemrały, gdy Gandalf tłumaczył, że nie wolno im wędrować dalej, zostawiając pana Bagginsa w łapach goblinów, nie usiłując nawet sprawdzić, czy hobbit żyje, czy zginął, i nie podejmując jakiejś próby ratunku.

– Bądź co bądź, to mój przyjaciel – mówił czarodziej – i dość poczciwy malec. Czuję się za niego odpowiedzialny. Nie mogę odżałować, żeście go zgubili.

Krasnoludy bardzo chciały wiedzieć, po co w ogóle tego hobbita wzięto na wyprawę, dlaczego nie trzymał się kompanii i nie wyszedł z tunelu razem z nimi, wreszcie czemu Gandalf nie wybrał kogoś rozsądniejszego.

– Więcej z nim mieliśmy kłopotu niż pożytku – powiedział któryś. – Jeślibyśmy teraz mieli wracać do tych obrzydliwych lochów po niego, to niech go kaczki zdepcą.

Gandalf odparł z gniewem:

– Ja go wam przyprowadziłem, a ja nie ofiarowuję bezużytecznych darów. Albo pomożecie mi go odszukać, albo idę bez was, radźcie sobie sami w tych tarapatach. Jeżeli odnajdziemy hobbita, przekonacie się, że mi jeszcze za to podziękujecie, nim skończy się nasza przygoda. Ale jakże ty mogłeś, Dori, zgubić Bilba?

– Ty byś go też zgubił – rzekł Dori – gdyby w ciemnościach znienacka goblin schwycił cię za łydkę, podciął ci nogi i zwalił na plecy.

– Czemuś go przynajmniej potem nie podniósł i nie zabrał z sobą?

– Wielkie nieba! Jak możesz pytać o takie rzeczy? Przecież gobliny biły i gryzły w mroku, wszyscy się przewracali jeden przez drugiego, grzmocili nawzajem po ciemku! Tyś mi o mały włos głowy nie obciął swoim Glamdringiem, a Thorin wywijał Orkristem na wszystkie strony. Nagle oślepiłeś nas po swojemu jakimiś fajerwerkami i zobaczyliśmy, że gobliny cofają się wyjąc wniebogłosy. Krzyknąłeś: „Za mną", to znaczy, że każdy miał iść za tobą. Myśleliśmy, że wszyscy idą. Nie było czasu, żeby się przeliczyć, dobrze o tym wiesz, póki nie wypadliśmy, przebijając się przez straże, za dolne wrota i potem na łeb, na szyję w dół, aż do tego miejsca. No i siedzimy tutaj, a włamywacza – niech go licho! – nie ma.

– A właśnie że jest! – zawołał Bilbo, stając między nimi i zsuwając pierścień z palca.

Ależ skoczyli wszyscy na równe nogi! Krzyk się podniósł radosny i zdumiony. Gandalf dziwił się nie mniej od innych, ale cieszył się chyba jeszcze bardziej niż reszta kompanii. Wezwał Balina i powiedział mu, co myśli o wartowniku, który pozwala komukolwiek wleźć tak do obozu bez ostrzeżenia. Nie da się zaprzeczyć, że tego dnia hobbit znacznie poprawił sobie reputację u krasnoludów. Jeśli który z nich, mimo zapewnień Gandalfa, nie

dowierzał, że Bilbo jest naprawdę pierwszorzędnym włamywaczem, teraz wyzbył się co do tego wszelkich wątpliwości. Najdłużej nie mógł otrząsnąć się z osłupienia Balin, wszyscy jednak przyznawali, że hobbit dokonał niezwykłej sztuki.

Bilbo, zadowolony z pochwał, śmiał się w duchu, nie mówiąc ani słowa o pierścieniu; a gdy dopytywali się natarczywie, jakim sposobem tak ich podszedł znienacka, rzekł:

– No, wiecie, po prostu podpełznąłem bardzo ostrożnie i cichutko.

– Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się, żeby mysz bodaj przemknęła się przed moim nosem nie dostrzeżona – powiedział Balin. – Zdejmuję przed tobą kaptur! – I zdjął kaptur naprawdę. – Balin do usług!

– Baggins, twój sługa! – rzekł Bilbo.

Nalegali, żeby im Bilbo opowiedział o przygodach, jakie go spotkały po rozstaniu się z nimi, siadł więc pośrodku i opowiedział wszystko – z wyjątkiem tego, że znalazł pierścień. („Na razie lepiej nie mówić" – pomyślał). Szczególnie zainteresowała ich gra w zagadki i z dreszczem uznania słuchali, gdy opisywał Golluma.

– A wtedy nic już więcej nie mogłem wymyślić, mając tę poczwarę tuż u boku – kończył swą opowieść Bilbo – więc spytałem: „Co mam w kieszeni?" Trzy razy próbował, ale nie zgadł. Wówczas powiedziałem: „Jak będzie z twoją obietnicą? Pokaż mi wyjście". Ale on chciał mnie zabić, więc uciekłem i przewróciłem się, a on nie zauważył mnie w ciemnościach i ominął. Poszedłem za nim, bo dostrzegłem, że coś gada sam do siebie. Gollum myślał, że ja znam drogę, więc szedł właśnie tymi korytarzami, które prowadziły do wyjścia. Potem jednak siadł, zagradzając wstęp do ostatniego korytarza, i nie mogłem się tam dostać. No, to skoczyłem przez Golluma i pobiegłem prosto do wrót.

– A co na to strażnicy? – pytały krasnoludy. – Czy nie było straży?

– Owszem, była. Była nawet cała gromada strażników, ale ja im się wymknąłem. Ugrzęzłem w drzwiach, bo ledwie wąska szparka została uchylona, i pogubiłem mnóstwo guzików – rzekł Bilbo, spoglądając ze strapieniem na swoją podartą odzież. – W końcu jednak przecisnąłem się jakoś, no i jestem z wami!

Krasnoludy patrzyły na niego z nowym zupełnie szacunkiem, gdy wspominał o wymknięciu się straży, o przeskoczeniu przez Golluma, o przeciśnięciu się przez drzwi tak, jakby to nie było nic trudnego ani bardzo niebezpiecznego.

– A co, nie mówiłem? – zaśmiał się Gandalf. – Pan Baggins potrafi więcej, niż nam się wydaje.

Mówiąc to, rzucił hobbitowi spod krzaczastych brwi dziwne spojrzenie; Bilbo zastanawiał się, czy aby czarodziej nie odgadł tej części jego historii, którą on wolał przemilczeć.

Z kolei Bilbo zaczął wypytywać, bo wprawdzie Gandalf wytłumaczył już wszystko krasnoludom, lecz hobbit nic z tego nie słyszał. Chciał wiedzieć, jak się stało, że czarodziej znalazł się w pieczarze goblinów między nimi, i dokąd teraz wszyscy razem pójdą.

Czarodziej, prawdę rzekłszy, nie miał wcale ochoty tłumaczyć po raz drugi swoich sztuczek, powiedział więc hobbitowi tylko tyle, że zarówno on, jak i Elrond dobrze wiedzieli o obecności złych goblinów w tej okolicy gór, lecz główna brama goblinowych lochów wychodziła dawniej na inną ścieżkę, łatwiejszą do przebycia, i tam często gobliny chwytały nocą pod swoimi wrotami zapóźnionych podróżnych. Widocznie wszyscy zaczęli unikać tamtej drogi, gobliny więc przebiły sobie wyjście na ścieżkę, którą obrały krasnoludy, a musiało to się stać dopiero w ostatnich czasach, skoro dotychczas ten szlak uchodził za najbezpieczniejszy.

– Muszę się rozejrzeć wśród olbrzymów – rzekł Gandalf – może znajdzie się któryś na tyle przyzwoity, żeby zablokować z powrotem to wyjście. Jeśli tego się nie zrobi, nie będzie wkrótce w ogóle mowy o przeprawie przez góry.

Na krzyk Bilba czarodziej natychmiast zrozumiał, co się dzieje. Korzystając z rozbłysku ognia, który zabił napastujące go gobliny, Gandalf skoczył przez szczelinę w ostatnim momencie, zanim się zatrzasnęła. W ślad za poganiaczami więźniów doszedł do wielkiej pieczary i ukryty w ciemnościach u jej progu, zrobił najlepszy, jaki się dało, użytek ze swojej magii.

– Trudna to była rozgrywka – powiedział. – Wszystko stawiałem na jedną kartę.

Oczywiście Gandalf od lat ćwiczył się w sztuce czarowania ogniem i światłem (przypominacie sobie chyba, że nawet hobbitowi utkwiły w pamięci magiczne fajerwerki, które czarodziej urządzał u Starego Tuka na zabawach w noc sobótki). Resztę historii już znamy, warto może tylko wyjaśnić, że Gandalf wiedział o drugim wyjściu, zwanym przez gobliny dolną bramą, w którym Bilbo zostawił swoje guziki. W gruncie rzeczy o tym wyjściu wiedział każdy, kto był trochę obznajmiony z tą częścią gór, ale jedynie czarodziej mógł nie stracić głowy w lochach i poprowadzić całą kompanię we właściwym kierunku.

– Zbudowali te bramę przed wiekami – rzekł Gandalf – częściowo po to, by mieć drogę ucieczki w razie potrzeby, a częściowo dla wypadów w krainę za górami, gdzie po dziś dzień gobliny grasują po nocach, czyniąc wielkie szkody. Strzegą wyjścia nieustannie, dlatego nie udało się dotąd nikomu zatarasować go głazami. Po ostatniej przygodzie będą strzegły swoich wrót jeszcze czujniej – zakończył ze śmiechem.

Wszyscy roześmieli się z nim razem. Koniec końców stracili wprawdzie dużo, ale zabili Wielkiego Goblina oraz mnóstwo jego poddanych i uratowali się wszyscy, mieli więc prawo uważać, że – jak dotąd – zwyciężyli.

Czarodziej przywołał ich jednak do rozsądku.

– Trzeba zaraz ruszyć dalej, skoro trochę już odpoczęliśmy – rzekł. – Setki goblinów puszczą się za nami w pogoń, gdy noc zapadnie; patrzcie, już się cienie wydłużyły. Gobliny potrafią wywęszyć ślad nawet w kilka godzin po naszym przejściu. Przed zmierzchem musimy znaleźć się o wiele mil stąd. Jeśli pogoda się utrzyma, będzie świecił księżyc, a to dla nas bardzo pożądane. Co prawda goblinom księżyc nie przeszkodzi, ale nam pomoże, rozjaśniając drogę.

Tak, tak – odpowiedział na pytania, którymi zasypał go hobbit. – W lochach gubi się rachunek czasu. Dziś mamy czwartek, a schwytani zostaliśmy do niewoli w noc poniedziałkową czy raczej przed świtem we wtorek. Przeszliśmy wiele mil i dotarli do samego serca góry, teraz zaś stoimy po drugiej stronie górskiego łańcucha. Udało nam się wspaniale skrócić drogę! Ale znaleźliśmy się w innym miejscu, niżby nas wyprowadziła ścieżka, o wiele dalej na północ; mamy przed sobą kraj trudny i niebezpieczny. Przy tym wciąż jeszcze jesteśmy dość wysoko. A teraz w drogę!

– Jestem okropnie głodny – jęknął Bilbo, uprzytamniając sobie nagle, że nic w ustach nie miał od przedprzedwczorajszego wieczora. Nie macie pojęcia, co to znaczy dla hobbita! Żołądek miał pusty i zapadnięty, a nogi się pod nim uginały; poczuł to dopiero teraz, gdy minęło napięcie.

– Na to nie ma rady – odparł Gandalf – chyba że chciałbyś wrócić i grzecznie poprosić gobliny, może ci oddadzą kucyka i bagaże.

– Pięknie dziękuję, nie! – rzekł Bilbo.

– W takim razie musimy zacisnąć pasy i brnąć dalej; lepiej, bądź co bądź, obejść się bez kolacji niż posłużyć goblinom za wieczerzę.

Bilbo w marszu wciąż rozglądał się pilnie, czy nie znajdzie się coś do zjedzenia, ale czarne jagody dopiero kwitły, orzechów tym bardziej jeszcze nie było ani bodaj owoców na głogu. Skubnął tylko źdźbło szczawiu i popił wody z górskiego potoczka, który przeciął im ścieżkę; niezbyt się tym pożywił.

Szli i szli wciąż naprzód. Górska ścieżka skończyła się wkrótce. Znikły zarośla, wysokie trawy wśród głazów, kopce ziemi nad króliczymi norami, tymianek, szałwia, macierzanka i żółte skalne różyczki; wędrowcy znaleźli się na szczycie rozległego rumowiska, pozostałego widocznie po kamiennej lawinie. Kiedy zaczęli schodzić w dół, spod stóp osuwały im się zrazu drobne kamyki i gruz, później potoczyły się z łoskotem większe odłamki skalne, które spadając pchnęły inne, tak że sunęły w dół w chmurze pyłu i z okropnym hukiem. Po chwili, jakby cały stok nad nimi i pod nimi ruszył z miejsca, nasi wędrowcy, zbici w gromadę, zjeżdżali w dół w straszliwym zamęcie sypiących się, grzechoczących, huczących odłamków skalnych i kamieni.

Uratowały ich drzewa rosnące u stóp rumowiska. Osunęli się na skraj sosnowego lasu wspinającego się po stoku; była to niejako przednia straż ciemnych, gęstszych borów zalegających niżej położoną dolinę. Niektórzy objąwszy pnie powyłazili na najniższe gałęzie, inni – a między nimi mały hobbit – znaleźli za drzewami schronienie przed kamiennymi pociskami. Wreszcie niebezpieczeństwo minęło, lawina uspokoiła się, ostatnie już trzaski rozlegały się z rzadka, gdy największe z potrąconych głazów, podskakując i tocząc się, spadały między paprociami i korzeniami sosen aż na dno doliny.

– Świetnie, to nam znów skróciło drogę – rzekł Gandalf – a nawet gobliny tropiąc nasze ślady nie zdołają tędy zejść cichcem.

– Możliwe – mruknął Bombur – za to bez trudu mogą nam zepchnąć kamienie na głowy.

Krasnoludy (Bilbo też), wcale nie zachwycone, rozcierały siniaki na potłuczonych łydkach i stopach.

– Głupstwa mówisz! Zaraz się usuniemy z drogi lawinie. Ale żywo! Spójrzcie na światło!

Słońce od dawna już skryło się za górami. Cienie wokół wędrowców rosły, chociaż z oddali, poprzez drzewa i nad czarnymi czubami rosnących niżej sosen, można było jeszcze dostrzec blask wieczoru nad równiną. Zbiegli, jak mogli najszybciej, łagodnym zboczem przez sosnowy bór na ścieżkę opadającą zakosami, lecz wciąż prowadzącą ich ku południowi. Niekiedy musieli przedzierać się przez morza paproci, których liście sterczały wyżej niż głowa hobbita, czasem maszerowali cicho, cichutko po podściółce z sosnowych igieł, ale mrok leśny gęstniał coraz bardziej i cisza leśna ogarniała ich coraz głębsza. Nie było tego wieczora wiatru, więc żaden podmuch nie wzbudzał w konarach drzew nawet szumu podobnego do westchnienia morza.

– Czy musimy iść jeszcze dalej? – spytał Bilbo, gdy zrobiło się wreszcie tak ciemno, że ledwie dostrzegał brodę Thorina, kiwającą się tuż obok na ścieżce, i tak cicho, że oddechy krasnoludów wydawały mu się hałaśliwe. – Palce u nóg mam już pokaleczone i powykręcane, łydki mnie bolą, a brzuch mi obwisł jak pusty worek.

– Jeszcze trochę – odparł Gandalf.

Po chwili, która dłużyła się wędrowcom w nieskończoność, wyszli niespodzianie na otwartą, bezdrzewną polanę. Księżyc wzeszedł i oświetlał pustą przestrzeń. Nie wiadomo czemu, to

miejsce nie wydało im się przyjazne, chociaż nic złego nie mogli wypatrzyć.

Nagle z daleka, od podnóża gór, dobiegło ich uszu przeciągłe, rozedrgane wycie. Gdzieś z prawej strony, o wiele bliżej, odpowiedziało mu drugie, potem z lewej, jakby dość blisko – trzecie. To wilki wyły do księżyca, to wilki się zwoływały!

Wprawdzie w pobliżu norki pana Bagginsa nie było wilków, lecz hobbit znał dobrze ich głos. Nieraz opisywano mu go w opowieściach. Jeden z jego starszych kuzynów (ze strony Tuków), który wiele w życiu podróżował, zwykł był naśladować wilcze wycie, żeby Bilba nastraszyć. Toteż gdy je hobbit usłyszał w lesie, w księżycową noc, przebrała się miara jego męstwa. Przecież nawet zaczarowany pierścień nie mógł go obronić od wilków, i to od wilków z tej najgorszej wilczej bandy, żyjącej w cieniu gór zamieszkanych przez gobliny, na Skraju Pustkowia, na granicy Nieznanego. Wilki takie mają węch lepszy nawet od goblinów i nie potrzebują cię widzieć, żeby schwycić.

– Co teraz robić, co robić?! – krzyknął Bilbo. – Uciec goblinom, żeby wpaść w pazury wilkom! – rzekł i weszło to później w przysłowie, chociaż my raczej mówimy w takich przykrych wypadkach: z deszczu pod rynnę – albo: z patelni w ogień.

– Prędko! Na drzewa! – krzyknął Gandalf; wszyscy dopadli na skraju polany drzew, wyszukując takie, których gałęzie zwisały nisko lub których smukłe pnie ułatwiały wspinaczkę. Domyślacie się, że nie marudzili z wyborem; w mig powłazili na sosny, pnąc się jak najwyżej, zatrzymując dopiero wtedy, gdy cieńsze u czuba gałązki nie wydawały się dość mocne. Uśmiałbyś się (oczywiście, gdybyś patrzał z bezpiecznej odległości) na widok brodatych krasnoludów zagnieżdżonych wysoko na drzewach, niby starsi panowie, co zwariowali i udają małych chłopców. Fili i Kili siedzieli

na szczycie smukłego modrzewia, jak na choince olbrzymów. Dori, Nori, Ori, Oin i Gloin usadowili się wygodnie na ogromnym świerku o regularnych gałęziach, sterczących w równych odstępach niby szprychy koła. Bifur, Bofur, Bombur i Thorin schronili się na drugim świerku, Dwalin i Balin wdrapali się na strzelistą jodłę i usiłowali znaleźć wygodne miejsce wśród zieleni najwyższych pędów, Gandalf, o wiele od reszty kompanii roślejszy, wybrał drzewo, na które żaden z krasnoludów nie zdołałby wleźć, gruby pień sosny, stojącej na samym skraju polany. Na pół schowany w gałęziach, wychylając się błyskał jednak oczyma w księżycowej poświacie.

A Bilbo? Nie umiał wdrapać się na żadne z drzew i biegał w panice od pnia do pnia jak królik, który zgubił drogę do swej norki, gdy sfora już następuje mu na pięty.

– Znowu zostawiłeś włamywacza samego – rzekł Nori do Doriego, spoglądając z wysoka na ziemię.

– Nie mogę przecież stale dźwigać go na plecach – odpowiedział Dori – i w dół tunelem, i w górę na drzewo. Za kogo ty mnie masz? Za tragarza?

– Jeśli mu nie pomożemy, wilki go zjedzą – rzekł Thorin, bo już z wszystkich stron z każdą sekundą bliżej dochodziło wycie. – Dori! – zawołał, Dori bowiem siedział najniżej i na najwygodniejszym drzewie – pospiesz się i podaj rękę panu Bagginsowi!

Dori wprawdzie lubił zrzędzić, ale w gruncie rzeczy był zacnym krasnoludem. Chociaż jednak spuścił się na najniższą gałąź i wyciągnął rękę, jak zdołał najdalej, Bilbo nie mógł jej dosięgnąć. Dori musiał więc zeskoczyć na ziemię i pozwolić, by hobbit wlazł mu na plecy.

W tym momencie właśnie wilki ujadając wpadły na polanę. Nagle krasnoludy ujrzały setkę oczu wpatrzonych w siebie. Lecz

Dori nawet wówczas nie opuścił hobbita. Czekał, aż Bilbo z jego ramion wygramoli się na gałąź, i dopiero wtedy sam także na nią się podciągnął. W ostatniej chwili! Już wilk zębami chwycił go za płaszcz i mało brakowało, a byłby nieboraka ściągnął z powrotem na ziemię. W minutę później całe stado naszczekiwało pod drzewem i wspinało się przednimi łapami na pień, z płomieniem w ślepiach i z wywieszonymi jęzorami.

Lecz nawet najdziksi wargowie (bo tak nazywa się wilcze plemię na Skraju Pustkowia) nie umieją łazić po drzewach. Na razie więc podróżnicy mogli czuć się bezpiecznie. Szczęściem wieczór był ciepły i bez wiatru. Niezbyt jest wygodnie siedzieć przez dłuższy czas na drzewie nawet w zwykłych okolicznościach, ale na zimnie i wichrze, gdy zgraja wilków czyha na dole, doprawdy trudno wytrzymać.

Polana otoczona pierścieniem drzew była najwidoczniej miejscem wilczych zgromadzeń. Ściągało też tych bestii coraz więcej. Zostawiły straż u stóp sosny, na której przycupnął Dori i Bilbo; potem rozbiegły się wietrząc, aż zwęszyły wszystkie drzewa, na które ktoś się schronił. Przy każdym z nich postawiły warty, reszta zaś wilków – a były ich setki – obsiadła polanę wielkim kręgiem; ogromny siwy zwierz wystąpił na środek, by przemówić do zgrai w okropnym języku wargów. Gandalf rozumiał ich mowę, Bilbo jej nie znał, lecz straszliwy dźwięk wystarczał, by domyślić się, że chodzi o rzeczy okrutne i złe; tak też było rzeczywiście. Od czasu do czasu wilki, siedzące w koło, odpowiadały siwemu przywódcy chórem, a głosy te brzmiały tak złowrogo, że hobbit za każdym razem omal nie spadał z gałęzi.

Powiem wam, co usłyszał Gandalf, choć Bilbo przemowy nie zrozumiał. Wargowie i gobliny często się wzajemnie wspierają w swoich zbrodniczych przedsięwzięciach. Gobliny rzadko oddalają

się od swoich górskich kryjówek, chyba że je ktoś z nich wypędzi i zmusi do szukania nowych siedzib lub gdy maszerują na wojnę (co, na szczęście, od dawna już się nie zdarzyło). W owych wszakże czasach urządzały niekiedy wypady, zwłaszcza po żywność i po jeńców, którzy by dla nich pracowali. Wtedy zwykle gobliny sprzymierzały się z wilkami, obiecując w zamian za pomoc udział w łupach. Niekiedy dosiadały wilków jak ludzie koni. Otóż z przemowy siwego warga wynikało, że na tę noc zamierzona była wielka wyprawa goblinów. Wilki zebrały się na umówionym miejscu, lecz gobliny jakoś się spóźniały. Powodem z pewnością była śmierć Wielkiego Goblina oraz zamęt wzniecony przez ucieczkę krasnoludów, Bilba i czarodzieja, których prawdopodobnie jeszcze wciąż szukano.

Mimo niebezpieczeństw tych odległych ziem znaleźli się ostatnimi czasy odważni ludzie, którzy zaczęli powracać tu z południa, wycinać drzewa i budować sobie osiedla, wybierając mniej ponure lasy w dolinach i wzdłuż biegu rzek. Było tych śmiałków wielu i dobrze uzbrojonych, toteż nawet wilki nie ważyły się ich napastować w biały dzień, gdy trzymali się razem. Teraz jednak bestie postanowiły wspólnie z goblinami napaść nocą wioski położone najbliżej gór. Gdyby ten plan wykonały, nie zostałaby w tych osiedlach do jutra ani żywa dusza, wszystkich by wybito, z wyjątkiem nielicznych jeńców, których by dostały od wargów w zapłacie gobliny, by ich uprowadzić do swoich lochów.

Straszno było słuchać przemowy siwego wodza wilków, nie tylko ze współczucia dla poczciwych leśnych osadników, ich żon i dzieci, lecz także dlatego, że oznaczało to groźne niebezpieczeństwo dla Gandalfa i jego przyjaciół. Wargowie ze zdumieniem i wściekłością odkryli ich obecność na swojej polanie. Wzięli ich za wysłanych

na zwiady sprzymierzeńców tutejszej ludności, którzy wieść o uknutym napadzie rozniosą po dolinie; wówczas gobliny i wilki musiałyby stoczyć z ludźmi straszliwą bitwę zamiast ich zaskoczyć we śnie i bez walki pożreć lub porwać w niewolę. Toteż wargowie postanowili nie ruszać się z polany i nie dopuścić do ucieczki ukrytych na drzewach nieprzyjaciół co najmniej do rana. Bo na długo przed świtem z pewnością – jak powiadały wilki – nadciągnie z gór wojsko goblinów, a gobliny będą umiały wdrapać się na drzewa lub ściąć je siekierami.

Rozumiecie teraz, dlaczego Gandalf, przysłuchując się wilczemu ujadaniu i warczeniu, zląkł się okropnie, chociaż bowiem był czarodziejem, musiał uznać, że kompania znalazła się w groźnym położeniu i wcale jeszcze nie umknęła goblinom. Mimo wszystko nie zamierzał pozwolić, by wilki bez przeszkód urzeczywistniły swoje niecne plany, jakkolwiek niełatwo mu było działać, siedząc wysoko na drzewie, podczas gdy wargowie zajmowali całą polanę dokoła. Nazrywał z sąsiednich gałęzi sosny co większych szyszek, zapalił jedną z nich jaskrawym, błękitnym płomieniem i cisnął w dół, pomiędzy tłum wilków. Trafiła któregoś w grzbiet, natychmiast też kudłate futro zajęło się ogniem i wilk począł się miotać na wszystkie strony, wyjąc okropnie. Padła druga szyszka, potem trzecia, a każda płonąca: pierwsza niebieska, następna czerwona, ostatnia zielona. Rozbiły się na ziemi, pośrodku wilczego kręgu, sypiąc kolorowymi skrami i buchając dymem. Największa ugodziła wodza wilków w sam nos, aż bestia skoczyła w powietrze na dziesięć stóp, a potem zaczęła biegać w kółko, ze złości i przerażenia gryząc własnych współbraci.

Krasnoludy wraz z Bilbem wykrzykiwały i wiwatowały. Wściekłe wilki przedstawiały straszny widok, a zgiełk wypełnił lasy. Wilki zawsze boją się ognia, cóż dopiero tak niezwykłego

i groźnego. Każda iskra trafiająca na sierść wilczą lgnęła do niej i podpalała futro; jeśli który wilk nie rzucił się błyskawicznie na ziemię i nie zdusił pożaru w zaczątku, stawał w płomieniach. Wkrótce po całej polanie tarzały się bestie, usiłując zgasić skry na swych grzbietach, a te, które płonęły, szamotały się między nimi z okropnym wyciem i zarażały ogniem inne, tak że wreszcie właśni bracia pędzili je precz, a nieszczęsne zwierzęta uciekały po zboczach w dół, wyjąc żałośnie i szukając wody.

– Co znaczy ten zgiełk w lesie dzisiejszej nocy? – spytał Wódz Orłów. Siedział, czarny w księżycowej poświacie, na szczycie samotnie sterczącej skały u zachodniego krańca górskiego łańcucha. – Słyszę głosy wilków! Czyżby gobliny wyszły broić w lasach?

Wzbił się w powietrze i zaraz z dwóch sąsiednich szczytów dwa orły z jego przybocznej straży zerwały się w ślad za nim. Zatoczyły krąg po niebie i spojrzały w dół na krąg wargów, który z tej wysokości wydawał się ledwie małym punkcikiem. Orły jednak mają wzrok bystry i mogą dostrzec najdrobniejsze nawet rzeczy z wielkiej dali. Oczy Wodza Orłów z Gór Mglistych umiały patrzeć bez zmrużenia powiek w samo słońce i zauważyć spod chmur królika biegnącego po ziemi w blasku księżyca. Chociaż więc orzeł nie widział ukrytych wśród gałęzi krasnoludów, dostrzegł zamieszanie wśród wilków oraz błyski płomieni, doszło też do jego uszu stłumione przez odległość wycie i ujadanie. Zobaczył również lśnienie księżyca na dzidach i hełmach goblinów, które wychynąwszy ze swojej bramy, wyciągniętą kolumną spełzały w dolinę krętymi ścieżkami przez las.

Orły na ogół nie mają dobrego charakteru. Wiele pośród nich jest okrutników i tchórzów. Lecz stary orli ród z północnych gór należał do najszlachetniejszej odmiany ptasiej: dumnej, silnej i wspaniałomyślnego serca. Nie lubiły goblinów ani się ich nie

bały. Jeżeli w ogóle zwracały na nie uwagę (a to się zdarzało nieczęsto, bo nie jadały tego rodzaju strawy), spadały z góry i zapędzały wrzeszczących ze strachu łotrów z powrotem do podziemi, przeszkadzając tym sposobem w spełnieniu zamierzonych niegodziwości. Gobliny nienawidziły orłów i lękały się ich, lecz nie mogły dotrzeć do orlich gniazd na niedostępnych szczytach ani wygnać dumnych ptaków z gór.

Tej nocy Wodza Orłów bardzo zaciekawiło to, co się zdarzyło na ziemi; zwołał swoich poddanych i cała chmara zleciała ze szczytów, zataczając z wolna kręgi dokoła, dokoła, coraz niżej i niżej, aż nad stado wilków oczekujących na wyznaczonej polanie przybycia goblinów.

W samą porę! Na ziemi bowiem działy się okropne rzeczy. Wilki ogarnięte płomieniami, biegnąc przez las, w wielu miejscach wznieciły pożary. Lato było w pełni, a po tej stronie gór deszcz nie padał od dość dawna. Pożółkłe paprocie, chrust i nagromadzone suche igły sosnowe tu i ówdzie stanęły w ogniu. Wszędzie wokół polany szerzyła się pożoga. Mimo to straże wilcze nie odstępowały upatrzonych drzew. Rozjuszone i złe, wyły i skakały u stóp pni, przeklinając w swojej szkaradnej mowie krasnoludy, wywieszając języry i błyskając ślepiami, czerwonymi i groźnymi jak płomienie.

Nagle z wrzaskiem nadbiegły zastępy goblinów. Myślały, że toczy się tu bitwa z osadnikami leśnymi, wkrótce jednak zrozumiały, co się naprawdę stało. Niektóre posiadały na ziemi, zanosząc się śmiechem, inne wymachiwały dzidami i waliły ze szczękiem drzewcami o tarcze. Gobliny nie lękają się ognia, zaraz też ułożyły sobie plan działania, który wydawał im się bardzo zabawny.

Część zajęła się spędzaniem wargów w zwarte stado, część gromadzeniem stosów paproci i gałęzi wokół pni drzew. Inne

tymczasem krzątały się, zadeptywały, dusiły płomienie; nie gasiły jednak pożaru w pobliżu drzew, na których siedziały krasnoludy. Przeciwnie, w tych miejscach podsycały ogień suchymi liśćmi, chrustem i paprociami. Po chwili pierścień dymu i płomieni otaczał krasnoludy, gobliny wszakże czuwały, by pożar nie rozszerzał się poza wyznaczone granice; skupiał się więc coraz bardziej wokół wybranych drzew, aż sięgnął stosów paliwa spiętrzonych przy samych pniach. Dym gryzł hobbita w oczy, Bilbo już czuł żar bijący od ognia, poprzez kłęby dymu widział gobliny tańczące dokoła, jak ludzie zwykli tańczyć korowodem wokół sobótkowych ognisk. A za tym pierścieniem pląsających wojowników, zbrojnych w siekiery i dzidy, stały w należytej odległości wilki, patrząc, i czekając.

Bilbo słyszał, jak gobliny zaczęły straszliwą pieśń:

Piętnastu ptaszkom na pięciu drzewach
Ognisty podmuch piórka rozwiewa.
Ale że ptaszki nie mają skrzydeł,
Jaki pożytek z małych straszydeł?
Czy lepiej upiec żywcem w pożarze,
Czy też udusić w ogromnym garze?

Przerywając śpiew skrzeczały szyderczo:

– Lećcie stąd, ptaszki!

– Pofruńcie, jeśli umiecie!

– Zleźcie na dół, bo inaczej upieczecie się w swoich gniazdach!

– Śpiewajcie, ptaszyny! Czemuż to nie śpiewacie?

– Zmykać stąd, urwipołcie! – krzyknął w odpowiedzi Gandalf. – Nie pora teraz u ptaków na zakładanie gniazd. A łobuzów, co się bawią ogniem, zwykle spotyka surowa kara!

Mówił tak, by gobliny nastraszyć i pokazać im, że się ich nie boi, chociaż naprawdę – mimo że był czarodziejem – bał się oczywiście. Gobliny nie zważały na jego słowa i śpiewały dalej:

Płonie chrust i płoną liście,
Oświetlimy noc rzęsiście.
Płonie paproć i jedlina
Na uciechę dla goblina
Ja hej!

Upieczemy, uwarzymy,
Udusimy, usmażymy,
Piórka już skwierczą,
Oczka już szkliste,
Będą ptaszki na pieczyste.
Tłuszczyk się topi, chrupią kości,
Goblin tańczy już z radości,
Krasnoludów banda ginie,
Goblin hula po dolinie
Ja hej!
Ja harri hej!
Ja hoj!

Gdy wrzasnęły: „Ja hoj!” – płomienie objęły sosnę Gandalfa. W okamgnieniu pożar rozszerzył się na sąsiednie drzewa. Zajęła się najpierw kora, potem zatrzeszczały w ogniu najniższe gałęzie.

Wtedy Gandalf wspiął się wyżej, aż na wierzchołek. Różdżka rozbłysła wspaniale niby błyskawica, gdy gotował się do skoku prosto na ostrza dzid goblinów. Byłby to koniec czarodzieja, chociaż z pewnością zginęłoby także wielu przeciwników, gdyby runął na nich z góry jak piorun. Ale Gandalf nie skoczył.

W tym bowiem momencie Wódz Orłów spłynął z wysokości, chwycił go w szpony i uniósł w powietrze.

Ryk gniewu i zdumienia wyrwał się z piersi goblinów. Krzyknął głośno Wódz Orłów, któremu Gandalf już zdążył coś powiedzieć. Wielkie ptaki z jego świty zawróciły i zniżyły się niby ogromne czarne cienie. Wilki zajazgotały, zgrzytając zębami, gobliny wrzasnęły, tupiąc z wściekłości, i zaczęły ciskać w powietrze ciężkie dzidy, lecz na próżno. Orły przeleciały nad nimi, podmuch

trzepoczących w ciemności skrzydeł walił gobliny na ziemię lub rozpraszał na wszystkie strony; szpony orały po twarzach potworów. Tymczasem inne ptaki unosiły z drzew krasnoludy, które powdrapywały się już, jak mogły najwyżej.

Niewiele brakowało, aby biedny mały Bilbo znów został zapomniany! Ledwie zdążył się chwycić nogi Doriego, którego orzeł porwał jako ostatniego z całej kompanii. Wzbili się tak ponad zgiełk i pożar, a Bilbo dyndał w powietrzu i ręce bolały go tak, jakby lada chwila miały się urwać.

Teraz gobliny i wilki rozbiegły się daleko i szeroko po lasach. Kilka orłów krążyło jeszcze w powietrzu, oblatując pole bitwy. Płomienie wystrzeliły wyżej niż czuby drzew, które stanęły całe w ogniu. Iskry i dymy buchnęły nagle w koło. Bilbo umknął doprawdy w samą porę!

Wkrótce blask pożaru zbladł w oddali i ledwie migotał czerwienią na czarnej powierzchni ziemi; byli już wysoko pod niebem, wznosząc się coraz wyżej wielkimi, zamaszystymi kręgami. Bilbo do śmierci nie mógł zapomnieć tego lotu, gdy szybował w przestworzach, uwieszony u nogi Doriego. Jęczał: „Moje ręce, moje ręce!" – a Dori stękał: „Moje nogi, moje biedne nogi!".

Nawet w najlepszych warunkach Bilbo dostawał na wysokościach zawrotu głowy; robiło mu się słabo, gdy wyglądał poprzez krawędź bodaj niewielkiego urwiska, nie cierpiał włażenia na drabinę, a cóż dopiero na drzewo (bo też nigdy przedtem nie był zmuszony uciekać przed wilkami). Możecie więc wyobrazić sobie, jak mu się kręciło w głowie, gdy teraz zerknął w dół i pomiędzy własnymi rozhuśtanymi stopami zobaczył rozległą, czarną przestrzeń, gdzieniegdzie rozświetloną blaskiem księżyca, srebrzącym skaliste zbocze, lub strumień płynący przez równinę.

Blade szczyty górskie zbliżały się coraz bardziej, w miesięcznej poświacie skaliste igły wychylały się spośród czarnych cieni. Było wprawdzie lato, lecz powietrze wydawało się mroźne. Bilbo zamknął oczy, pytając w duchu sam siebie, czy wytrzyma dłużej. Pomyślał, co by się stało, gdyby nie wytrzymał, i natychmiast ogarnęły go mdłości.

Lot skończył się w momencie, gdy doszedł do kresu sił i ręce już mu odmówiły posłuszeństwa. Z lekkim okrzykiem rozluźnił chwyt, puścił łydkę Doriego... i spadł na twardą podściółkę orlego gniazda. Leżał, nie mogąc dobyć głosu, w rozterce między radosnym zdumieniem, że ocalał od ognia, a strachem, że lada chwila stoczy się z tego skąpego miejsca w ciemne czeluści ziejące dokoła. Czuł się bardzo nieswojo po okropnych przygodach ostatnich trzech dni, w ciągu których nic prawie nie jadł. Niespodzianie dla samego siebie powiedział głośno: „Teraz rozumiem, jak się czuje skwarka, kiedy ją nagle nadzieją na widelec i z patelni odłożą z powrotem na półkę spiżarni".

– Wcale tego nie rozumiesz – usłyszał głos Doriego – bo skwarka wie, że prędzej czy później wróci na patelnię; a nas, mam nadzieję, nic podobnego nie spotka. A zresztą, co innego widelec, a co innego orzeł.

– Och, tak, co orzeł, to nie wisielec, chciałem powiedzieć: nie widelec – rzekł Bilbo, podnosząc głowę i spoglądając niespokojnie na orła, który przysiadł opodal. Hobbit usiłował sobie przypomnieć, czy nie naplótł jakichś głupstw, i zastanawiał się, czy nie obraził czymś orła. Nie należy bowiem narażać się orłom, gdy się ma wzrost hobbita i siedzi się nocą w orlim gnieździe.

Orzeł właśnie ostrzył dziób na kamieniu, przygładzał pióra i nie zwracał na Bilba uwagi.

Wkrótce nadleciał drugi orzeł.

– Wódz przysyła mnie z rozkazem, byś przeniósł swoich jeńców na Wielką Półkę! – krzyknął i znikł. Pierwszy orzeł chwycił w szpony Doriego i wzbił się z nim w ciemność nocy, zostawiając hobbita samiusieńkiego. Bilbo zbierał siły, by zastanowić się, dlaczego poseł Wodza Orłów nazwał ich jeńcami, i pomyśleć, że kto wie, może zostanie rozszarpany na orlą kolację zamiast królika – gdy nadeszła jego kolej.

Orzeł wrócił, złapał szponami za kołnierz od kurtki hobbita i poleciał. Tym razem podróż była niedaleka. Po krótkiej chwili Bilbo, drżący ze strachu, leżał już na szerokiej półce skalnej wykutej w zboczu góry. Nie było stąd zejścia w dół, chyba na skrzydłach. Nie było drogi, chyba skokiem nad przepaścią. Tu hobbit ujrzał resztę kompanii, krasnoludów siedzących rzędem i opartych plecami o ścianę górską. Wódz Orłów rozmawiał z Gandalfem.

Wyglądało na to, że Bilbo w końcu nie zostanie pożarty. Czarodziej, jak się zdawało, znał się trochę z Wodzem Orłów, a nawet był z nim w dość przyjaznych stosunkach. Rzeczywiście Gandalf, często włócząc się po górach, oddał kiedyś przysługę orłom i wyleczył ich władcę z rany zadanej strzałą z łuku. A więc, moi drodzy, wyrażenie „jeńcy" miało znaczyć: „ocaleni jeńcy goblinów", a wcale nie „więźniowie orłów". Przysłuchując się słowom Gandalfa, Bilbo zrozumiał, że teraz naprawdę i ostatecznie wydostaną się z tych przerażających gór. Czarodziej omawiał bowiem z Wodzem Orłów plan, według którego ptaki miały przenieść krasnoludów, jego samego oraz Bilba daleko stąd, aż na właściwy szlak, przecinający w dole równiny.

Wódz Orłów nie zgadzał się na transport w jakieś miejsce bliskie siedzib ludzkich.

– Strzelaliby do nas ze swoich ogromnych łuków struganych z cisowego drzewa – rzekł – bo myśleliby, że polujemy na ich owce.

No, nie myliliby się zresztą w zwykłym przypadku. Tak, cieszymy się, że pozbawiliśmy gobliny łupu, cieszymy się, że możemy ci spłacić dług wdzięczności, lecz nie chcemy dla krasnoludów ryzykować własnego życia na południowych równinach.

– Dobrze – odparł Gandalf – zanieście nas tak daleko, jak chcecie. Już i tak jesteśmy wam bardzo wdzięczni. Ale tymczasem umieramy z głodu!

– Ja już prawie umarłem! – pisnął Bilbo tak słabym głosikiem, że nikt go nie usłyszał.

– Na to może znajdzie się rada – powiedział Wódz Orłów.

W chwilę później mógłbyś dostrzec na półce skalnej jasne ognisko, a wokół niego sylwetki krasnoludów węszących smakowity zapach pieczeni. Orły przyniosły suche gałęzie do rozniecenia ognia, a także parę królików, zajęcy i jagnię. Krasnoludy zakrzątnęły się żywo. Bilbo, zbyt osłabiony, by pomagać w tej pracy, a poza tym niezbyt zgrabny do oprawiania królików i dzielenia mięsa, odbierał je od rzeźnika już przygotowane i podawał kucharzom. Gandalf także położył się i odpoczywał, spełniwszy swoją rolę przy rozniecaniu ognia, bo Oin i Gloin zgubili krzesiwa i hubki (krasnoludy po dziś dzień nie używają zapałek).

Tak skończyła się przygoda w Górach Mglistych. Wkrótce brzuszek Bilba napełnił się i zaokrąglił znów przyjemnie i hobbit mógł usiąść zadowolony, chociaż, prawdę mówiąc, wolałby kilka kromek chleba z masłem niż to mięso przypieczone na patykach. Spał jednak skulony na twardej skale stokroć głębszym snem niż kiedykolwiek w puchowym łóżku, w swojej własnej rodzinnej norce. Ale przez całą noc śnił mu się dom i we śnie wędrował po jego pokojach, szukając czegoś, czego nie mógł znaleźć, i nie mogąc sobie przypomnieć, czego właściwie szuka.

Rozdział 7

# Dziwna kwatera

azajutrz Bilbo zbudził się, gdy wschodzące słońce zaświeciło mu w oczy. Zerwał się, żeby spojrzeć na zegar i nastawić wodę w imbryku... i wtedy dopiero stwierdził, że nie jest u siebie w domu. Siadł więc i marzył na próżno o miednicy i szczotce. Nie było tych przedmiotów, podobnie jak nie było herbaty, grzanek ani boczku na śniadanie, lecz tylko zimne mięso baranie i królicze. A potem musiał przygotować się do dalszej podróży.

Tym razem pozwolono hobbitowi wleźć na grzbiet orła i przylgnąć tam między skrzydłami. Powietrze gwizdało mu w uszach, oczy zamknął. Kiedy piętnaście wielkich ptaków wzlatywało z półki skalnej, krasnoludy wznosiły pożegnalne okrzyki i przyrzekały odwdzięczyć się Wodzowi Orłów przy pierwszej sposobności. Słońce stało jeszcze nisko nad wschodnim krańcem świata. Poranek był chłodny, mgła zalegała doliny i wszystkie zagłębienia terenu, rozszczepiała się tu i ówdzie na szczytach i górskich iglicach. Bilbo uchylił jedną powiekę, zerknął i ujrzał, że ptaki lecą już wysoko, ziemia została daleko w dole, a góry uciekają szybko wstecz. Zamknął znów oczy i mocniej zacisnął powieki.

– Nie szczyp mnie – rzekł orzeł. – Nie masz powodu tchórzyć jak królik, chociaż jesteś trochę do niego podobny. Mamy piękny ranek, wiatr ledwie dmucha. Cóż może być piękniejsze od takiego lotu?

Bilbo miał ochotę odpowiedzieć: „gorąca kąpiel, a potem dobre śniadanie w ogródku przed domem” – rozmyślił się jednak i nic nie rzekł na to, nieco tylko rozluźnił chwyt palców na karku ptaka.

Po pewnym czasie orły, mimo że z tak wysoka, dostrzegły widać wyznaczony cel, zaczęły się bowiem zniżać, zataczając po spirali ogromne kręgi. Trwało to dość długo, aż w końcu hobbit znów otworzył oczy. Ziemia była o wiele bliżej, mógł już rozróżnić w dole drzewa, jakby dęby i wiązy, szerokie łąki i płynącą przez nie rzekę. A pośrodku jej nurtu wznosiła się wielka skała, którą woda opływała z dwóch stron, kamienny szczyt, niby wysunięta przednia straż odległych gór albo potężny głaz ciśnięty o kilka mil naprzód przez jakiegoś siłacza, olbrzyma nad olbrzymami.

Orły jeden po drugim szybko siadały na skale, pozostawiając tu swoich pasażerów.

– Bądźcie zdrowi! – krzyknęły. – Gdziekolwiek zawędrujecie, bądźcie zdrowi i niech was gniazda wasze przyjmą szczęśliwych u kresu podróży!

Tak żegnają orły swoich przyjaciół, jeśli chcą być bardzo grzeczne.

– Niech wiatr niesie wasze skrzydła tam, gdzie słońce żegluje i gdzie przechadza się księżyc! – odwzajemnił się Gandalf, który znał właściwą odpowiedź.

W ten sposób się rozstali. A chociaż Wódz Orłów został później Królem Wszystkich Ptaków i włożył złotą koronę, a piętnastu jego namiestników otrzymało złote naszyjniki (ze złota ofiarowanego przez krasnoludy), Bilbo nigdy już w życiu nie miał ich ujrzeć, chyba wysoko na niebie i z daleka, podczas bitwy Pięciu Armii. Ponieważ jednak będzie to opisane pod koniec naszej historii, wolę na razie nic więcej o tym nie mówić.

Skała była na szczycie spłaszczona, a wydeptana ścieżka prowadziła z niej po wielu stopniach w dół ku rzece i dalej przez

groblę z płaskich kamieni na łąkę. W ostatnim stopniu skalnych schodów, u przyczółka kamiennej grobli zobaczyli małą grotę – suchą, wygodną, wysypaną żwirem – i w niej cała kompania zatrzymała się na naradę.

– Od początku zamierzałem przeprowadzić was bezpiecznie (o ile to możliwe) przez góry – rzekł czarodziej – i dokonałem tego dzięki dobrej organizacji wyprawy, a także dzięki szczęśliwym przypadkom. A nawet znaleźliśmy się o wiele dalej na wschód, niż planowałem sobie dojść razem z wami. Bądź co bądź to nie moja, lecz wasza wyprawa. Może przyczynię się do niej jeszcze tak czy owak, nim ją ukończycie, tymczasem jednak mam inne ważne i pilne sprawy do załatwienia.

Krasnoludy lamentowały i miały miny szczerze strapione, a Bilbo wręcz płakał. Nabrali już wszyscy przekonania, że Gandalf przez całą drogę dotrzyma im kompanii i zawsze będzie z nimi, by ratować w biedzie.

– Nie zniknę natychmiast – powiedział czarodziej – mogę wam ofiarować jeszcze dzień lub nawet dwa. Zapewne zdołam was wesprzeć w obecnych tarapatach, ale i sam potrzebuję trochę pomocy. Nie mamy prowiantu, bagaży ani wierzchowców, a wy w dodatku nie wiecie, gdzie jesteście. To mogę wam zaraz powiedzieć. Znajdujecie się o kilka mil na północ od ścieżki, na którą wyszlibyśmy, gdybyśmy nie zostali zmuszeni do tak nagłego zboczenia z drogi na przełęcz. W tych okolicach mało jest mieszkańców, chyba że przybyło ich od mego ostatniego pobytu, to znaczy od kilku lat. Lecz ktoś, kogo znam, mieszka niedaleko stąd. To ten ktoś właśnie wykuł stopnie w skale na rzece – zwanej Samotną Skałą, o ile mi wiadomo. Mój znajomy nieczęsto tu przychodzi, a już nigdy za dnia, toteż nie ma co na niego czekać. Co więcej, byłoby to bardzo niebezpieczne. Musimy iść do niego, a jeżeli

przyjmie nas dobrze, sądzę, że będę mógł was wtedy opuścić, życząc wam wzorem orłów, byście byli zdrowi, gdziekolwiek zawędrujecie.

Błagali go, żeby ich nie zostawiał samych. Obiecywali mu smocze złoto, srebro i klejnoty, ale Gandalf nie chciał zmienić postanowienia.

– Zobaczymy, zobaczymy – rzekł – zresztą zdaje mi się, że już i tak zasłużyłem sobie na część tego smoczego złota... o ile je zdobędziecie.

Wreszcie zaprzestali próśb. Pozrzucali ubrania i wykąpali się w rzece, płytkiej i przejrzystej na kamieniach przy grobli. Gdy wyschli na słońcu, które już dobrze przygrzewało, poczuli się odświeżeni, mimo że w dalszym ciągu smutni i trochę głodni. Wkrótce przebyli groblę (hobbita przenieśli) i rozpoczęli marsz w wysokiej zielonej trawie, wzdłuż linii wytyczonej rzędem rozłożystych dębów i smukłych wiązów.

– Dlaczego ta skała nazywa się Samotna? – spytał Bilbo, idąc u boku czarodzieja.

– To on ją tak nazwał, bo tak mu się podobało. Nazywa wszystko, jak chce, a to jest w dodatku jedna jedyna skała w pobliżu jego domu i on o tym dobrze wie.

– Kto nazwał skałę? Kto dobrze wie?

– Ów ktoś, o kim już wam mówiłem, bardzo ważna osobistość. Musicie być nadzwyczaj uprzejmi, kiedy będę was przedstawiał temu ktosiowi. Przedstawię was kolejno, po dwóch naraz, a wy powinniście uważać, by go nie zrazić. Wtedy bowiem mogłoby się to źle dla was skończyć. Bywa straszny, kiedy się gniewa, chociaż jest dość łagodny, jeśli go udobruchać. Ale ostrzegam was, że łatwo wpada w gniew.

Krasnoludy zgromadziły się wokół czarodzieja, słysząc, że mówi hobbitowi ciekawe rzeczy.

– Czy mówisz o tej osobie, do której nas prowadzisz? – pytały.

– Czy nie mógłbyś znaleźć kogoś innego, mniej trudnego w pożyciu? Czy nie zechciałbyś wytłumaczyć nam tego wszystkiego jaśniej? – i tak dalej, i tak dalej.

– Oczywiście tak. Oczywiście nie. A wytłumaczyłem wszystko dość już jasno – odparł czarodziej ze złością. – Jeśli chcecie wiedzieć więcej, nazywa się Beorn. Jest bardzo silny i umie zmieniać skórę.

– Jak to? Więc jest kuśnierzem, takim, co króliki nazywa fokami, jeśli nie może ich skórek wyprawić na popielice? – spytał Bilbo.

– Święta cierpliwości! Nie, nie, nie! – rzekł Gandalf. – Bardzo bym pana prosił, panie Baggins, żeby pan, jeśli łaska, nie mówił takich głupstw. Na wszystko też zaklinam, nie wymawiajcie nawet słowa „kuśnierz", dopóki będziecie w promieniu stu mil od domu Beorna, ani też takich wyrazów, jak: „kożuch", „futro", „mufka" i tym podobne. On umie zmieniać skórę, to znaczy, że czasem jest ogromnym czarnym niedźwiedziem, a czasem wielkim, silnym czarnowłosym człowiekiem o potężnych barach i bujnej brodzie. Więcej nie mogę wam powiedzieć, ale to już powinno wystarczyć. Niektórzy twierdzą, że Beorn jest niedźwiedziem, potomkiem dawnych wielkich niedźwiedzi, które żyły w górach, nim zjawili się tam olbrzymi. Inni mówią, że jest człowiekiem, potomkiem pierwszych ludzi, którzy tu mieszkali, zanim Smaug oraz inne smoki przybyły w te strony, a gobliny osiadły w tych górach, zbiegłszy z północy. Co jest prawdą, nie wiem, lecz wierzę raczej w tę drugą historię. Beorn nie należy do osób, którym by można zadawać pytania. W każdym razie nie ulega żadnym czarom prócz swoich własnych. Mieszka w lesie dębowym i ma duży drewniany dom; jako człowiek hoduje bydło i konie, prawie równie jak on sam niezwykłe. Zwierzęta pracują dla niego i rozmawiają z nim. Nie jada mięsa zwierząt domowych ani dzikich, nie poluje też nigdy. Ma

wielką pasiekę, a w ulach ogromne, bardzo cięte pszczoły, żywi się też przeważnie śmietaną i miodem. Jako niedźwiedź wędruje daleko. Widziałem go kiedyś siedzącego samotnie na szczycie Samotnej Skały, zapatrzonego w księżyc, który zachodził za Góry Mgliste, i dosłyszałem, jak mruczał w języku niedźwiedzi: „Przyjdzie kiedyś dzień, że oni wyginą, a ja powrócę!". Dlatego właśnie przypuszczam, że musiał ongi przybyć tutaj z gór.

Bilbo i krasnoludy za wiele teraz miały do myślenia, by dłużej wypytywać czarodzieja. Czekała ich jeszcze daleka droga. Maszerowali to pod górę, to w dół dolinami. Zrobiło się bardzo gorąco. Od czasu do czasu wypoczywali w cieniu drzew, a Bilbo tak zgłodniał, że jadłby bodaj żołędzie, które jednak niestety jeszcze nie dojrzały i nie pospadały na ziemię.

Było już dobrze po południu, gdy spostrzegli wśród traw całe łany kwiatów, a że te same odmiany rosły razem, wyglądało to na dzieło ludzkiej ręki. Najwięcej spotykali koniczyny białej i czerwonej, a także rozkołysane kępy szelężnika grzebieniastego i polne goździki pachnące miodem. W powietrzu roiło się, brzęczało i bzyczało. Pszczoły wszędzie uwijały się pracowicie. Ale jakie pszczoły! Bilbo w życiu podobnych nie widział.

„Jakby mnie która ucięła – myślał – spuchłbym chyba tak, że byłbym dwa razy taki, jak jestem!"

Pszczoły te bowiem były większe od szerszeni, trutnie zaś znacznie grubsze niż twój wielki palec, a żółte pasy na ich czarnych tułowiach błyszczały jak płomienne złoto.

– Zbliżamy się – rzekł Gandalf. – Jesteśmy już na granicy pszczelich pastwisk Beorna.

Po chwili doszli do pierścienia wielkich, prastarych dębów, za którymi drogę zagradzał żywopłot z tarniny tak gęsty i wysoki, że ani dojrzeć coś przez niego, ani przeleźć nie było sposobu.

– Lepiej poczekajcie tutaj – rzekł czarodziej do krasnoludów – a gdy zawołam lub zagwiżdżę, idźcie za mną. Uważajcie, którędy idę, a poznacie drogę – ale idźcie co najwyżej parami i co najmniej pięć minut niech upłynie między jedną parą a następną. Bombur jest taki gruby, że starczy za dwóch, toteż pójdzie sam i na ostatku. Panie Baggins, proszę ze mną. Gdzieś tu w pobliżu musi być brama.

To rzekłszy Gandalf ruszył wzdłuż żywopłotu, a przerażony Bilbo trop w trop za nim.

Wkrótce doszli do wysokiej i szerokiej drewnianej bramy, za którą zobaczyli ogród i całą grupę niskich drewnianych budynków, a wśród nich kilka krytych strzechą i skleconych z grubych, nie ciosanych kloców – zapewne stodoły, obory, stajnie i szopy – oraz niski i długi dom mieszkalny. Wewnątrz ogrodzenia, po południowej stronie żywopłotu stały w rzędach ule ze słomianymi dachami na kształt dzwonów. Brzęczenie olbrzymich pszczół, kręcących się tam i sam wokół uli, wypełniało powietrze.

Czarodziej i hobbit pchnęli ciężkie, skrzypiące wrota i poszli szeroką ścieżką w stronę domu. Kilka koni, lśniących, doskonale utrzymanych, podbiegło przez trawnik, przyjrzało im się uważnie inteligentnymi oczyma i galopem pomknęło ku zabudowaniom.

– Poszły mu oznajmić o pojawieniu się obcych w zagrodzie – rzekł Gandalf.

Po chwili znaleźli się na dziedzińcu z trzech stron objętym trzema skrzydłami domu. Pośrodku leżał wielki pień dębowy, a przy nim mnóstwo obciosanych gałęzi. Tuż obok stał olbrzymi mężczyzna; miał bujną, czarną czuprynę i gęstą, długą, czarną brodę, ramiona i łydki nagie, z węzłami potężnych mięśni wyraźnie zarysowanymi pod skórą. Ubrany był w wełnianą bluzę, sięgającą do kolan, i wspierał się na ogromnym toporze. Konie nozdrzami niemal dotykały jego ramienia.

– Uff! Więc to ci dwaj? – powiedział mężczyzna do koni. – Nie wyglądają groźnie. Możecie odejść. – Zaśmiał się głośnym, grzmiącym śmiechem, odłożył topór i wyszedł na spotkanie gości.

– Coście za jedni i czego tu chcecie? – spytał ostro, zatrzymując się przed nimi i górując ogromną postacią nad Gandalfem. Co do hobbita, to mógłby bez trudu, nie schylając głowy, przemknąć między nogami Beorna i nawet nie musnąłby go rąbek jego brunatnej bluzy.

– Jestem Gandalf – rzekł czarodziej.

– Nigdy tego imienia nie słyszałem – mruknął mężczyzna. – A kim jest ten malec? – spytał, pochylając się nad hobbitem i marszcząc krzaczaste, czarne brwi.

– To jest pan Baggins, hobbit z bardzo szanownej rodziny i cieszący się jak najlepszą reputacją – odparł Gandalf. Bilbo ukłonił się. Nie mógł zdjąć kapelusza, bo go nie miał, boleśnie też odczuwał brak guzików. – Ja jestem czarodziejem – ciągnął Gandalf – i słyszałem o tobie, chociaż moja sława do ciebie nie doszła; ale może wiesz coś o moim bliskim krewniaku, Radagaście, który mieszka niedaleko południowego brzegu Mrocznej Puszczy.

– Owszem, tego znam. Niezły chłop jak na czarodzieja. Spotykałem go – rzekł Beorn. – No, dobrze, wiem już teraz, kim jesteście, czy przynajmniej za kogo się podajecie. A czego tu chcecie?

– Prawdę mówiąc, straciliśmy bagaże i omal nie zbłądziliśmy, potrzeba nam pomocy albo chociaż dobrej rady. Muszę ci wyznać, że mieliśmy w górach dość ciężką przeprawę z goblinami.

– Z goblinami? – powiedział już mniej szorstko Beorn. – Ho, ho, toście z nimi mieli kłopoty? A po co się do nich zbliżaliście?

– Stało się to wbrew naszej woli. Gobliny zaskoczyły nas nocą pod przełęczą, przez którą chcieliśmy się przedostać za góry. Idziemy

z Krajów Zachodnich i tędy nam droga wypadła... ale to długa historia.

– W takim razie wejdźcie lepiej do domu i spróbujcie mi z tej historii coś niecoś opowiedzieć, byle to nie trwało do wieczora! – odparł mężczyzna i powiódł ich do ciemnych drzwi, które z dziedzińca prowadziły do wnętrza domu.

Idąc za gospodarzem, znaleźli się w obszernej sali z paleniskiem pośrodku. Mimo letniej pory płonęły na nim kłody drzewa, a dym wzbijał się pod sczerniałe krokwie i szukał sobie ujścia przez otwór w dachu. Minęli tę salę, dość ciemną, bo rozjaśnioną tylko blaskiem ogniska i światłem płynącym przez wyciętą nad nim w stropie dziurę, doszli do mniejszych drzwi w głębi i przez nie na ganek podparty słupami z pni drzew. Ganek wychodził na południe, toteż było tu ciepło i jasno, bo zachodzące słońce słało skośne promienie, ozłacając ogród pełen kwiatów sięgający aż pod same schodki.

Siedli na drewnianych ławach; Gandalf rozpoczął opowieść, a Bilbo, który stopami nie dostawał do ziemi, bimbał nogami w powietrzu i patrzał w ogród, usiłując przypomnieć sobie nazwy wszystkich kwiatów, lecz wiele z nich widział po raz pierwszy w życiu.

– Szedłem więc przez góry z przyjacielem czy z dwoma... – mówił czarodziej.

– Z dwoma? Widzę tylko jednego, i to niedużego w dodatku – przerwał mu Beorn.

– Prawdę rzekłszy, nie chciałem ci się naprzykrzać w większej gromadzie, póki się nie dowiem, czy nie jesteś bardzo zajęty. Ale jeśli pozwalasz, zawołam.

– Dalejże, wołaj.

Gandalf zagwizdał przeciągle i donośnie; natychmiast zza domu wychynęli na ścieżkę Thorin i Dori; przystanęli i ukłonili się w pas.

– Nie z dwoma, lecz z trzema, jak widzę, szedłeś – rzekł Beorn. – Ale to nie hobbici, tylko krasnoludy.

– Thorin Dębowa Tarcza, do usług!

– Dori, do usług!

Zawołali obaj jednocześnie i pokłonili się raz jeszcze.

– Dziękuję, obejdę się bez waszych usług – odparł Beorn – ale coś mi się zdaje, że wam moje będą potrzebne. Nie przepadam za krasnoludami, jeśli wszakże naprawdę jesteś Thorin – syn Thraina, który był synem Throra, o ile mi wiadomo – jeśli twój towarzysz również godny jest szacunku, jeśli jesteście wrogami goblinów i nie zamierzacie nic złego w granicach moich ziem... ale, skoro się zgadało, po coście właściwie przyszli w te strony?...

– Krasnoludy wybrały się w odwiedziny do ojczyzny swoich przodków, na wschód za Mroczną Puszczę – prędko odpowiedział Gandalf – i tylko przypadkiem znaleźliśmy się w obrębie twoich ziem. Przeprawialiśmy się przez góry Wysoką Przełęczą, tą ścieżką wyszlibyśmy na drogę daleko na południe od twego kraju, lecz napadły nas złe gobliny, jak już ci zacząłem opowiadać...

– Opowiadajże dalej! – rzekł Beorn, który nigdy nie był zbyt grzeczny.

– Wybuchła okropna burza, olbrzymy ciskały głazami, więc pod przełęczą poszukaliśmy schronienia w grocie; wszyscy: ja, hobbit i kilku naszych towarzyszy...

– Kilku? O dwóch mówisz: „kilku”?

– No nie, bo w gruncie rzeczy było ich więcej niż dwóch.

– Gdzież się tamci podziali? Zabici, pożarci czy też zawrócili do domu?

– Ależ nie! Jakoś nie wszyscy przyszli na mój gwizdek. Pewnie przez nieśmiałość. Widzisz, boimy się, czy nas nie za wielu, żeby prosić cię o gościnę.

– Dalejże, gwiżdż znowu! Widzę, że się od gości nie wymówię, a wobec tego jeden albo dwóch więcej czy mniej nie zrobi już i tak różnicy – burknął Beorn.

Gandalf zagwizdał więc po raz wtóry, lecz nim głos przebrzmiał, Nori i Ori stanęli pod gankiem, bo – jak przecież pamiętacie – Gandalf kazał im zjawiać się parami w odstępach pięciominutowych.

– Ejże! – powiedział Beorn. – Wyrośliście jak spod ziemi. Gdzieście się tu kryli? Chodźcie bliżej.

– Nori, do usług!

– Ori, do...

Lecz Beorn przerwał im.

– Dziękuję. Jak będę potrzebował waszych usług, sam o nie poproszę. Siadajcie i niech Gandalf opowiada swoją historię, bo jak tak dalej pójdzie, nie skończy jej przed wieczerzą.

– A więc ledwie posnęliśmy – podjął Gandalf – w głębi groty rozwarła się szczelina, wylazły przez nią gobliny, porwały hobbita i krasnoludy, a także całe stado kuców...

– Stado kuców? Czy wy jesteście wędrowni cyrkowcy? Czy też wieziecie ze sobą moc towaru? A może ty sześć sztuk nazywasz stadem!

– Ej, nie! Właściwie było więcej niż sześć wierzchowców, bo nas też było ponad pół tuzina... O, dwaj następni już są! – W tym bowiem momencie ukazali się Balin oraz Dwalin i złożyli ukłon tak niski, że brodami zamietli kamienną podłogę. Ogromny mężczyzna w pierwszej chwili zmarszczył brew, lecz dwaj nowi przybysze tak gorliwie starali się być grzeczni, tak kiwali głowami, zginali karki, gięli się w pasie i machali kapturami u własnych kolan – wedle najwytworniejszej krasnoludzkiej mody – że Beorn wreszcie

rozchmurzył się i wybuchnął śmiechem. Balin i Dwalin naprawdę wyglądali okropnie zabawnie.

– Racja, było was ponad pół tuzina – rzekł. – 1 mieliście komików w kompanii. Chodźcie tu bliżej, wesołkowie, jak wam na imię? Usług na razie nie życzę sobie, tylko imiona chcę usłyszeć, a potem siądźcie i przestańcie się kiwać.

– Balin i Dwalin – oświadczyli, nie śmiejąc się obrazić, po czym siedli, a raczej klapnęli na ziemi, trochę zdumieni takim przyjęciem.

– Mów teraz dalej – zwrócił się Beorn do czarodzieja.

– Na czym to ja stanąłem? Aha... Więc mnie gobliny nie porwały. Paru zabiłem błyskawicami różdżki...

– Doskonale! – mruknął Beorn. – Na coś się przecież przydają czarodzieje.

– ...i wśliznąłem się przez szczelinę, zanim ją z powrotem zatrzaśnięto. Dostałem się do głównej pieczary, gdzie roiło się od goblinów. Siedział tam Wielki Goblin, a strzegło go trzydziestu, może czterdziestu gwardzistów. Pomyślałem więc: „Nawet gdyby moi towarzysze nie byli skuci z sobą łańcuchem, cóż poradzi tuzin przeciw kilku dziesiątkom?".

– Tuzin? Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś osiem sztuk nazywał tuzinem! A może jeszcze nie wszystkie diabełki wyskoczyły z pudełeczka?

– Rzeczywiście, dwóch znowu nadchodzi, jak widzę, Kili i Fili, zdaje się – rzekł Gandalf, bo właśnie nowa para krasnoludów stanęła przed nimi, uśmiechając się i kłaniając.

– Dosyć, dosyć! – zawołał Beorn. – Siadajcie i bądźcie cicho. Opowiadaj, Gandalfie!

Gandalf ciągnął więc dalej swoją opowieść, aż do tego miejsca, gdy po ucieczce w ciemnościach i odnalezieniu dolnej bramy odkryli ze zgrozą, że zgubili gdzieś pana Bagginsa.

– Przeliczyliśmy się i stwierdzili, że brakuje hobbita. Zostało nas tylko czternastu.

– Czternastu! Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby dziesięć mniej jeden równało się czternaście. Chciałeś chyba powiedzieć: dziewięciu? Czy też nie przedstawiłeś mi jeszcze wszystkich członków kompanii?

– No tak, rzeczywiście, nie znasz dotychczas Oina i Gloina. Ale co widzę? Oto oni! Zechciej im wybaczyć, że cię niepokoją.

– Niech wejdą, niech wejdą. Żywo! Chodźcie no tu, siadajcie. Słuchaj no, Gandalfie, przecież nawet teraz mamy ciebie, dziesięciu krasnoludów i jednego hobbita, tego, który wam zginął. Razem jedenastu plus dwunasty brakujący do rachunku, chyba że czarodzieje liczą inaczej niż cały świat. Mniejsza zresztą z tym, opowiadaj dalej.

Beorn starał się tego po sobie nie pokazywać, lecz historia Gandalfa bardzo go zainteresowała. Trzeba wam wiedzieć, że w dawnych czasach Beorn znał najlepiej tę właśnie część gór, o której czarodziej mówił. Kiwał więc głową i pomrukiwał, dowiadując się, jak hobbit znalazł się niespodzianie, jak potem cała kompania zjechała w dół razem z osypującym się rumowiskiem i jak w lesie obradował krąg wilków.

Kiedy Gandalf zaczął opisywać przygodę na polanie, wdrapywanie się na drzewa i oblężenie przez wilki, Beorn zerwał się z ławy i biegając po ganku mruczał:

– Że też mnie tam nie było! Ja bym im pokazał coś lepszego niż fajerwerki!

– No, cóż – rzekł Gandalf, bardzo rad, że jego opowieść wywiera tak wielkie wrażenie. – Zrobiłem, co mogłem. Siedzieliśmy tak w górze, a pod nami wilki miotały się wściekle i las już się palił tu i ówdzie, kiedy nadciągnęły od gór gobliny i zobaczyły, co się

dzieje. Ryknęły z radości i zaczęły szydzić z nas, śpiewając tak: „Piętnastu ptaszkom na pięciu drzewach...”

– Wielkie nieba! – mruknął Beorn. – Nie wmówisz mi, że gobliny nie umieją rachować. Wiem, że liczą dobrze. Dwanaście to nie piętnaście, gobliny by się tak nie pomyliły.

– Ja się też nie mylę. Byli przecież z nami również Bifur i Bofur. Nie odważyłem się wcześniej ich wprowadzić, ale spójrz, właśnie idą.

Rzeczywiście Bifur i Bofur wkroczyli do ogrodu.

– I ja! I ja! – wołał zasapany Bombur, następując tamtym dwóm na pięty. Był gruby, a w dodatku zły, że go zostawiono na szarym końcu. Nie zgodził się czekać pięciu minut po odejściu ostatniej pary, lecz ruszył tuż za nią.

– Teraz jest was tu piętnastu, a ponieważ gobliny rachują nieomylnie, myślę, że już nikogo nie brak z tych, co siedzieli na drzewach. Wreszcie może będziesz mógł, Gandalfie, dokończyć tej historii bez dalszych przeszkód.

Dopiero w tej chwili pan Baggins ocenił mądrość Gandalfa. Przerwy w opowieści podnieciły tym bardziej ciekawość Beorna; gdyby nie był tak pochłonięty interesującą historią, pewnie by odprawił krasnoludów z niczym, jako podejrzanych włóczęgów. Beorn nigdy nie zapraszał gości do swego domu, jeśli mógł tego uniknąć. Przyjaciół miał niewielu, a i to zamieszkałych w dalekich stronach. Jeśli nawet ich gościł u siebie, to nigdy więcej niż dwóch naraz. A dziś piętnastu obcych podróżnych zasiadło na jego ganku!

Nim czarodziej skończył całą historię i opowiedział, jak orły przyleciały im na ratunek, a później przeniosły wszystkich na Samotną Skałę – słońce zaszło za szczyty Gór Mglistych, a w ogrodzie Beorna cienie się wydłużyły.

– Bardzo ciekawa historia! – powiedział Beorn. – Od dawna nie słyszałem lepszej. Gdyby każdy włóczęga miał coś równie interesującego do opowiedzenia, przyjmowałbym łaskawiej takich gości. Może wszystko zmyśliłeś, ale i tak zasłużyłeś na wieczerzę, bo dobra to bajka, nawet jeśli nieprawdziwa. Chodźmy więc wszyscy coś przegryźć.

– Bardzo chętnie! – zakrzyknęli chórem. – Dziękujemy ślicznie!

W sali było już zupełnie ciemno. Beorn klasnął w ręce i wpadły cztery białe kucyki, a za nimi kilka dużych psów o siwej sierści. Beorn coś do nich powiedział w dziwnym języku, brzmiącym jak głosy zwierząt przerobione na jakąś ludzką mowę. Kuce i psy wybiegły, zaraz jednak wróciły niosąc w pyskach łuczywa, które zapaliły od ognia płonącego pośrodku izby i pozatykały w uchwytach osadzonych nisko na słupach wokół paleniska. Psy umiały chodzić do woli na zadnich łapach, w przednich podając, co było trzeba. Szybko przyniosły spod ścian kozły i deski, ustawiając z nich stoły w pobliżu ogniska.

Rozległo się bee! bee! i za przewodem dużego, czarnego jak smoła barana weszło kilka białych jak śnieg owiec. Jedna niosła biały obrus z wyhaftowanymi po brzegach postaciami zwierząt; inne na szerokich grzbietach dźwigały tace, a na nich drewniane miski, talerze, noże i łyżki, psy zaś zręcznie nakryły do stołów. Stoły te były bardzo niziutkie, tak że nawet hobbit mógł przy nich biesiadować wygodnie. Kucyk przysunął dla Gandalfa i Thorina dwa niskie stołki o szerokich, wyplatanych trzciną siedzeniach i krótkich, grubych nogach, a Beornowi przypadł wielki, czarny fotel podobnej roboty (siedząc w nim wyciągał długie nogi daleko pod stół). Innych krzeseł nie było w sali, gospodarz zapewne sporządził te niskie sprzęty dla wygody niezwykłych zwierząt, które mu usługiwały. Na czym wobec tego zasiadła reszta kompanii? Nie

zapomniano o nikim: kucyki wtoczyły pniaki obciosane na kształt bębnów, a tak niskie, że nawet dla Bilba w sam raz. Wszyscy więc obsiedli stół Beorna. Ściany tej sali od wielu lat nie widziały równie licznego zgromadzenia!

Była to wieczerza czy może obiad, słowem, posiłek, jakiego od opuszczenia Ostatniego Przyjaznego Domu i pożegnania z Elrondem nie mieli w ustach. Wokół nich migotało światło ogniska i pochodni, a na stole płonęły dwie wysokie, czerwone świece z pszczelego wosku. Goście jedli, a Beorn swym niskim, grzmiącym basem opowiadał im różne historie o dzikich krainach po tej stronie gór, szczególnie zaś o ciemnym, niebezpiecznym lesie, ciągnącym się daleko na północ i na południe; straszliwy ten las leżał ledwie o dzień drogi od domu Beorna i przecinał wędrowcom drogę na wschód, a nazywał się Mroczną Puszczą.

Krasnoludy słuchały, kiwając brodami, wiedziały bowiem, że muszą zapuścić się w te lasy i że po przebyciu gór to jest najgroźniejsza przeszkoda do pokonania, zanim dotrą do warowni smoka. Najadłszy się goście z kolei zaczęli opowiadać własne historie, lecz Beorn wydawał się już senny i nie bardzo zważał na ich słowa. Mówili najwięcej o złocie, srebrze i drogich kamieniach, o robocie snycerskiej i złotniczej, Beorn jednak nie interesował się najwidoczniej tymi rzeczami: w jego sali nie było złotych ani srebrnych, a nawet w ogóle metalowych wyrobów – z wyjątkiem noży.

Siedzieli przy stole długo, popijając miód z drewnianych kubków. Na dworze zapadła już ciemna noc. Dorzucono nowe kłody do ogniska, łuczywa pogasły, lecz oni siedzieli wciąż w migotliwym blasku płomieni, pod słupami wznoszącymi się aż pod strop domu i czarnymi w górze niby wierzchołki drzew w lesie. Może to były czary, a może nie, ale hobbitowi wydawało się, że słyszy

w krokwiach szum, jakby wiatru w gałęziach, i zawodzenie puszczyków. Wkrótce też Bilbo zaczął się kiwać sennie, a głosy dochodziły do jego uszu z coraz większej dali... i nagle ocknął się z drzemki.

Wielkie drzwi skrzypnęły i trzasnęły. Beorna nie było w sali. Krasnoludy siedziały po turecku na podłodze wokół ogniska i śpiewały. Parę zwrotek brzmiało mniej więcej tak, ale śpiewano ich więcej, do późna w noc.

W zeschłych wrzosach hulał wichr,
W lesie już i powiew cichł,
W lesie cienie dniem i nocą,
Ciemne dziwy z traw migocą.

Wiatr się stoczył z zimnych gór,
Grzmiał jak gromów groźny chór,
Jękły drzewa w leśnej głuszy,
Liść w gałęziach stulił uszy.
Wiatr znów zaczął dąć na wschód –
W lesie cicho jak i wprzód.

Za to poza lasem, blisko,
Śpiewa wiatrem trzęsawisko.
Trawy syczą, szuszczą źdźbła,
W ziołach chrzęści nuta zła –
A w jeziorze pęd wichury
Drze odbite w fali chmury.

Przez samotne góry w bok
Wionął wiatr, gdzie czuwa smok;
Pośród głazów tam olbrzymich
Z lasu czarne idą dymy.

Wreszcie z dolin i ze wzgórz
Spłynął w noc jak w otchłań mórz –
Potem w żagiel dmąc miesiąca
W wodę srebrne gwiazdy strącał.

Bilbo znów się zdrzemnął. Nagle Gandalf wstał.

– Pora spać – rzekł. – Pora dla nas, chociaż nie dla Beorna, o ile go znam. W tej sali możecie odpoczywać spokojnie i bezpiecznie, ale ostrzegam, niech żaden z was nie zapomni, co Beorn powiedział, nim nas opuścił: pod grozą śmierci nikomu nie wolno wyjść poza dom, póki słońce nie wstanie.

Bilbo zobaczył posłania już przygotowane w jednym końcu sali, na wzniesionym nieco nad ziemią pomoście między słupami a zewnętrzną ścianą. Dla hobbita znalazł się mały siennik i wełniany koc. Owinął się nim z przyjemnością mimo letniej pory. Ogień przygasał, Bilbo usnął. W nocy jednak się ocknął. Na palenisku ledwie tliła się resztka żaru, Gandalf i krasnoludy spały, sądząc z oddechów; biała plama światła leżała na podłodze: to księżyc zaglądał przez dymnik wycięty w dachu.

Z dworu dochodził pomruk i taki łoskot, jakby jakieś ogromne zwierzę ocierało się o drzwi. Hobbitowi przyszło do głowy, że może to Beorn, przemieniony czarodziejską sztuką, i zaniepokoił się, czy niedźwiedź nie wejdzie do sali, by ich wszystkich pozabijać. Dał więc nura pod koc, schował się cały z głową, ale mimo strachu usnął zaraz znowu.

Dzień był jasny, kiedy się Bilbo zbudził. Że jednak leżał w ciemnym kącie, jeden z krasnoludów, potknąwszy się o niego, runął z hałasem z pomostu na ziemię. Okazało się, że to Bofur; zły z powodu tego wypadku, ledwie Bilbo otworzył oczy, zaczął zrzędzić:

– Wstałbyś wreszcie, próżniaku, bo nic ci nie zostawimy na śniadanie.

Bilbo zerwał się natychmiast.

– Śniadanie! – krzyknął. – Gdzie jest śniadanie?

– Przeważnie w naszych brzuchach – odpowiedziały krasnoludy, kręcące się po sali. – Ale resztki są jeszcze na ganku. Od świtu

szukamy Beorna, nie ma jednak po nim nigdzie ani znaku, chociaż śniadanie było już zastawione, gdyśmy wyszli na ganek.

– A gdzie Gandalf? – spytał Bilbo, spiesząc się bardzo, żeby jeszcze coś zastać na stole.

– Pewnie gdzieś w pobliżu – odpowiedzieli.

Lecz Bilbo nie zobaczył tego dnia czarodzieja aż do wieczora. Przed samym zachodem słońca Gandalf wszedł do sali, gdzie hobbit i krasnoludy siedziały przy wieczerzy, obsługiwane przez niezwykłe zwierzęta Beorna, które się nimi opiekowały od rana. Beorna nikt nie widział ani nie słyszał od poprzedniej nocy, toteż wszyscy zaczynali się już tym niepokoić.

– Gdzie jest gospodarz tego domu i gdzieżeś ty bywał cały dzień? – zakrzyknęli wszyscy.

– Pytajcie po kolei, ale w każdym razie odpowiem dopiero po wieczerzy. Nic w ustach nie miałem od śniadania.

Wreszcie Gandalf odsunął talerz i dzbanek; zjadł dwa bochenki chleba (grubo posmarowane masłem, miodem i gęstą śmietaną) i wypił co najmniej kwartę miodu, a na zakończenie zapalił fajkę.

– Najpierw odpowiem na drugie pytanie – rzekł. – Ale patrzcie! Toż to wymarzone miejsce do puszczania kółek!

I przez długi czas nie mogli nic więcej z niego wyciągnąć, tak był zajęty: posyłał kółka dymu w taniec wokół słupów, kazał im zmieniać kształty i kolory, a w końcu na wyścigi uciekać przez dymnik w stropie. Musiał to być dziwny widok, gdy tak wzlatywały nad dachem jedno po drugim, zielone, niebieskie, czerwone, srebrzyste, żółte i białe; małe kółka prześlizgiwały się przez duże, splatały w ósemki i chmarami jak ptaki odfruwały w świat.

– Tropiłem ślady – rzekł wreszcie Gandalf. – Musiał tu odbywać się ostatniej nocy istny wiec niedźwiedzi na dziedzińcu przed

domem. Doszedłem wkrótce do wniosku, że nie wszystkie Beorn poprzemieniał z innych zwierząt, bo za wiele ich było i zbyt różnych. Powiadam wam, musiały wśród nich być i małe, i duże, i zwykłe, i olbrzymie, a wszystkie tańczyły od zapadnięcia nocy aż do świtu prawie. Ściągnęły z różnych stron świata, ale żaden nie przybył z zachodu, zza rzeki, od gór. W tamtym kierunku prowadził jeden tylko trop, który wskazywał, że niedźwiedź odszedł stąd i dotychczas nie wrócił. Po tropach trafiłem pod Samotną Skałę. Ślad jednak urywał się na brzegu rzeki, a za skałą nurt jest głęboki i tak porywisty, że przejść w bród nie sposób. Jak pamiętacie, na ten brzeg dostać się łatwo po grobli, lecz po drugiej stronie skała opada urwiskiem nad kipielą wodną. Musiałem wędrować kilka mil, zanim znalazłem miejsce, gdzie rzeka rozlewa się szerzej i płyciej i gdzie mogłem się przeprawić, brodząc i płynąc, a potem znów wracałem kilka mil, żeby odszukać ślady niedźwiedzia. Za późno już było, więc nie mogłem iść tym tropem daleko. Wiódł prosto do sosnowego boru na wschodnich stokach Gór Mglistych, w którym mieliśmy przedwczorajszej nocy przyjemne spotkanie z wilkami. Ano, odpowiedziałem chyba w ten sposób również na pierwsze wasze pytanie – zakończył Gandalf i umilkł, zapadając na długą chwilę w zadumę.

Hobbitowi wydało się, że zrozumiał ukryty sens opowieści czarodzieja.

– Co teraz poczniemy – krzyknął – jeżeli on sprowadzi wargów i gobliny?! Wszystkich nas tu zaskoczą i pozabijają! A przecież mówiłeś, że on nie żyje z tamtymi w przyjaźni!

– Mówiłem. Nie bądź głupi, Bilbo. Idź lepiej do łóżka, bo widzę, że ci już rozum usnął w głowie.

Hobbit, bardzo zgnębiony, uznał, że nic lepszego zrobić się nie da, i poszedł spać; krasnoludy jeszcze śpiewały swoje pieśni, gdy on już

zasnął, łamiąc sobie nawet przez sen głowę nad sekretami Beorna; śniło mu się, że setki czarnych niedźwiedzi tańczą przy księżycu powoli, ciężko, w kółko, w kółko po dziedzińcu. Ocknął się, kiedy reszta kompanii spała, i znów usłyszał jak poprzedniej nocy jakieś skrobanie, tupot, posapywania i pomruki za drzwiami.

Nazajutrz rankiem zbudził ich Beorn we własnej osobie.

– A więc jesteście wszyscy jeszcze tutaj – rzekł. Podniósł w górę hobbita i ze śmiechem dodał: – Jak widzę, nie zjadły cię wilki ani gobliny, ani złe niedźwiedzie. – Zgoła bez szacunku poklepał pana Bagginsa w okolicach kamizelki. – Brzuszek nam się z powrotem pięknie zaokrąglił na chlebie i miodzie. Chodź no do stołu, podjemy sobie znowu.

Siedli więc wszyscy wraz z gospodarzem do śniadania. Beorn teraz dla odmiany był bardzo wesoły, humor miał wspaniały i rozśmieszał całe towarzystwo zabawnymi historyjkami, nie musieli też dłużej zgadywać, gdzie tak długo przebywał i dlaczego wrócił tak serdecznie do nich usposobiony, bo sam im to powiedział. Był na drugim brzegu rzeki, aż w górach – z czego widzicie, że umiał szybko maszerować, przynajmniej w skórze niedźwiedziej. Zobaczył wypaloną pożarem wilczą polanę i przekonał się, że ta część opowieści Gandalfa mówiła prawdę. Dowiedział się nawet czegoś więcej: przyłapał jakiegoś warga i goblina błądzących po lesie. Od nich zasięgnął języka: patrole goblinów wspólnie z wilkami w dalszym ciągu szukały krasnoludów, rozwścieczone zabójstwem Wielkiego Goblina oraz poparzeniem nosa przywódcy wargów, a także śmiercią wielu jego najdzielniejszych podwładnych poległych od ognistych pocisków czarodzieja. Tyle mu wilk i goblin, gdy ich przycisnął, powiedzieli, domyślał się jednak, że gorszych jeszcze rzeczy należy oczekiwać, że przygotowuje się wielki wypad całej armii goblinów

i sprzymierzonych z nimi wargów na kraje leżące w cieniu gór, obława na krasnoludów i zemsta na ludziach oraz wszelkich stworzeniach, zamieszkujących te strony, podejrzanych o udzielanie pomocy zbiegom.

– Twoja opowieść, Gandalfie, była bardzo ciekawa – rzekł Beorn – ale podoba mi się teraz tym bardziej, że jest, jak się upewniłem, prawdziwa. Musisz mi wybaczyć, że ci nie uwierzyłem na słowo. Gdybyś, jak ja, żył w najbliższym sąsiedztwie Mrocznej Puszczy, nie ufałbyś bez zastrzeżeń nikomu, chyba temu, kogo znasz tak dobrze albo lepiej niż rodzonego brata. W każdym razie bądź pewien, że spieszyłem z powrotem, jak mogłem, by się przekonać, czy jesteście cali i zdrowi, i ofiarować wam wszelką pomoc, jaką rozporządzam. Od dziś będę miał dla krasnoludów więcej niż dotąd życzliwości. Wielki Goblin zabity, Wielki Goblin zabity! – mruczał sam do siebie z uciechą.

– A co zrobiłeś z tym wilkiem i goblinem? – spytał nagle Bilbo.

– Chodź i zobacz – odparł Beorn i wszyscy za jego przewodem poszli na drugą stronę domu. Nad bramą wejściową przybita była głowa goblina, a wilcza skóra wisiała rozpięta na sąsiednim drzewie. Beorn był straszliwy dla wrogów. Lecz teraz już krasnoludy zyskały jego przyjaźń, więc Gandalf uznał za stosowne opowiedzieć Beornowi wszystko i wyjawić prawdziwy cel wyprawy, aby skorzystać w pełni z obiecanej pomocy.

A oto, co im Beorn przyrzekł: dostarczy wszystkim kucyki, Gandalfowi zaś konia na drogę do granicy lasów, zaopatrzy ich w prowiant, wystarczający przy oszczędnej gospodarce na kilka tygodni, a tak opakowany, żeby dźwiganie go nie sprawiało wiele kłopotu; da im więc orzechy, mąkę, suszone owoce w szczelnie zamkniętych słojach, miód w wypalanych z czerwonej gliny garnkach i ciasto dwakroć pieczone, dzięki czemu trzyma się długo

i nawet w małej ilości spożywane dodaje sił w marszu. Wypiek tego ciasta należał do sekretów Beorna; w skład ciasta wchodził przede wszystkim miód, dodawany do wszystkich niemal potraw w tym domu, bardzo pożywnych, jakkolwiek pobudzających pragnienie. Wody – zapewniał Beorn – nie zabraknie wam w drodze, po tej stronie lasów wszędzie pełno strumieni i źródeł.

– Ale ścieżka przez Mroczną Puszczę jest ciemna, niebezpieczna i uciążliwa – rzekł. – O żywność i wodę bardzo tam trudno. Nie pora jeszcze na orzechy (co prawda może zdążą dojrzeć i przejrzeć, nim przeprawicie się przez puszczę), a z tego, co tam rośnie, chyba tylko orzechy nadają się do jedzenia. Wszystko inne jest dzikie, czarne, niesamowite. Użyczę wam skórzanych worków na wodę, a także łuków i strzał. Wątpię jednak, czy cokolwiek z tego, co spotyka się w Mrocznej Puszczy, można jeść lub pić bez szkody dla zdrowia. Jest tam, jak mi wiadomo, pewien strumień, czarny i bystry, który przecina ścieżkę. Nie ważcie się z niego pić ani się w nim kąpać, bo słyszałem, że to woda zaczarowana, powoduje śpiączkę i utratę pamięci. Zresztą ciemności zalegają las, nie sądzę, byście zdołali coś – jadalnego czy trującego – z łuków upolować, nie schodząc ze ścieżki. Tego zaś pod żadnym pozorem nie wolno wam zrobić. Oto wszystkie już rady, których mogę wam udzielić. Od chwili gdy wejdziecie w puszczę, niewiele już potrafię wam dopomóc. Tam już musicie polegać tylko na własnym szczęściu i męstwie, no i na zapasach, w które was zaopatrzę. Ale życzę wam wszelkiej pomyślności i dom mój będzie dla was otwarty, jeśli wam tędy wypadnie wracać.

Dziękowali mu oczywiście, kłaniali się, zamiatali kapturami, powtarzali, że są gotowi „do usług" gospodarza wielkiego drewnianego dworu. Lecz gdy wysłuchali jego poważnej przemowy, podupadli na duchu, bo zrozumieli, że przygoda będzie

o wiele bardziej niebezpieczna, niż się spodziewali, i że nawet gdyby uniknęli wszystkich zasadzek po drodze, u celu czeka na nich smok.

Cały ranek zszedł pracowicie na przygotowaniach do wymarszu. Zaraz po południu zjedli po raz ostatni posiłek przy Beornowym stole, po czym dosiedli użyczonych przez gospodarza wierzchowców i wielekroć jeszcze powtórzywszy pożegnania, ruszyli dobrym kłusem za bramę.

Wydostawszy się za wysoki żywopłot, otaczający od wschodniej strony zagrodę, skręcili na północ i podążali odtąd ku północo-wschodowi. Za radą Beorna zdecydowali się nie jechać do głównej drogi leśnej, leżącej na południe od jego włości. Gdyby z gór zeszli przez przełęcz, ścieżka prowadziłaby ich brzegiem górskiego potoku, który wpadał do rzeki o kilka mil na południe od Samotnej Skały. Był tam bród dość głęboki, przez który mogliby się przeprawić, gdyby mieli jeszcze swoje kuce, a dalej dróżka, wiodąca na skraj lasów, do wylotu starego, leśnego gościńca. Beorn jednak przestrzegał, że drogą tą obecnie często chadzają gobliny, a gościniec, z dawna nie używany, jak słyszał, zarósł dalej na wschód lasem i kończył się wśród nieprzebytych moczarów, na których zatarły się już ślady dawnych ścieżek. Poza tym gościniec po wschodniej stronie wyprowadzał z puszczy w miejscu daleko na południe odsuniętym od Samotnej Góry, musieliby więc stamtąd odbyć jeszcze długi i trudny marsz. Na północ od Samotnej Skały puszcza przybliżała się do Wielkiej Rzeki, a chociaż i góry także ku niej się tam podsuwały, Beorn radził wędrowcom obrać tę drogę, bo po kilku dniach jazdy mieli tam znaleźć początek mało znanej ścieżki przecinającej Mroczną Puszczę i wychodzącej niemal wprost pod Samotną Górą.

– Gobliny – mówił Beorn – nie ośmielą się przeprawić za Wielką Rzekę nawet o sto mil na północ od mojej skały ani podejść bliżej do mego domu – dobrze jest nocą strzeżony! – ale na waszym miejscu jechałbym ostro. Jeśli bowiem podejmą zamierzoną napaść, wkrótce przeprawią się przez rzekę na południu i obsadzą cały skraj lasów, by wam odciąć drogę, a pamiętajcie, że wargowie szybciej biegną niż kucyki. Mimo to bezpieczniej dla was będzie jechać na północ, bo chociaż w ten sposób zbliżacie się do ich siedzib, ale robicie to, czego gobliny najmniej się spodziewają, i będą miały dalszą drogę, by was doścignąć. Ruszajcie teraz, jak zdołacie najżywiej!

Dlatego to jechali w milczeniu i wypuszczali kuce do galopu wszędzie tam, gdzie gładki, porosły trawą grunt na to pozwalał; czarny wał gór mieli po lewej ręce, a przed sobą w dali linię rzeki wyznaczoną przez drzewa, które zbliżały się z każdą minutą. Kiedy ruszali, słońce dopiero zaczynało zniżać się ku zachodowi i do wieczora złociło cały kraj wokół nich. Nie chciało się wierzyć, żeby pościg goblinów naprawdę groził, toteż gdy już kilka mil dzieliło wędrowców od Beornowego domu, nawiązały się znów pogawędki, rozbrzmiały pieśni i wszyscy zapomnieli niemal o ciemnej leśnej ścieżce, która czekała ich w dalszej podróży. Wieczorem jednak, gdy zapadł zmierzch, a szczyty gór rozżarzyły się blaskiem zachodzącego słońca, rozbili obóz, wystawili straże i większość krasnoludów spała niespokojnie, bo w snach prześladowało ich wycie żerujących wilków i wrzaski goblinów.

Lecz nazajutrz dzień wstał znów piękny i pogodny; białe, jak gdyby już jesienne opary zalegały ziemię i było dość chłodno, wkrótce jednak słońce wzeszło w czerwieni na wschodzie, mgły zniknęły, a kompania ruszyła w dalszą drogę, gdy cienie jeszcze były bardzo długie. Jechali tak przez dwa dni, nie widząc wciąż nic

prócz trawy, kwiatów, ptaków i pojedynczych drzew, a od czasu do czasu napotykali stadka rudych sarn, pasących się lub odpoczywających o południu w cieniu. Hobbitowi zdarzyło się parę razy dostrzec rogi jelenia, sterczące z wysokiej trawy, i z początku myślał, że to suche gałęzie. Trzeciego dnia szczególnie gorliwie popędzali kuce – Beorn zapowiedział, że czwartego ranka dotrą do leśnej ścieżki – i nie zatrzymawszy się o zmroku, jechali dalej nocą przy księżycu. Gdy zmierzchało, hobbitowi wydało się, że widzi daleko, to z prawej, to z lewej strony, cień wielkiego niedźwiedzia przemykającego chyłkiem w tym samym co oni kierunku. Kiedy jednak ośmielił się wspomnieć o tym Gandalfowi, czarodziej rzekł szybko:

– Sza! nie zwracaj na to uwagi.

Nazajutrz zerwali się do drogi przed świtem, chociaż popasali nocą bardzo krótko. Kiedy się rozjaśniło, zaraz ujrzeli przed sobą las, jak gdyby biegnący na ich spotkanie, a może raczej piętrzący na ich powitanie czarny, ponury mur w poprzek drogi. Teren zaczął się wznosić stopniowo, a hobbit miał wrażenie, że jednocześnie ogarnia ich coraz głębsza cisza. Ptaki pomilkły, sarny zniknęły, nawet królików nie było nigdzie widać. Po południu dotarli na próg Mrocznej Puszczy i popasali niemal w cieniu drzew rosnących na jej skraju. Pnie miały grube i sękate, konary pokrzywione, liście ciemne i długie. Bluszcz oplatał je i słał się wokół po ziemi.

– Oto już Mroczna Puszcza – rzekł Gandalf – najrozleglejsze lasy północnej półkuli. Mam nadzieję, że wam się spodoba. Teraz trzeba odesłać te wspaniałe kucyki, które wam pożyczono.

Krasnoludy miały ochotę sprzeciwić się temu, lecz czarodziej przemówił im do rozumu.

– Beorn nie jest tak daleko stąd, jak wam się zdaje, a w każdym razie radziłbym dotrzymać obietnicy, bo niebezpiecznie jest mieć

w nim wroga. Pan Baggins ma bystrzejszy wzrok od was, jeśli nie zauważyliście, że co dzień po zmroku zjawiał się w pobliżu nas ogromny niedźwiedź i szedł krok w krok za nami lub siadał z dala i przy blasku księżyca patrzał na nasz obóz. A nie robił tego tylko po to, by nam dopomóc i wskazywać drogę, lecz również, by pilnować kucyków. Beorn jest wam życzliwy, ale swoje zwierzęta kocha jak rodzone dzieci. Nie doceniacie, ile wam okazał względów, pozwalając na nich galopować tak daleko, i nie przeczuwacie, co by się stało, gdybyście spróbowali zabrać je z sobą do puszczy.

– A koń? – spytał Thorin. – Nie wspomniałeś o odesłaniu swojego wierzchowca.

– Nie wspomniałem, bo go nie zamierzam odsyłać.

– Jakże więc będzie z twoją obietnicą?

– Niech cię o to głowa nie boli. Nie odeślę konia, ponieważ sam na nim wrócę.

W ten sposób dowiedzieli się, że Gandalf chce ich opuścić na skraju Mrocznej Puszczy, i wpadli w rozpacz. Nic jednak nie mogło wzruszyć postanowienia czarodzieja.

– Wszystko już omówiliśmy dawno temu, gdy wylądowaliśmy na Samotnej Skale – powiedział. – Nie ma co dalej dysputować. Jak wam mówiłem, czekają mnie pilne sprawy na południu. Już i tak się zapóźniłem przez wasze tarapaty. Może się jeszcze spotkamy, nim ukończycie tę wyprawę, a może nie. Będzie to zależało od waszego szczęścia, od waszej odwagi i rozsądku; posyłam z wami pana Bagginsa. Powiedziałem już kiedyś, że w tym hobbicie tkwi coś więcej, niż sobie wyobrażacie; wkrótce przekonacie się, że to prawda. Głowa do góry, Bilbo, nie rób takiej nieszczęśliwej miny. Pocieszcie się, Thorinie i cała kompanio! Bądź co bądź to wasza

wyprawa. Pomyślcie o skarbie, który was czeka u celu, a zapomnijcie o puszczy i o smoku, przynajmniej do jutra rana.

Powtórzył im to samo nazajutrz rankiem. Nie mieli więc wyboru, napełnili skórzane sakwy czystą wodą ze źródła, które znaleźli w pobliżu wylotu leśnej ścieżki, rozjuczyli kuce, rozdzielili bagaże, jak umieli najsprawiedliwiej – chociaż Bilbo miał wrażenie, że jemu przypadła szczególnie ciężka paka, i wcale nie cieszyła go myśl o dźwiganiu jej na własnym grzbiecie przez całe mile.

– Nie martw się! – rzekł Thorin. – Z każdym dniem bagaż będzie lżejszy, będzie go ubywało aż za prędko. Wkrótce prowiant się wyczerpie i przyjdzie nam wszystkim żałować, że nie dźwigamy cięższych worków.

Wreszcie pożegnali kuce i zwrócili je łbami w stronę Beornowego domu. Puściły się zaraz żwawym truchtem, jak gdyby bardzo rade, że ciemnościom Mrocznej Puszczy pokazują ogony. Kiedy znikały w dali, Bilbo przysiągłby, że coś jakby niedźwiedź wychynęło z cienia drzew i szybko podążyło za kucykami.

Z kolei zaczął się żegnać Gandalf. Bilbo, okropnie nieszczęśliwy, siadł na ziemi i marzył, by znaleźć się wraz z czarodziejem na siodle jego wierzchowca. Po śniadaniu (nadzwyczaj skromnym) zajrzał do lasu, a chociaż był ranek, puszcza wydała mu się ciemna jak noc i bardzo tajemnicza. „Jakby tam coś czyhało i patrzało na mnie" – pomyślał.

– Bywaj zdrów! – rzekł Gandalf do Thorina. – Bywajcie zdrowi wszyscy! Prosto jak strzelił przez puszczę wiedzie teraz wasza droga. Nie schodźcie ze ścieżki! Jeśli ją opuścicie, tysiąc szans przeciw jednej, że nigdy już nie uda wam się jej odnaleźć i nie wydostaniecie się z Mrocznej Puszczy. A w takim razie ani ja, ani nikt już by was pewnie więcej nie zobaczył.

– Czy koniecznie musimy przejść przez tę puszczę? – jęknął hobbit.

– Koniecznie – odparł czarodziej – jeżeli chcecie znaleźć się po jej drugiej stronie. Albo przebędziecie te lasy, albo musicie wyrzec się całej wyprawy. Nie pozwolę ci się teraz wycofać z kompanii, panie Baggins. Wstyd mi za ciebie, że taka myśl mogła postać w twojej głowie. Masz w moim zastępstwie opiekować się krasnoludami! – zakończył ze śmiechem.

– Nie, nie – rzekł Bilbo. – Ja wcale nie to miałem na myśli. Pytałem, czy nie można jakoś obejść puszczy okrężną drogą.

– Można, jeśli masz ochotę maszerować dwieście mil, czy coś koło tego, na północ, a potem dwa razy tyle z powrotem na południe. Ale i tak nie byłaby to droga bardzo bezpieczna. W tej części świata nie ma bezpiecznych dróg. Pamiętaj, że stoisz na brzegu Pustkowia i gdziekolwiek się obrócisz, możesz oczekiwać niespodzianek wszelkiego rodzaju. Zanimbyś obszedł od północy Mroczną Puszczę, trafiłbyś w doliny Szarych Gór, gdzie po prostu roi się od goblinów, skrzatów i orków najgorszego pokroju. Zanimbyś je obszedł od południa, zaszedłbyś do kraju Czarnoksiężnika; a nawet tobie, mój Bilbo, nie trzeba chyba tłumaczyć, co to za jeden. Nie radzę wam zbliżać się bodaj do miejsc, które on obejmuje wzrokiem ze swojej czarnej wieży. Trzymajcie się ścieżki leśnej, nie upadajcie na duchu, ufajcie, że wszystko pójdzie jak najlepiej, a przy wielkim szczęściu może wam się uda pewnego dnia wyjść z puszczy i ujrzeć przed sobą Długie Moczary, a za nimi na wschodzie wystrzelającą wysoko Samotną Górę, pod którą kochany stary Smaug drzemie i – miejmy nadzieję – wcale się was nie spodziewa.

– Doprawdy pocieszyłeś nas nadzwyczajnie – mruknął Thorin. – Do widzenia. Skoro nie chcesz iść dalej z nami, lepiej już nas pożegnaj bez dłuższej przemowy.

– Do widzenia, do widzenia naprawdę – rzekł Gandalf i zawróciwszy konia na zachód, odjechał. Nie mógł jednak oprzeć

się pokusie i rzucił im jeszcze ostatnie słowo. Nim się znalazł poza zasięgiem głosu, obrócił się w siodle, przyłożył dłonie do ust i zawołał. Głos czarodzieja doszedł ich nikły, lecz zrozumieli:

– Do widzenia! Bądźcie grzeczni i ostrożni, a nie schodźcie za nic ze ścieżki!

Po czym puścił konia w galop i po chwili zniknął im z oczu.

– Och, do widzenia! Jedźże sobie wreszcie! – odkrzyknęły krasnoludy, tym bardziej złe na Gandalfa, że szczerze były zrozpaczone tracąc jego towarzystwo. Zaczynała się najniebezpieczniejsza część drogi. Każdy załadował na plecy przypadającą mu w udziale ciężką pakę i sakwę z wodą, a potem odwrócili się od jasnych łąk i zanurzyli w ciemny las.

## Rozdział 8

# Muchy i pająki

zli gęsiego. Na ścieżkę wchodziło się jak gdyby przez sklepioną bramę do ciemnego tunelu utworzonego przez gałęzie dwóch ogromnych drzew, które pochylały się ku sobie, a tak były stare, tak ciasno oplecione bluszczem i tak brodate od porostów, że zachowały ledwie kilka sczerniałych liści. Ścieżka, bardzo wąska, wiła się kręto wśród pni. Wkrótce jasność dnia prześwitywała w wylocie bramy daleko za wędrowcami i otoczyła ich tak głęboka cisza, że każdy krok rozlegał się głośnym echem, i zdawało im się, że drzewa, schylone nad nimi, przysłuchują się uważnie.

Gdy oswoili oczy z półmrokiem, widzieli przed sobą i za sobą mały odcinek drogi w przyćmionym, zielonym świetle. Od czasu do czasu skąpa wiązka promieni słonecznych przedostawała się szczęśliwym przypadkiem przez jakąś szczelinę w liściach otwartą wysoko w górze, dzięki jeszcze bardziej niezwykłemu szczęściu nie grzęzła niżej nieco w splątanych konarach i zwichrzonych gałęziach i przebijała się ku ścieżce wąskim, lśniącym ostrzem. Lecz zdarzało się to rzadko, coraz rzadziej, aż wreszcie słońce znikło zupełnie.

W puszczy żyły czarne wiewiórki. Kiedy bystry, ciekawy wzrok hobbita przywykł do ciemności, Bilbo dostrzegał zwierzątka zwinnie przemykające w poprzek ścieżki i zaczajone za pniami drzew. Łowił też słuchem jakieś dziwne odgłosy, pomruki, stąpania, spieszną krzątaninę w gęstwie poszycia i wśród liści grubą warstwą zaścielających ziemię. Nie widział jednak stworzeń, które sprawiały

te hałasy. Najszkaradniejsze w tym lesie wydawały mu się pajęczyny, czarne, grube nici splecione w niezwykle gęste sieci, często przerzucone od drzewa do drzewa lub osnute wokół niższych gałęzi po obu stronach drogi. Nie zauważył ani razu sieci pajęczej w poprzek ścieżki, daremnie jednak próbował odgadnąć, czy bronił jej jakiś czar, czy też była po temu inna przyczyna.

Wkrótce wędrowcy znienawidzili puszczę równie serdecznie, jak przedtem podziemne tunele goblinów, bo ścieżka wydawała się jeszcze bardziej od tamtych lochów beznadziejna i ciągnęła się bez końca. Musieli wszakże iść wciąż naprzód, chociaż zmorzeni tęsknotą do widoku nieba i słońca, do podmuchu wiatru na twarzach. Tu, pod sklepieniem drzew, powietrze stało nieruchome, bez najlżejszego powiewu, wciąż jednakowo ciemne i duszne. Odczuwały to przykro nawet krasnoludy, przyzwyczajone do podziemnych robót, do obywania się nieraz przez długi czas bez dziennego światła; hobbici lubią budować mieszkania w norach, lecz nigdy w nich nie spędzają letnich dni, toteż Bilbo miał wrażenie, że się z wolna dusi.

Najgorsze były noce. Czarne jak smoła, i to bez przesady, z jaką zazwyczaj używa się tego wyrażenia: naprawdę tak czarne, że choć oko wykol. Bilbo próbował przesuwać własne dłonie tuż przed nosem, ale nie widział ich wcale. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że wędrowcy nic nie widzieli wśród nocy; widzieli – oczy. Sypiali wszyscy razem, ciasno do siebie przytuleni, a jeden zawsze pełnił wartę. Gdy przypadała kolej na Bilba, hobbit widział wszędzie dokoła błyski w ciemnościach, a czasem wyraźnie dostrzegał parę żółtych, czerwonych lub zielonych ślepiów wpatrzonych w niego z dość bliska, potem wolno blednących i znikających, by zaświecić znowu w innym miejscu. Niekiedy błyskały w górze, wśród gałęzi, nad jego głową, i wtedy były

najbardziej przerażające. Lecz szczególną odrazę czuł do okropnych oczu bladych i wyłupiastych. „To są oczy owadzie – myślał – nie zwierzęce, ale za wielkie na owada".

Mimo że nie było zbyt zimno, krasnoludy próbowały na noc rozpalać ognisko, wkrótce jednak musiały się tego wyrzec. Ogień bowiem ściągał niezliczone setki oczu, które otaczały obozujących kręgiem, chociaż żadne stworzenie nie pokazało się nigdy w zasięgu migotliwego światła. Co gorsza, ogień zwabiał tysiące szarych i czarnych ciem; trafiały się wśród nich wielkie jak twoja dłoń, a wszystkie trzepotały i wirowały koło uszu krasnoludów. Nie mogli tego ścierpieć, podobnie jak ogromnych nietoperzy, czarnych i lśniących jak cylinder. Zaniechali więc rozniecania ognisk i nocami drzemali skuleni w niezgłębionych, przerażających ciemnościach.

Trwało to długo, hobbitowi zdawało się, że wędrują przez puszczę wieki całe, i był stale głodny, bo musieli oszczędnie gospodarować prowiantami. Pomimo przedsięwziętych środków ostrożności ogarniał ich już niepokój, bo dnie mijały, a w lesie nic się nie zmieniało. Zapasy nie były przecież niewyczerpane, dno już przeglądało w workach. Spróbowali polowania na wiewiórki, ale zmarnowali wiele strzał, nim w końcu któraś spadła na ścieżkę. Kiedy ją wszakże upiekli, okazała się wstrętna w smaku, toteż wyrzekli się strzelania do tych stworzeń.

Dokuczało im również pragnienie, bo wody nie mieli ze sobą dużo, a jak dotąd nie spotkali źródła ani strumienia. Tak się powodziło wędrowcom, gdy nagle pewnego dnia ujrzeli potok, przecinający drogę w poprzek. Płynął wartko, a woda w nim była czarna, czy może tylko taka się wydawała w mroku. Dobrze zrobił Beorn, że przestrzegł krasnoludów, inaczej z pewnością rzuciliby się pić tę wodę, nie zważając na brzydki kolor, i napełniliby puste skórzane wory u brzegów potoku. Mając jednak w pamięci

przestrogę, myśleli tylko o tym, jak się przeprawić suchą nogą. Kiedyś istniał tu drewniany most, teraz wszakże przegniłe deski zapadły się i jedynie parę połamanych pali sterczało przy brzegu.

Bilbo ukląkł na skarpie i wytężając wzrok krzyknął:

– U drugiego brzegu widzę łódź! Czemuż, u licha, nie po tej stronie!

– Jak oceniasz odległość? – spytał Thorin, krasnoludy bowiem zdążyły się już przekonać, że hobbit ma lepszy od nich wzrok.

– To nie bardzo daleko. Około dwunastu łokci, jak myślę.

– Dwanaście? Mnie się zdawało, że trzydzieści co najmniej. Co prawda oczy już mi nie służą tak dobrze jak sto lat temu. No, ale dwanaście łokci czy cała mila na jedno dla nas wychodzi. Nie przeskoczymy, a przeprawy w bród ani wpław nie możemy ryzykować.

– Czy któryś z was nie umiałby przerzucić liny?

– Cóż by nam z tego przyszło? Łódź jest z pewnością uwiązana, nie przeciągniemy jej, choćby się udało ją zahaczyć, co bardzo wątpliwe.

– Nie zdaje mi się, żeby ta łódź była uwiązana – rzekł Bilbo – ale w tym mroku trudno dostrzec wyraźnie. Wygląda raczej na to, że ją po prostu wyciągnięto na brzeg, który po tamtej stronie jest niski w miejscu, gdzie ścieżka schodzi do wody.

– Dori jest najsilniejszy, ale Fili najmłodszy i wzrok ma bystrzejszy – powiedział Thorin. – Chodź no tu, Fili. Czy widzisz łódkę, o której pan Baggins mówi?

Fili miał wrażenie, że widzi, a gdy wpatrywał się w ciemność dość długo, by nabrać dokładniejszego pojęcia o kierunku i odległości, towarzysze podali mu linę. Mieli z sobą sznury, wybrali więc najdłuższy, uwiązali u końca jeden z dużych żelaznych haków, których używali przyczepiając worki do rzemiennych szelek

na swych ramionach. Fili ujął linę mocno, nabrał rozmachu i cisnął ją poprzez strumień.

Z pluskiem wpadła do wody.

– Za blisko – orzekł Bilbo, wpatrując się w mrok. – Parę stóp dalej, a byłaby trafiła do łodzi. Spróbuj raz jeszcze. Chyba czar nie jest taki potężny, żeby ci mógł zaszkodzić, jeśli dotkniesz mokrej liny.

Fili jednak dość podejrzliwie patrzał na hak, gdy przyciągnąwszy linę z powrotem, ujmował go znów w garść. Tym razem zamachnął się jeszcze silniej niż poprzednio.

– Tylko spokojnie – rzekł Bilbo. – Rzuciłeś hak aż na skraj lasu po drugiej stronie rzeki. Ściągaj teraz linę powoli. – Fili posłusznie zaczął ściągać linę. Bilbo znów zakomenderował: – Ostrożnie! Już leży w łodzi. Byle teraz hak chciał chwycić!

Hak chwycił, lina się naprężyła, lecz na próżno Fili usiłował ją przyciągnąć. Najpierw Kili, potem Oin i Gloin pospieszyli mu z pomocą. Ciągnęli razem z całych sił i nagle wszyscy przewrócili się na wznak. Bilbo jednak czuwał: natychmiast chwycił linę, a potem już kijem przytrzymał czarną łódeczkę, zbliżającą się w poprzek nurtu do brzegu.

– Na pomoc! – krzyknął.

W samą porę przyskoczył Balin i chwycił łódkę, nim ją prąd uniósł w dół strumienia.

– A jednak była uwiązana – rzekł Balin, oglądając zerwany koniec sznura, zwisający u burty. – Nie ma co, dobrzeście ciągnęli, chłopcy, a na szczęście nasza lina była od tej mocniejsza.

– Kto się przeprawi pierwszy? – spytał Bilbo.

– Ja – powiedział Thorin – a ze mną razem ty, Fili i Balin. Tylu naraz pomieści łódka. Potem przepłynie Kili, Oin, Gloin i Dori, następnie Ori, Nori, Bifur i Bofur, a ostatni – Dwalin i Bombur.

– Zawsze jestem na ostatku i już mi się to sprzykrzyło – rzekł Bombur. – Dziś kolej na kogoś innego.

– Nie trzeba było tak sadłem obrastać. A skoroś najgrubszy, musisz płynąć z najlżejszą załogą. Nie sprzeciwiaj się rozkazom, bo się to źle skończy.

– Nie ma wioseł. Jak odepchniecie łódkę z powrotem na ten brzeg? – spytał hobbit.

– Podajcie mi drugą linę i jeszcze jeden hak – odezwał się Fili, a gdy dostał, czego potrzebował, cisnął znów linę w ciemność przed siebie, celując, jak mógł najwyżej. Nie opadła na ziemię, więc upewnili się, że zahaczyła mocno o gałęzie.

– Wsiadajcie teraz – rzekł Fili – jeden niech trzyma się liny, która po tamtej stronie zaczepiona jest o drzewo. Ktoś inny musi pilnować haka, którego używaliśmy na początku, a kiedy już wylądujecie bezpiecznie na drugim brzegu, założycie hak na burtę tak, żebyśmy stąd mogli łódkę ściągnąć do siebie.

Tym sposobem wkrótce wszyscy przeprawili się przez zaczarowany strumień. Dwalin właśnie gramolił się na brzeg z liną zwiniętą na ramieniu, a Bombur (wciąż jeszcze urażony) przygotowywał się do pójścia w ślady Dwalina, gdy nagle zdarzyło się coś strasznego. Na ścieżce tuż przed nimi zadudniły kopyta i z ciemności wychynął znienacka rozpędzony jeleń. Wpadł prosto między krasnoludy, roztrącił je i dał susa. Skoczył wspaniale i jednym zamachem przesadził strumień. Mimo to nie dosięgnął drugiego brzegu bez szwanku. Z całej kompanii jedynie Thorin utrzymał się na nogach i nie stracił głowy. Natychmiast po wylądowaniu napiął łuk i założył strzałę, gotów do walki, gdyby pojawił się jakiś strażnik łodzi. Szybko więc i pewnym ruchem posłał strzałę za jeleniem, który dostał ją w locie,

bo zachwiał się spadając na brzeg. Mrok lasu pochłonął go, krasnoludy słyszały nierówny tętent kopyt, który urwał się nagle.

Nim wszakże kompania zdążyła wznieść okrzyk na cześć celnego strzału, przeraźliwy jęk hobbita odwrócił powszechną uwagę od łowieckich tryumfów Thorina.

– Bombur! Bombur wpadł do wody! Bombur tonie! – szlochał Bilbo.

Była to niestety prawda. Bombur ledwie jedną nogą stał na lądzie, gdy jeleń przeskoczył mu nad głową. Krasnal potknął się, odpychając niechcący łódź od brzegu, i runął wstecz w czarną toń; na próżno próbował uczepić się rękami śliskich korzeni, podczas gdy łódka z wolna odpływała z prądem, aż zniknęła.

Kiedy krasnoludy podbiegły na brzeg, kaptur Bombura jeszcze unosił się na wodzie. Szybko rzucono nieborakowi linę. Chwycił za hak, a towarzysze przyholowali go na ląd. Przemókł oczywiście do nitki, lecz nie to było najgorsze. Kiedy układali go na ziemi, już spał głęboko, kurczowo ściskając w garści linę, tak że nie mogli mu jej wyrwać, i żadnym sposobem nie zdołali go obudzić.

Stali wszyscy nad śpiącym, przeklinając zły los i niezdarność Bombura, lamentując nad stratą łódki, bez której nie można było wrócić na tamten brzeg, by poszukać zabitego jelenia, gdy do uszu ich doszło jakby z wielkiej dali przytłumione granie rogu i szczekanie psów. Krasnoludy umilkły i przysiadły na ziemi. Zdawało im się, że gdzieś od północy słyszą odległy gwar wielkiego polowania, nie zobaczyli jednak nic i nikogo.

Długo tak siedzieli, nie odważając się poruszyć. Bombur spał z uśmiechem na pyzatej twarzy, jakby już nic go nie obchodziły wszystkie kłopoty nękające towarzyszy. Nagle na ścieżce przed nimi ukazały się białe sarny, łania i jelonki tak nieskazitelnie białe, jak czarny był ubity rogacz. Lśniły bielą w mroku lasu. Zanim Thorin

zdążył krzyknąć, paru krasnoludów zerwało się na nogi i wypuściło strzały z łuków. Żaden, jak się zdaje, nie trafił. Stadko zawróciło i zniknęło wśród drzew równie cicho, jak się pojawiło; daremnie krasnoludy strzelały za nim z łuków.

– Stój! Stój! – krzyczał Thorin, ale było już za późno, jego rozgorączkowani podwładni zmarnowali ostatnie strzały. Łuki, darowane im przez Beorna, miały więc odtąd stać się bezużyteczne.

Posępnie cała kompania przesiedziała tę noc, a jeszcze posępniej wędrowała następnego dnia naprzód. Przebyli zaczarowany strumień, lecz na tym brzegu ścieżka wydawała się równie błędna jak na tamtym, a w puszczy nie dostrzegali żadnej zmiany. Gdyby wiedzieli coś więcej o tym szlaku i zastanowili się nad zagadką owego zasłyszanego polowania i białych sarn, które ukazały się na ich ścieżce, byliby się domyślili, że wreszcie zbliżają się do wschodniego skraju puszczy; a gdyby nie utracili ducha i nadziei, wkrótce znaleźliby się wśród rzadszego lasu, gdzie częściej przebłyskuje słońce.

Nic z tego jednak nie wiedzieli, a dodatkowo teraz utrudniał im pochód ciężki Bombur, którego musieli nieść, jak się dało; na zmianę coraz to inna czwórka dźwigała bezwładnego grubasa, podczas gdy reszta musiała między siebie dzielić wszystkie bagaże. Nigdy by ich nie udźwignęli, gdyby nie to, że worki w ostatnich dniach stały się aż nazbyt lekkie. Niewielka to była pociecha taszczyć śpiącego, uśmiechniętego Bombura zamiast worków napełnionych żywnością, choćby i bardzo ciężką. Po paru dniach nic już właściwie nie mieli do jedzenia i picia. Nic też jadalnego nie znajdowali w lesie, gdzie rosły tylko mchy i trawy, blade i cuchnące.

W cztery dni po przeprawie przez zaczarowany strumień weszli w las wyłącznie brzozowy. Z początku zdawała im się pomyślna ta

odmiana, bo brzezina nie miała poszycia i mrok tu był mniej głęboki. Otoczyło ich zielonkawe światło i miejscami mogli zaglądać w głąb puszczy po obu stronach ścieżki. Lecz mimo tego przejaśnienia nie zobaczyli nic prócz nie kończących się szeregów siwych, prostych pni, jakby filarów jakiejś olbrzymiej, tonącej w półmroku sali. Lekki powiew poruszał teraz powietrzem i dochodził szum wiatru, ale brzmiał smutnie. Kilka liści z szelestem opadło z drzew, przypominając krasnoludom, że na świecie zbliża się już jesień. Stopy ich nurzały się w suchych liściach niezliczonych poprzednich jesieni, które wiatr spiętrzył na ścieżce, zmiatając je z ciemnopurpurowych kobierców lasu.

Ale Bombur wciąż jeszcze spał, a wędrowców coraz większe ogarniało znużenie. Od czasu do czasu dolatywał ich uszu jakiś niepokojący wybuch śmiechu, niekiedy z daleka słyszeli śpiewy. Śmiech dźwięczał wesoło i nie był podobny do głosów goblinów, śpiew również brzmiał pięknie, ale było w nim coś czarodziejskiego i niesamowitego, toteż nie dodawał krasnoludom otuchy; zbierały resztki sił i jak najprędzej starały się minąć te miejsca.

Upłynęły znów dwa dni, ścieżka zaczęła opadać w dół i wkrótce zeszli w dolinę, całą prawie zarosłą potężnymi dębami.

– Czy ten przeklęty las nie ma końca? – rzekł Thorin. – Niech ktoś wlezie na drzewo i spróbuje dostać się tak wysoko, żeby rozejrzeć się w okolicy. Nie ma innego sposobu, trzeba upatrzyć najwyższe drzewo nad ścieżką.

„Ktoś” oczywiście znaczyło: Bilbo. Na niego padł wybór, bo jeśli wywiad miał przynieść jakiś pożytek, wysłannik musiał wytknąć głowę nad wierzchołek drzewa, a więc musiał być tak lekki, żeby utrzymały go najwyższe, najcieńsze gałązki. Biedny pan Baggins nie miał wszakże wprawy w łażeniu po drzewach; towarzysze podsadzili go na najniższy konar olbrzymiego dębu, który rósł tuż

przy ścieżce, a dalej hobbit musiał sobie radzić, jak umiał. Przepychał się w górę przez gąszcz i nieraz gałązka trzepnęła go boleśnie po oczach. Umorusany, umazany zielenią omszałej na grubszych konarach kory, kilkakroć osuwał się i w ostatniej sekundzie ratował szczęśliwie; ciężką walkę stoczył w górze, gdzie nie było dogodnych do wspinaczki gałęzi, aż wylazł pod sam wierzchołek. Przez cały czas myślał z niepokojem, czy nie spotka na dębie pająków, a także jakim cudem zejdzie na dół (jeśli po prostu nie zleci).

W końcu wychynął ponad liściasty strop i rzeczywiście zastał tam pająki. Ale były to zwykłe pająki zajęte polowaniem na motyle. Światło niemal całkowicie oślepiło hobbita. Z daleka, z dołu, słyszał nawoływanie krasnoludów, lecz nie mógł im odpowiedzieć, kurczowo trzymał się tylko gałęzi i zaciskał powieki. Słońce olśniewało blaskiem, długa chwila minęła, nim Bilbo oswoił z nim wzrok. Kiedy wreszcie mógł otworzyć oczy, zobaczył wokół siebie morze ciemnej zieleni, tu i ówdzie falujące pod tchnieniem wiatru; wszędzie roiło się od motyli; była to, jak mi się zdaje, odmiana purpurowego admirała, motyla, który upodobał sobie wierzchołki dębów, lecz aksamitna i czarna, bez dostrzegalnego deseniu na skrzydłach.

Czas jakiś Bilbo przyglądał się „czarnym admirałom” i rozkoszował miłym powiewem, muskającym mu włosy i twarz; w końcu krzyki krasnoludów, już wręcz przytupujących ze zniecierpliwienia, przypomniały hobbitowi, po co wlazł na drzewo. Niestety! Chociaż wytężał oczy z wszystkich sił, nie dostrzegał nic prócz drzew i liści, w żadnym kierunku nie sięgał wzrokiem granicy puszczy. W pierwszej chwili, gdy ujrzał słońce i poczuł wiatr, kamień spadł mu z serca, ale teraz znów poczuł

na nim taki ciężar, że uciekło mu aż w pięty: pomyślał, że na dole pod dębem nie czeka go obiad.

W rzeczywistości, jak wam wspomniałem, wędrowcy znajdowali się już dość blisko skraju lasu. Gdyby Bilbo się zastanowił, zauważyłby, że wprawdzie drzewo, na którym siedział, było bardzo wysokie, lecz stało niemal na dnie głębokiej i szerokiej doliny; dlatego z wierzchołka widział tylko czuby innych drzew spiętrzone dokoła jakby na krawędziach ogromnej miski; z tego miejsca nie można było zbadać, jak daleko sięga puszcza. Bilbo jednak tego nie rozumiał, toteż zlazł z dębu zrozpaczony. Wylądował w końcu na ziemi podrapany, spocony i nieszczęśliwy i znów w pierwszej chwili nic nie widział w mroku panującym na ścieżce. Gdy zdał sprawę z tego, co zobaczył, wszystkich zaraził przygnębieniem.

– Las ciągnie się bez końca, bez końca we wszystkie strony. Co teraz zrobimy? I po co wysyłaliśmy hobbita na zwiady? – krzyczeli tak, jakby to była jego wina. Nie chcieli wcale słuchać o motylach, a kiedy opowiadał z zachwytem o świeżym powiewie tam w górze, wpadli w tym gorszą złość, że są za ciężcy, żeby się dostać na szczyt dębu i zakosztować tej przyjemności.

Tego wieczora wyskrobali ostatnie mizerne resztki i okruchy z worków, a nazajutrz obudziwszy się stwierdzili po pierwsze, że są okropnie głodni, a po drugie, że deszcz pada i że to tu, to tam ciężkie krople kapią przez strop liści na drogę leśną. To im przypomniało, że mają gardła zaschnięte od pragnienia i niczym nie mogą go zaspokoić; kiedy się strasznie chce pić, niewiele przecież pomoże stanąć pod olbrzymim dębem i czekać, czy przypadkiem jakaś kropelka nie kapnie ci na wywieszony język. Jedyna nieco pocieszająca niespodzianka spotkała ich ze strony Bombura.

Bombur nagle zbudził się i siadł, drapiąc się w głowę. Nie mógł pojąć, gdzie się znajduje i dlaczego jest taki głodny; zapomniał

wszystko, co się zdarzyło od początku wyprawy, od owego jakże już odległego majowego poranka. Ostatnie wspomnienie zachował z zebrania w domu hobbita; towarzysze niemało się natrudzili, nim zechciał w końcu uwierzyć w ich opowieści o późniejszych przygodach.

Kiedy się dowiedział, że nie ma nic do jedzenia, siadł na ziemi i zapłakał, czuł się bowiem bardzo słaby i nogi miał jak z waty.

– Ach, po co się zbudziłem! – szlochał. – Miałem takie prześliczne sny! Śniło mi się, że wędruję przez las, podobny zresztą do tego, ale oświetlony przez łuczywa zatknięte na drzewach, latarnie kołyszące się u gałęzi i ognisko rozpalone na ziemi; w tym lesie odbywała się uczta i zabawa bez końca. Król leśny miał koronę z liści, a wszyscy śpiewali wesoło. Nie potrafię wam nawet wyliczyć i opisać wszystkich dobrych rzeczy, które tam się jadło i piło.

– Nie wysilaj się lepiej – rzekł Thorin. – Prosiłbym cię nawet, żebyś milczał, jeśli o niczym innym nie umiesz mówić. Już i tak dość mieliśmy z tobą kłopotu. Gdybyś się nie zbudził, zostawilibyśmy cię razem z twoimi głupimi snami w lesie. To nie żarty po kilku tygodniach postu dźwigać takiego grubasa.

Nie było innej rady: zacisnęli pasy na pustych brzuchach, pozbierali puste worki i skrzynie i powlekli się dalej ścieżką; nie spodziewali się wyjść z puszczy, nim opadną do reszty z sił i zamrą z głodu. Szli przez dzień cały, bardzo powoli, ciężko, a Bombur bez ustanku lamentował, że nogi już go nieść nie chcą i że woli położyć się na ziemi i usnąć z powrotem.

– Ani się waż! – odpowiadali mu towarzysze. – Niech i twoje nogi trochę popracują, dźwigaliśmy cię dość długo.

Mimo to w pewnej chwili Bombur nagle stanął, oświadczając, że ani kroku więcej nie zrobi, i rzucił się na ziemię.

– Idźcie dalej, jeżeli musicie – rzekł – ja tu się położę, zasnę i będę przynajmniej śnił o jedzeniu, skoro na jawie go dostać nie mogę. Mam nadzieję, że już nigdy się nie obudzę.

W tym momencie Bilbo, który wysunął się nieco naprzód, zawołał:

– A to co? Zdawało mi się, że tam w lesie błysnęło jakieś światełko.

Wszyscy zaczęli się wpatrywać w gąszcz i dostrzegli gdzieś w oddali jakby migotanie czerwonego płomienia wśród mroków; potem obok pierwszego błysnęło drugie i trzecie światło. Nawet Bombur zerwał się na nogi i wszyscy ruszyli znów przed siebie, nie zważając, że mogły to przecież być trolle albo gobliny. Światło jaśniało trochę na lewo od ścieżki, a gdy wreszcie dotarli do miejsca, skąd widać je było w linii prostej – stwierdzili, że bez wątpienia na drzewach płoną łuczywa, a na ziemi pali się ognisko, lecz że to wszystko dzieje się dość daleko od drogi.

– Wygląda na to, że mój sen się sprawdza – wysapał Bombur, który zdyszany wlókł się na końcu pochodu. Chciał natychmiast skręcić w las ku światłom. Inni jednak dobrze pamiętali przestrogę czarodzieja i Beorna.

– Cóż nam po uczcie, jeśli z niej żywi nie wrócimy? – rzekł Thorin.

– Przecież bez uczty także długo nie utrzymamy się przy życiu – odparł Bombur, a Bilbo z całego serca przyznał mu rację. Dość długo wymieniali argumenty za i przeciw, wreszcie zgodzili się, że trzeba wysłać dwóch zwiadowców, którzy podpełzną bliżej do ogniska i zbadają, co się tam dzieje. Ale nie mogli się znów pogodzić, kto pójdzie na zwiady; nikt nie zdradzał zapału do wyprawy, która by go naraziła na zabłądzenie w puszczy i odłączenie się już na zawsze od kompanii. W końcu, wbrew przestrogom, usłuchali głodu, ponieważ Bombur wciąż im

opowiadał o przysmakach, które – wedle jego snów – zajadano na leśnej uczcie. Opuścili więc wszyscy razem ścieżkę i zagłębili się w puszczę.

Dość długo musieli czołgać się i skradać, nim wreszcie, wyglądając zza pni, zobaczyli polanę, na której wycięto drzewa, a grunt porządnie wyrównano. Sporo osób, jak gdyby elfów w zielonych i brunatnych ubraniach, siedziało w krąg na pieńkach pozostałych po ściętych dębach. Pośrodku paliło się ognisko, a dookoła płonęły łuczywa zatknięte na kilku drzewach. Lecz najpiękniejsze w tej scenie było to, że wszyscy jedli, pili i śmiali się wesoło.

Zapach pieczeni miał taki urok, że cała kompania, nie tracąc czasu na narady, ruszyła naprzód i wbiegła na polanę, zgodnie chcąc prosić o jedzenie. Ledwie jednak pierwszy krasnolud pokazał się z lasu, wszystkie światła pogasły jakby zaczarowane. Ktoś musiał kopniakiem rozrzucić ognisko, bo wystrzeliło w górę, opadło deszczem iskier i sczerniało. Wędrowcy znaleźli się w nieprzeniknionych ciemnościach, przez dość długą chwilę nie widzieli się nawet wzajemnie. Szamotali się gorączkowo, na oślep, przewracali przez kłody, rozbijali o pnie, krzyczeli i zwoływali tak hałaśliwie, że musieli pobudzić na milę wokół wszelkie stworzenia w puszczy, aż wreszcie zebrali się i policzyli po omacku. Oczywiście w tym zamieszaniu stracili zupełnie orientację i nie mieli pojęcia, w którym kierunku należy szukać ścieżki; zabłąkali się beznadziejnie, a w każdym razie do rana nie mogli nic przedsięwziąć.

Nie było innej rady, jak rozłożyć się na nocleg tam, gdzie stali; nie śmieli nawet przeszukiwać polany, gdzie pewnie poniewierały się resztki jedzenia, bali się bowiem rozłączać. Nie leżeli jednak długo,

Bilbo ledwie zaczynał drzemać, kiedy Dori, który pierwszy stanął na warcie, odezwał się donośnym szeptem:

– Światła wracają znów tutaj. Jest ich więcej niż przedtem.

Wszyscy się zerwali. Rzeczywiście, gdzieś w pobliżu błyskały migotliwe światełka, dochodziły też zupełnie wyraźnie jakieś głosy i śmiechy. Krasnoludy – hobbit także – zaczęły pełznąć z wolna w tamtą stronę gęsiego, a każdy trzymał w ciemnościach rękę na plecach poprzednika. Gdy już byli blisko, Thorin rzekł:

– Tym razem nie będziemy wyskakiwać znienacka. Niech się nikt nie rusza, póki nie dam rozkazu. Wyślę najpierw samego pana Bagginsa, on się z nimi rozmówi. Nie zlękną się z pewnością hobbita („Ha! – pomyślał Bilbo – a hobbit ich?"), a w każdym razie mam nadzieję, że mu nie zrobią krzywdy.

Dotarłszy do granicy świetlnego kręgu, wypchnęli nagle Bilba naprzód. Zanim zdążył wsunąć pierścień na palec, wypadł w blask bijący od ogniska i pochodni. Niestety! Wszystkie światła znów pogasły natychmiast ł zaległy głuche ciemności.

Jeśli poprzednio trudno im było pozbierać się do gromady, to teraz mieli z tym jeszcze więcej kłopotu. A hobbita w ogóle nie mogli znaleźć. Liczyli się raz i drugi, wciąż było ich tylko trzynastu. Zaczęli więc krzyczeć i wołać: „Bilbo Baggins! Hobbit! Do licha, Bilbo! Hej! Gdzieżeś się podział, niezdaro?" – i tak dalej, wciąż jednak bez skutku.

Stracili już nadzieję, gdy nagle Dori wpadł na hobbita przypadkiem. Przewrócił się w ciemności, myśląc, że potknął się o kłodę, a tymczasem był to Bilbo, skulony na ziemi i uśpiony. Długo nie mogli się go dobudzić, a kiedy w końcu się ocknął, wcale im nie podziękował.

– Miałem taki śliczny sen – powiedział. – Śniło mi się, że jadłem wspaniały obiad.

– Wielkie nieba! Drugi Bombur! – zawołały krasnoludy. – Nie opowiadaj nam swoich snów. Przyśnionym obiadem nikt się nie naje, tym bardziej że nie możesz się nim z nami podzielić.

– Lepszego obiadu nie mogę się w tym przeklętym lesie spodziewać – mruknął Bilbo i położył się obok krasnoludów, usiłując zasnąć na nowo i odnaleźć swój miły sen.

Lecz światła w lesie nie dały o sobie zapomnieć. W jakiś czas potem, jakoś już chyba pod koniec nocy, Kili, który z kolei pełnił wartę, zbudził towarzyszy mówiąc:

– Istna iluminacja zaczęła się znów niedaleko nas w lesie: zapalono setki pochodni i mnóstwo ognisk, a wszystkie naraz, z pewnością magicznym sposobem. Posłuchajcie, tam śpiewają i grają na harfach.

Chwilę przysłuchiwali się, leżąc na ziemi, potem doszli do wniosku, że pokusa jest nie do odparcia i że trzeba raz jeszcze spróbować, czy nie uda się uzyskać jakiejś pomocy. Znowu się więc zerwali, ale tym razem skutek miał być wręcz katastrofalny. Zobaczyli ucztę jeszcze wspanialszą niż poprzednio; na honorowym miejscu w długim szeregu ucztujących siedział leśny król, w koronie z liści na złocistych włosach, i wyglądał zupełnie tak, jak go Bombur widział we śnie. Puchary krążyły z rąk do rąk, elfy podawały je sobie nawet poprzez ogniska, śpiewając przy tym i przygrywając na harfach. Biesiadnicy mieli kwiaty wplecione w lśniące włosy, drogie kamienie, zielone i białe, błyszczały im na kołnierzach i pasach, twarze i pieśni tchnęły wesołością. Śpiewali głośno, czysto i pięknie, kiedy nagle Thorin stanął przed nimi.

Pieśń urwała się w pół słowa, zapadła głucha cisza. Światła pogasły. Ogniska zasyczały w kłębach czarnego dymu. Popiół

i iskry buchnęły w oczy krasnoludom, a las znowu napełnił się lamentem i krzykiem.

Bilbo biegał w kółko (tak mu się przynajmniej zdawało), w kółko i nawoływał wciąż: „Dori, Nori, Ori, Oin, Gloin, Fili, Kili, Bombur, Bifur, Bofur, Dwalin, Balin, Thorin!" – a tymczasem głosy, których właścicieli nie mógł wypatrzyć ani zmacać w ciemności, wykrzykiwały te same imiona, dodając oczywiście niekiedy: „Bilbo!" Lecz głosy te stopniowo oddalały się od hobbita, dochodziły coraz bardziej przytłumione, a chociaż w pewnym momencie wydało mu się, że zmieniły ton i gdzieś bardzo daleko zabrzmiały jak wrzask przerażenia i wołanie o ratunek – wszystko w końcu ucichło; Bilbo znalazł się zupełnie sam w głuchej ciszy i nieprzeniknionych ciemnościach.

Była to jedna z najgorszych chwil jego życia. Lecz szybko rozstrzygnął, że nie warto podejmować jakichkolwiek prób, dopóki dzień nie wstanie i nie rozjaśni choć trochę mroków, i że nie ma sensu trawić resztek sił na błądzenie po lesie, skoro nie można liczyć na śniadanie, które by go rankiem pokrzepiło znowu. Siadł więc oparłszy się plecami o jakieś drzewo i marzył – nie pierwszy raz i nie ostatni! – o swojej własnej, dalekiej norce i o jej bogatych spiżarniach. Pogrążony we wspomnieniach boczku, jajek, grzanek i masła, nagle poczuł jakieś dotknięcie. Coś jakby mocny, lepki sznurek oplotło lewą rękę hobbita, a kiedy chciał się zerwać, stwierdził, że takie same więzy splątały mu już nogi; próbując wstać przewrócił się więc natychmiast.

Wtedy olbrzymi pająk, który korzystając z drzemki Bilba oplótł go swoją siecią, wysunął się zza jego pleców. Bilbo widział tylko oczy napastnika, lecz czuł dotyk włochatych nóg, gdy pająk pracowicie owijał go całego obrzydliwą nicią. Na szczęście hobbit ocknął się w porę. Jeszcze chwila, a nie mógłby poruszyć bodaj

jednym palcem, i tak musiał stoczyć ciężką walkę, nim się wyzwolił. Najpierw zaczął bić wstrętnego potwora rękami, tamten zaś usiłował obezwładnić go trucizną, jak to robią małe pająki z muchami; Bilbo jednak przypomniał sobie, że ma u boku mieczyk, i dobył go z pochwy. Pająk odskoczył, a hobbit błyskawicznie przeciął więzy krępujące mu nogi. Z kolei sam zaatakował. Pająk najwidoczniej nigdy dotąd nie spotkał stworzenia uzbrojonego w tak groźne żądło; gdyby nie brak doświadczenia, umykałby z pewnością szybciej. Bilbo dopadł go, nim zniknął w ciemnościach, i rąbnął mieczem między oczy. Pająk jakby oszalał: zaczął podrygiwać, kręcić się, konwulsyjnie wywijać nogami, aż wreszcie hobbit dobił go drugim ciosem i sam wyczerpany padł, tracąc na dłuższy czas przytomność.

Kiedy ją odzyskał, otaczało go zwykłe w puszczy światło dzienne, mętne i szare. Martwy pająk leżał tuż obok, ostrze zaś mieczyka poznaczone było czarnymi plamami. Ale świadomość, że zabił olbrzymiego pająka i że zrobił to zupełnie sam, w ciemnościach, bez pomocy czarodzieja, krasnoludów czy kogokolwiek w świecie – jakoś dodała panu Bagginsowi otuchy. Nowy duch w niego wstąpił, mimo pustki w brzuchu poczuł się mężniejszy, bardziej bojowy, gdy otarłszy o trawę ostrze miecza chował go znów do pochwy.

– Dam ci imię – rzekł do mieczyka. – Odtąd nazywasz się Żądłem.

To rzekłszy ruszył na zwiady. Las był ponury i milczący, lecz Bilbo wiedział, że musi najpierw poszukać kompanów, którzy chyba nie mogli być daleko, jeśli ich nie wzięły do niewoli elfy (lub jakieś groźniejsze stwory). Hobbit rozumiał, że krzyczeć byłoby niebezpiecznie, stał więc czas jakiś w rozterce, nie mając pojęcia, w którą stronę iść, by trafić z powrotem na ścieżkę i odnaleźć przyjaciół.

– Ach, czemuż nie słuchaliśmy przestróg Beorna i Gandalfa! – wyrzekał. – Wpadliśmy okropnie! Gdybyż to my, ale to właśnie najgorsze, że jestem tylko ja, samiuteńki.

Wreszcie na chybił trafił wybrał kierunek, z którego – jak mu się zdawało – słyszał nocą ostatnie krzyki; na szczęście (Bilbo urodził się pod szczęśliwą gwiazdą) zgadł mniej więcej trafnie, jak się z dalszego ciągu przekonacie. Raz powziąwszy decyzję zaczął się skradać przez las bardzo ostrożnie i przemyślnie. Hobbici umieją poruszać się bardzo cicho, zwłaszcza w lasach – już wam o tym wspominałem. Bilbo w dodatku wsunął na palec pierścień, zanim się puścił w tę drogę. Toteż pająki nie słyszały ani też nie widziały, gdy się zbliżał.

Przeszedł tak chyłkiem spory kawałek lasu, gdy spostrzegł przed sobą zakątek, w którym mrok zalegał szczególnie gęsty, nawet w tej puszczy niezwykły, jak gdyby noc zostawiła po sobie czarną, nie zmytą przez świt plamę. Bilbo podkradł się bliżej i wtedy stwierdził, że plama składa się z sieci pajęczych, rozsnutych jedna za drugą i splątanych z sobą w gąszcz. Nagle zobaczył wśród tych sieci pająki, ogromne i szkaradne, zaczajone w gałęziach nad jego głową. Pierścień pierścieniem, lecz hobbit zadrżał z przerażenia na myśl, że pająki mogłyby go dostrzec. Ukryty za drzewem obserwował je czas pewien, aż w ciszy i spokoju lasu dosłyszał, że wstrętne stwory rozmawiają między sobą. Głosy miały przenikliwe, skrzeczące i syczące, ale Bilbo rozumiał wiele z tego, co mówiły. A mówiły o krasnoludach!

– Ciężko było, ale się opłaciło – rzekł jeden pająk. – Skórę mają obrzydliwie grubą, to prawda, założę się jednak, że w środku są bardzo soczyste.

– Aj, aj, co to będzie za przysmak, jeśli trochę przedtem powiszą – rzekł drugi.

– Nie trzymajcie ich za długo – wtrącił się trzeci. – Już i tak nie są takie tłuste, jak być powinny. Widać nie odżywiały się ostatnimi czasy dość dobrze.

– Ja wam radzę, zabijmy je od razu – syknął czwarty. – Zabijmy, a potem niech trochę jeszcze powiszą.

– Pewnie już nie żyją do tej pory – powiedział pierwszy.

– Gdzie tam! Przed chwilą widziałem, jak się któryś szamotał. Myślę, że zbudził się właśnie z miłego snu. Chodźcie, pokażę wam.

To mówiąc tłusty pająk pomknął po nitce pajęczyny na wysoką gałąź, z której zwisało rzędem dwanaście jakby kokonów. Kołysały się w mroku i Bilbo dopiero teraz je zauważył; serce mu zamarło ze zgrozy, kiedy dostrzegł sterczącą z oplotu pajęczyny tu nogę krasnoluda, ówdzie czubek nosa, brodę albo kaptur.

Pająk skierował się do najgrubszego kokonu. „To z pewnością ten biedak Bombur" – pomyślał Bilbo, wpatrując się bystro w wystający nochal. Z wnętrza pajęczego worka dobył się stłumiony wrzask, koniec stopy wyrwał się z więzów i wymierzył pająkowi celnego, potężnego kopniaka. A więc dusza kołatała się jeszcze w Bomburze! Plasnęło tak, jakby ktoś kopnął dziurawą, sflaczałą piłkę, pająk rozwścieczony zleciał z gałęzi i byłby się rozbił na ziemi, gdyby w ostatniej chwili nie złapał się własnej nici.

Inne pająki przyjęły to śmiechem.

– Miałeś rację – mówiły – nasze przysmaki jeszcze żyją, a nawet wierzgają.

– Zaraz z nimi zrobię porządek – syknął rozgniewany pająk, wspinając się po nitce z powrotem na gałąź.

Bilbo uznał, że nadszedł dla niego moment działania. Dostać się na drzewo do wstrętnej bestii nie mógł, nie miał też łuku ani strzał. Rozglądając się wokół, spostrzegł mnóstwo kamyków leżących tuż, jakby w łożysku wyschłego potoku. Hobbit miał wprawę

w rzucaniu kamieniami. Nie potrzebował szukać długo, by znaleźć zgrabny, gładki kamyk jajowatego kształtu, w sam raz pasujący mu do ręki. Gdy Bilbo był mały, nieraz zabawiał się ciskaniem kamieni, tak że króliki, wiewiórki, a nawet ptaki uciekały mu błyskawicznie z drogi, jeśli zauważyły, że się schyla; dorósłszy spędzał wiele czasu na takich grach jak palant, piłka i kręgle – słowem, lubił spokojne zabawy, polegające na rzucaniu do celu; Bilbo znał różne sztuki prócz puszczania kółek z dymu, zadawania i rozwiązywania zagadek i gotowania, chociaż nie miałem dotąd czasu, aby wam o tym powiedzieć. Teraz również nie czas na te rzeczy. Bo nim Bilbo uzbierał dość kamieni, pająk dostał się na gałąź do Bombura i już gotował się go zabić. W tym okamgnieniu Bilbo cisnął kamieniem. Trafił prosto w głowę. Pająk bezwładnie spadł z drzewa, plasnął o ziemię i legł z podkurczonymi nogami.

Następny kamień ze świstem przeciął gęstą sieć, porwał nici i paf! – uśmiercił na miejscu tkwiącego w jej środku pająka. Wtedy w gromadzie pająków wszczęło się okropne zamieszanie, tak że przez chwilę żaden z nich nie myślał o krasnoludach, możecie mi wierzyć. Pająki nie widziały Bilba, lecz orientowały się, z której strony sypią się pociski. Z szybkością błyskawicy zbiegły wszystkie, kołysząc się na nitkach nad głową hobbita, zarzucając wszędzie wkoło sieci tak gęsto, że w powietrzu zaroiło się od nich jak od węży.

Ale Bilbo już zdążył odskoczyć w inne miejsce. Przyszło mu na myśl, że najlepiej będzie odciągnąć rozwścieczone pająki jak najdalej od krasnoludów; chciał więc obudzić ich ciekawość, podrażnić je i rozgniewać. Gdy już z pięćdziesiąt bestii zgromadziło się nad jego poprzednim posterunkiem, cisnął kilka kamieni najpierw w ten tłum, a potem dalej, celując w pająki, które zatrzymywały się nieco w tyle za tamtymi. Wreszcie, tańcząc wśród

drzew, zaśpiewał im na złość, żeby wszystkie pociągnąć ku sobie; liczył przy tym, że krasnoludy usłyszą i poznają jego głos.

Oto, co śpiewał Bilbo:

Stare pajęczysko
Sieć obrzydłą tka.
Chciałby mnie wypatrzyć –
Przed oczyma mgła.
Obrzydluchu – ktoś jest zacz,
Chociaż ciemno – dobrze patrz,
Kto to tutaj człapie!
Stary łachmaniarzu,
Choćbyś z gniewu pękł,
Nic tu nie wypatrzysz
Pośród skalnych wnęk.
Obrzydluchu – ktoś jest zacz,
Zejdź z gałęzi – dobrze patrz –
I tak mnie nie złapiesz!

Niezbyt dowcipnie, ale pamiętajcie, że musiał tę piosenkę sklecić sam, na poczekaniu, i to w bardzo niesprzyjającym momencie. W każdym razie odniosła taki skutek, jakiego sobie Bilbo życzył. Śpiewając rzucał dalej kamieniami i przytupywał. Wszystkie niemal pająki pogoniły za nim: jedne spuściły się na ziemię, inne biegały po gałęziach z drzewa na drzewo lub przerzucały nowe pajęcze mosty przez ciemności lasu. Kierując się słuchem, dopędzały go szybciej, niż przewidywał. Były rozwścieczone. Nie mówiąc już o kamieniach, żaden pająk na świecie nie lubi, kiedy go ktoś nazwie starym pajęczyskiem, no a za przezwisko obrzydlucha każdy by się obraził.

Bilbo przemknął, lecz niektóre pająki rozbiegły się w różne strony po swojej ojczystej polanie i zaczęły pilnie prząść sieci, zamykając nimi wszystkie wolne przejścia między drzewami. Wkrótce hobbit miał znaleźć się uwięziony w zagrodzie z grubej pajęczyny – tego się przynajmniej spodziewały pająki. Bilbo stanął pośród uwijających

się, przędących swe nici stworów, zebrał całą odwagę i zaśpiewał nową piosenkę:

Wstrętny Gniocie, podła Klucho,
Coś z tą waszą siecią krucho!
Chociaż smaczny ze mnie kąsek –
Szukaj wiatru wśród gałązek!

Tutaj jestem – tu się chowam,
Na nic wasza wstrętna zmowa!
Nie wystarczy bowiem chcieć,
Nie złapiecie mię w swą sieć!

Skończywszy odwrócił się i zobaczył, że pajęczyna zasnuła już ostatnie przejście między dwoma wysokimi drzewami, ale na szczęście nie była to prawdziwa gęsta sieć, tylko długie pasma grubej nici w pośpiechu przerzucone od pnia do pnia. Błysnął mieczyk, Bilbo na strzępy pociął pajęczyny i śpiewający wydostał się z zamknięcia.

Pająki zobaczyły mieczyk, chociaż wątpię, czy wiedziały, co to jest; rzuciły się wszystkie w pogoń za hobbitem, biegnąc po ziemi, przez gałęzie, przebierając kosmatymi nogami, trzaskając szczypcami, wytrzeszczając oczy, pieniąc się z wściekłości. Ścigały go w głąb lasu, aż wreszcie Bilbo zatrzymał się, nie mając odwagi zapuszczać się dalej. Ciszej niż myszka pomknął z powrotem.

Rozumiał, że czasu na działanie ma bardzo mało. Pająki wkrótce zrażą się bezskutecznym pościgiem i wrócą na swoje drzewa, do wiszących bezwładnie krasnoludów. Nim się to stanie, trzeba uwolnić przyjaciół. Największą trudność przedstawiało dla hobbita wylezienie na długą gałąź, u której kołysały się kokony. Nie poradziłby sobie z tym chyba nigdy, gdyby nie to, że na szczęście któryś z pająków zostawił długą nić spuszczoną z drzewa aż do ziemi; lepiła się hobbitowi do ręki i kaleczyła skórę, lecz jakoś

z jej pomocą wydrapał się na górę – po to, by natknąć się od razu na starego, ociężałego, szkaradnego pająka, który tu wytrwał na straży więźniów i skracał sobie czas podszczypując to jednego to drugiego, żeby wybrać najsoczystszego do pożarcia. Łotr zamierzał rozpocząć ucztę, nie czekając na powrót kamratów, lecz pan Baggins zdążył w porę i nim pająk zrozumiał, co się święci, dźgnięty mieczykiem hobbita stoczył się bez życia z gałęzi.

Bilbo miał teraz przystąpić do uwalniania krasnoludów. Ale jak to zrobić? Jeśli przetnie sznur, na którym wisi kłąb pajęczyny, nieszczęsny krasnolud runie z impetem z bardzo wysoka na ziemię. Pełznąc wzdłuż gałęzi – co wprawiało biednych wisielców w dziwaczny taniec, tak że kołysali się niby dojrzałe owoce – Bilbo dosięgnął pierwszego z brzegu kłębka.

„Fili albo Kili" – pomyślał, dostrzegając czubek niebieskiego kaptura. – „Raczej Fili" – stwierdził, bo długi nos wystawał spośród oplotu pajęczyny. Wychylając się ryzykownie, zdołał przeciąć większość mocnych, lepkich nici spowijających krasnoluda i wtedy oczywiście Fili po kilku gwałtownych ruchach wyplątał się niemal cały na wierzch. Muszę wyznać, że Bilbo wybuchnął śmiechem na widok biedaka, który wymachiwał zdrętwiałymi rękami i nogami i podrygiwał na nitce pajęczej opasującej go pod pachami – zupełnie jak pajac na drucie.

Wreszcie Fili wygramolił się jakoś na gałąź i odtąd starał się w miarę sił pomagać hobbitowi, jakkolwiek czuł się bardzo marnie: zatruty był jadem pajęczym i zmęczony spędziwszy kilka godzin nocy i cały dzień w pozycji wiszącej, w ciasnych powijakach, z których ledwie nos mu wystawał, co go uratowało od całkowitego uduszenia. Długi czas minął, zanim oczyścił z obrzydliwych pajęczyn oczy i brwi, a brodę musiał po prostu krótko przystrzyc. We dwóch więc zabrali się do wyciągania,

jednego po drugim, krasnoludów na gałąź, potem zaś do uwalniania ich z więzów. Żaden nie był w lepszym stanie niż Fili, a ten i ów czuł się nawet jeszcze gorzej. Niektórzy prawie wcale nie mogli w pajęczej sieci oddychać (okazuje się, że długi nos bywa pożyteczny), a niektórzy więcej ucierpieli od jadu.

Tym sposobem wyzwolony został Kili, Bifur, Bofur, Dori i Nori. Biedny Bombur tak był wyczerpany – jako najtłuściejszy doznał najwięcej uszczypnięć i szturchańców – że osunął się z gałęzi i spadł jak kamień na ziemię, szczęściem trafiając na grubą warstwę liści, i tam legł bez siły. Lecz wciąż jeszcze pięciu krasnoludów dyndało na drzewie, gdy pająki, bardziej niż przedtem rozwścieczone, zaczęły ściągać z powrotem do swej siedziby.

Bilbo cofnął się do nasady gałęzi i zagrodził drogę pająkom wspinającym się po pniu. Ratując Fila zdjął z palca pierścień i dotychczas nie włożył go ponownie, więc wszystkie pająki syczały i pluły na jego widok:

– Teraz widzimy cię, wstrętna mała pokrako! Wyssiemy cię, a kości i skórę powiesimy na drzewie. Uf! On ma żądło, co? Ale i tak dobierzemy się do niego, a wtedy powisi ze dwa dni głową na dół.

Tymczasem krasnoludy pracowały nad uwolnieniem ostatnich więźniów, tnąc pajęczyny nożami. Wkrótce wszyscy byli wolni, jakkolwiek niepewni dalszego losu. Nocą pająki złowiły ich bez trudu, ale wtedy krasnoludy zostały zaskoczone znienacka i w ciemnościach. Teraz zanosiło się na straszliwą walkę.

Nagle Bilbo spostrzegł, że kilka pająków otoczyło starego Bombura, leżącego na ziemi, i spętawszy go po raz wtóry, usiłuje porwać z sobą. Bilbo krzyknął i z mieczem rzucił się na pająki, które miał przed sobą. Cofnęły się w popłochu, a hobbit zsunął się po pniu do stóp drzewa, w sam środek zgromadzonych wokół

Bombura wrogów. Takiego żądła jak jego mieczyk pająki nie spotkały w swym życiu. Kłuł i siekł, błyskając tryumfalnie, ilekroć ugodził przeciwnika. Gdy pół tuzina potworów padło trupem, reszta uciekła, zostawiając Bombura hobbitowi.

– Złaźcie na ziemię, złaźcie! – krzyknął na przyjaciół, wciąż jeszcze siedzących na gałęzi. – Na co tam czekacie? Żeby was znów spętano?

Widział bowiem, że pająki czają się gromadnie na sąsiednich drzewach i pełzną po gałęziach nad głowami krasnoludów.

Jedenastu krasnoludów naraz znalazło się w okamgnieniu pod drzewem: ten zsunął się po pniu, inny skoczył, jeszcze inny zleciał. Wszyscy prawie drżeli z osłabienia i ledwie trzymali się na nogach. Wreszcie jednak byli w gromadzie, licząc z biednym starym Bomburem – dwunastu; Bombura musieli podpierać z dwóch stron, zajęli się nim krewniacy, bracia Bifur i Bofur. Bilbo wciąż tańczył wywijając żądłem, a setka rozzłoszczonych pająków wytrzeszczała na całą kompanię oczy, oblegając ją ze wszystkich stron, a także z góry. Położenie wydawało się beznadziejne.

Zawrzała bitwa. Niektóre spośród krasnoludów miały noże, inne kije, a wszystkie – kamienie pod ręką; Bilbo oczywiście walczył swoim zaczarowanym mieczykiem. Raz i drugi odparto atak pająków, wiele z nich położono trupem. Lecz nie mogło to trwać długo. Bilbo gonił już resztkami sił, spośród krasnoludów ledwie czterech trzymało się mocno na nogach; można było przewidzieć, że wkrótce wszyscy padną jak zmęczone muchy. Pająki już snuły wokół nich sieci od drzewa do drzewa.

W końcu Bilbo nie widział innego ratunku jak wtajemniczyć przyjaciół w sekret swojego pierścienia. Godził się na to bardzo niechętnie, lecz nie było wyboru.

– Za chwilę zniknę – powiedział. – Postaram się wywabić stąd pająki. Wy trzymajcie się kupą i umykajcie w przeciwną niż ja

stronę, tam w lewo, bo to jest chyba kierunek, w którym traficie na polanę, gdzie ostatni raz widzieliśmy ognisko elfów.

Niełatwo było wytłumaczyć plan krasnoludom: w głowach im jeszcze szumiało, a w dodatku zgiełk panował okropny, szczękały kije, stukały miotane kamienie. Wreszcie Bilbo widząc, że nie sposób dłużej zwlekać, bo krąg pająków z każdą sekundą się zacieśnia, wsunął nagle pierścień na palec i ku zdumieniu przyjaciół – zniknął im z oczu.

Po chwili spośród drzew, gdzieś od prawej strony, huknął głos: „Obrzydluchu! Łachmaniarzu!" To rozzłościło pająki okropnie. Zatrzymały się, wiele z nich pobiegło w las, kierując się głosem Bilba. Ten krzyk budził w nich taką wściekłość, że traciły po prostu głowy. Wówczas Balin, który lepiej od innych pojął zamysły hobbita, poprowadził całą kompanię do natarcia. Krasnoludy, zbite w ciasną gromadę, sypnęły gradem kamieni na przeciwnika i spychając pająki w lewo, przedarły się przez zasieki pajęczyn na zewnątrz. Daleko za nimi okrzyki i śpiew nagle umilkły.

Z rozpaczliwą nadzieją w sercu, że jednak Bilbo nie dał się złapać, krasnoludy parły naprzód. Niestety, nie dość szybko. Były chore i zmęczone, ledwie się wlokły, ledwie kuśtykały, a tymczasem sporo pająków następowało im jeszcze na pięty. Coraz to uciekinierzy musieli odwracać się i stawiać czoło potworom, które ich dopędzały. Kilka pająków już zdążyło wleźć na drzewa nad krasnoludami i zarzucało na nich swoje długie, lepkie nici.

Sytuacja znów stała się groźna, lecz niespodzianie wrócił Bilbo i zaatakował zaskoczone pająki znienacka od skrzydła.

– Marsz naprzód! Naprzód! – krzyczał. – Ja ich tu zabawię Żądełkiem.

Nie obiecywał na wiatr! Nacierał, odskakiwał wstecz, siekł pajęcze zapory, rąbał kosmate nogi, dźgał w tłuste brzuchy, jeśli

który pająk ośmielił się do niego przybliżyć. Pająki szalały z wściekłości, pluły, pieniły się, syczały najokropniejsze przekleństwa. Ale bały się Żądełka jak śmierci. Nie ważyły się podchodzić zbyt blisko, odkąd ten mieczyk zjawił się znowu. Złościły się, miotały klątwy, a tymczasem zdobycz choć z wolna, lecz wytrwale wymykała się im z łap. Straszne to były chwile, a krasnoludom wydawały się długie jak godziny. Wreszcie, w momencie gdy Bilbo zrozumiał, że znużonym ramieniem nie udźwignie już w górę miecza, pająki nagle dały za wygraną, zaniechały dalszej pogoni i wróciły z niczym do swojej mrocznej siedziby.

Krasnoludy zorientowały się, że dotarły na skraj polany, gdzie elfy rozpalały ogniska; czy na to samo miejsce, na którym tej nocy widziały ucztę – trudno było rozstrzygnąć. Ale na pewno dobry czar panuje nad takim zakątkiem lasu, a pająki go nie znoszą. W każdym zaś razie dochodziło tu zielonawe światło, gałęzie nie tworzyły złowrogiego gąszczu i krasnoludy mogły nareszcie odpocząć i zaczerpnąć tchu.

Leżały czas jakiś sapiąc i dysząc, potem zaczęły Bilba zasypywać pytaniami. Musiał dokładnie wyjaśnić, jakim cudem potrafi znikać wszystkim z oczu, a historia o znalezieniu pierścienia tak ich zainteresowała, że na chwilę zapomniały o własnych tarapatach. Szczególnie Balin kazał sobie wciąż na nowo opowiadać o Gollumie, zagadkach i całej tej przygodzie, w której oczywiście pierścień odgrywał najważniejszą rolę. Ale kiedy zmierzchło, powstały nowe, inne zupełnie pytania: gdzie jesteśmy? Gdzie jest nasza ścieżka? Skąd wziąć coś do jedzenia? Co począć dalej? Te pytania powtarzali bez końca i zdawało się, że od małego hobbita spodziewają się usłyszeć na nie odpowiedzi. Widać z tego jasno, że gruntownie zmienił się sąd krasnoludów o panu Bagginsie

i że kompania nabrała dla niego wiele szacunku (jak to Gandalf przepowiedział). Nie narzekały, byle narzekać, lecz naprawdę oczekiwały, że Bilbo obmyśli jakiś wspaniały sposób ratunku. Dobrze teraz rozumiały, że zginęłyby, gdyby nie pomoc hobbita, i dziękowały mu wielokrotnie. Ten i ów nawet wstał i kłaniał mu się w pas, chociaż potem padał wyczerpany na ziemię i długą chwilę zbierać musiał siły, żeby się podnieść. Odkrycie tajemnicy, dzięki której mógł stawać się niewidzialnym, wcale nie umniejszyło ich szacunku dla Bilba. Hobbit miał nie mniej rozumu niż szczęścia, a na dodatek jeszcze czarodziejski pierścień – trzy bardzo cenne skarby. Doprawdy, tak go obsypali pochwałami, iż Bilbo zaczął wierzyć, że mimo wszystko tkwi w nim żyłka zuchwałego poszukiwacza przygód; więcej jednak czułby w sobie męstwa, gdyby było co na ząb położyć.

Ale nie było nic a nic. Żaden też z wędrowców nie miał siły, by wybrać się na poszukiwanie żywności i zagubionej ścieżki. Zagubiona ścieżka! Myśl o niej uporczywie nękała skołataną głowę Bilba. Siedział wpatrzony przed siebie, ale widział tylko nie kończący się las. Wkrótce wszyscy pomilkli. Z wyjątkiem Balina. Balin bowiem przez długi czas, gdy inni zaniechali rozmów i przymknęli oczy, powtarzał pod nosem, mrucząc i chichocząc:

– Gollum! A niechże go! Więc takim sposobem przemknął wtedy koło mnie, ha! Teraz rozumiem! A powiadał, że po prostu czołgał się cichcem! Guziki w drzwiach zostawił. Dobry sobie ten Bilbo, Bilbo, bo, bo... – I Balin kiwnął się usypiając, a wtedy cisza zaległa na długo.

Nagle Dwalin otworzył jedno oko i rozejrzał się po kompanii.

– Gdzie jest Thorin? – spytał.

Jakby ich piorun trzasnął! Oczywiście, było ich razem trzynastu, dwunastu krasnoludów i jeden hobbit. Gdzie się podział Thorin?

Jaki zły los mógł go spotkać, jaki czar, jakie dzikie bestie go porwały? Skulone na ziemi, zabłąkane krasnoludy drżały ze zgrozy. Tymczasem wieczór zmienił się w czarną noc, znużeni wędrowcy posnęli i śniły im się okropne sny.

Musimy ich na razie zostawić tak, śpiących w lesie, zbyt wyczerpanych i chorych, by pełnić kolejno wartę przy obozie.

Thorina wzięto do niewoli znacznie wcześniej niż resztę kompanii. Pamiętacie, jak Bilbo wkroczywszy w krąg świateł padł niby kłoda i usnął na miejscu? Następnym razem Thorin wysunął się naprzód i w momencie gdy światła pogasły, zapadł w kamienny sen. Nie słyszał nic, ani nawoływań zabłąkanych w ciemnościach przyjaciół, ani ich krzyków, gdy zostali zaatakowani i obezwładnieni przez pająki, ani zgiełku bitwy stoczonej następnego dnia. Wreszcie nadeszły leśne elfy, związały Thorina i zabrały z sobą.

Bo owe istoty ucztujące w lesie były to oczywiście leśne elfy. Nie są one złe, ale mają tę wadę, że nie ufają nieznajomym. Chociaż rozporządzają potężną magią, zawsze są i były nawet w tamtych czasach bardzo ostrożne. Różnią się wyraźnie od elfów z zachodu, zwanych wysokimi, są od nich groźniejsze i mniej mądre. Większość (podobnie jak ich krewniacy rozproszeni wśród wzgórz i po górach) pochodzi bowiem od starożytnych plemion, które nigdy nie przebywały na zachodzie i nie znały wróżek. Natomiast elfy „lekkie", elfy podziemne (czyli gnomy) oraz elfy morskie, zanim ściągnęły z powrotem w Szeroki Świat, żyły w tamtych krainach przez długie wieki, ucząc się czarów, zdobywając mądrość i wiedzę, opanowując magię, ćwicząc się w sztuce wyrabiania pięknych i cudownych przedmiotów. Na Szerokim Świecie elfy leśne przesiadywały w półmroku przed wzejściem słońca i księżyca, potem zaś wędrowały po lasach rosnących w tej stronie, gdzie słońce wschodzi. Najbardziej lubią skraj puszczy, stąd bowiem

mogą niekiedy wymykać się na łowy lub robić wycieczki na otwarte tereny przy świetle księżyca i gwiazd; odkąd zjawili się ludzie, elfy stopniowo wycofywały się coraz głębiej w mroki. Zawsze jednak były i nadal są elfami, to znaczy dobrymi istotami.

W ogromnej grocie, o kilka mil od skraju Mrocznej Puszczy, na jej wschodnich brzegach, mieszkał podówczas najpotężniejszy król leśnych elfów. Pod kamiennymi drzwiami jego siedziby szumiała rzeka, która spod wzgórz leśnych płynęła przez puszczę dalej, na moczary rozciągające się u stóp zalesionej wyżyny. Olbrzymia grota rozgałęziała się na niezliczone mniejsze i miała wyjścia na wszystkie strony, a sięgała pod ziemię daleko i dzieliła się na mnóstwo korytarzy oraz wielkich sal; była jednak jaśniejsza i suchsza niż lochy goblinów, mniej też od nich głęboka i nie tak niebezpieczna. Zresztą poddani króla elfów przebywali najczęściej w lesie, tam polowali i tam budowali sobie domy lub szałasy z gałęzi. Spośród innych drzew szczególnie upodobali sobie brzozy. Grota służyła jako pałac królewski, obronny skarbiec i twierdza elfów w razie walki z nieprzyjaciółmi.

Służyła również jako więzienie. Tam więc elfy zawlokły Thorina, obchodząc się z jeńcem dość szorstko, ponieważ na ogół niezbyt lubią krasnoludów, a poza tym podejrzewały w nim wroga. Dawnymi czasy toczyły wojny z niektórymi rodami krasnoludów, oskarżając je o kradzież swoich skarbów. Sprawiedliwość każe mi wyjaśnić, że krasnoludy zupełnie inaczej przedstawiały tę sprawę; twierdziły, że odebrały jedynie to, co im się należało, bo król elfów zawarł z nimi umowę na obróbkę złota i srebra, a kiedy robotę wykonano, odmówił zapłaty. Król elfów miał tę słabość, że kochał się w skarbach, szczególnie w srebrze i białych drogich kamieniach; a choć miał wielkie bogactwa, pragnął je pomnożyć, bo wciąż jeszcze nie dorównywał innym starodawnym władcom elfów. Lud

jego nie trudził się w kopalniach, nie kuł kruszców, nie wyrabiał klejnotów, nie zajmował się też wiele ani handlem, ani uprawą ziemi. Wszystko to wie doskonale każdy krasnolud, wiedział także i Thorin, choć jego ród nie miał nic wspólnego z dawną zwadą, o której wspomniałem. Toteż bardzo go oburzyło złe traktowanie, jakiego doznał od elfów, kiedy uwolniony od czarów odzyskał przytomność. Postanowił sobie, że nie powie ani słowa o złocie i klejnotach, choćby go nie wiem jak za język ciągnięto.

Gdy postawiono Thorina przed obliczem króla, ten spojrzał na jeńca surowo i zaczął go brać na spytki. Ale Thorin odpowiadał tylko, że umiera z głodu.

– Dlaczego ty i twoi przyjaciele po trzykroć usiłowaliście napaść na moich ucztujących poddanych? – spytał król.

– Nie napadaliśmy na nich – odparł Thorin – przyszliśmy prosić o jedzenie, bo umieraliśmy z głodu.

– Gdzie są teraz twoi kompani i co robią?

– Nie wiem, ale obawiam się, że umierają gdzieś w lesie z głodu.

– Coście robili w lesie?

– Szukaliśmy jadła i napoju, bo umieraliśmy z głodu.

– Ale po co przyszliście do lasu? – z gniewem spytał król. Thorin zaciął zęby i nie powiedział więcej ani słowa.

– Niech i tak będzie! – rzekł król. – Zabierzcie go i zamknijcie na cztery spusty. Poczekamy, aż się namyśli wyznać prawdę, choćby to miało trwać sto lat.

Elfy spętały Thorina, zaprowadziły do jednej z najgłębszych jaskiń, zamkniętej drzwiami z grubych desek, i tam pozostawiły w samotności. Dały mu jednak jeść i pić do syta, jeśli nie do smaku. Leśne elfy to bądź co bądź nie gobliny, obchodzą się zazwyczaj przyzwoicie nawet z najgorszymi wrogami, gdy mają ich w swym

ręku. Spośród wszystkich żywych stworzeń tylko dla olbrzymich pająków nie mają litości.

Leżał więc biedny Thorin w lochu króla elfów. A gdy się nacieszył chlebem, mięsem i wodą, zaczął się dręczyć myślą o swoich nieszczęsnych kompanach, nie wiedząc, co się z nimi stało. Wkrótce miał o nich usłyszeć, ale to już należy do następnego rozdziału i stanowi początek nowej przygody, w której raz jeszcze hobbit okaże się nader pożyteczny.

## Rozdział 9

# Beczki

azajutrz po bitwie z pająkami Bilbo i jego towarzysze raz jeszcze podjęli desperacką próbę odszukania ścieżki, nim zamrą z głodu i pragnienia. Wstali z ziemi i powlekli się w kierunku, który ośmiu wędrowcom spośród trzynastu wydawał się właściwy, nigdy jednak nie zdołali sprawdzić, czy tak było rzeczywiście. Gdy odrobina światła, za dnia rozjaśniająca mrok leśny, zmierzchła znów i zmieniła się w czarność nocy, nagle w krąg zabłysły pochodnie jak setki czerwonych gwiazd. Elfy leśne, uzbrojone w łuki i oszczepy, obskoczyły wędrowców i rozkazały im zatrzymać się w miejscu.

Nie mogło być mowy o jakimkolwiek oporze. Nawet gdyby krasnoludy nie były tak wyczerpane, że właściwie chętnie oddawały się w niewolę, nie mogłyby się bronić, mając za cały oręż małe noże przeciw strzałom elfów, które trafiały ptaka w locie nawet po ciemku. Toteż wszyscy posłuchali wezwania, siedli i po prostu czekali, co się dalej stanie. Z wyjątkiem Bilba, bo hobbit szybko wsunął pierścień na palec i uskoczył na bok. Dlatego to elfy, ustawiwszy związanych jeńców w długi szereg, doliczyły się dwunastu, Bilba zaś nie znalazły i nie włączyły do rachunku.

Nie słyszały go też ani nie czuły węchem drepcącego w pewnej odległości za blaskiem ich pochodni, gdy odprowadzały jeńców w głąb lasu. Krasnoludom zawiązano oczy, lecz nie stanowiło to wielkiej różnicy, skoro Bilbo, mając oczy otwarte, również nic nie

widział i nie orientował się, dokąd idą, a wszyscy razem nie mieli pojęcia, skąd wyruszyli. Bilbo musiał dobrze wyciągać nogi, żeby nadążyć za światłami, bo elfy, nie zważając na zmęczenie i osłabienie więźniów, popędzały ich do jak najszybszego marszu. Król nakazał pośpiech. Niespodzianie pochodnie zatrzymały się i hobbit ledwie dogonił towarzyszy, gdy już wkraczali na most, przerzucony nad rzeką do królewskich drzwi. W dole czarna woda rwała ostro, a most kończył się bramą u wylotu olbrzymiej groty, która ciągnęła się we wnętrzu stromej góry porosłej drzewami. Wielkie brzozy schodziły aż na sam brzeg rzeki, niemal wyrastając z wody.

Elfy pchnęły kolumnę jeńców na most, lecz Bilbo ociągał się chwilę na końcu pochodu. Ziejący wylot groty nie nęcił go wcale; dopiero w ostatnim momencie zdecydował się podzielić los towarzyszy i wśliznął się, depcąc na pięty ostatniemu z jedenastu elfów, nim ciężkie wrota królewskiej siedziby zatrzasnęły się z łoskotem.

Wewnątrz płonęły czerwono łuczywa, a elfy z eskorty więźniów śpiewały, maszerując przez kręte, długie, rozbrzmiewające echem korytarze, zupełnie inne niż lochy goblinów, bo mniejsze, nie tak głęboko wydrążone pod ziemią i wypełnione świeższym powietrzem. W wielkiej sali, podpartej kolumnami wyciosanymi z litej skały, siedział w rzeźbionym drewnianym fotelu król elfów. Na głowie miał koronę splecioną z jagód i czerwonych liści, jesień bowiem już się zbliżała. Wiosną nosił koronę z leśnych kwiatów. W ręku trzymał berło z rzeźbionej dębiny.

Postawiono przed nim jeńców, a chociaż spojrzał na nich groźnie, kazał ich zaraz uwolnić z więzów, widząc, jak są obdarci i znużeni.

– Zresztą powrozy są tutaj niepotrzebne – rzekł. – Dla tych, których wprowadzono za moje zaczarowane wrota, nie ma drogi

ucieczki.

Długo i dociekliwie wypytywał krasnoludy o ich zamiary, cel podróży, miejsce zamieszkania; niewiele więcej dowiedział się jednak od nich niż od Thorina. Więźniowie byli rozgoryczeni i zagniewani, toteż nie silili się nawet na uprzejmość.

– Cóż ci zawiniliśmy, o królu? – rzekł Balin, najstarszy pod nieobecność Thorina w kompanii. – Czy to zbrodnia zabłądzić w lesie, cierpieć głód i pragnienie, wpaść w zasadzkę pająków? A może pająki są u ciebie na służbie, może są twoimi ulubieńcami, skoro oburzasz się, żeśmy je pozabijali?

Te pytania oczywiście jeszcze bardziej rozgniewały króla, więc powiedział:

– Zbrodnią jest przekraczanie granic mojego królestwa bez pozwolenia. Czy nie wiesz, że wdarliście się do mojego państwa i używaliście dróg zbudowanych przez moich poddanych? Czy nie pamiętasz, że trzykrotnie zakłócaliście spokój moich dworzan ucztujących w lesie, a hałasując i krzycząc wywabiliście pająki z kryjówek? Wywołaliście tyle zamieszania, że mam prawo usłyszeć, co was tu sprowadza, a jeżeli nie zechcecie mi tego powiedzieć, zamknę was w więzieniu i będę trzymał, póki nie nauczycie się rozumu i grzeczności.

Potem kazał zamknąć każdego krasnoluda w osobnej celi, dać wszystkim jeść i pić, lecz nie wypuszczać nikogo za próg, chyba że któryś namyśli się i zechce odpowiedzieć na królewskie pytania. Nie wyjawił krasnoludom, że Thorin także jest jego jeńcem. Dopiero Bilbo wykrył ten sekret.

Biedny pan Baggins długo żył w tych podziemiach samotnie, wciąż w ukryciu, nie ośmielając się ani na chwilę zdjąć pierścienia, bojąc się zasnąć nawet wciśnięty w najciemniejszy, najodleglejszy zakątek. Nie mając nic innego do roboty, wędrował po całym

pałacu króla elfów. Drzwi zamykały się czarodziejskim sposobem, lecz niekiedy udawało mu się wymknąć przez nie, jeśli się pośpieszył. Gromady elfów z królem na czele od czasu do czasu wyprawiały się na polowanie lub za jakimiś innymi sprawami do lasu czy też na otwarte przestrzenie za jego wschodnią granicą. Wówczas Bilbo, jeżeli się dobrze uwinął, mógł wyśliznąć się za elfami, chociaż zawsze było to niebezpieczne przedsięwzięcie. Raz i drugi omal nie zmiażdżyły go drzwi, zatrzaskując się natychmiast po przejściu ostatniego elfa. Wmieszać się między elfy nie śmiał, bojąc się, że dostrzegą jego cień (jakkolwiek bardzo nikły i drżący w blasku pochodni) albo że któryś potknie się o niego i w ten sposób odkryje jego obecność. Nieczęsto więc wychodził z groty, a nawet gdy mu się to udawało, niewiele z tego miał pożytku. Nie chciał opuścić przyjaciół, nie wiedział też, jak by sobie bez nich poradził na świecie. Nie mógł dotrzymać kroku elfom na łowach, toteż nie zdołał odkryć drogi, która by go wyprowadziła z lasu; musiał włóczyć się biedak w pobliżu groty, wyczekując na sposobność powrotu do jej wnętrza. Poza nią głodował, ponieważ nie był myśliwym, lecz w grocie zdobywał pożywienie, kradnąc je po prostu ze spiżarni lub ze stołu, gdy nikogo nie było w pobliżu.

„Jestem jak włamywacz, który nie może się wydostać i jest zmuszony okradać dzień po dniu wciąż ten sam dom – myślał. – Oto najobrzydliwsze, najnudniejsze zdarzenie z całej tej nieszczęsnej, męczącej, dokuczliwej przygody! Jakżebym chciał znaleźć się znowu w mojej własnej norce, przy ciepłym kominku i jasnej lampie!”

Często też żałował, że nie może wezwać czarodzieja na ratunek, ale oczywiście nie było sposobu; wkrótce zrozumiał, że jeśli jest jakaś rada, musi ją znaleźć sam pan Baggins, bez niczyjej pomocy.

Po tygodniu czy dwóch takiego przyczajonego życia, śledząc i tropiąc strażników, wykorzystując wszelkie możliwości, jakie się nadarzały, odkrył, gdzie więziono krasnoludów. Odszukał dwanaście cel rozrzuconych w różnych częściach pałacu i po jakimś czasie nauczył się trafiać, gdzie tylko chciał. Ze zdumieniem dowiedział się pewnego dnia z rozmowy strażników, że jest jeszcze trzynasty więzień, zamknięty w najgłębszym, najciemniejszym lochu. Odgadł od razu, że chodzi o Thorina; wkrótce stwierdził, że się nie myli. Wiele musiał zwalczyć trudności, w końcu jednak znalazł trzynastą celę, wypatrzył moment, gdy nikogo nie było pod jej drzwiami, i porozumiał się z wodzem krasnoludów.

Thorin, zbyt przygnębiony, aby dłużej kipieć gniewem i obrazą, zaczynał przemyśliwać, czy nie powiedzieć królowi całej prawdy o skarbach i o celu wyprawy (widzicie z tego, jak bardzo upadł na duchu!), gdy niespodzianie usłyszał cichutki głos hobbita szepczącego w dziurkę od klucza. Uszom zrazu nie wierzył! Szybko jednak zrozumiał, że to nie może być omyłka, podszedł do drzwi i szeptem stoczył długą rozmowę ze stojącym na korytarzu hobbitem.

Dzięki temu Bilbo mógł zanieść skrycie innym uwięzionym krasnoludom polecenie Thorina, zawiadomić, że wódz znajduje się również w niewoli, tuż obok nich, i rozkazuje, by nikt nie zdradził królowi celu wyprawy, przynajmniej dopóty, póki Thorin nie da hasła. Thorin bowiem odzyskał ducha, gdy dowiedział się, jak hobbit ocalił krasnoludy od pająków, i umocnił się w postanowieniu, by nie okupywać u króla wolności obietnicą udziału w skarbach, dopóki nie zawiodą wszelkie inne nadzieje ratunku; to znaczy jeśli niezrównany, niewidzialny pan Baggins (o którym Thorin powziął teraz bardzo wysokie mniemanie) nie zdoła wymyślić jakiegoś sprytnego sposobu.

Wszystkie krasnoludy przyjęły chętnie tę decyzję. Każdy bowiem rozumiał, że jego własny udział w skarbach (które już uważali za swoje, mimo że na razie siedzieli w lochach, a smok nie został jeszcze pokonany) mocno by ucierpiał, gdyby leśne elfy zażądały części dla siebie; poza tym krasnoludy ufały hobbitowi. Pamiętacie pewnie, że Gandalf przepowiadał taki obrót sprawy. Może właśnie to między innymi skłoniło czarodzieja do opuszczenia kompanii.

Bilbo jednak niezupełnie podzielał nadzieje przyjaciół. Nie podobało mu się wcale, że wszyscy na niego jednego liczą, wolałby mieć Gandalfa u boku. Ale próżno o tym marzyć; między nimi leżał prawdopodobnie czarny ogrom Mrocznej Puszczy. Siedział więc hobbit i myślał, głowa mu niemal pękała od wysiłku, ale żaden świetny pomysł jakoś się nie zjawiał. Pierścień zapewniający niewidzialność to rzecz wspaniała, lecz jeden pierścień nie mógł starczyć na czternaście osób. Oczywiście zgadujecie, że w końcu Bilbo wyratował przyjaciół z tej opresji; opowiem teraz, jak to się stało.

Pewnego dnia, błąkając się i szperając po kątach, Bilbo zrobił ciekawe odkrycie: wielkie drzwi nie były jedynym wyjściem z groty. Pod najniższą częścią pałacu płynął strumień, który trochę dalej na wschód, za stromym stokiem mieszczącym główną bramę, wpadał do Leśnej Rzeki. W miejscu gdzie podziemny strumień wypływał na powierzchnię, w zboczu wzgórza była brama wodna. Zastawa, sięgająca aż do dna rzeki, broniła tego dostępu do groty. Często jednak zastawę podnoszono, bo drogą wodną dostarczano i wywożono różne towary. Kto by się z zewnątrz wśliznął przez zastawę, znalazłby się w ciemnym tunelu prowadzącym daleko w głąb wzgórza; w jednym wszakże miejscu, gdzie strumień płynął pod piwnicami pałacu, w stropie tunelu wycięto otwór i przykryto go mocnymi dębowymi drzwiami. Otwierały się one w podłodze

królewskiej piwnicy, w której stały niezliczone rzędy beczek. Elfy leśne, a król bardziej jeszcze niż poddani, ogromnie lubią wino, chociaż w ich królestwie nie rodzi się winorośl. Sprowadzały więc wino, podobnie jak inne towary, z daleka, od swoich krewniaków z południa albo z winnic ludzi zamieszkujących odległe kraje.

Przyczajony za wielką beczką Bilbo zobaczył klapę w podłodze, zbadał jej przeznaczenie, a podsłuchując z ukrycia rozmów królewskiej służby, dowiedział się, w jaki sposób wino i różne inne towary dostają się rzeką lub lądem do Długiego Jeziora. Okazało się, że było tam miasto wzniesione przez ludzi na palach daleko od brzegów, pośrodku jeziora – dla obrony przed wszelkimi nieprzyjaciółmi, a zwłaszcza przed smokiem z Samotnej Góry. Z tego Miasta na Jeziorze beczki spławiano w górę Leśnej Rzeki. Niekiedy wiązano je razem w ogromne tratwy i za pomocą tyk lub wioseł pchano pod prąd; niekiedy ładowano beczki na płaskodenne łodzie.

Opróżnione beczki zrzucano przez klapę z piwnicy do strumienia, a potem otwierano bramę wodną i beczki, podskakując na wodzie, spływały z nurtem w dół, aż do odległego miejsca na wschodnim skraju Mrocznej Puszczy, gdzie brzegi zwężały się tak, że można było baryłki zatrzymać, powiązać z sobą i dalej w porządku wysłać z biegiem Leśnej Rzeki do Miasta na Jeziorze.

Długo siedział Bilbo, dumając o Wodnej Bramie i zastanawiając się, czy nie dałoby się jej użyć do ucieczki, aż wreszcie wylągł się w głowie hobbita zarys desperackiego planu.

Właśnie zaniesiono do cel kolację. Strażnicy ściągali z korytarzy, zabierając z sobą pochodnie i zostawiając tę część groty w ciemnościach. Bilbo podsłuchał, jak królewski piwniczy mówił do dowódcy straży:

– Chodź teraz ze mną, spróbujesz nowego wina, które właśnie dostarczono. Będę miał tej nocy ciężką robotę, bo trzeba piwnicę

oczyścić z pustych beczek; napijmy się, żeby nabrać sił.

– Bardzo chętnie – odparł ze śmiechem dowódca straży. – Skosztuję wina wraz z tobą, przekonamy się, czy jest godne królewskiego stołu. Dziś w nocy król urządza ucztę, wstyd byłby, gdybyś podał kiepskie trunki.

Kiedy Bilbo to usłyszał, serce zabiło mu żywiej, zrozumiał bowiem, że szczęście mu sprzyja i że będzie mógł niezwłocznie wypróbować swój desperacki plan. Śledził dalej obu elfów; podczaszy z dowódcą straży zasiedli w małej piwniczce przy stole, na którym stanęły dwa wielkie dzbany. Wkrótce zaczęli pić, śmiejąc się wesoło. Przypadek znów okazał się niezwykle dla Bilba łaskawy. Na ogół trzeba nie lada trunku, by spoić leśnego elfa, to było jednak szczególnie mocne wino z ogrodów Dorwiniona, przeznaczone nie dla żołnierzy i służby, lecz wyłącznie na królewskie uczty, do picia małymi kielichami, a nie z ogromnych dzbanów.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy dowódca straży najpierw zwiesił głowę, potem złożył ją na stole i wreszcie usnął. Podczaszy przez chwilę jeszcze gadał i śmiał się sam do siebie, jakby wcale nie spostrzegając, co się z kompanem dzieje, lecz wkrótce on także skłonił głowę na stół i chrapnął do wtóru przyjacielowi. Wówczas do piwniczki wśliznął się hobbit. I oto już niebawem dowódca straży pozbył się kluczy, a Bilbo ile sił w nogach biegł korytarzem w stronę cel więziennych. Wielki pęk kluczy był trochę za ciężki dla hobbita, któremu też serce podchodziło co chwila do gardła; miał wprawdzie pierścień na palcu, nie mógł jednak zapobiec temu, by klucze od czasu do czasu nie szczęknęły i nie zadzwoniły głośno, i za każdym razem trząsł się cały z przerażenia.

Najpierw otworzył celę Balina i zamknął ją natychmiast starannie, gdy krasnolud znalazł się w korytarzu. Balin, jak łatwo

sobie wyobrazić, był okropnie zdziwiony, a chociaż rad wydostał się z przykrej, ciasnej kamiennej komórki, miał ochotę zadawać mnóstwo pytań i dowiedzieć się czegoś o zamiarach Bilba i o wszystkim w ogóle.

– Nie czas teraz na wyjaśnienia – powiedział hobbit. – Idź za mną i nie pytaj. Musimy trzymać się w gromadzie i pilnować, żeby się nikt nie odłączył. Uciekniemy wszyscy lub żaden – to nasza ostatnia szansa. Jeśli nas wykryją, kto wie, co król zrobi, prawdopodobnie zakuje wam ręce i nogi w kajdany. Proszę cię, mój drogi, nie zaczynaj teraz dyskusji.

Bilbo biegł więc od drzwi do drzwi, póki nie zebrał koło siebie dwunastu krasnoludów, z których żaden zresztą po tak długim więzieniu w ciemnościach nie ruszał się zbyt żwawo. Hobbitowi serce zamierało, ilekroć któryś z nich wpadał na drugiego, mruczał lub szeptał. „Ależ hałaśliwe te krasnale, niech ich licho!" – mówił sobie w duchu. Mimo to wszystko szło jak po maśle, nie spotkali nigdzie strażników. Tej nocy odbywała się w puszczy i w górnej królewskiej sali wielka jesienna zabawa, niemal wszyscy poddani króla elfów weselili się przy stołach.

W końcu po długiej wędrówce krasnoludy z Bilbem na czele dotarły do celi Thorina mieszczącej się w głębi podziemi, lecz na szczęście tuż obok piwnic królewskich.

– Na honor! – rzekł Thorin, gdy Bilbo otworzył celę i wywołał go szeptem na korytarz. – Gandalf, jak zwykle, powiedział prawdę. Okazałeś się w potrzebie znakomitym włamywaczem. Cokolwiek się odtąd zdarzy, będziemy już zawsze do twych usług. Ale co teraz mamy robić?

Bilbo zrozumiał, że przyszła chwila, by wytłumaczyć przyjaciołom plan, przynajmniej jego pierwszą część. Nie był jednak wcale pewien, jak krasnoludy przyjmą jego pomysł. Obawy rzeczywiście

potwierdziły się, bo projekt nie przypadł im do gustu i zaczęły głośno protestować, nie zważając na grozę sytuacji.

– To oznacza sińce, rozbicie na kawałki i nieuchronne utopienie na dodatek – mruczały. – Mieliśmy nadzieję, że wymyślisz jakiś naprawdę rozsądny sposób, skoro zdobyłeś klucze. Ale ten pomysł to szaleństwo.

– A więc dobrze – odparł Bilbo, bardzo zgnębiony i trochę też zirytowany. – Wracajcie do swoich pięknych cel, pozamykam was znowu na trzy spusty; będziecie mogli siedzieć tam wygodnie i myśleć, póki nie wymyślicie czegoś lepszego; ale wątpię, czy uda mi się kiedykolwiek po raz drugi zdobyć klucze, choćbym i zechciał spróbować tej sztuki ponownie.

Na to nie mogli się zgodzić, więc umilkli. W końcu oczywiście musieli zdecydować się na sposób proponowany przez hobbita, bo dla wszystkich było jasne, że na nic się nie zda szukać w ciemnościach drogi do górnych sal, że nie wywalczą sobie przejścia ani nie otworzą zaczarowanych drzwi; a lamenty i spory w korytarzu mogły ich narazić tylko na ponowne uwięzienie. Poszli więc za hobbitem, skradając się ku najniżej położonym piwnicom. Minęli uchylone drzwi, za którymi dowódca straży i podczaszy wciąż jeszcze chrapali uśmiechając się błogo przez sen, wino Dorwiniona daje bowiem sen głęboki i przyjemny. Inną pewnie minę będzie miał dowódca straży następnego dnia, jakkolwiek Bilbo – przez życzliwość – wstąpił do piwniczki i cichcem wsunął mu pęk kluczy z powrotem do kieszeni.

– To mu oszczędzi wiele przykrości w awanturze, jaka się jutro rozpęta – powiedział sobie Bilbo. – A przecież to niezły elf i dość przyzwoicie odnosił się do więźniów. W dodatku zadziwimy elfów tym bardziej. Pomyślą, że znamy potężne czary, skoro umieliśmy

wyjść przez zamknięte drzwi i zniknąć. Zniknąć! Jeśli to ma się nam również udać, trzeba działać szybko!

Balinowi polecono pilnować dowódcę straży oraz podczaszego i ostrzec towarzyszy, gdyby któryś z tych dwóch się ocknął. Reszta kompanii weszła do piwnicy, z której otwierała się klapa nad tunelem podziemnego potoku. Nie wolno było marudzić. Bilbo wiedział, że lada chwila, stosownie do rozkazów, zjawi się kilku elfów, żeby pomóc podczaszemu w spychaniu pustych beczek przez otwór do strumienia. Stały już one rzędem pośrodku piwnicy. Beczki od wina nie nadawały się dla uciekinierów, trudno je było otworzyć, bo odbijając dna narobiliby hałasu, a nie mieli też sposobu, żeby je z powrotem zamknąć. Stały jednak między nimi również baryłki po innych towarach, jak masło, jabłka oraz produkty dostarczane wodą do królewskiego pałacu.

Wkrótce wybrano trzynaście takich baryłek, z których każda mogła pomieścić jednego krasnoluda. Właściwie były nawet za duże; wlazłszy w nie, krasnoludy z przerażeniem myślały, jak będą się obijać i trząść w ich obszernych wnętrzach, mimo że Bilbo upychał siano i wszelkie wyściółki, jakie mógł znaleźć naprędce, by w miarę możności zapewnić kamratom wygodę. W końcu dwunastu siedziało już w beczkach; najwięcej kłopotu sprawiał Thorin, który kręcił się i wił, narzekając jak wielki pies zamknięty w za ciasnej budzie. Kiedy na ostatku przyszła kolej na Balina, ten narobił hałasu, że w jego beczce brak dziur doprowadzających powietrze, i krzyczał, że się dusi, nim jeszcze Bilbo przybił denko z powrotem. Hobbit, jak umiał najstaranniej, pozatykał dziury w beczkach i umocował pokrywki. Został teraz sam i uwijał się po piwnicy, kończąc przygotowania i krzepiąc się wbrew prawdopodobieństwu nadzieją, że plan uda się szczęśliwie przeprowadzić.

Jeszcze minuta, a byłoby za późno. Ledwie bowiem zamknął ostatecznie baryłkę Balina, usłyszał głosy elfów i zobaczył w głębi korytarza migotanie pochodni. Gromada elfów, śmiejąc się, rozmawiając i podśpiewując, weszła do piwnic. W jednej z górnych sal odbywała się uczta, toteż pilno im było wrócić co prędzej do zabawy.

– Gdzie podczaszy? Gdzie stary Galion? – spytał któryś. – Nie widziałem go dzisiaj przy wspólnym stole. Powinien tu być i pokierować robotą.

– Pogniewam się, jeśli ten stary maruder spóźni się na umówioną porę – powiedział drugi. – Nie mam wcale ochoty tracić czasu tutaj, kiedy na górze kompania śpiewa.

– Ha, ha! – krzyknął ktoś. – Tu siedzi stary łotr z głową w dzbanku! Ucztował sobie na boczku z dowódcą straży!

– Potrząśnijcie nim, obudźcie! – wołali inni niecierpliwie. Galion zżymał się, gdy nim potrząsano, gdy go budzono, a już najbardziej, gdy się z niego wyśmiewano.

– To wy się spóźniliście – mamrotał. – Ja tu czekam i czekam, a wy tam na górze pijecie i zapominacie o służbowych obowiązkach. Nic dziwnego, że się wreszcie trochę zdrzemnąłem.

– Pewnie, że nic dziwnego – odpowiedzieli. – Wyjaśnienie mamy przed nosem, w dzbanku. Dajże i nam skosztować tego nasennego środka, nim się weźmiemy do roboty. Klucznika nie warto budzić. Widać po nim, że już dość sobie użył.

Dzban podawany z rąk do rąk obiegł całą kompanię i wszyscy nagle bardzo poweseleli. Nie stracili jednak całkiem rozsądku.

– Pomóż nam, Galionie! – krzyknął któryś. – Za wcześnie rozpocząłeś ucztę i w głowie ci się pomieszało. Między pustymi beczkami ustawiłeś pełne, sądząc z wagi.

– Róbcie, co do was należy, i nie gadajcie! – odfuknął podczaszy. – Pociągnęli leniuchy za dużo ze dzbana i teraz im się beczki wydają za ciężkie! Te, które tu przygotowałem, mają być wysłane, nie ma co się namyślać. Macie robić, co wam kazałem.

– Dobrze, dobrze! – wołali, tocząc już beczki ku otworowi w podłodze. – Nie kto inny, ale ty odpowiesz, jeśli okaże się, że pełne masła baryłki z królewskiej spiżarni i najlepsze wino zepchniemy do rzeki, aby ludzie znad Jeziora mogli ucztować kosztem króla!

Tocz się, tocz się, tocz się, tocz,
Prędko, zgrabnie w dziurę wskocz,
Leć do wody, stara beczko,
Kręć się, wiruj, tańcz w kółeczko!

Tak przyśpiewywali, a już pierwsza beczka staczała się w czarną jamę, inne za nią pluskały w zimny strumień płynący o kilka stóp pod piwnicą. Niektóre beczki rzeczywiście były puste, inne kryły w swym wnętrzu po jednym krasnoludzie, ale wszystkie jedna po drugiej spadały w dół z pluskiem i łoskotem, zderzając się z sobą, zanurzając w wodzie, obijając o ściany tunelu, potrącając nawzajem i podskakując.

Nagle Bilbo uprzytomnił sobie, że coś jednak przeoczył w swoim planie. Ty zapewne zauważyłeś to już od dawna i może nawet śmiałeś się z hobbita. Ale czybyś na jego miejscu spisał się lepiej lub bodaj równie dobrze jak on – wątpię. No, tak! Sam Bilbo nie siedział w żadnej beczce, a gdyby nawet zdążył do którejś wleźć, nie było nikogo, kto by go mógł zamknąć. Wyglądało na to, że tym razem naprawdę straci kompanię na zawsze (już niemal wszystkie krasnoludy znikły w ciemnym wylocie otworu), zostanie sam i będzie musiał odtąd na wieki żyć ukryty jako włamywacz w grocie elfów. Gdyby mu się nawet udało wymknąć niezwłocznie

przez główne drzwi na górze, mało prawdopodobne, żeby odnalazł krasnoludy. Nie znał przecież drogi lądowej do miejsca, gdzie wyławiano beczki. Niepokoił się też, co stanie się z przyjaciółmi pozbawionymi jego pomocy, nie zdążył bowiem powiedzieć im o wszystkim, czego się dowiedział, ani o tym, co zamierzał dalej robić, kiedy się wydostaną z lasu.

Takie myśli kłębiły się w jego głowie, a tymczasem elfy, bardzo rozochocone, śpiewały, otaczając kołem dziurę w podłodze. Kilku z nich już podbiegło, żeby ciągnąc za sznury, podnieść zastawę w bramie i wypuścić na zewnątrz baryłki, skoro tylko wszystkie znajdą się w strumieniu.

Niech was niosą bystre wody
W kraj znajomy, w kraj lat młodych.
Pożegnajcie loch ponury
I północy zimne góry,
Płyńcie z gęstwin czarnych lasów
W kraj znajomy z dawnych czasów.
Tu milczące stoją drzewa,
A tam wiatr w szuwarach śpiewa,
Trzcina rośnie na moczarach
I zieleni się tatarak.
Gwiazdy świecą, mgła się ściele,
Nad stawami pachnie ziele,
A gdy słońce wzejdzie cudnie,
Płyńcie, płyńcie na południe.
Tam gdzie jasny dzień rozbłyska,
Krowy błądzą po pastwiskach,
A po zboczach nad doliną
Już dojrzewa w gronach wino.
Tam gdzie słońce świeci cudnie,
Na południe, na południe!
Niech was niosą bystre wody
W kraj znajomy, w kraj lat młodych.

Już ostatnia beczka toczyła się ku rozwartym w podłodze drzwiom. W rozpaczy, nie widząc innej rady, biedny mały Bilbo

chwycił się jej i z nią razem dał się zepchnąć w czeluść. Plusnął do zimnej, czarnej wody, a beczka znalazła się nad nim.

Wynurzył się, parskając i czepiając się klepek jak szczur, ale na próżno wytężał wszystkie siły; nie mógł wygramolić się na beczkę, która za każdym razem, ilekroć próbował się wspiąć wyżej, okręcała się wokół własnej osi i zatapiała hobbita pod sobą. Była pusta, tańczyła na powierzchni jak korek. Bilbo miał uszy pełne wody, mimo to słyszał jeszcze głosy elfów śpiewających na górze. Nagle klapa w podłodze piwnicy opadła z trzaskiem i śpiew przycichł. Bilbo w czarnym tunelu nurzał się w lodowatej wodzie, samiuteńki, bo nie można chyba uważać za towarzystwo przyjaciół zamkniętych szczelnie w baryłkach.

Wkrótce dostrzegł ponad sobą w ciemnościach jaśniejszą, szarawą plamę. Usłyszał skrzypienie wodnej bramy podnoszonej w górę i zewsząd otoczyły go tłumnie beczki i baryłki podskakujące na wodzie, zderzające się z sobą, cisnące się wszystkie naraz pod sklepione wyjście, w nurt strumienia. Hobbit, jak umiał, bronił się od zmiażdżenia i zgniecenia w ścisku; na szczęście po krótkiej chwili z tłoku zaczęły wysuwać się pojedyncze sztuki i kolejno wymykały się pod kamienną bramą w otwarty świat. Bilbo przekonał się wówczas, że dobrze się stało, iż nie zdołał wyleźć na wierzch swojej beczki, ponieważ w bramie nie było pod zniżającym się niespodzianie stropem nawet tyle miejsca, by zmieścić się mógł dodatkowo choćby najmniejszy hobbit.

Wypłynęli pod gałęzie drzew schylających się z obu stron nad strumieniem. Bilbo z niepokojem myślał, jak też czują się krasnoludy i czy dużo wody przedostaje się do wnętrza ich beczek. Niektóre z nich, mijając go w podskokach, zanurzały się dość głęboko, zgadywał więc, że w tych właśnie kryją się przyjaciele.

„Mam nadzieję, że przybiłem denka dość szczelnie!” – myślał Bilbo; wkrótce jednak przestał troszczyć się o towarzyszy, mając zbyt wiele zmartwień z własną osobą. Udawało mu się jakoś utrzymywać głowę nad wodą, lecz dygotał z zimna i z lękiem zadawał sobie pytanie, czy nie wyzionie ducha, nim go jakiś szczęśliwy przypadek wybawi, na jak długo starczy mu sił w ramionach i czy nie lepiej byłoby zaryzykować rozstanie z beczką i spróbować wpław dotrzeć do brzegu.

Ale szczęśliwy przypadek trafił się w porę: prąd zniósł kilka beczek pod sam brzeg, gdzie zaczepiwszy o podwodny korzeń na chwilę przystanęły. Bilbo skorzystał z okazji i wdrapał się na swoją baryłkę, chwilowo unieruchomioną w tłoku. Wypełzł na wierzch jak na pół utopiony szczur i przylgnął tam, rozkładając szeroko ramiona, by w miarę możności utrzymywać beczkę w równowadze. Wietrzyk chłodził, lecz nie tak jak woda, toteż Bilbo pokrzepiał się.

Po chwili ruszyły rzeczywiście, kręcąc się i klucząc, póki nie wpadły w główny nurt. Wtedy obawy Bilba okazały się słuszne, bo w istocie trudno mu było utrzymać się na beczce; bronił się jakoś od katastrofy, ale czuł się okropnie nieszczęśliwy w tak niewygodnej pozycji. Szczęściem hobbit był bardzo lekki, a beczka duża, przy tym trochę przeciekała i nabrała odrobinę wody. Mimo to żegluga na niej przypominała jazdę bez uzdy i strzemion na brzuchatym kucu, który stale ma ochotę tarzać się w trawie.

W ten sposób pan Baggins przybył wreszcie do miejsca, gdzie drzewa po obu brzegach przerzedziły się tak, że widział między nimi blade niebo. Czarny strumień nagle rozlał się szeroko i połączył z głównym łożyskiem Leśnej Rzeki spływającej wartko spod drzwi królewskiej groty. Tu cień lasu nie padał już na mroczną przestrzeń wody i w jej ruchomej tafli załamywało się roztańczone odbicie

obłoków i gwiazd. Bystry prąd Leśnej Rzeki porwał beczki i baryłki aż pod północny brzeg, gdzie otwierała się rozległa zatoka. Wysypany żwirem rąbek wybrzeża leżał pod nawisłą skarpą i zamykał się od wschodu małym, skalistym przylądkiem wysuniętym na środek rzeki. Większość beczek osiadła na płyciźnie, parę jednak oparło się dopiero na kamiennej zaporze.

Na brzegu czuwało kilku elfów. Długimi tykami szybko zepchnęli wszystkie beczki na przybrzeżny żwir, przeliczyli je, powiązali sznurami i tak zostawili do rana. Biedne krasnoludy! Hobbitowi powodziło się na tym postoju niezgorzej. Ześliznął się ze swojej baryłki, dobrnął do brzegu i pomknął ukradkiem ku szałasom, które wypatrzył w pobliżu rzeki. Bez namysłu i skrupułów, nie czekając zaproszenia częstował się kolacją, o ile miał po temu sposobność; od dawna przecież zmuszony był to robić i aż za dobrze wiedział teraz, co to znaczy prawdziwy głód i czym się on różni od grzecznego zainteresowania smakołykami należycie zaopatrzonej spiżarni. Spostrzegł też migocące wśród drzew ognisko, a widok ten skusił go od razu, bo przemoknięte i podarte ubranie lgnęło mu do skóry, zimne i lepkie.

Nie wydaje mi się, bym musiał opowiadać wam bardziej szczegółowo o przygodach Bilba w ciągu tej nocy, bo już się zbliżamy do celu podróży na wschód i do ostatniej, największej przygody, trzeba się zatem spieszyć. Oczywiście zaczarowany pierścień zapewnił hobbitowi początkowo całkowite powodzenie, lecz później obecność jego zdradził ślad mokrych stóp i kałuże, które po sobie zostawiał, gdziekolwiek przystanął czy przysiadł. Dostał kataru, a ilekroć chciał się przyczaić, alarmował elfy straszliwymi i daremnie tłumionymi napadami kichania. Wkrótce powstał z tego powodu niemały zamęt w osiedlu nad rzeką, lecz Bilbo uciekł w las, unosząc bochen chleba, skórzany bukłak z winem oraz pasztet

– wszystko zdobyte zgoła nielegalnym sposobem. Resztę nocy spędził, wciąż ociekając wodą, z dala od ognia, lecz wino pomogło mu przetrwać, a w dodatku przespał się nieźle w suchych liściach, mimo że miało się już pod jesień i było dość chłodno.

Ocknął się z głośniejszym niż wszystkie poprzednie kichnięciem. Świt już szarzał i nad rzeką elfy krzątały się wesoło. Związywano beczki w tratwę, lada chwila kilku flisaków miało na niej popłynąć w dół rzeki, do Miasta na Jeziorze. Bilbo kichnął znowu. Przesechł nieco, ale trząsł się z zimna. Pobiegł nad rzekę ile sił w zdrętwiałych nogach i w ostatnim momencie zdążył wdrapać się na tratwę nie postrzeżony w ogólnym zgiełku. Szczęściem słońce nie świeciło wówczas jeszcze, więc cień nie zdradził hobbita i jakimś cudem Bilbo powstrzymał się na czas pewien od kichania.

Poszły w ruch tyki. Elfy, stojąc w płytkiej wodzie przybrzeżnej, pchały potężnie. Beczki, teraz sczepione wszystkie razem, skrzypnęły i drgnęły.

– Ależ ciężkie! – mruknął ten i ów. – Zanurzają się za głęboko, znowu, widać, nie opróżniono ich dokładnie. Szkoda, że nie wyciągnęliśmy ich na brzeg za dnia, warto by zajrzeć do środka – mówiły elfy.

– Nie ma teraz na to czasu! – krzyknął starszy flisak. – Spychajcie!

W końcu tratwa odbiła od brzegu, z początku wolno, póki nie minęła skalistego przylądka, od którego inne znów elfy odsuwały ją długimi tykami, a później coraz prędzej i prędzej, aż porwał ją główny nurt i popłynęła w dół, w dół rzeki – w stronę Jeziora.

Krasnoludy wymknęły się z królewskiego więzienia i wydostały z puszczy, ale czy żywe, czy umarłe – to się miało dopiero okazać.

## Rozdział 10

# Serdeczne powitanie

łynęli, a tymczasem rozwidniało się i było coraz cieplej. W pewnej chwili rzeka skręciła, okrążając ramię lądu wysunięte z lewego brzegu. Pod skalistym urwiskiem woda kipiała na głębi i przelewała się z pluskiem. Urwisko szybko zostało za nimi, brzeg się obniżył, drzewa zniknęły. Oczom hobbita ukazał się rozległy widok.

Leżał przed nim kraj otwarty, nasycony wodami rzeki, która tu dzieliła się na sto krętych odnóg, rozlewała po moczarach i stawach usianych wysepkami; główny jednak nurt, wciąż jeszcze bogaty, płynął spokojnie pośrodku. W oddali, z głową ukrytą w postrzępionym obłoku, wznosiła się Góra! Jej najbliższego otoczenia na północo-wschodzie i zaklęsłej niziny między nią a rzeką nie było stąd widać. Tylko ona patrzała z wysokości poprzez moczary ku lasom. Samotna Góra! Bilbo odbył długą drogę i przeżył wiele przygód, aby ją zobaczyć, lecz widok ten wcale go nie rozradował.

Przysłuchując się rozmowom flisaków i gromadząc strzępy wiadomości padające z ich ust, Bilbo wkrótce zrozumiał, jak wyjątkowemu szczęściu zawdzięcza, że w ogóle choćby z daleka ujrzał Górę. Wprawdzie przecierpiał okropności uwięzienia, a teraz znajdował się w dość przykrej sytuacji (nie wspominając już o położeniu biednych krasnoludów!), lecz miał więcej szczęścia, niż przypuszczał. Flisacy wciąż mówili o towarach spławianych w dół

i w górę rzeki, o wzrastającym ruchu na tym wodnym szlaku, odkąd drogi lądowe na wschód od Mrocznej Puszczy zniknęły lub wyszły z użycia; mówili też o kłótniach między ludźmi znad Jeziora a elfami z lasów o to, do kogo należy utrzymanie spławności Leśnej Rzeki i pilnowanie porządku na jej brzegach. Kraj ten bardzo się zmienił od owych czasów, gdy krasnoludy żyły we wnętrzu góry, od epoki, której wspomnienie stało się dla większości mieszkańców ledwie mglistą legendą. Kraj zmienił się także w ostatnich latach, sprzed których pochodziły wiadomości Gandalfa. Wskutek deszczów i powodzi rzeki płynące na wschód wezbrały, były też trzęsienia ziemi (niektórzy przypisywali je wybrykom smoka, wspominając go zwykle z przekleństwem i wymownym gestem w stronę Góry). Na obu brzegach moczary i trzęsawiska rozprzestrzeniły się szerzej. Nie można było odszukać dawnych ścieżek, niejeden jeździec lub pieszy wędrowiec zginął próbując je odnaleźć. Droga elfów przecinająca lasy, którą wybrały krasnoludy za radą Beorna, kończyła się obecnie na wschodnim skraju puszczy niepewną, rzadko uczęszczaną ścieżką. Jedyną jako tako bezpieczną drogą z północnych krańców Mrocznej Puszczy ku równinom leżącym po jej drugiej stronie, w cieniu Góry, była teraz rzeka, lecz nad tą drogą trzymał straż król leśnych elfów.

Jak więc widzicie, Bilbo w wyniku wszystkich przygód trafił na jedyną możliwą drogę. Pan Baggins, drżący z chłodu na tratwie z beczek, zapewne pocieszyłby się nieco, gdyby wiedział, że wieści o tym wszystkim dotarły do Gandalfa w dalekich stronach i mocno go zaniepokoiły, że czarodziej właśnie kończył inne sprawy (nie należące do tej historii) i przygotowywał się do podróży na poszukiwanie kompanii Thorina. Ale o tym Bilbo nic nie wiedział.

Wiedział tylko, że rzeka ciągnie się i ciągnie bez końca, że jest głodny, że ma obrzydliwy katar, że nie podoba mu się wcale Góra spoglądająca na niego – jak mu się wydawało – tym chmurniej i groźniej, im bliżej podpływał. Po jakimś czasie jednak rzeka skierowała się bardziej na południe, Góra znów się jakby oddaliła, aż wreszcie, pod wieczór, brzegi po obu stronach stały się skaliste, rozproszone wody zbiegły się razem w głęboki, rwący nurt, a tratwa pomknęła żywiej.

Słońce już zaszło, gdy zataczając łuk na wschód, Rzeka Leśna wpadła wreszcie do Długiego Jeziora. Szerokie ujście z obu stron zamykały jak brama urwiste skały, a u ich stóp ciągnął się pas wybrzeża wysypany żwirem. Długie Jezioro! Bilbo nie wyobrażał sobie, żeby mogła istnieć tak wielka woda poza morzem. Jezioro bowiem tak było szerokie, że przeciwległy brzeg wydawał się daleki i mały, a tak długie, że północnego końca, wysuniętego w kierunku Góry, Bilbo wcale nie mógł dostrzec. Jedynie z mapy hobbit pamiętał, że tam, daleko, gdzie migotały już gwiazdy Wielkiego Wozu, płynęła spod Dali Bystra Rzeka, która wspólnie z Leśną Rzeką wypełniała ongi tę głęboką, wielką, skalistą dolinę. U jej południowego końca podwójnie już bogaty nurt przelewał się przez wysokie progi i mknął ku nieznanym krainom. W ciszy pogodnego wieczora huk wodospadów dobiegał niby daleki grzmot.

Nieopodal ujścia Leśnej Rzeki znajdowało się niezwykłe miasto, o którym hobbit wiedział coś niecoś z rozmów podsłuchanych w piwnicach króla elfów. Miasto nie leżało na brzegu, gdzie widać było ledwie kilka chat i budynków, lecz wyrastało nad taflą jeziora, osłonione od fal wpadającej rzeki skalistym przylądkiem, który tworzył zaciszną zatokę. Długi drewniany most łączył brzeg z olbrzymim pomostem, zbudowanym z drzew wyciętych

w puszczy, a na nim wznosiło się drewniane miasto; gród nie elfów, lecz ludzi, którzy mieli ciągle jeszcze dość odwagi, by żyć w cieniu Smoczej Góry. Wciąż jeszcze trwał tutaj ruch handlowy, towary płynęły rzeką z południa, a ludzie przewozili je, omijając wodospady, do swego miasta; lecz za dawnych dobrych czasów, gdy na północy kwitło zamożne miasto Dal, ludzie z Jeziora byli bogaci i możni, po wodach żeglowały całe flotylle, niektóre statki wiozły złoto, a inne – rycerzy w zbrojach, toczyły się tu wojny i dokonywały wielkie dzieła, po których teraz została tylko legenda. Kiedy woda opadała w czasie suszy, widać było po dziś dzień u brzegów zmurszałe pale większego niegdyś miasta.

Ludzie jednak niewiele już z tego wszystkiego pamiętali, chociaż zachowały się stare pieśni o królu krasnoludów panującym we wnętrzu Góry, o Throrze i Thrainie z rodu Durina, o zjawieniu się smoka i upadku władców Dali. Niektóre pieśni zapowiadały, że Thror i Thrain wrócą kiedyś, a wówczas przez bramę z Góry spłynie na rzekę złoto i cały kraj rozbrzmi na nowo śpiewem i śmiechem. Ale miła legenda nie wpływała na tok powszedniego życia.

Kiedy tratwa z beczek ukazała się na rzece, spod palów miasta ruszyły łodzie i rozległy się nawoływania, na które flisacy odpowiedzieli. Rzucono liny, wciągnięto wiosła, tratwę wycofaną z nurtu Leśnej Rzeki przycumowano na uboczu, poza skalistą ścianą, w małej zatoce. Wkrótce mieli nadjechać z południa ludzie, żeby zabrać puste beczki i dostarczyć inne, napełnione towarami, które elfy zabiorą w górę rzeki do swojej leśnej siedziby. Tymczasem beczki pozostały na brzegu, a flisacy wraz z załogami łodzi poszli do miasta na ucztę.

Bardzo by się zdumieli, gdyby zobaczyli, co się stało na wybrzeżu po ich odejściu, gdy zapadła ciemna noc. Najpierw Bilbo odczepił

od reszty jedną beczkę, wtoczył na płyciznę i otworzył. Z wnętrza dobył się jęk i wypełzł okropnie sponiewierany krasnolud. Miał pełno siana w zmierzwionej brodzie, a tak był obolały, zdrętwiały, posiniaczony i rozbity, że ledwie mógł się na nogach utrzymać; z trudem przebrnął przez płytką wodę i padł, jęcząc, na brzegu. Zagłodzony, oszołomiony, wyglądał jak pies, którego łańcuchem przykuto do budy i zostawiono przez tydzień w zapomnieniu. Był to Thorin, lecz poznałbyś go chyba tylko po złotym naszyjniku i po kolorze niegdyś błękitnego, a teraz brudnego i zniszczonego kaptura z wystrzępionym srebrnym chwastem. Długa chwila minęła, nim Thorin zdobył się na jaką taką uprzejmość wobec hobbita.

– No i co, żyjesz czy umarłeś? – spytał Bilbo, szczerze rozgniewany. Nie pamiętał być może, że sam najadł się co najmniej raz do syta w tej podróży, podczas gdy krasnoludy głodowały, i że korzystał ze swobody ruchów, której im brakło, nie mówiąc już o wielkich ilościach świeżego powietrza. – Czy siedzisz w więzieniu, czy jesteś wolny? Jeśli chcesz dostać coś do jedzenia, jeżeli w ogóle upierasz się dalej przy tej głupiej przygodzie, która – nie zapominaj! – jest twoją, a nie moją przygodą – radzę ci, pogimnastykuj trochę ramiona, rozetrzyj nogi i pomóż mi uwolnić resztę kompanii, póki jeszcze pora.

Thorin oczywiście rozumiał, że Bilbo ma rację, sieknąwszy więc raz i drugi, wstał i zaczął jak mógł pomagać hobbitowi. Trudna i bardzo ciężka była to robota, musieli bowiem w ciemnościach brodzić po zimnej wodzie i wyszukiwać właściwe beczki. Opukując je z zewnątrz i nawołując towarzyszy, znaleźli sześciu, którzy mieli siłę odpowiedzieć. Gdy uwolnili ich z zamknięcia i pomogli im dojść do brzegu, biedacy posiadali tam lub pokładli się, narzekając

i zawodząc. Zmoknięci, rozbici i odrętwiali, nie mogli zrazu pojąć, że są wyratowani, i podziękować za to należycie.

Najnieszczęśliwsi byli Dwalin i Balin, nie można było od nich żądać pomocy. Bifur i Bofur, mniej posiniaczeni i nie tak przemoczeni, leżeli na ziemi i nie chcieli wziąć się do żadnej roboty. Za to Kili i Fili, młodzi jeszcze (jak na krasnoludy), a przy tym lepiej zapakowani w mniejszych baryłkach, porządnie wymoszczonych sianem, wyszli z przeprawy niemal uśmiechnięci, ledwie z paru siniakami, i szybko rozruszali sztywne kości.

– Mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie będę musiał wąchać jabłek – powiedział Fili. – Moja baryłka była pełna tego zapachu. Oddychać nim nieustannie, kiedy się nie można poruszyć, kiedy się kostnieje z zimna i dostaje mdłości z głodu – to okropność! W tej chwili zjadłbym wszystko, co byś mi dał, nie wstałbym chyba od miski do rana, ale jabłka nie tknąłbym nawet!

Dzielnie wspomagani przez Fila i Kila, Thorin i Bilbo odszukali w końcu i uwolnili resztę kompanii. Biedny gruby Bombur spał czy może omdlał, a Dori, Nori, Oin i Gloin nasiąkli wodą i wydawali się na pół tylko żywi; trzeba ich było kolejno przenosić na brzeg i układać tam, zupełnie bezwładnych.

– No, to już wszyscy! – rzekł Thorin. – Myślę, że powinniśmy złożyć dzięki szczęśliwej gwieździe oraz panu Bagginsowi. Pan Baggins na pewno ma prawo oczekiwać od nas wdzięczności, chociaż wolałbym, żeby trochę wygodniej urządził nam tę podróż. Mimo wszystko raz jeszcze powtarzam: jestem do pańskich usług, panie Baggins! Mam nadzieję, że odczujemy szczerą wdzięczność, jak się najemy i odpoczniemy. A tymczasem co dalej?

– Proponuję iść do miasta – rzekł Bilbo. – Cóż innego mamy do wyboru?

Nic innego rzeczywiście nikomu nie przychodziło do głowy; zostawiając więc część kompanii na miejscu, Thorin, Fili, Kili i hobbit ruszyli brzegiem w stronę ogromnego mostu. U wejścia na most czuwali strażnicy, ale nie pilnowali go zbyt gorliwie, bo od dawna nie było to naprawdę potrzebne. Ludzie znad Jeziora żyli w zgodzie z leśnymi elfami, jeśli nie liczyć drobnych sporów o myto za przeprawę szlakiem rzecznym. Innych sąsiadów w pobliżu nie mieli, toteż młodsi mieszkańcy miasta jawnie powątpiewali o istnieniu jakiegoś smoka w górskiej jamie i śmieli się, kiedy starcy – siwobrodzi dziadkowie i zgrzybiałe baby – opowiadali, że za młodu na własne oczy widzieli smoka przelatującego po niebie. W tej sytuacji nic dziwnego, że wartownicy pili i zabawiali się wesoło przy ogniu w swojej budzie, tak że nie słyszeli hałasu, jaki towarzyszył wyładunkowi krasnoludów, ani też kroków czterech zwiadowców. Zdumieli się bardzo, kiedy Thorin Dębowa Tarcza stanął w progu.

– Ktoś jest i czego tu chcesz?! – krzyknęli zrywając się i sięgając do broni.

– Jestem Thorin, syn Thraina, a wnuk Throra, Króla spod Góry! – oświadczył krasnolud donośnym głosem i tak godnie, że mimo podartej odzieży i brudnego kaptura wyglądał na królewskiego potomka. Na jego szyi i u pasa lśniło złoto, oczy miał ciemne i zapadnięte głęboko. – Wróciłem! Chcę się widzieć z władcą tego miasta.

Wrażenie było niesłychane. Co zapalczywsi wybiegli na dwór, jakby w nadziei, że Góra już błyszczy złotem wśród nocy i że wody Jeziora w okamgnieniu zabarwiły się złociście. Kapitan straży wystąpił naprzód.

– A kim są twoi towarzysze? – spytał, wskazując Fila, Kila i Bilba.

– Ci dwaj to synowie córki mojego ojca – odparł Thorin – Fili i Kili z rodu Durina. A to jest pan Baggins, który wraz z nami odbył podróż z zachodu.

– Jeżeli przychodzicie w pokojowych zamiarach, złóżcie broń w moje ręce – rzekł kapitan.

– Nie mamy broni – powiedział Thorin, a była to prawda, ponieważ leśne elfy odebrały im noże, jak również słynnego Orkrista. Bilbo miał jak zwykle ukryty pod ubraniem mieczyk, nic wszakże o tym nie mówił. – Nie potrzeba nam oręża, gdy wreszcie powracamy do własnych posiadłości zgodnie z prastarą przepowiednią. Nie moglibyśmy zresztą walczyć przeciw tak wielkiej przewadze. Prowadź nas do swego władcy.

– Nasz władca teraz ucztuje – rzekł kapitan.

– W takim razie tym bardziej prowadź nas do niego – wybuchnął Fili, zniecierpliwiony przedłużającymi się ceregielami. – Jesteśmy znużeni i głodni po długiej podróży, mamy też z sobą chorych towarzyszy. Pośpiesz się, nie trać czasu na próżne słowa, bo inaczej twój władca pewnie będzie miał ci coś niecoś do powiedzenia.

– Chodźcie za mną – rzekł kapitan i biorąc sześciu ludzi do eskorty, poprowadził gości przez most i bramę miejską na rynek. Był to szeroki krąg spokojnej wody, otoczony wysokimi palami, na których wspierały się najznamienitsze budowle, i ułożonymi z desek bulwarami, z których schody i drabiny wiodły w dół, ku jezioru. Z dużego, jarzącego się od świateł domu dobiegał gwar licznych głosów. Weszli i stanęli olśnieni blaskiem, a także widokiem długich stołów i tłumu biesiadników.

– Jestem Thorin, syn Thraina, który był synem Throra, królującego pod Górą! – głośno zawołał Thorin od progu, nim kapitan zdążył go oznajmić.

Wszyscy zerwali się z miejsc. Władca miasta wstał ze swego wspaniałego fotela. Nikt jednak nie był tak zdumiony jak flisacy ze służby króla elfów, siedzący na szarym końcu. Cisnąc się do władcy miasta, krzyczeli:

– To jeńcy naszego króla, którzy zbiegli z niewoli, włóczęgi, wędrowne krasnoludy! Nie umieli się wytłumaczyć, dlaczego przekradają się lasami i niepokoją naszych braci.

– Czy to prawda? – spytał władca. Wydawało mu się to o wiele bardziej prawdopodobne niż powrót Króla spod Góry, jeżeli w ogóle taka osobistość rzeczywiście kiedyś istniała.

– Prawda, że w drodze do własnej ojczyzny zostaliśmy niesłusznie przez elfów porwani i uwięzieni bez winy – odparł Thorin. – Ale nie ma takich krat i zamków, które by mogły przeszkodzić naszemu powrotowi, zapowiedzianemu przez stare przepowiednie. A to miasto nie należy do królestwa elfów. Nie do jego flisaków się zwracam, lecz do władcy Miasta na Jeziorze.

Władca wahał się chwilę, spoglądając to na krasnoludy, to na flisaków. Król elfów miał w tych stronach znaczną potęgę, toteż władca nie chciał z nim zadzierać; nie przywiązywał również wielkiej wagi do starych pieśni, bo zaprzątały go przede wszystkim sprawy handlu i myta, towarów i złota; tym właśnie upodobaniom zawdzięczał swoje stanowisko. Ale większość obywateli inaczej się na tę rzecz zapatrywała i rozstrzygnięto ją nie czekając na zdanie władcy. Nowina przedostała się z sali biesiadnej na miasto i obiegła je niczym płomień. Krzyk podniósł się wszędzie – w sali i na ulicach. Na bulwarach zadzwoniły szybkie kroki. Już ten i ów poddawał zwrotki prastarych pieśni o powrocie króla spod Góry; nikomu nie sprawiało wielkiej różnicy, że zamiast Throra zjawił się jego wnuk. Ludzie podejmowali pieśń i wkrótce rozbrzmiał głośny śpiew, wysoko wzbijając się nad jeziorem:

Podziemny król nad króle,
Pan wydrążonych skał
I władca srebrnych źródeł
Odbierze to, co miał.

Korona błyśnie złotem,
W stu harfach zabrzmi dzwon –
A w górskich grotach echo
Powtórzy dawny ton.

W pas się pokłonią lasy
I źdźbła zielonych traw,
A złoto i diamenty
Popłyną rzeką wpław.

Zaszemrzą pieśń strumienie,
Zaszumi las i bór –
I radość zapanuje,
Gdy zjawi się Król Gór.

Tak, a przynajmniej podobnie śpiewali, pieśń jednak miała o wiele więcej zwrotek i towarzyszyły jej okrzyki, a także dźwięki harf i skrzypiec. Doprawdy, najstarsi ludzie nie pamiętali tak gorączkowego podniecenia w Mieście na Jeziorze. Nawet elfy leśne zdumiewały się i wręcz niepokoiły. Nie wiedziały oczywiście, w jaki sposób Thorin zdołał uciec z więzienia, i przychodziło im do głowy, że może ich własny król popełnił grubą omyłkę. Co do władcy miasta, to rozumiał on, że nie ma innej rady, jak ulec głosowi ogółu i – przynajmniej na razie – udawać, iż wierzy we wszystko, co mówi Thorin. Ustąpił mu zatem swojego wspaniałego fotela, Kili i Fili zasiedli tuż obok na zaszczytnych miejscach, a Bilbo również znalazł się przy stole wśród najdostojniejszych biesiadników; w powszechnym zamieszaniu nikt nie pytał, skąd wziął się ten hobbit, o którym w pieśni nie doszukałbyś się najlżejszej bodaj wzmianki.

Wkrótce wśród objawów niesłychanego entuzjazmu wprowadzono do miasta resztę krasnoludów. Opatrzono wszystkich, nakarmiono, zakwaterowano, obsypano uprzejmościami, w jak najmilszy sposób i ku całkowitemu ich zadowoleniu. Thorin ze swą kompanią zamieszkał w osobnym, obszernym domu, miał na usługi łodzie i wioślarzy; jak dzień długi, przed kwaterą gości tłum śpiewał i wiwatował, ilekroć któryś z krasnoludów pokazał choćby tylko koniec nosa.

Śpiewano przeważnie stare pieśni, lecz niekiedy również nowe, ułożone na poczekaniu, głoszące dufnie, że lada chwila smok zginie, a rzeką do Miasta na Jeziorze popłyną statki naładowane bogatymi podarkami. Do tego rodzaju śpiewów zachęcał obywateli władca miasta, co wcale nie sprawiało krasnoludom szczególnej przyjemności; poza tym jednak gościom powodziło się dobrze, szybko obrośli znów sadłem i odzyskali siły. Po tygodniu wszyscy wrócili całkowicie do zdrowia i przechadzali się dumnie w nowych ubraniach z cienkiego sukna, każdy w swojej barwie, a brody mieli pięknie przystrzyżone i uczesane. Thorin tak wyglądał i tak się zachowywał, jak gdyby już odwojował swoje królestwo i posiekał Smauga na drobne kawałki.

Zgodnie z przewidywaniami Gandalfa serdeczne uczucia krasnoludów dla hobbita rosły i krzepły z każdym dniem. Bilbo już nie słyszał jęków ani wyrzutów. Przyjaciele pili za jego zdrowie, poklepywali go po ramieniu i otaczali wielkim szacunkiem; bardzo w porę zjawiała się ta pociecha, bo hobbit był trochę markotny. Nie mógł zapomnieć złowrogiego wyglądu Góry ani opędzić się od myśli o smoku, a na dobitkę dręczył go okropny katar. Przez kilka dni kichał i kaszlał, nie wychodził z domu, a podczas bankietów musiał ograniczać swoje przemówienia do słów: „Bardzo dziękuję".

Tymczasem elfy wróciły z towarami w górę Leśnej Rzeki i w pałacu króla powstało wielkie zamieszanie. Nie wiem wszakże, jaki los spotkał dowódcę straży i podczaszego. Dopóki krasnoludy przebywały w Mieście na Jeziorze, nikt oczywiście nie wspominał o kluczach i baryłkach, a Bilbo wystrzegał się pilnie użycia pierścienia. Mimo to zdaje się, że w mieście zgadywano więcej, niż goście mówili, jakkolwiek pan Baggins pozostał niewątpliwie trochę tajemniczą osobistością. W każdym razie król elfów wiedział już teraz, jaki cel ma wyprawa krasnoludów, i mówił sobie: „Doskonale! Zobaczymy! Nikt nie zdoła przewieźć skarbów z powrotem przez Mroczną Puszczę bez mojego pozwolenia. Ale myślę, że cała awantura źle się skończy dla krasnoludów, i dobrze im tak!”

Król nie wierzył, by krasnoludy mogły w otwartej walce zwyciężyć i zabić smoka tak potężnego jak Smaug, i mocno podejrzewał, że uciekną się raczej do próby kradzieży czy innego podstępu. Widać z tego, że król był mądrym elfem, mądrzejszym niż ludzie z Miasta na Jeziorze, chociaż i on nie przewidział trafnie – jak zobaczymy w dalszym ciągu tej historii. Rozesławszy więc swoich szpiegów po całym wybrzeżu Jeziora i na północ, jak się dało najbliżej w okolicę Samotnej Góry – czekał.

Po dwóch tygodniach Thorin zaczął zbierać się do wymarszu w dalszą drogę. Trzeba było wykorzystać entuzjazm w mieście, żeby uzyskać jak najskuteczniejszą pomoc. Nie miało sensu zwlekać, aż zapał ochłonie. Thorin zwrócił się więc do władcy i jego przybocznej rady, oświadczając, że wkrótce musi wraz ze swoją kompanią ruszyć pod Górę.

Po raz pierwszy sam władca zdziwił się, a nawet trochę zląkł. Teraz dopiero zaczął przypuszczać, że może Thorin naprawdę jest potomkiem dawnych królów. Nie spodziewał się wcale,

by krasnoludy ośmieliły się rzeczywiście zbliżyć do Smauga, podejrzewał raczej, że to banda oszustów, których prędzej czy później będzie można zdemaskować i przepędzić. Otóż omylił się! Thorin rzeczywiście był wnukiem króla spod Góry, a nie ma takiej rzeczy, na którą by się krasnolud nie odważył, kiedy chce pomścić swoją krzywdę lub odzyskać zrabowane mienie.

Władca miasta nie martwił się jednak, że krasnoludy chcą go pożegnać. Utrzymanie tylu gości kosztowało dużo, a pobyt ich zamieniał życie w mieście w ustawiczne święto, co powodowało zastój w interesach. „Niech sobie idą i próbują zaczepić Smauga, zobaczymy, jak ich przyjmie" – myślał.

– Słusznie, Thorinie, synu Thraina, który był synem Throra! – rzekł głośno. – Powinieneś upomnieć się o swoje. Wybiła godzina, o której mówiły przepowiednie. Możesz liczyć na pomoc z naszej strony, my zaś ufamy, że odpłacisz nam wdzięcznością, gdy odzyskasz swoje królestwo.

Chociaż więc jesień już była w pełni, wiatr dmuchał zimny, a liście opadały z drzew – pewnego dnia wypłynęły z Miasta na Jeziorze trzy duże łodzie, niosąc na pokładzie wioślarzy, trzynastu krasnoludów, pana Bagginsa oraz obfite zapasy żywności. Naprzód już wysłano okrężnymi drogami konie i kucyki, które podróżni mieli zastać lądując w umówionym miejscu. Władca w otoczeniu swoich doradców żegnał odjeżdżających, stojąc na wspaniałych schodach, które wiodły od bram ratusza w dół ku jezioru. Lud, zgromadzony na bulwarach nadbrzeżnych i w oknach domów, śpiewał. Białe wiosła zanurzyły się i plusnęły w wodzie. Popłynęli na północ przez Jezioro, rozpoczynając ostatni etap wielkiej podróży. Jedyną osobą szczerze nieszczęśliwą był Bilbo.

## Rozdział 11

# Na progu

wa dni płynęli Długim Jeziorem, a potem Bystrą Rzeką, i wreszcie wyrosła przed ich oczyma Samotna Góra, posępna i wielka. Posuwali się bardzo wolno przeciw rwącemu prądowi. Pod koniec trzeciego dnia, przepłynąwszy kilka mil w górę rzeki, przybili do lewego, czyli zachodniego brzegu i wysiedli na ląd. Czekały tu na nich konie objuczone prowiantem i wszelkim sprzętem oraz kucyki pod wierzch. Załadowali, co się dało, na kuce, resztę zaś zmagazynowali pod namiotem; wśród towarzyszących im ludzi z Miasta nie znalazł się wszakże nikt, kto by chciał zostać z nimi bodaj na tę jedną noc tak blisko cienia rzucanego przez Górę.

– Nie – mówili. – Przynajmniej na razie, póki nie spełnią się przepowiednie.

Tu bowiem, na dzikim pustkowiu, łatwiej było wierzyć w smoka, trudniej natomiast w Thorina. Mogli śmiało zostawić skład zapasów bez straży, bo kraj dokoła zdawał się spustoszony i bezludny. Tak więc eskorta opuściła wędrowców, spiesznie odpływając w dół rzeki lub maszerując nadbrzeżnymi ścieżkami, ponieważ noc już zapadała.

Kompania Thorina spędziła tę noc marznąc samotnie i duch w niej upadł. Nazajutrz ruszyła dalej. Balin i Bilbo zamykali pochód, prowadząc zapasowe kuce, ciężko objuczone. Inni jechali o parę kroków przed nimi, mozolnie torując drogę, bo ścieżek tu nie było. Kierowali się na północo-zachód, skosem oddalając się

od Bystrej Rzeki, a zbliżając z każdym krokiem do wielkiej ostrogi skalnej, którą Góra wysuwała ku południowi, na ich spotkanie.

Droga była uciążliwa, jechali w milczeniu, chyłkiem. Nie ważył się nikt śpiewać ani śmiać, ani brząkać na harfie, duma i nadzieja, rozbudzone w sercach przez prastare pieśni nad Jeziorem, teraz przygasły; wszystkich ogarnęło ponure znużenie. Rozumieli, że zbliżają się do kresu podróży i że może to być kres okropny. Otaczał ich kraj pusty i nagi, chociaż ongi – jak opowiadał Thorin – zielony i piękny. Trawa rosła skąpo, a po jakimś czasie znikły drzewa i krzewy, tylko sczerniałe pieńki świadczyły, że kiedyś było ich tu wiele. Dotarli do kraju spustoszonego przez smoka, a na domiar znaleźli się tu z końcem jesieni.

Mimo wszystko dojechali do podnóży Góry nie napotykając żadnych niebezpieczeństw ani innych dowodów obecności smoka, prócz spustoszenia wokół jego siedziby. Góra leżała czarna i milcząca przed nimi, a groźniej jeszcze piętrzyła się nad ich głowami. Rozbili pierwszy obóz po zachodniej stronie skalnej ostrogi, która kończyła się wzniesieniem zwanym Kruczym Wzgórzem. Za dawnych lat jego szczyt służył za strażnicę krasnoludom, teraz jednak nie śmieli piąć się na nią, bo miejsce było zbyt odsłonięte.

Nim się zabrali do szukania na zachodnich stokach Góry tajemnych drzwi, w których pokładali wszystkie nadzieje, Thorin wysłał na południe mały patrol wywiadowców, żeby zbadali najbliższe okolice Głównej Bramy. Powierzył to zadanie Balinowi, Kilowi i Filowi, a towarzyszyć tej trójce miał Bilbo. Pod osłoną szarych, milczących urwisk ruszyli aż do podnóży Kruczego Wzgórza. Rzeka, szeroką pętlą obejmując dolinę Dal, w tym miejscu skręcała spod Góry, płynąc żywo i hałaśliwie do Jeziora. Brzegi tu były nagie, skaliste, wysokie i strome. Stojąc na nich, zwiadowcy

poprzez wąski potok pieniący się i rozbryzgujący na głazach widzieli rozległą dolinę, na którą dwa wysunięte ramiona Góry rzucały cień, i pośród niej szare ruiny dawnych domów, wież i murów.

– Oto wszystko, co zostało po Dali – rzekł Balin. – Zbocza gór zieleniły się od lasów, a zaciszna dolina była bogata i wesoła, w czasach kiedy dzwony rozbrzmiewały w mieście.

Balin mówił to posępnie i z żalem, należał bowiem do grona towarzyszy Thorina owego dnia, gdy zjawił się tutaj smok.

Nie mieli odwagi posuwać się wzdłuż rzeki dalej w stronę Głównej Bramy, lecz obeszli sterczącą na południe ostrogę aż do miejsca, skąd leżąc w ukryciu za występem skalnym mogli dostrzec czarny otwór pieczary ziejący w ogromnej, stromej ścianie pomiędzy dwoma ramionami Góry. Z tej pieczary tryskały wody Bystrej Rzeki, z niej też wydobywały się kłęby pary i czarnego dymu. Nic nie poruszało się na tym pustkowiu prócz oparów i wody, tylko niekiedy przelatywał złowróżbny czarny kruk. Nie było też słychać innych głosów prócz plusku rzeki na kamieniach i z rzadka – ochrypłego krakania. Balinem wstrząsnął dreszcz.

– Wracajmy – powiedział. – Nic tu nie zdziałamy. Nie podobają mi się te czarne ptaszyska, wyglądają na szpiegów w służbie złych sił.

– Sądząc z tego dymu, smok żyje i siedzi w jamie pod Górą – odezwał się hobbit.

– Dym niczego nie dowodzi – odparł Balin – chociaż nie wątpię, że jest tak, jak mówisz. Ale nawet gdyby Smaug oddalił się na pewien czas lub gdyby leżał czatując na zewnętrznym zboczu – dymy i opary wydobywałyby się i tak z jaskini; całe podziemie musi być pełne jego cuchnących wyziewów.

Tak udręczeni przez ponure myśli, ścigani przez kraczące im nad głowami kruki, powlekli się z powrotem do obozu. Był czerwiec, gdy gościli w pięknym domu Elronda, a chociaż jesień dopiero chyliła się ku zimie, zdawało się krasnoludom, że całe lata dzielą ich od tamtych uroczych dni. Teraz bowiem znaleźli się w złowrogiej pustce i znikąd nie mogli spodziewać się pomocy. Stanęli u kresu podróży, ale cel zdawał się równie daleki jak przed wyruszeniem z domu. Nikt nie zachował w sercu wiele otuchy.

Otóż rzecz dziwna: pan Baggins miał jej więcej niż inni! Często sięgał po mapę Thorina i wpatrywał się w nią, rozmyślając nad runami i wskazówką, którą Elrond wyczytał z księżycowego pisma. I nie kto inny, lecz właśnie pan Baggins namówił krasnoludów, żeby zabrali się do niebezpiecznych poszukiwań tajemnych drzwi w zachodnim stoku Góry. Przeniesiono obóz do wydłużonej dolinki leżącej między niższymi ostrogami Góry, a węższej niż wielka dolina od południowej strony, prowadząca pod Główną Bramę i przecięta rzeką. Od masywu Góry wysuwały się tu na zachód długie grzbiety, opadające stromymi zboczami aż na równinę. W tej zachodniej części Góry znaleźli mniej śladów smoczych wędrówek, a więcej trawy dla kucyków. Z nowego obozu, na który od rana aż do chwili przed wieczorem, gdy słońce chyliło się nad las, padał cień urwistej ściany, wychodzili co dzień grupami po kilku na mozolne poszukiwania ścieżek prowadzących po zboczu w górę. Jeśli mapa mówiła prawdę, gdzieś tam, wysoko nad skałą u końca doliny musiały być tajemne drzwi. Ale co dzień z niczym wracali do obozu.

Wreszcie, zupełnie niespodziewanie, znaleźli, czego szukali. Pewnego dnia Fili, Kili i hobbit szli doliną w dół, szperając wśród rumowisk skalnych w jej południowym końcu. Około południa, czołgając się za ogromnym głazem sterczącym samotnie jak filar,

Bilbo natrafił na coś, co wyglądało jak wyciosane z grubsza stopnie schodów. Przejęty odkryciem, przywołał obu krasnoludów i razem odnaleźli ślad wąskiej ścieżyny, która to znikała, to się pokazywała, aż wyszli nią na szczyt południowego grzbietu i dostali się w końcu na jeszcze węższą półkę skalną biegnącą ku północy w ścianie Góry. Kiedy spojrzeli w dół, zobaczyli niemal wprost u swoich stóp obóz; stali więc na szczycie urwiska zamykającego dolinę. Cichcem, lgnąc do skalnej ściany po prawej ręce, poszli gęsiego półką aż do zagłębienia, które tworzyło między stromymi skałami jakby wnękę miękko wyścieloną trawą, spokojną i zaciszną. Wejścia do tego schronu nie mogli dostrzec z dołu, ponieważ zasłaniał je nawis skalny, z daleka zaś trudno było rozróżnić coś więcej niż małą, ciemniejszą rysę, jakby tylko szparę w skale. Nie była to jaskinia, bo pozbawiona stropu wnęka otwierała się w górze ku niebu. W głębi za to zamykała ją płaska ściana, w dole, tuż przy ziemi, tak gładka i prostopadła, jakby ją zbudowały ręce murarza; nigdzie jednak nie wypatrzyli w niej śladu zawiasów czy pęknięcia. Próżno też szukali czegoś podobnego do framugi, odrzwi czy progu, sztaby, zamka czy dziurki od klucza. A przecież nie wątpili, że znaleźli wreszcie tajemne drzwi.

Walili w nie, pchali i ciągnęli ze wszystkich sił, błagali, by się poruszyły, przypominali sobie wszelkie znane zaklęcia, ale daremnie. W końcu, znużeni, położyli się na odpoczynek w trawie, wieczorem zaś ruszyli w powrotną drogę w dół.

Tej nocy obóz wrzał podnieceniem. Rankiem zabrano się do nowej przeprowadzki. Tylko Bofur i Bombur zostali, żeby pilnować kuców i tej części zapasów, które wzięto z sobą znad rzeki. Reszta kompanii ruszyła w dół doliny, a potem w górę nowo odkrytą ścieżką na wysoką półkę. Tak było tu ciasno i niebezpiecznie, że ani myśleć nie mogli o przeniesieniu pakunków

i worków na plecach; spod półki ściana opadała stromo, a o sto pięćdziesiąt stóp niżej sterczały poszarpane skały. Każdy jednak z wędrowców miał porządny zwój liny okręcony mocno wokół pasa i dzięki temu bez przygody dotarli do małej trawiastej wnęki.

Tu rozbili trzeci swój obóz, wciągnąwszy na linach najniezbędniejszy sprzęt i zapasy. Tą samą drogą mogli w razie potrzeby spuszczać któregoś ze zwinniejszych krasnoludów, jak na przykład Kila, żeby porozumiał się z pozostawionymi na dole towarzyszami i pomógł im strażować przy wierzchowcach. Bofura wywindowano na linie do górnego obozu, lecz Bombur nie zgodził się ani na podróż napowietrzną, ani na mozolną wspinaczkę po ścieżce.

– Za gruby jestem, żeby łazić jak mucha po ścianie – rzekł. – Dostałbym zawrotu głowy albo przydepnąłbym sobie brodę, a wtedy znów zostałaby was pechowa trzynastka. Liny też są za cienkie, żeby wytrzymać mój ciężar.

Nie miał racji – na swoje szczęście – jak przekonacie się z dalszego ciągu tej historii.

Tymczasem krasnoludy zbadały półkę skalną poza wnęką i stwierdziły, że ścieżka pnie się coraz wyżej i wyżej w górę. Nie śmieli jednak zapuszczać się zbyt daleko, zresztą nie wydawało się to potrzebne. Na tych wysokościach panowała cisza, której nie zakłócały ani głosy ptaków, ani żadne szmery, chyba tylko świst wiatru w kamiennych wąwozach. Zwiadowcy mówili szeptem, nie nawoływali się, nie śpiewali, bo niebezpieczeństwo mogło czyhać za każdą skałką. Inni uczestnicy wyprawy biedzili się tymczasem nad tajemnicą drzwi, wciąż jednak bez powodzenia. Zbyt rozgorączkowani, aby rozważać wskazówki runów i księżycowego pisma, niezmordowanie usiłowali odszukać na gładkiej skalnej powierzchni ślady ukrytego wejścia. Z Miasta na Jeziorze przywieźli

oskardy i rozmaite narzędzia, których z początku próbowali użyć. Ale gdy uderzyli o kamień, rękojeści pękły i okrutnie pokaleczyły im ręce, a stalowe ostrza ułamały się lub wygięły jak ołów. Okazało się, że sztuka górnicza na nic się nie zda przeciw magicznej sile, która zamknęła te drzwi. A przy tym krasnoludy zlękły się hałasu zwielokrotnionego przez echo.

Bilbo, samotny i znużony, siadł na progu; oczywiście nie było tam naprawdę progu, tak jednak kompania Thorina nazwała dla żartu mały trawiasty zakątek między ścianami wnęki a jej wejściem, na pamiątkę słów, które Bilbo wygłosił dawno, dawno temu, podczas niespodziewanego najścia gości w swojej norce, gdy radził krasnoludom siąść na progu i myśleć, dopóki czegoś nie wymyślą. Toteż siedzieli teraz i myśleli albo wałęsali się bez celu i z każdą chwilą miny im się przeciągały coraz bardziej.

Podnieśli się nieco na duchu, gdy odkryli nową ścieżkę, teraz jednak znów dusze pouciekały im w pięty; mimo to nie chcieli dać za wygraną i wycofać się. Hobbit już także nie był lepszej myśli niż krasnoludy. Nic nie robił, tylko wciąż siedział, plecami do skały, patrząc przez wylot wnęki na zachód, daleko za urwiska, za rozległą krainę, za czarną ścianę Mrocznej Puszczy, tam gdzie majaczyły chwilami odległe i małe Góry Mgliste. Jeśli ktoś pytał Bilba, co właściwie robi, odpowiadał tak:

– Mówiliście, że moim obowiązkiem będzie przesiadywanie na progu i myślenie, nie wspominając już o włamywaniu się do wnętrza; no, więc siedzę i myślę.

Mnie się jednak zdaje, że hobbit nie tyle myślał o swoich obowiązkach, ile o ukrytym w błękitnej dali spokojnym kraju hobbitów na zachodzie, o Pagórku i o własnej norce.

Pośrodku leżał w trawie płaski głaz i Bilbo przyglądał mu się w zadumie albo obserwował ogromne ślimaki, które widać

upodobały sobie tę małą, zaciszną wnękę między chłodnymi skałami, bo cała ich gromada pełzała tu z wolna, lgnąc do ścian.

– Jutro zaczyna się ostatni tydzień jesieni – rzekł pewnego dnia Thorin.

– A po jesieni nadejdzie zima – powiedział Bifur.

– A potem nastanie nowy rok – dorzucił Dwalin. – Brody nam zdążą wyrosnąć tak, że będą zwisały stąd aż na dolinę, nim się tu czegoś doczekamy. Co właściwie robi włamywacz, żeby nam pomóc? Skoro ma pierścień i miał czas nabrać mistrzostwa w sztuce niewidzialności, mógłby chyba pójść przez Główną Bramę i przeprowadzić mały wywiad we wnętrzu Góry.

Bilbo usłyszał te słowa, bo krasnoludy siedziały na skałach wprost nad nim. „Wielkie nieba! – rzekł sobie w duchu – a więc takie pomysły już im przychodzą do głów! Zawsze ja, nieborak, mam ich ratować w biedzie, przynajmniej odkąd nas czarodziej opuścił. Co teraz zrobię? Powinienem był od początku przewidzieć, że w końcu spotka mnie coś okropnego. Mam wrażenie, że nie zniósłbym po raz drugi nawet widoku nieszczęsnej doliny Dal, co dopiero tych dymiących wrót!"

Tej nocy czuł się bardzo nieszczęśliwy i prawie nie zmrużył oka. Nazajutrz krasnoludy rozeszły się w różne strony; niektóre na dole zajęły się kucykami, inne wybrały się na zwiady po górskich zboczach. Bilbo przez cały dzień siedział markotny na trawie we wnęce i patrzał na głaz lub w stronę zachodu przez wąskie wejście. Zdawało mu się, nie wiedzieć czemu, że na coś czeka. „Może czarodziej wróci niespodzianie jeszcze dzisiaj?" – myślał.

Ilekroć podnosił głowę, dostrzegał w dali kreskę lasów. Kiedy słońce skłoniło się ku zachodowi, odblask ozłocił odległe wierzchołki drzew, jakby światło padało na ostatnie wyblakłe liście. Wkrótce kula słoneczna niby pomarańcza znalazła się nisko,

na wprost oczu hobbita. Bilbo podszedł do wejścia wnęki i ujrzał tuż nad widnokręgiem blady i nikły wiechetek wschodzącego księżyca.

W tym samym momencie usłyszał za swoimi plecami głośny stuk. Na szarym kamieniu przysiadł ogromny drozd, czarny jak smoła, z jasnożółtą piersią nakrapianą ciemnymi plamkami. Trach! Drozd złowił ślimaka i dziobem rozbijał go o kamień. Trach, trach!

Nagle Bilbo zrozumiał. Zapominając o niebezpieczeństwie, wybiegł na półkę skalną i zaczął przywoływać krasnoludy, krzycząc i machając rękami. Kto był w pobliżu, biegł ile sił w nogach do hobbita, potykając się wśród skał, zaciekawiony, co się właściwie stało. Inni (z wyjątkiem oczywiście Bombura, który spał) domagali się, żeby ich z dołu wciągnąć na linie.

Bilbo szybko im całą sprawę wyjaśnił. Umilkli wszyscy: hobbit stojący na płaskim głazie i krasnoludy, w niecierpliwym oczekiwaniu kiwające brodami. Słońce zachodziło coraz niżej, a nadzieja gasła w ich sercach. Wreszcie słońce zanurzyło się w wąskim pasemku purpurowych obłoków i znikło. Krasnoludy jęknęły, ale Bilbo stał wciąż nieporuszony na swoim miejscu. Wiechetek księżyca wypływał nad widnokrąg. Zapadał wieczór. I nagle, kiedy już tracili resztkę nadziei, czerwony promień słońca niby palec przebił dziurę w obłoku i trafił przez szczelinę u wejścia do wnęki prosto na przeciwległą gładką ścianę. Stary drozd, który przekrzywiwszy łebek z wysoka przyglądał się temu oczyma podobnymi do czarnych paciorków, krzyknął przenikliwym głosem. Rozległ się trzask. Kamienny wiór odłupany od skały odpadł na ziemię. Na wysokości mniej więcej trzech stóp nad ziemią w skale ukazała się dziurka.

Spiesznie, drżąc, by nie stracić tej ostatniej szansy, krasnoludy rzuciły się ku ścianie, zaczęły na nią napierać z wszystkich sił –

daremnie!

– Klucz! klucz! – wrzasnął Bilbo. – Gdzie Thorin?

Podbiegł Thorin.

– Klucz! – krzyczał Bilbo. – Klucz, który był dołączony do mapy. Spróbuj go, nim będzie za późno.

Thorin sięgnął po klucz zawieszony na złotym łańcuchu u jego szyi. Wsunął go do dziurki. Pasował i obracał się! Lecz w tym momencie promień zgasł, słońce się skryło, księżyc zniknął, noc rozlała się po niebie.

Pchali teraz wszyscy razem i z wolna część skalnej ściany ustąpiła pod naporem. Długie, regularne szpary rysowały się coraz wyraźniej i poszerzały z każdą chwilą. Już widać było zarys drzwi, wysokich na pięć stóp, a na trzy szerokich; bez szmeru, powoli odchylały się do wnętrza. Ciemność niby chmura wypłynęła z ziejącego w zboczu otworu, głęboka, nieprzenikniona ciemność wypełniająca rozwarte wnętrze Góry.

## Rozdział 12

# Na zwiadach w obozie wroga

ługo stały krasnoludy w ciemnościach pod drzwiami, naradzając się, co robić, wreszcie przemówił Thorin:

– Oto wybiła godzina szanownego pana Bagginsa, który okazał się cennym przyjacielem w ciągu całej długiej podróży, jako hobbit – nadspodziewanie na swój wzrost – wielki męstwem, niewyczerpany w pomysłach, a także, pozwolę sobie rzec, obdarzony nad zwykłą miarę szczęściem w przygodach. Wybiła tedy godzina, by pan Baggins wypełnił zadanie, do którego zobowiązaliśmy go, zabierając z sobą na tę wyprawę, i przyszedł czas, by zarobił na obiecane wynagrodzenie.

Znacie już styl, jakim Thorin zwykł przemawiać w doniosłych chwilach, nie będę więc przytaczał dalszego ciągu jego mowy, chociaż wygłaszał ją jeszcze dość długo w tym samym duchu. Chwila była rzeczywiście doniosła, lecz Bilbo niecierpliwił się bardzo. Bilbo także już zdążył poznać dobrze Thorina i od razu zgadł, o co mu chodzi.

– Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że twoim zdaniem ja powinienem pierwszy zapuścić się w ten tajemniczy korytarz, o Thorinie, synu Thraina, zwany Dębową Tarczą, oby broda twoja urosła jeszcze dłuższa! – przerwał mu gniewnie – mów tak od razu i daj spokój ceregielom. Mógłbym odmówić. Wyratowałem was dwukrotnie z ciężkich tarapatów, co nie było przewidziane w umowie, toteż, jak sądzę, już zarobiłem na wynagrodzenie. Ale do trzech razy sztuka – jak powiadał mój ojciec, więc nie odmówię,

choć sam nie bardzo rozumiem dlaczego. Może nauczyłem się ufać swojemu szczęściu bardziej niż dawnymi laty. – Bilbo miał na myśli poprzednią wiosnę spędzoną we własnym domu, ale te czasy wydawały mu się odległe o wieki całe. – W każdym razie gotów jestem iść, zajrzeć do środka, skończyć z tym wreszcie. Kto pójdzie ze mną?

Nie spodziewał się usłyszeć chóru licznych ochotników, więc nie doznał rozczarowania. Kili i Fili z zakłopotanymi minami spojrzeli na siebie, przestępując z nogi na nogę, inni nawet nie udawali ochoty, z wyjątkiem sędziwego Balina, stałego wartownika drużyny, który szczególnie polubił hobbita. Balin więc oświadczył, że pójdzie z Bilbem do wnętrza jamy, przynajmniej kawałek drogi, żeby w razie potrzeby skrzyknąć pomoc.

Na usprawiedliwienie krasnoludów mogę wam powiedzieć tylko tyle: zamierzały hojnie zapłacić hobbitowi za usługi; wzięły go z sobą po to, żeby ich wyręczył w najprzykrzejszej robocie, i nie przejmowały się zbytnio losem biednego malca, skoro zgodził się podjąć ryzyko; nie wahały się jednak zrobić wszystkiego, co było w ich mocy, kiedy znalazł się w opałach – tak przecież postąpiły w przygodzie z trollami na początku tej historii, chociaż wtedy nie miały jeszcze wobec hobbita szczególnych długów wdzięczności. Tak się sprawa przedstawia: krasnoludy nie są bohaterami, to plemię wyrachowane, bardzo wysoko ceniące pieniądz. Są wśród nich chytre sztuki, nawet oszuści i naprawdę łotrzyki, ale są także krasnoludy dość uczciwe i do takich właśnie zaliczyć należy Thorina wraz z jego drużyną. Nie trzeba jednak za wiele od nich wymagać.

Kiedy Hobbit wsuwał się przez zaczarowane drzwi do wnętrza Góry, za jego plecami gwiazdy ukazały się na bladym, pociętym czarnymi pasmami niebie. Droga okazała się łatwiejsza, niż przewidywał. Nie była to przecież jama goblinów ani grubo ciosane

podziemia elfów. Ten korytarz wykuły krasnoludy na miarę swoich bogactw i swojej sztuki górniczej, toteż biegł prosto jak strzała, podłogę miał równą, wygładzone ściany, spadek umiarkowany i regularny, a prowadził do odległego jakiegoś celu, ukrytego w czarnej czeluści.

Po chwili Balin, życząc hobbitowi szczęśliwej drogi, zatrzymał się w miejscu, z którego mógł jeszcze dostrzec nikły zarys drzwi i dosłyszeć, dzięki echu odbijającemu się o ściany korytarza, szmer głosów przyjaciół szepczących we wnęce u wejścia. Wówczas Bilbo wsunął pierścień na palec i bardziej nawet, niż jest to w zwyczaju hobbitów – ze względu na echo – wystrzegając się jakiegokolwiek hałasu, bezszelestnie zaczął schodzić w dół, w dół, w ciemność. Trząsł się ze strachu, ale jego drobna twarzyczka miała wyraz stanowczy i zawzięty. Nie był to już ten sam hobbit, który ongi wybiegł ze swej norki bez chustki do nosa. Od dawna już nauczył się obywać bez chustki! Wysunął mieczyk, zacisnął pasa i szedł naprzód.

Teraz już wpadłeś po uszy, Bilbo Baggins – powiedział sobie. – Tamtej nocy, przyjmując krasnoludów w swoim domu, wdepnąłeś w tę historię, a dziś, żeby się z niej wydobyć, płacisz. Tam do licha, ależ głupiec był i jest z ciebie! – odezwała się najmniej Tukowa część jego istoty. – Daruję chętnie wszystkie skarby strzeżone przez smoka, niechby sobie na wieki zostały w podziemiu, bylebym ja obudził się i przekonał, że ten okropny tunel to po prostu mój własny pokój w moim własnym domu.

Nie obudził się oczywiście, ale szedł wytrwale naprzód, aż wreszcie nie mógł już dostrzec za sobą ani śladu drzwi wejściowych. Był samiuteńki. Po jakimś czasie zaczęło mu się robić gorąco. „Czy mi się zdaje – myślał – czy też tam, przede mną, coś świeci jakby łuna?”

Nie zdawało mu się; im dalej szedł, tym wyraźniej widział blask, aż w końcu wyzbył się wszelkich wątpliwości. Światło z każdą minutą czerwieniało mocniej. Niewątpliwie też w tunelu zrobiło się bardzo gorąco. Nad głową hobbita i obok niego snuły się kłęby pary, Bilbo zaczął się pocić. Do jego uszu dochodził teraz jakiś szmer, jakby bulgotanie wody kipiącej w ogromnym kotle połączone z mruczeniem olbrzymiego kocura. Wreszcie Bilbo nieomylnie poznał bełkotliwy głos jakiegoś dużego zwierzęcia chrapiącego przez sen gdzieś w dole, tam, skąd bił czerwony poblask.

W tym momencie Bilbo stanął w miejscu. To, że po chwili znów ruszył naprzód, było największym dowodem męstwa, na jaki w życiu się zdobył. Wszystkie okropności, które zdarzyły się potem, były niczym w porównaniu z tą decyzją. Prawdziwą walkę stoczył samotnie w ciemnym tunelu, nim jeszcze zrozumiał ogrom czyhającego niebezpieczeństwa. W każdym jednak razie po krótkim przystanku poszedł dalej. Wyobraźcie go sobie zbliżającego się do końca tunelu, gdzie otwiera się wąski wylot, podobny z kształtu i wielkości do drzwi wejściowych. Mała główka hobbita wsuwa się ostrożnie w szparę. Bilbo ma przed oczyma wielką, najniższą pieczarę, może loch więzienny dawnej siedziby krasnoludów, wyżłobiony u samych korzeni Góry. Jest tak ciemno, że można tylko zgadywać rozmiary obszernej piwnicy, lecz w ciemnościach pod najbliższą ścianą od skalnej podłogi bije jasna łuna. To blask Smauga!

Oto leży tu olbrzymi, czerwonozłocisty smok, pogrążony w głębokim śnie; z paszczy i z nozdrzy dobywa się pomruk i kłęby dymu, lecz podczas snu potwora ogień ledwie się tli w jego wnętrznościach. Pod nim, nakryte jego cielskiem i wielkim zwiniętym ogonem, a także wszędzie dokoła rozsypane po ziemi

i ginące w ciemnościach, piętrzą się niezliczone drogocenne przedmioty, złoto surowe i kute, rzadkie kamienie i klejnoty, srebro czerwieniejące w rdzawym świetle. Smaug leżał ze złożonymi skrzydłami niby ogromny nietoperz, obrócony trochę bokiem, tak że hobbit widział jego ciało od spodu: długi, blady brzuch oprószony drogimi kamieniami i okruchami złota, które wbiły mu się w skórę od stałego wylegiwania się na tym łożu bogactw. Poza nim na najbliższych ścianach niewyraźnie majaczących w mroku wisiały zbroje, hełmy, topory, miecze, dzidy; rzędami stały wielkie dzbany i naczynia pełne nieodgadnionych skarbów.

Jeśli powiem, że hobbitowi dech zaparło, będzie to o wiele za słabe określenie. Odkąd ludzie zmienili język, którego się nauczyli od elfów w czasach, gdy świat cały był czarodziejski, brak w naszej mowie słów, żeby wyrazić oszołomienie Bilba. Wprawdzie słyszał w swym życiu legendy i pieśni o bogactwach nagromadzonych przez smoka, lecz takiej wspaniałości, takiej ponęty i takiego blasku skarbów nigdy sobie nie wyobrażał. W tej chwili czar złota przeszył mu serce i urzekł je, owładnęła nim pożądliwość znana wszystkim krasnoludom. Stał jak wryty, zapominając niemal o przerażającym strażniku tych skarbów, patrzał na nie i obliczał ich wartość.

Patrzał tak długo, zdawało mu się, że minęły wieki, nim znęcony pokusą, właściwie wbrew własnej woli wysunął się z mrocznego korytarza i zakradł aż na skraj najbliższego usypanego z klejnotów kopca. Na nim leżał smok, śmiertelnie groźny nawet we śnie. Chwyciwszy za dwa ucha olbrzymi puchar, tak ciężki, że z trudem go udźwignął, Bilbo rzucił lękliwe spojrzenie w górę, na smoka. Smaug poruszył jednym skrzydłem i wysunął jeden pazur, a chrapliwy pomruk zabrzmiał innym tonem. Bilbo umknął. Smok jednak nie obudził się, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili; śniąc jakiś nowy

sen o grabieżach i gwałtach, leżał dalej w zrabowanej krasnoludom pieczarze, podczas gdy mały hobbit wycofywał się długim tunelem. Serce waliło mu w piersi, a nogi dygotały jeszcze bardziej gorączkowo niż podczas wędrówki w pierwszą stronę, ale ściskał mocno w rękach puchar, a w głowie miał tę jedną myśl: „Otóż zrobiłem to! Teraz się przekonają! Podobniejszy do sklepikarza niż do włamywacza, co? Nie usłyszę więcej takiej uwagi".

Nie usłyszał rzeczywiście. Balin szalał z radości, gdy go ujrzał wracającego, i nie wiadomo, czy bardziej się cieszył, czy dziwił. Pochwycił Bilba w ramiona i wyciągnął na świeże powietrze. Północ już była, chmury zasłoniły gwiazdy, lecz Bilbo leżał z przymkniętymi oczyma, dysząc ciężko i rozkoszując się czystym powietrzem, nie zwracając wiele uwagi na podniecenie krasnoludów, na ich pochwały, gdy go klepali po ramieniu i oświadczali, że zarówno oni sami, jak ich potomstwo do siódmego pokolenia gotowe jest dla niego do wszelkich usług.

Krasnoludy wciąż jeszcze podawały sobie puchar z rąk do rąk i uradowane rozprawiały o odzyskaniu swoich skarbów, kiedy nagle głośny grzmot rozległ się we wnętrzu Góry, jakby stary wulkan ocknął się i postanowił znowu plunąć ogniem. Drzwi w głębi wnęki były przymknięte i zabezpieczone wsuniętym w szparę kamieniem, lecz przez długi tunel dobywał się z dna otchłani, wyolbrzymiony grą echa, ryk i tupot, od którego ziemia drżała pod stopami krasnoludów.

W okamgnieniu zapomnieli o radości, o dufnych przechwałkach wygłaszanych przed chwilą i skulili się wszyscy ze strachu. Nie wolno było zapominać o Smaugu. Wielki to błąd pomijać w rachunkach smoka, póki ten smok żyje, i to w dodatku tuż pod bokiem. Smoki co prawda nie umieją właściwie używać bogactw, ale znają zazwyczaj swoje skarby z dokładnością do jednego łuta,

tym bardziej jeżeli od dawna je posiadają. Smaug nie stanowił wyjątku od tej reguły. Z niespokojnego snu – w którym nieprzyjemną rolę odgrywał rycerz nader małego wzrostu, lecz uzbrojony w bardzo ostry miecz i w niezwykłe męstwo – przeszedł do lekkiej drzemki, a potem obudził się i całkowicie oprzytomniał. Poczuł jakiś lekki powiew ciągnący przez pieczarę. Czyżby wiało od małej dziury w ścianie? Zawsze się z jej powodu trochę niepokoił, choć wydawała się tak znikoma, teraz więc wpatrywał się w nią podejrzliwie i wyrzucał sobie, że dotychczas jej nie zatkał. W ostatnich dniach wydawało mu się, że słyszy stłumione odgłosy jakby kołatania, dochodzące skądsiś z góry aż na dno jego jamy. Przewrócił się na łożu, wyciągnął szyję i zaczął węszyć. I w tym momencie zauważył, że w skarbnicy brakuje jednego pucharu!

Złodzieje! Gwałtu! Rety! Nic podobnego nie zdarzyło się jeszcze, odkąd Smaug zamieszkał pod Górą. Wpadł w nieopisaną wściekłość, w szczególną odmianę wściekłości, ogarniającą tych bogaczy, którzy mają więcej, niż zdolni są spożytkować, jeśli nagle utracą coś, co od dawna posiadali, lecz czego nigdy przedtem nie używali ani nie potrzebowali. Smaug buchnął ogniem, pieczara wypełniła się dymem, góra zadrżała w posadach. Na próżno potwór próbował wcisnąć łeb w mały wylot tunelu; zwinął się cały i grzmiąc jak podziemna burza zerwał się ze swego legowiska na dnie lochów, poskoczył do wielkich drzwi i dalej ogromnymi korytarzami górskiego pałacu ku Głównej Bramie.

Opanowała go jedna myśl: przeszukać całą Górę, pochwycić złodzieja, rozszarpać go i stratować. Wychynął przez wrota, rzeka zakipiała parą i zasyczała, a Smaug rozgorzały wzleciał w powietrze i opadł na szczyt Góry, rozbryzgując wokół zielone i czerwone płomienie. Krasnoludy usłyszały przerażający szum tego lotu, toteż skuliły się pod ścianami trawiastej wnęki, przylgnęły płasko

do kamieni, nie tracąc nadziei, że uda im się skryć przed straszliwymi oczyma smoka.

Zginęłyby na pewno co do nogi, gdyby nie Bilbo – znowu Bilbo!

– Prędko, prędko – szepnął hobbit bez tchu. – Do drzwi, do tunelu, tu nie można zostać.

Poderwali się na te słowa i już mieli wpełznąć do wnętrza, gdy Bifur krzyknął:

– Moi krewniacy! Bombur i Bofur! Zapomnieliśmy o nich! Zostali w dolinie!

– Smok ich zamorduje, zginą także kucyki i stracimy wszystkie zapasy! – jęknęli inni. – Nie ma na to rady.

– Głupstwa pleciecie – rzekł Thorin odzyskując godność. – Nie możemy ich opuścić. Niech pan Baggins, Balin, Fili i Kili wejdą natychmiast do tunelu; w ten sposób Smaug przynajmniej nie wszystkich dosięgnie. A wy bierzcie się do roboty. Gdzie liny? Żywo!

W takich opałach chyba jeszcze nigdy nie byli. Nad nimi w kamiennych rozpadlinach echo rozbrzmiewało straszliwym rykiem wściekłego Smauga. Lada sekunda smok mógł spaść na nich rozogniony lub, oblatując wokół górę, zastać ich na wąskiej półce skalnej na skraju przepaści, ciągnących rozpaczliwie liny. Już wydostał się na półkę Bofur, a katastrofa się nie zdarzyła. Już się ukazał zaspany, nadęty Bombur – pod którego ciężarem lina trzeszczała groźnie – a katastrofa wciąż jeszcze się nie zdarzyła. Na ostatku wywindowali narzędzia i worki z prowiantem i wtedy dopiero sytuacja stała się naprawdę straszna.

Rozległ się szum, czerwony odblask rozpłomienił szczyty skał. Nadlatywał smok.

Ledwie zdążyli uskoczyć do tunelu, wciągając za sobą manatki, gdy od północy z furkotem spadł Smaug; płomienie biły od niego,

osmalając zbocza góry, olbrzymie skrzydła huczały jak huragan. Gorący dech potwora spopielił trawę pod tajemnymi drzwiami, a wdzierając się przez szparę do wnętrza tunelu, sparzył ukrytych i leżących na ziemi zbiegów. Zamigotały płomyki, czarne cienie zatańczyły na skalnych ścianach. Potem znów ciemność zapadła. Smok przeleciał dalej. W dolinie kuce zarżały z przerażenia, pozrywały pęta i rozbiegły się dzikim galopem. Smok zatoczył krąg i ruszył za nimi w pogoń. Zniknął.

– To nieuchronna śmierć dla tych biednych zwierząt – powiedział Thorin. – Żadne stworzenie nie ujdzie z życiem, jeśli je Smaug dostrzeże. A my już tu zostaniemy na wieki, chyba że macie ochotę wędrować pieszo kilka mil przez otwarte pola z powrotem do rzeki pod czujnym okiem Smauga.

Bardzo niemiła myśl! Wczołgali się dalej w głąb tunelu, a chociaż było gorąco i duszno, dygotali, póki blade światło dnia nie przesączyło się przez szparę w uchylonych drzwiach. W ciągu nocy wiele razy słyszeli łopot to bliższy, to dalszy, gdy smok zataczał w powietrzu kręgi, oblatując w koło górę i szukając zbiegów.

Widząc kucyki i ślady obozowiska musiał odgadnąć, że napastnicy przybyli znad rzeki, od jeziora, i wspięli się na górę z doliny, w której zostawili wierzchowce; ale nawet jego bystre oczy nie wytropiły tajemnych drzwi, a skalne ściany uchroniły małą wnękę od niszczycielskich smoczych płomieni. Długie godziny zeszły Smaugowi na bezowocnym pościgu, wreszcie świt ostudził jego wściekłość i potwór wrócił na swoje złote legowisko, żeby znów zasnąć i nabrać nowych sił. Nie zamierzał zapomnieć ani przebaczyć kradzieży nawet za tysiąc lat, gdy starość zmieni jego ciało w zmurszały kamień, mógł jednak pozwolić sobie na odroczenie zemsty. Z wolna, cicho wpełznął z powrotem do pieczary i przymknął powieki.

Z nastaniem ranka krasnoludy trochę ochłonęły ze strachu. Zdawały sobie sprawę, że niebezpieczeństw tego rodzaju nie da się uniknąć, skoro taki strażnik jak Smaug pilnuje skarbów, i że nie należy tak prędko zrażać się i wycofywać. Zresztą, jak to już stwierdził Thorin, na razie nie mogli się stąd ruszyć. Kuce rozbiegły się lub zostały wybite, trzeba było czekać czas jakiś i uśpić czujność smoka przynajmniej na tyle, by móc zaryzykować daleki marsz przez otwarte przestrzenie. Szczęściem ocalili dość zapasów, żeby przetrwać jeszcze kilka dni.

Naradzali się długo, co dalej robić, lecz nie mieli pojęcia, jak pozbyć się Smauga. Bilba język świerzbił, żeby im wytknąć, że to było od początku najsłabszym punktem całego planu. Wreszcie, zwyczajem wszystkich osób bezradnych w ciężkim położeniu, zaczęli robić wymówki hobbitowi, zarzucając mu to, za co przedtem go chwalili: że wyniósł z jamy puchar rozjątrzając przedwcześnie Smauga.

– A cóż innego, waszym zdaniem, ma robić włamywacz? – spytał Bilbo ze złością. – Nie zostałem wynajęty do zabijania smoków, bo to jest robota dla wojaka, ale do kradzieży skarbów. Początek zrobiłem jak najlepszy. A wyście może oczekiwali, że wrócę galopkiem z całym skarbcem Throra na plecach? Jeśli komu wolno tu narzekać, to chyba tylko mnie. Powinniście zabrać na wyprawę nie jednego włamywacza, lecz pięciuset. Pewnie, że to bardzo ładnie świadczy o waszym dziadku, ale musicie przyznać, że niezbyt jasno przedstawiliście mi rozmiary jego majątku. Żeby wynieść wszystko, potrzebowałbym stu lat, a i to pod warunkiem, że ja byłbym pięćdziesiąt razy większy, niż jestem, a Smaug łagodny jak królik.

Po tej przemowie Bilba krasnoludy oczywiście przeprosiły go natychmiast.

– A co pan proponuje, panie Baggins? – spytał grzecznie Thorin.

– Jeśli chodzi o sposób wyniesienia skarbów z pieczary, to na razie nie mam pomysłów. Rzecz jasna, że tu wszystko zależy od nowego uśmiechu szczęścia i od usunięcia z drogi Smauga. Usuwanie smoków nie wchodzi w zakres mojego fachu, mimo to postaram się o tym również pomyśleć. Osobiście nie mam już wcale nadziei i bardzo bym chciał znaleźć się z powrotem w domu, cały i zdrów.

– O powrocie tymczasem nie może być mowy. Co mamy robić teraz, dzisiaj?

– Jeśli chcecie naprawdę usłyszeć moją radę, to wam powiem, że nie możemy zrobić nic innego, jak siedzieć tu, gdzie siedzimy. Za dnia z pewnością bez wielkiego ryzyka będziemy mogli wymykać się do wnęki, żeby zaczerpnąć powietrza w płuca. Może w niezbyt dalekiej przyszłości uda się wyprawić jednego czy dwóch gońców do składu nad rzeką i uzupełnić nasze zapasy. Tymczasem wszyscy niech koniecznie nocują w tunelu. A teraz coś wam zaproponuję: mam pierścień, więc jeszcze dziś w południe – bo wtedy najpewniej Smaug będzie drzemał – zakradnę się znów tunelem i zobaczę, co tam smok porabia. Może trafi się jakaś pomyślna okazja. Każdy gad ma swoją słabość – jak mawiał mój ojciec, chociaż, o ile mi wiadomo, nie czerpał tej informacji z osobistego doświadczenia.

Krasnoludy oczywiście przyjęły propozycję bardzo skwapliwie. Nauczyły się już szacunku dla Bilba. W owym czasie hobbit stał się właściwie dowódcą wyprawy. Miał własne poglądy i plany. W południe więc gotów był do powtórnej wędrówki w głąb Góry. Nie palił się co prawda do tego, ale też nie wzdragał zbytnio, bo mniej więcej już wiedział, co go czeka. Gdyby lepiej znał smoki

i przewrotne smocze obyczaje, czułby gorszy strach i nie liczyłby z taką pewnością, że zastanie Smauga śpiącego.

Kiedy wyruszał, słońce świeciło jasno, ale w tunelu było czarno jak w nocy. Światło przeciekające przez szparę drzwi, ledwie uchylonych, szybko zniknęło, gdy schodził coraz niżej. Szedł tak cicho, że nie więcej robił hałasu niż dym niesiony łagodnym powiewem i trochę nawet chełpił się tym w duchu, podchodząc do dolnego wylotu korytarza. W pieczarze dostrzegał tylko najniklejszy blask.

„Stary Smaug zmęczył się i śpi – pomyślał. – Widzieć mnie nie może, a nie usłyszy też na pewno. Głowa do góry, Bilbo!"

Bilbo zapomniał czy może nigdy nie słyszał o doskonałym węchu smoków i o tym, że umieją spać z jednym okiem czujnie otwartym, jeśli podejrzewają niebezpieczeństwo.

Kiedy Bilbo zajrzał przez otwór w ścianie, Smaug rzeczywiście wyglądał tak, jakby spał głęboko; leżał niemal bez życia i prawie nie świecił, a chrapanie jego brzmiało zaledwie jak podmuch niewidzialnej odrobiny pary. Hobbit już miał wejść do pieczary, gdy spostrzegł wąski, przenikliwy, czerwony promień strzelający spod nie domkniętej powieki lewego ślepia Smauga. A więc smok tylko udawał sen! Patrzał pilnie w otwór tunelu! Bilbo szybko odskoczył wstecz, błogosławiąc swój pierścień. Wtedy Smaug przemówił:

– No cóż, złodzieju! Czuję cię nosem, odróżniam twój zapach. Słyszę twój oddech. Chodź no bliżej. Proszę bardzo, nie żałuj sobie, jest tu wszystkiego dość, nawet za wiele.

Ale Bilbo nie był takim nieukiem w zakresie wiedzy o smokach, żeby mu uwierzyć; jeśli Smaug na to liczył, grubo się zawiódł.

– Dziękuję ci, o Smaugu Groźny! – odpowiedział. – Nie przyszedłem po prezenty. Chciałem tylko przyjrzeć ci się

i sprawdzić, czy naprawdę jesteś tak wspaniały, jak głoszą legendy. Bo nie wierzyłem legendom.

– A teraz wierzysz? – spytał smok mile połechtany pochlebstwem, choć nie brał wcale komplementów za dobrą monetę.

– Doprawdy, pieśni i legendy bledną wobec rzeczywistości, o Smaugu, pierwsza i najgorsza plago świata! – odparł Bilbo.

– Jak na złodzieja i łgarza jesteś bardzo dobrze wychowany – powiedział smok. – Widzę, że znasz moje imię, ale ja nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek spotkał twój zapach. Ktoś jest i skąd przybywasz, jeśli wolno zapytać?

– Wolno, oczywiście. Przybywam spod Pagórka, a droga moja wiodła nad górami i pod górami. Również przez powietrze. Jestem ten, który chodzi po świecie niewidzialny.

– W to uwierzę bez trudu – rzekł Smaug. – Ale to chyba nie jest imię, którego zazwyczaj używasz?

– Jestem znalazcą tropów, przecinaczem pajęczyn, posiadaczem ostrego żądła. Wybrano mnie ze względu na szczęśliwą liczbę.

– Piękne tytuły! – szyderczo mruknął smok. – Ale nawet szczęśliwe numery nie zawsze wygrywają.

– Jestem ten, który żywcem grzebie przyjaciół i tropi ich, a potem znów żywych wyciąga z wody. Pochodzę z dna worka, ale nikomu nie udało się nakryć mnie workiem.

– To już brzmi nieprawdopodobnie – zaśmiał się zgryźliwie Smaug.

– Jestem przyjacielem niedźwiedzi i gościem orłów, zdobywcą pierścienia i wybrańcem szczęścia. Jestem też mistrzem w jeździe na baryłce – ciągnął dalej hobbit, bawiąc się tą grą w zagadki.

– To już lepsze – powiedział Smaug – ale nie daj się zbytnio ponosić fantazji.

Tak właśnie, a nie inaczej należy rozmawiać ze smokami, jeśli ktoś nie chce wyjawić swojego imienia (bo tak dyktuje rozum), ale nie chce też rozwścieczyć przeciwnika jawną odmową (co również dyktuje rozum). Żaden smok w świecie nie oprze się urokowi zagadek i każdy straci sporo czasu próbując je rozwiązać. Wielu powiedzeń Bilba smok ani w ząb nie rozumiał (ale ty, mam nadzieję, wszystko zrozumiałeś, bo znasz przygody, które hobbit miał na myśli), ale łudził się, że zrozumiał dość, i radował złośliwie w głębi swego czarnego serca.

„Tak też domyślałem się już wczoraj wieczorem – mówił sobie z uśmiechem zadowolenia. – Jeśli to nie jest robota ludzi znad Jeziora, tych nędznych handlarzy baryłek, nie jestem smokiem, lecz jaszczurką. Od wieków już zaniedbałem wypraw w tamtą stronę, ale teraz się poprawię!"

– Dobrze, pogromco baryłek! – rzekł głośno. – Może Baryłką wabił się twój kuc, a może nie, chociaż był tak gruby, że zasłużył na to imię. Przypuśćmy, że naprawdę chadzasz po świecie niewidzialny, ale nie zawsze chadzasz piechotą. Przyjmij do wiadomości, że wczoraj wieczorem zjadłem sześć kucyków, a wkrótce złapię i zjem osiem pozostałych. W podzięce za smaczną kolację ofiaruję ci dobrą i zbawienną radę: o ile możności nie zadawaj się z krasnoludami.

– Z krasnoludami? – spytał Bilbo z udanym zdziwieniem.

– Nie zawracaj mi głowy! – odparł Smaug. – Znam zapach i smak krasnoludów; nikt go nie zna lepiej ode mnie. Nie próbuj mi wmawiać, że zjadłszy kucyka, który służył za wierzchowca krasnoludowi, mogłem się co do tego omylić. Źle skończysz, jeśli będziesz przestawał z takimi kompanami, o złodzieju, pogromco beczek! Nie mam nic przeciw temu, żebyś im moje słowa powtórzył.

Ale Smaug nie wspomniał nic o tym, że nie znał pewnego innego zapachu, zapachu hobbitów; nigdy się z nim w życiu nie zetknął, toteż był teraz mocno zaintrygowany.

– Myślę, że dobrze ci zapłacili za ten wczorajszy puchar, co? – mówił dalej. – Powiedz, dużo dostałeś? Nic? Tak, to do nich podobne. Oni tam pewnie kryją się tchórzliwie na górze, a na ciebie zwalili niebezpieczną robotę i kazali ci, korzystając z chwil mojego roztargnienia, porywać, co się da, i przynosić sobie. Obiecali ci pewnie udział w zyskach? Nie wierz im! Dobrze będzie, jeśli w ogóle wyjdziesz z tej historii żywy.

Bilbo czuł się coraz bardziej nieswojo. Ilekroć wzrok Smauga, błądząc w ciemnościach, padał na niego, hobbit doznawał niezrozumiałej pokusy, by wystąpić jawnie naprzód, pokazać się i wyznać całą prawdę. Nie pojmował tego, ale groziło mu straszliwe niebezpieczeństwo, że podda się czarom smoka. Lecz zebrał całą odwagę i odezwał się znowu:

– Nie wiesz wszystkiego, o Smaugu potężny! – rzekł. – Nie złoto nas tu przyciągnęło.

– Ha, ha! A więc powiedziałeś: „nas" – zaśmiał się Smaug. – Czemuż nie powiesz: „nas czternastu", aby wszystko było jasne, mój ty szczęśliwy numerze? Miło mi słyszeć, że macie w tych okolicach inne jeszcze sprawy do załatwienia prócz kradzieży mojego złota. W takim razie może nie zmarnujecie czasu bez żadnego pożytku. A czy nie przyszło wam do głowy, że choćbyście wykradali złoto po trosze przez sto lat – czy coś około tego – nie uciekniecie z nim daleko? Że nie przyda wam się na nic tutaj, na zboczach górskich? Ani w puszczy? Tam do licha! Czy naprawdę nie pomyśleliście o tej przeszkodzie? Obiecano ci pewnie w umowie czternastą część? Ale jak będzie z dostawą? Jak z transportem? Co na to powiedzą uzbrojeni strażnicy i celnicy?

I Smaug wybuchnął śmiechem. Miał złe, nikczemne serce, a wiedział, że w swoich przypuszczeniach nie odbiegał daleko od prawdy, gdy podejrzewał, że ludzie znad Jeziora skrycie popierają wyprawę i że lwia część skarbów ma, stosownie do ich życzeń, pozostać w mieście i na wybrzeżu, które za młodych lat Smauga nazywano Esgaroth.

Trudno wam będzie może w to uwierzyć, ale Bilbo speszył się okropnie. Wszystkie myśli i wysiłki skupiał dotychczas na sprawie dotarcia do Góry i odnalezienia wejścia. Nigdy jeszcze nie zastanawiał się, jakim sposobem krasnale zabiorą stąd skarby, a już w głowie mu nie postało pytanie, jak przewiezie swoją część, jeśli mu coś przypadnie w udziale, do odległego kraju, do norki pod Pagórkiem.

W tej chwili brzydkie posądzenie wylęgło się w jego mózgu: czy krasnoludy również przegapiły ten ważny punkt, czy też od początku śmiały się w kułak z naiwności hobbita? Oto jakie skutki wywołuje smocze gadanie w umyśle niedoświadczonego słuchacza! Bilbo oczywiście powinien był mieć się na baczności, ale Smaug naprawdę był dość trudnym do odparcia przeciwnikiem.

– Powiedziałem ci już – rzekł Bilbo, starając się dochować wiary przyjaciołom i mimo wszystko dopiąć swego – że złoto jest tylko ubocznym celem naszej wyprawy. Nad górami i pod górami, wodą i powietrzem dążyliśmy tutaj po zemstę! Czy naprawdę nie rozumiesz, o Smaugu, bogaczu nad bogaczami, że twoje powodzenie zyskało ci na świecie zawziętych wrogów?

Wtedy Smaug roześmiał się na dobre, a śmiech ten zagrzmiał tak straszliwie, że Bilbo przysiadł trzęsąc się cały, krasnoludy zaś w odległym, górnym końcu tunelu zbiły się trwożnie w kupkę, pewne, że w tej chwili hobbit zginął nagłą i okropną śmiercią.

– Po zemstę! – ryknął i od błysku jego ślepiów cała pieczara rozjaśniła się jak od czerwonego pioruna. – Po zemstę! Król spod Góry nie żyje, a gdzież jest jego potomstwo, które by odważyło się szukać odwetu? Girion, pan miasta Dal, poległ, zjadłem jego podwładnych wpadłszy niby wilk między owce. Gdzież są synowie jego synów, którzy ośmieliliby się zbliżyć do mnie? Zabijam, kogo chcę i gdzie chcę, a nikt mi nie śmie stawiać oporu. Pokonałem rycerzy dawnych czasów, dziś nie ma już takich wojowników na świecie. A przecież byłem wtedy młody i wątły. Teraz jestem stary i silny, silny, silny – wiedz o tym, złodzieju czający się w ciemnościach! Moja zbroja warta jest dziesięciu tarcz, zęby służą mi za miecze, pazury – za włócznie, cios mojego ogona to grom, skrzydła niosą huragan, a mój dech – śmierć!

– Zawsze słyszałem – rzekł Bilbo głosem piskliwym ze strachu – że smoki od spodu mają ciało bezbronne, zwłaszcza w okolicy... w okolicy piersi; lecz pewnie tak dobrze uzbrojony smok jak ty znalazł i na to jakąś radę.

Smaug nagle ostygł w chełpliwym zapale.

– Twoje wiadomości – warknął – są przestarzałe. Jestem zarówno od strony grzbietu, jak od spodu opancerzony żelazną łuską i twardymi kamieniami. Nie ma takiego ostrza, które by mnie przebiło.

– Mogłem się tego spodziewać – rzekł Bilbo. – Doprawdy, nie masz w świecie nikogo, kto by ci dorównał, o Smaugu, którego się nie ima żaden oręż. Jakże wspaniała musi być taka kamizelka z diamentów!

– Rzeczywiście, to strój niezwykły i wspaniały – odparł Smaug, chełpiąc się głupio. Nie wiedział, że hobbit podczas pierwszego wywiadu miał sposobność rzucić okiem na osobliwy pancerz chroniący smoka od spodu i że dla sobie wiadomych powodów

bardzo chciał obejrzeć go dokładniej. Smaug przewrócił się na bok. – Popatrz! – rzekł. – Co o tym sądzisz?

– Olśniewające! Cudowne! Doskonałe! Niezrównane! Zachwycające! – wykrzykiwał Bilbo, ale w duchu myślał: „Stary durniu! Masz przecież w zagłębieniu pod lewą piersią spory płat nagi jak ślimak, co wylazł z muszli!"

Obejrzawszy dokładnie brzuch smoka pan Baggins marzył już tylko o tym, żeby się oddalić.

– Nie chciałbym dłużej zajmować czasu Jego Magnificencji – powiedział – ani zakłócać mu zasłużonego wypoczynku. Pościg za kucykami z pewnością był dość męczący, tym bardziej że wystartowałeś z pewnym opóźnieniem. Równie trudno jest ścigać włamywaczy – rzucił na zakończenie, odwrócił się na pięcie i pomknął w górę tunelem.

Ostatni dowcip nieszczególnie mu się udał, bo smok plunął za nim straszliwym płomieniem, a chociaż hobbit piął się, jak umiał najszybciej, nie zdążył odbiec dość daleko, nim Smaug wetknął szkaradny swój łeb w wylot tunelu. Szczęściem nie mógł wcisnąć do małego otworu całej głowy ani nawet paszczy, tylko z nozdrzy dmuchnął w ślad za uciekinierem ogniem i parą, tak że Bilbo omal się nie przewrócił i brnął dalej na oślep, zataczając się z bólu i strachu. Był dość dumny z siebie, że tak chytrze rozmawiał ze smokiem, ale błąd popełniony na końcu otrzeźwił go jak szklanka zimnej wody.

– Nie bądź głupi, Bilbo, i nigdy nie śmiej się ze smoka, póki jeszcze zipie – powiedział sobie, a tak mu się to zdanie spodobało, że je później często powtarzał i przyjęło się jako przysłowie. – Daleko jeszcze do końca przygód! – dodał, a to również była święta prawda.

Popołudnie chyliło się ku wieczorowi, gdy Bilbo wyszedł znów na świat, zachwiał się i padł zemdlony w „progu". Krasnoludy ocuciły go i opatrzyły jak się dało oparzenia, lecz długi czas upłynął, nim na potylicy i na piętach odrosły mu porządne włosy, bo były osmalone i przypieczone przy samej skórze. Podczas tych zabiegów przyjaciele, starając się hobbitowi dodawać otuchy, niecierpliwie czekali, by opowiedział o swoich przygodach, szczególnie zaś interesowali się, dlaczego smok narobił tak okropnego hałasu i jakim sposobem Bilbo się wyratował.

Hobbit jednak był zatroskany i nieswój; z trudem wyciągali z niego wiadomości. Po namyśle żałował, że tyle różnych rzeczy powiedział smokowi, i nie miał ochoty powtarzać tego wszystkiego krasnoludom. Stary drozd siedział w pobliżu na skale, z łebkiem przechylonym na bok, przysłuchując się rozmowie. Najlepszy dowód, w jak złym humorze był Bilbo: oto chwycił kamień i cisnął nim w drozda, który tylko na chwilę odfrunął nieco dalej i zaraz wrócił na dawne miejsce.

– Do licha z tym ptakiem! – krzyknął Bilbo ze złością. – Zdaje się, że on nas podsłuchuje, i wcale mi się jego mina nie podoba.

– Dajże mu spokój! – rzekł Thorin. – Drozdy są poczciwe i przyjazne, a ten jest bardzo stary; może ostatni z dawnego ptasiego rodu, który ongi tu mieszkał; tak były wówczas obłaskawione, że ojcu mojemu i dziadowi siadały na dłoni. To długowieczna i czarodziejska rasa, więc bardzo możliwe, że właśnie ten drozd żył tutaj paręset czy nawet więcej lat temu. Ludzie z Dali rozumieli ich mowę i używali ich jako posłów, gdy chcieli przekazać jakieś wieści mieszkańcom Miasta na Jeziorze lub jeszcze dalej.

– Ano, będzie miał co opowiedzieć w Mieście na Jeziorze, jeśli o to mu chodzi – rzekł Bilbo – ale wątpię, czy tam jeszcze został ktoś, kto by się chciał teraz bawić mową drozdów.

– Dlaczego? Co się stało?! – krzyknęły krasnoludy. – Mówże!

Opowiedział im więc wszystko, co zapamiętał, i przyznał się, że bardzo go nęka myśl, czy Smaug nie za wiele odgadł z jego zagadek poza tym, czego się domyślił zobaczywszy obóz i kucyki.

– Na pewno już wie, że przybyliśmy tu z Miasta na Jeziorze i że otrzymaliśmy stamtąd pomoc; mam okropne przeczucie, że skieruje się w tamtą stronę, kiedy się ruszy z jamy. Po cóż ja mu powiedziałem o jeździe na beczce! Nawet ślepy królik z tych okolic musiałby, słysząc to, pomyśleć o ludziach znad Jeziora!

– No trudno, nie ma już na to rady, a zresztą mając do czynienia ze smokiem, nie sposób się z czymś nie wygadać, tak mi przynajmniej zawsze mówiono – powiedział Balin chcąc Bilba pocieszyć. – Moim zdaniem spisałeś się doskonale, bądź co bądź przyniosłeś bardzo pożyteczne wieści i wróciłeś żywy, a tym mało kto może się poszczycić spośród osób, którym się zdarzyło rozmawiać z bestią w rodzaju Smauga. Wiadomość, że Smaug ma dziurę w diamentowej kamizelce, może się okazać w przyszłości naszym zbawieniem i szczęściem.

Po tych słowach Balina rozmowa zeszła na upamiętnione w dziejach lub legendach wypadki zgładzenia smoka; wspominano rozmaite sztychy, pchnięcia, ciosy zadane w brzuch, przemyślne sposoby i podstępy, do jakich musieli się uciekać zabójcy tych potworów. Wszyscy niemal zgadzali się, że zaskoczyć smoka we śnie wcale nie jest tak łatwo, jak by się mogło wydawać, a próby zakłucia czy zatłuczenia śpiącego smoka pewniej jeszcze narażały napastnika na zgubę niż zuchwały otwarty atak. Przez cały czas, gdy o tym mówili, drozd słuchał, a dopiero kiedy gwiazdy wyjrzały na niebo, ptak cicho rozpostarł skrzydła i odleciał. Przez cały też czas tej rozmowy, w miarę jak cienie się wydłużały, Bilbo z każdą chwilą bardziej był zgnębiony i pełen coraz gorszych przeczuć.

Wreszcie przerwał krasnoludom gawędę.

– To pewne, że nie jesteśmy tutaj bezpieczni – rzekł – i nie widzę powodu, żeby zostawać tu dłużej. Smok zniszczył piękną, zieloną trawę, a poza tym noc nadchodzi i robi się zimno. Czuję w kościach, że Smaug znowu napadnie na to miejsce. Wie przecież, że zszedłem do jego pieczary z góry, i nie łudźcie się, odgadnie, gdzie jest drugi koniec tunelu. W razie potrzeby rozwali w gruzy całe to zbocze, żeby zamknąć przed nami wejście, a jeśli przy sposobności nas także zmiażdży, będzie się tym bardziej cieszył.

– Czarno malujesz nasze położenie, panie Baggins – rzekł Thorin. – Czemuż więc Smaug nie zagrodził dolnego końca tunelu, jeśli mu zależy na niedopuszczeniu nas do pieczary? Nie zrobił tego na pewno, bo słyszelibyśmy hałas.

– Nie wiem, nie wiem... Może dlatego, że początkowo zamyślał zwabić mnie po raz drugi, teraz zaś czeka na wyniki nocnego polowania albo nie chce bez koniecznej potrzeby szpecić swojej sypialni. Nie wiem, ale wolałbym, żebyście dłużej się nie sprzeciwiali. Lada chwila Smaug wylezie z jamy, a wtedy nie będzie dla nas ratunku, jeśli nie schowamy się w głębi tunelu i nie zamkniemy za sobą tych drzwi.

Mówił to z takim przekonaniem, że krasnoludy wreszcie ustąpiły, chociaż do ostatka zwlekały z zamknięciem drzwi: była to decyzja rozpaczliwa, nikt bowiem nie miał pojęcia, jak je z powrotem otworzyć od wewnątrz, a nie uśmiechała im się wcale myśl, że znajdą się w potrzasku, z którego jedyne wyjście prowadzi przez smoczą jamę. Zresztą na razie wszędzie, w tunelu i na całej Górze, panował spokój. Dość długo więc siedzieli opodal w na pół otwartych drzwi i gawędzili dalej.

Rozważali nikczemne słowa Smauga o krasnoludach. Bilbo żałował, że je w ogóle usłyszał, żałował w każdym razie, że nie

może zdobyć się na niezachwianą wiarę w szczerość krasnoludów, które teraz zapewniały go, iż nigdy dotąd nie pomyślały o tym, co się stanie, gdy już zdobędą skarby.

– Zdawaliśmy sobie sprawę, że to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie – powiedział Thorin – i wiemy to obecnie jeszcze lepiej; ale nawet i teraz sądzę, że będzie czas zastanowić się nad dalszym ciągiem, kiedy odzyskamy skarb. Jeśli chodzi o twój udział, panie Baggins, ręczę, że jesteśmy ci niewypowiedzianie wdzięczni i pozwolimy, żebyś sam wybrał, co zechcesz do swojej czternastej części dołączyć, byleśmy już mieli co dzielić. Przykro mi, że kłopoczesz się o transport, i przyznaję, że to trudność poważna: z biegiem lat okolice tutaj zamiast zatracić dzikość, zdziczały jeszcze bardziej; zrobimy jednak dla ciebie, co będzie w naszej mocy, i poniesiemy odpowiednią część kosztów, gdy na to przyjdzie pora. Wierz mi albo nie wierz, jak chcesz.

Z kolei zaczęli mówić o samym skarbie i należących do niego przedmiotach, które Thorin i Balin zapamiętali. Ciekawi byli, czy wciąż jeszcze leżą w pieczarze nienaruszone włócznie, zamówione kiedyś dla armii króla Bladorthina (od dawna już nieżyjącego); każda z nich miała potrójne kute ostrze i drzewce misternie złocone, lecz nigdy tej broni nie dostarczono królowi ani nie otrzymano za nią zapłaty; tarcze zrobione dla wojowników z dawna poległych; ogromny złoty puchar Throra opatrzony z obu stron uchwytami, kuty i rzeźbiony w ptaki i kwiaty, w których oczy i płatki wprawiono drogie kamienie; zbroje ze złoconej i srebrzonej siatki nie do przebicia; naszyjnik Giriona, władcy Dali, złożony z pięciuset szmaragdów zielonych jak ruń wiosenna; Girion dał go im w zamian za zbroję sporządzoną dla jego najstarszego syna sposobem znanym tylko krasnoludom i nigdy przedtem nie praktykowanym, bo łuska z czystego srebra miała trwałość

i twardość potrójnej stali. Lecz najpiękniejszy ze wszystkiego był wielki, drogocenny biały kamień, który krasnoludy znalazły pod korzeniami Góry i nazwały jej sercem – Arcyklejnot Thraina.

– Arcyklejnot! Arcyklejnot! – mruczał Thorin w ciemności, sennie opierając brodę na kolanach. – Ten kamień był jak kula o tysiącu oszlifowanych ścianek; przy ognisku błyszczał jak srebro, w słońcu – jak woda, pod gwiazdami – jak śnieg, a w poświacie księżyca – jak deszcz.

Ale Bilbo już się otrząsnął z czaru, który mu kazał pożądać skarbów. Nie zważał na tę rozmowę krasnoludów. Siedział najbliżej drzwi i jednym uchem wciąż nadsłuchiwał, czy na dworze nie wszczyna się jakiś zgiełk, drugie zaś nastawił na echo z głębi tunelu, by poprzez szepty przyjaciół dosłyszeć każdy szmer dolatujący z dołu.

Ciemności gęstniały, a hobbit niepokoił się coraz bardziej.

– Zamknijcie drzwi! – prosił. – Przez skórę czuję, że nam smok zagraża. Bardziej się boję tej dzisiejszej ciszy niż wczorajszego hałasu. Zamknijcie drzwi, nim będzie za późno.

Było w jego głosie coś takiego, że ciarki przeszły krasnoludom po krzyżach. Thorin z wolna ocknął się z marzeń, wstał i kopnął kamień, którym drzwi były zaklinowane. Potem wszyscy razem pchnęli je, aż zatrzasnęły się z głośnym hukiem. Od tej strony nie było ani śladu dziurki czy zamka. Byli uwięzieni we wnętrzu Góry!

W samą porę. Ledwie bowiem cofnęli się kilka kroków w głąb tunelu, gdy coś huknęło okropnie o stok Góry, jakby olbrzymy z rozmachem uderzyły o nią taranem z pni dębowych. Skała zadrżała gwałtownie, ściany popękały, ze stropu tunelu sypnęły się kamienie. Co by się stało, gdyby krasnoludy nie zamknęły drzwi – lepiej nawet nie myśleć. Uciekli dalej w głąb korytarza, radzi, że jeszcze żyją, a tam, za nimi, na stoku grzmiał i huczał wściekły

gniew Smauga. Smok łupał skałę w drobne kawałki, miażdżył ściany i urwiska ciosami swego potężnego ogona, aż wszystko: skrawek terenu, gdzie na wysokościach krasnoludy rozbiły obóz, spopielona trawa, głaz, na którym siadywał drozd, ściany, których czepiały się ślimaki, wąska półka skalna – zniknęło w chaosie rumowiska i z lawiną strzaskanych kamieni runęło w przepaść, na dno doliny.

Smaug wypełzł z legowiska ukradkiem, cicho wzbił się w powietrze, w ciemnościach pożeglował ciężko, wolno, niby potworny kruk. Wiatr poniósł go na zachodnią stronę Góry, gdzie smok miał nadzieję zaskoczyć niespodzianie coś czy kogoś i wypatrzyć wejścia do tunelu, przez który złodziej dostał się do jego pieczary. Wybuchnął wściekłością, gdy nie znalazł nikogo, nie zobaczył nic, chociaż trafnie zgadywał, gdzie powinien być wylot korytarza.

Ulżywszy w ten sposób złości, odzyskał nieco humoru, pewien, że odtąd nikt już tą drogą nie wtargnie do jego siedziby. Teraz mógł dopełnić zemsty.

– Mistrz w jeździe na baryłce! – mruknął zjadliwie. – To pewne, że przyszedłeś znad rzeki i że przypłynąłeś wodą. Nie znam twojego zapachu, ale jeśli nawet nie jesteś jednym z ludzi mieszkających w Mieście na Jeziorze, znalazłeś w nich sprzymierzeńców. Zobaczą mnie i przypomną sobie, kto jest naprawdę Królem spod Góry!

Buchnął ogniem i poleciał na południe, w stronę Bystrej Rzeki.

## Rozdział 13

# Smauga nie ma w domu

rasnoludy tymczasem siedziały w ciemnościach, otoczone głuchą ciszą. Niewiele jadły, niewiele też mówiły. Straciły rachunek czasu; nie śmiały niemal drgnąć, bo każdy szmer czy szept odbijał się echem i rozlegał w podziemiu. Jeśli się zdrzemnęły, budziły się w tym samym wciąż mroku i niezmąconym milczeniu. Zdawało im się, że upłynęło wiele dni, aż wreszcie, oszołomione i na pół uduszone, nie mogły dłużej tego znieść. Prawie ucieszyłyby się, gdyby z dołu dobiegł ich uszu hałas zwiastujący powrót smoka. W tej ciszy podejrzewały jakąś diabelską zasadzkę Smauga, lecz nie sposób było tkwić tutaj wiecznie.

Przemówił Thorin.

– Spróbujmy otworzyć drzwi! – rzekł. – Jeśli wiatr nie owieje mi twarzy, umrę. Wolałbym chyba zginąć na powietrzu, zmiażdżony przez Smauga, niźli udusić się tutaj.

Kilku krasnoludów wstało i powlokło się po omacku w górę, tam gdzie przedtem były drzwi. Ale okazało się, że górny wylot tunelu przestał istnieć: zawaliły go skalne złomy. Teraz już ani klucz, ani zaklęcia, którym drzwi były z dawna posłuszne, nie mogły ich otworzyć.

– Znaleźliśmy się w potrzasku! – jęczały krasnoludy. – To już koniec! Tutaj umrzemy.

Dziwna rzecz, właśnie w chwili gdy krasnoludy wpadły w ostateczną rozpacz, Bilbo poczuł niezrozumiałą ulgę w sercu,

jakby ktoś wyjął mu ciężkie brzemię zza pazuchy.

– Spokojnie, spokojnie! – rzekł. – Póki życia, póty nadziei, jak mawiał mój ojciec. Do trzech razy sztuka – powiadał także. Pójdę więc raz jeszcze w dół tunelu. Chodziłem dwakroć, mając pewność, że smok czeka mnie na drugim końcu, tym bardziej mogę zaryzykować trzecią wizytę, skoro mam prawo wątpić, czy gospodarz jest w domu. Zresztą innej drogi wyjścia jak dołem – nie ma. Ale myślę, że tym razem powinniście wszyscy iść ze mną.

Zdesperowani zgodzili się na to. Thorin ruszył na czele, u boku Bilba.

– Uważajcie! – szeptał hobbit. – Starajcie się iść jak najciszej! Na dole może Smauga nie ma, ale może Smaug jest. Nie narażajmy się bez potrzeby.

Schodzili w dół, w dół... Krasnoludy oczywiście nie mogą nigdy dorównać hobbitom w sztuce poruszania się bezszelestnie, toteż i teraz sapały i człapały, echo zaś potęgowało te odgłosy przerażająco. Bilbo co chwila przystawał ze strachu i nasłuchiwał, lecz z dna tunelu nie dochodził żaden szelest. Kiedy mu się zdawało, że są już blisko celu, włożył na palec pierścień i wysunął się przed innych. Ostrożność zbyteczna, bo otaczały ich ciemności tak nieprzeniknione, że z pierścieniem czy bez pierścienia wszyscy stali się niewidzialni. Tak było ciemno, że hobbit nagle znalazł się u wylotu, nic o tym nie wiedząc, niespodzianie trafił ręką w pustkę, stracił równowagę i głową naprzód runął do jamy!

Leżał twarzą do ziemi, nie mając odwagi wstać, wstrzymując oddech. Ale nic nie poruszyło się w pieczarze. Nic też nie rozświetlało mroku, chociaż, gdy wreszcie Bilbo powoli uniósł głowę, wydało mu się, że wyżej, w głębi podziemia dostrzega nikłą, białą plamkę blasku. Nie była to jednak z pewnością iskra smoczego ognia, jakkolwiek wszędzie dokoła wisiały w powietrzu

ciężkie, smrodliwe opary gada, a na języku hobbit czuł posmak dymu.

W końcu pan Baggins stracił cierpliwość.

– Przeklęty gadzie, przeklęty Smaugu! – pisnął głośno. – Przestań się bawić w ciuciubabkę! Zaświeć no, a potem możesz mnie zjeść, jeżeli uda ci się mnie złapać.

Słabe echo obiegło niewidoczne w mroku kąty pieczary, ale nikt hobbitowi nie odpowiedział.

Bilbo wstał, nie miał jednak pojęcia, w którą stronę się zwrócić.

– Do licha, co też ten Smaug knuje – powiedział. – Najwidoczniej nie przyjmuje dziś po południu (czy w nocy, bo nie wiem, która godzina). Jeżeli Oin i Gloin nie zgubili hubki i krzesiwa, moglibyśmy sobie tu poświecić i rozejrzeć się, póki szczęście sprzyja.

Krasnoludy, rzecz prosta, bardzo się przelękły, kiedy Bilbo spadł z łoskotem z progu tunelu na dno jamy, i przycupnęły tam, gdzie ich zostawił, w pobliżu wyjścia.

– Pss! Pss! – syknęły usłyszawszy głos hobbita. Trochę mu to dopomogło zorientować się, gdzie są towarzysze, ale przez dość długi czas nie mógł się od nich doprosić czegoś więcej. Wreszcie, kiedy już zaczął tupać i wniebogłosy wrzeszczeć o światło, Thorin dał się przekonać i wysłał Oina z Gloinem po zostawione w górnym końcu tunelu pakunki.

Chwilę później migotliwe światełko zapowiedziało powrót wysłanników. Oin niósł w ręku małą pochodnię z sosnowej trzaski, a Gloin dźwigał pod pachą cały pęk łuczywa. Bilbo spiesznie podbiegł do wylotu i chwycił pochodnię; nie mógł jednak nakłonić krasnoludów, żeby zapalili więcej świateł i weszli za nim do pieczary. Thorin przezornie wytłumaczył, że pan Baggins jest nadal z urzędu wyznaczonym rzeczoznawcą – włamywaczem i wywiadowcą. Jeśli chce ryzykować i palić światło, to jego sprawa.

Oni wszakże wolą poczekać w tunelu na powrót pana Bagginsa. Siedli więc wszyscy trzynastu w pobliżu wyjścia i przyglądali się jego poczynaniom.

Widzieli drobną, ciemną sylwetkę hobbita sunącą naprzód z małą pochodnią wzniesioną w górę. Póki był blisko, dostrzegali od czasu do czasu błysk i słyszeli dźwięk metalu, gdy potykał się o jakiś złoty przedmiot. Światełko w jego ręku malało, w miarę jak się oddalał w głąb rozległej pieczary, potem zaczęło migotać coraz wyżej w powietrzu. Bilbo wspinał się na ogromny kopiec skarbów. Wkrótce osiągnął szczyt, ale szedł dalej. Zauważyli, że w pewnym momencie zatrzymał się i schylił, ale nie wiedzieli dlaczego.

To był Arcyklejnot, Serce Góry. Bilbo poznał go, pamiętając opis Thorina; nie mogło być drugiego takiego klejnotu nawet w tym cudownym skarbcu ani na całym szerokim świecie. Kiedy hobbit jeszcze piął się na kopiec, błysnął przed nim ten biały ognik i pociągnął go ku sobie z daleka. Potem rósł stopniowo, aż zmienił się w kuleczkę bladego blasku. Gdy Bilbo się zbliżył, kuleczka rozbłysła migotliwymi, różnobarwnymi skrami, odbijając i rozszczepiając kołyszący się płomień łuczywa. Wreszcie spojrzał na nią wprost z góry i na chwilę dech mu zaparło z wrażenia. Olbrzymi brylant świecił własnym, wewnętrznym blaskiem, zarazem jednak, oszlifowany i ukształtowany przez krasnoludy, które go wydobyły niegdyś z serca Góry, łowił z zewnątrz każdy promień światła i przeobrażał go w dziesięć tysięcy iskier białego blasku grającego wszystkimi kolorami tęczy.

Ręka hobbita sięgnęła po klejnot, jakby przyciągnięta czarodziejską siłą. Ciężki, ogromny brylant nie mieścił się w małej garści, ale Bilbo, zamknąwszy oczy, podniósł go i wsunął do najgłębszej kieszeni.

„Teraz jestem naprawdę włamywaczem – pomyślał. – Chyba jednak będę musiał krasnoludom o tym powiedzieć... ale później. Mówili przecież, że pozwolą mi wybrać, co zechcę. A ja bym na pewno wybrał to, niechby zatrzymali sobie całą resztę".

Mimo to nie miał spokojnego sumienia: wiedział w głębi duszy, że Thorin, choć mówił o swobodzie wyboru, nie zamierzał ofiarować mu tego cudownego klejnotu; przeczuwał też, że za ten swój uczynek odpokutuje w przyszłości.

Ruszył znów naprzód. Zsunął się z kopca po drugiej stronie i światło jego pochodni znikło z pola widzenia czatujących krasnoludów. Wkrótce jednak znów im błysnęło w oddali. Bilbo posuwał się teraz dnem pieczary.

Szedł naprzód, aż dotarł do wielkich drzwi w przeciwległej ścianie; powiew świeżego powietrza orzeźwił go, lecz omal nie zgasił łuczywa. Bilbo nieśmiało wyjrzał przez drzwi: zamajaczył mu długi ciąg korytarzy i u ich końca pierwsze stopnie szerokich schodów wznoszących się w mroku ku górze. Ani szmeru, ani śladu Smauga. Hobbit miał już zawrócić, kiedy musnął go jakiś czarny przedmiot i coś w locie otarło się o jego twarz. Bilbo pisnął i wzdrygnął się gwałtownie, stracił równowagę i przewrócił się na wznak. Pochodnia wypadła mu z ręki i zgasła.

„Przypuszczam... mam nadzieję, że to był po prostu nietoperz – myślał, bardzo zgnębiony. – Ale co teraz zrobię? Gdzie jest wschód, południe, północ i zachód?"

– Thorin! Balin! Oin! Gloin! Fili! Kili! – krzyczał Bilbo, ile sił w płucach, ale w wielkiej, czarnej pustce głos jego brzmiał słabo i niknął. – Łuczywo mi zgasło! Niech ktoś przyjdzie na pomoc! – Odwaga opuściła hobbita w tej chwili zupełnie. Krasnoludy słyszały słaby krzyk, ale rozróżnić zdołały tylko to jedno słowo: „pomoc!"

– Co, u licha, mogło mu się zdarzyć? – rzekł Thorin. – Na pewno nie spotkał smoka, bo już dawno przestałby krzyczeć.

Czekali jeszcze minutę, dwie, lecz żaden odgłos nie zdradzał obecności Smauga, nie było słychać nic prócz dochodzącego z daleka wołania Bilba.

– Niech no który zapali parę pochodni! – rozkazał Thorin. – Wygląda na to, że musimy iść naszemu włamywaczowi na ratunek.

– Należy się, byśmy z kolei teraz my jemu pomogli – rzekł Balin. – Co do mnie, pójdę bardzo chętnie. Zresztą myślę, że na razie niczym nam to nie grozi.

Gloin zapalił kilka pochodni i wszyscy wsunęli się do pieczary, a potem gęsiego pobiegli spiesznie pod ścianą. Wkrótce natknęli się na hobbita, który szedł na ich spotkanie. Na widok świateł szybko odzyskał pewność siebie.

– Nietoperz mnie trącił, upuściłem łuczywo, nic gorszego nie zaszło! – odpowiedział na pytania przyjaciół. Kamień spadł im z serca, ale mieli ochotę zwymyślać Bilba, że niepotrzebnie napędził im strachu. Cóż dopiero powiedzieliby, gdyby im się przyznał w tym momencie, że znalazł Serce Góry! Przelotny rzut oka na skarby, które im się tu ukazały, wystarczył, by rozdmuchać na nowo pożądliwość krasnoludzkich serc. A kiedy w sercu krasnoluda, choćby najstateczniejszego, ocknie się miłość do złota i klejnotów, ogarnia go nagle szaleńcza, często wręcz dzika odwaga.

Teraz już nie trzeba było krasnoludów zachęcać. Wszyscy palili się po prostu do przeszukania pieczary, chcieli wykorzystać niezwykłą okazję i najchętniej wierzyli, że Smauga nie ma w domu. Każdy już miał w ręku świecącą pochodnię, a rozejrzawszy się najpierw w lewo, potem w prawo – zapomniał o strachu, a nawet o przezorności. Mówili głośno, nawoływali się, wyciągali z kopca

lub spod ścian swoje stare skarby i podnosząc je ku światłu, gładzili pieszczotliwie.

Fili i Kili wpadli w humor niemal wesoły, a znalazłszy wiszące na ścianach złote harfy, wybrali dwie i spróbowali srebrnych strun; harfy były zaczarowane (przy tym smok nigdy ich nawet nie tknął, nie mając zamiłowania do muzyki), więc nie rozstroiły się w ciągu długich lat. Mroczna pieczara rozbrzmiała melodią od dawna nie słyszaną. Większość krasnoludów interesowała się jednak bardziej praktycznymi rzeczami: zbierali klejnoty, wypychając nimi kieszenie, a te, których nie mogliby zabrać ze sobą, z westchnieniem żalu odrzucali z powrotem na kopiec. Thorin uwijał się nie gorzej od innych, ale wciąż rozglądał się na wszystkie strony za czymś, czego nie mógł znaleźć. Szukał Arcyklejnotu – lecz tymczasem jeszcze wolał nikomu o tym nie mówić.

Z kolei krasnoludy pozdejmowały ze ścian kolczugi i oręż, by się uzbroić. Iście po królewsku wyglądał Thorin w zbroi ze złotych łusek, z toporem na srebrnym trzonku zatkniętym za pas, który był wysadzany szkarłatnymi kamieniami.

– Panie Baggins! – zawołał. – Oto pierwsza rata twojego wynagrodzenia! Zrzuć stare ubranie i włóż na siebie to!

Mówiąc tak, przyodział Bilba w małą kolczugę, wykutą ongi dla jakiegoś młodego księcia elfów. Zrobiona była ze srebrzonej stali i ozdobiona perłami, a pas do niej był z pereł i kryształów. Lekki hełm z wytłaczanej skóry, wzmocniony od spodu stalowymi obręczami i obramowany drogimi białymi kamieniami, przystroił głowę hobbita.

„Czuję się wspaniale – pomyślał Bilbo – ale wyglądam pewnie dość śmiesznie. Jakżeby się ze mnie śmiali hobbici w kraju! Szkoda, że nie mam pod ręką lustra".

Mimo wszystko pan Baggins nie dał sobie zawrócić głowy czarami bogactw tak jak krasnoludy. Znacznie wcześniej niż one znużył się przetrząsaniem skarbca i siadł zmęczony na ziemi; z pewnym niepokojem zadawał sobie w duchu pytanie, jak się ta historia skończy. „Oddałbym cały worek tych cennych pucharów – myślał – za jeden pokrzepiający łyk z drewnianego kubka Beorna".

– Thorinie! – krzyknął głośno. – Co dalej? Jesteśmy uzbrojeni, ale czy kiedykolwiek zbroja pomogła komu w walce ze Smaugiem Straszliwym? Jeszcze nie odwojowaliśmy tego skarbu. Nie szukamy na razie złota, lecz drogi ucieczki; dość już długo kusimy los!

– Prawda! – odparł Thorin odzyskując rozsądek. – Chodźmy stąd! Ja was poprowadzę. Nawet po tysiącu lat nie zmyliłbym drogi w tym pałacu.

Skrzyknął całą drużynę, zebrali się wszyscy i wznosząc pochodnie nad głowami, wyszli przez wielkie otwarte drzwi, chociaż ten i ów oglądał się za siebie z żalem.

Na lśniące zbroje naciągnęli stare kubraki, jasne hełmy przykryli wystrzępionymi kapturami i jeden za drugim pomaszerowali za Thorinem; sznur światełek posuwał się w ciemnościach, zatrzymując się często, bo trzeba było nasłuchiwać trwożnie wszelkich szmerów, które by mogły zwiastować powrót smoka.

Chociaż stare ozdoby od dawna zbutwiały lub zostały zniszczone, chociaż wchodząc i wychodząc tędy smok wszystko splugawił i połamał, Thorin poznawał każdy korytarz, każdy zakręt. Długo pięli się schodami, potem skręcili i schodzili znów w dół szerokimi, dzwoniącymi od ech tunelami, potem znów skręcili i znów po schodach wędrowali w górę. Schody, schody bez końca, ale gładkie, wyrąbane w litej skale, szerokie i piękne; wciąż w górę, w górę szły krasnoludy, nie napotykając żadnych śladów życia prócz

przelotnych cieni uciekających z daleka na widok świateł migocących w przeciągach.

Schody nie były budowane na miarę nóg hobbita, toteż Bilbo w pewnej chwili poczuł, że dłużej tego marszu nie wytrzyma; nagle jednak strop nad ich głowami uniósł się wysoko, tak że go już nie dosięgało światło pochodni. Z daleka, przez otwór wycięty gdzieś w górze, sączył się biały promyczek, w powietrzu zapachniało świeżością. Przed nimi majaczył jaśniejszy kształt ogromnych drzwi zwisających na wyłamanych zawiasach i osmalonych od ognia.

– To wielka sala Throra – rzekł Thorin. – Tu odbywały się uczty i narady. Już niedaleko stąd do Głównej Bramy.

Minęli zburzoną salę, gdzie gniły drewniane stoły, a poprzewracane krzesła i ławy leżały zwęglone i zbutwiałe. Na ziemi wśród dzbanów, pucharów, połamanych rogów poniewierały się w kurzu czaszki i kości. Kiedy wyszli przez drzwi w drugim końcu sali, dobiegł ich uszu plusk wody, a szare światło nagle się rozjaśniło.

– Oto źródło Bystrej Rzeki – powiedział Thorin. – Z tego miejsca wypływa ku Bramie. Idźmy za jej biegiem.

Z czarnego zagłębienia w skalnej ścianie tryskała spieniona woda i perląc się, rwała wąskim korytem wyżłobionym, wyregulowanym i pogłębionym niegdyś przez doświadczone w tej robocie ręce. Wzdłuż rzeki ciągnęła się kamienna droga tak szeroka, że kilku ludzi mogło się na niej zmieścić w szeregu. Pobiegli więc teraz szybko. Droga zataczała z rozmachem łuk, a kiedy go minęli... nie do wiary!... biały dzień zaświecił im w oczy! Stali przed strzelistą, sklepioną bramą, na której znać było jeszcze tu i ówdzie resztki starych rzeźb, chociaż zdartych, popękanych i sczerniałych. Przymglone słońce słało blade promienie między dwa ramiona Góry, snopy złotego blasku padały na kamienny próg.

Nad głowami krasnoludów przemknął rój nietoperzy, zbudzonych i spłoszonych światłem pochodni. Rzucili się wszyscy naprzód, ślizgając się na kamieniach wygładzonych i lepkich po przejściu smoka. Woda, rozbryzgując się pieniście, spadała z hukiem w dolinę. Cisnęli na ziemię niepotrzebne już łuczywa i stanęli olśnieni. Dotarli więc do Głównej Bramy, mieli przed sobą widok na dolinę Dal.

– No, no! – rzekł Bilbo. – Nie spodziewałem się, że kiedyś od tej strony wyjrzę przez Bramę Góry. Nie spodziewałem się też, że taką przyjemność sprawi mi światło słoneczne i wiatr dmuchający w twarz. Ale brr!... jaki ten wiatr zimny!

Wiatr był rzeczywiście chłodny. Surowy podmuch od wschodu niósł zapowiedź bliskiej już zimy. Wirując nad szczytem i omiatając ramiona Góry, jęczał wśród skał. Krasnoludy, po długich godzinach spędzonych w gorącym zaduchu smoczej jamy, teraz, w słońcu, drżały z zimna.

Nagle Bilbo uprzytomnił sobie, że jest nie tylko zmęczony, lecz także okropnie głodny.

– Zdaje się, że mamy już późny ranek – rzekł. – Myślę, że pora mniej więcej na śniadanie, jeśli w ogóle jest coś do jedzenia. Ale nie byłoby chyba bezpiecznie ucztować pod frontowym wejściem domu Smauga. Chodźmy gdzieś, gdzie będzie można spokojnie usiąść na chwilę.

– Racja! – poparł go Balin. – Wiem nawet, gdzie powinniśmy pójść: do starej strażnicy na południowo-zachodnim cyplu Góry.

– Jak to daleko? – spytał hobbit.

– Pięć godzin marszu, jak sądzę, i to dość uciążliwego. Droga spod Bramy wzdłuż lewego brzegu strumienia jest, zdaje się, zniszczona. Ale spójrzcie! Rzeka robi pętlę na wschód i przecina dolinę Dal, płynąc pod ruinami miasta. W tym miejscu był niegdyś most

prowadzący do stromych schodów, którymi można wspiąć się na prawy brzeg aż do drogi wiodącej ku Kruczemu Wzgórzu. Z drogi w bok biegnie, a przynajmniej biegła kiedyś ścieżka w górę, wprost do strażnicy. Ciężka wspinaczka zresztą, nawet jeśli stare stopnie zachowały się do dziś.

– Biada mi! – jęknął hobbit. – Znowu marsz i znowu wspinaczka, a wciąż na czczo! Ciekaw jestem, ile śniadań, obiadów i kolacji ominęło nas w tej obrzydliwej dziurze, gdzie nie było nawet zegara.

W rzeczywistości tylko dwie noce i jeden dzień (wcale zresztą nie najściślejszego postu) upłynęły od chwili, gdy smok zburzył zaczarowane drzwi do tunelu, Bilbo jednak stracił rachubę czasu i uwierzyłby zarówno, gdyby mu ktoś powiedział, że trwało to jeden dzień, jak i tydzień.

– Wypraszam sobie! – rzekł, śmiejąc się Thorin, który znów nabierał otuchy, czując chrzęszczące w kieszeni drogocenne kamienie. – Nie nazywaj mojego pałacu obrzydliwą dziurą! Poczekaj, aż go sprzątniemy i odnowimy!

– Nie nastąpi to póki Smaug żyje – posępnie odparł Bilbo. – Ale gdzie on się tymczasem podziewa? Za tę informację oddałbym sute śniadanie. Mam nadzieję, że nie przygląda się nam na przykład ze szczytu Góry.

To przypuszczenie mocno zaniepokoiło krasnoludy, skwapliwie oświadczyły więc, że rada Bilba i Balina wydaje im się najlepsza.

– Musimy się stąd wynieść – rzekł Dori. – Mam wrażenie, że czuję na plecach wzrok Smauga.

– Zimno tu i pusto – powiedział Bombur. – Wody nie brak, ale jedzenia nie widzę. W takiej okolicy smok pewnie stale jest głodny.

– Chodźmy stąd, chodźmy! – krzyknęli inni. – Spróbujmy tej ścieżki Balina.

Powlekli się wśród głazów lewym brzegiem rzeki – nad prawym wznosiła się naga, niedostępna ściana skalna – a na tym spustoszonym bezludziu Thorin szybko znów stracił humor. Most, o którym mówił Balin, zastali rozwalony, zapewne już od dawna; tylko resztki kamiennych filarów sterczały tu i ówdzie z płytkiej, wartkiej wody. Przeprawili się jednak bez większych trudności w bród, znaleźli stare schody i wydostali się na wysoką skarpę. Idąc dalej, wkrótce trafili na starą drogę i doszli nią do głębokiej kotlinki osłoniętej skałami; odpoczęli tu trochę i zjedli jakie takie śniadanie, złożone przeważnie z „kramów" i wody. (Jeśli chcesz wiedzieć, co w tym wypadku znaczy „kram", muszę wyznać, że dokładnego przepisu na tę potrawę nie znam, ale jest to rodzaj sucharów, nie psujących się właściwie nigdy, podobno bardzo posilnych, lecz na pewno nieponętnych, zgoła nieinteresujących, chyba z punktu widzenia gimnastyki szczęk. Suchary te wypiekali ludzie znad Jeziora specjalnie na dłuższe wyprawy).

Posiliwszy się ruszyli dalej; droga odchylała się teraz na zachód i oddalała od rzeki, zbliżając natomiast do ogromnego ramienia Góry wysuniętego w kierunku południowym. W końcu dotarli do ścieżki. Pięła się stromo w górę; wędrowcy wlekli się gęsiego, powoli, tak że dopiero późnym popołudniem, gdy zimowe słońce już zniżało się ku zachodowi, stanęli na grani.

Znaleźli płaską platformę odsłoniętą z trzech stron, ale od północy zamkniętą skalną ścianą, w której ział otwór na kształt drzwi. Rozciągał się stąd rozległy widok na wschód, południe i zachód.

– Tu – rzekł Balin – za dawnych czasów trzymaliśmy zawsze straże. Drzwi prowadzą do wykutej w skale komory, która służyła wartownikom za kwaterę. Wszędzie w koło na Górze mieliśmy podobne placówki. Ale w tych dniach pomyślności czujność wydawała się właściwie niepotrzebna, strażnicy żyli zbyt

wygodnie; gdyby nie to, może wcześniej ostrzegliby nas o zbliżaniu się smoka i kto wie, czy historia nie potoczyłaby się inaczej. No, ale w każdym razie możemy tu schronić się na czas jakiś; będziemy stąd widzieli dużo, sami przez nikogo nie widziani.

– Nic nam to nie pomoże, jeśli ktoś zauważył, jak tu maszerowaliśmy – rzekł Dori, nie spuszczając wzroku ze szczytów Góry, jakby w przekonaniu, że tam wypatrzy Smauga niby wronę na wieży.

– To już musimy zaryzykować – powiedział Thorin. – Nie sposób dzisiaj iść dalej.

– Święte słowa! – krzyknął Bilbo i rzucił się na ziemię.

W komorze skalnej miejsca starczyłoby na stu, a w dodatku w głębi była jeszcze mniejsza grota, lepiej chroniąca od chłodu. Miejsce wydawało się zupełnie opuszczone, widocznie nawet dzikie zwierzęta nie zapędzały się tutaj przez wszystkie lata panowania Smauga. Wędrowcy zrzucili w komorze swoje tobołki, niektórzy zaraz położyli się i zasnęli, inni siedli u wejścia, naradzając się nad dalszymi planami. Jedno pytanie wracało wciąż w ich rozmowach: gdzie jest Smaug? Patrzyli na zachód, lecz nie widzieli nic; na wschód – nic; na południe – także ani śladu smoka, lecz tam gromadziły się całe chmary ptaków. Krasnoludy wypatrywały oczy, dziwiły się bardzo i głowiły, lecz gdy pierwsze zimne gwiazdy błysnęły na niebie, nikt nie był mądrzejszy niż na początku.

Rozdział 14

# Ogień i woda

eżeli jesteście, podobnie jak krasnoludy, ciekawi wiadomości o Smaugu, musicie cofnąć się o dwa dni, do owego wieczora, kiedy smok rozwalił tajemne wejście do tunelu i rozwścieczony odleciał z Góry.

Większość mieszkańców Miasta na Jeziorze – Esgaroth – siedziała po domach, bo zimny wiatr dął od wschodu; niektórzy jednak przechadzali się po bulwarach, lubili bowiem patrzeć na gwiazdy zapalające się jednocześnie i na niebie, i w gładkiej tafli wody. Samotną Górę od strony miasta przesłaniały wznoszące się u końca jeziora niskie pagórki, przez które przełamywała się na północ Bystra Rzeka. Sam szczyt Góry można było dostrzec przy pięknej pogodzie, mało kto jednak mu się przyglądał, bo groźny był i posępny, nawet w blasku poranka. Tego wieczoru ginął w oddali i w ciemnościach.

Nagle mignął ludziom przed oczyma: na chwilę rozbłysnął i przygasł.

– Patrzcie! – powiedział ktoś. – Znów te światła. Wczorajszej nocy aż do świtu strażnicy widzieli, jak zapalały się i znikały. Coś się tam dzieje.

– Może to Król spod Góry kuje złoto – odezwał się drugi. – Dawno już ruszył na północ. Pora, żeby się sprawdziły przepowiednie.

– Jaki król? – wmieszał się trzeci zgryźliwym tonem. – Najpewniej są to niszczycielskie płomienie smoka, jedynego króla tej góry,

o jakim nam wiadomo.

– Ty to zawsze kraczesz! – zakrzyczeli go ludzie. – To przepowiadasz powódź, to pomór na ryby. Wymyśl coś weselszego.

W tym momencie wielki blask rozlał się nad przełomem między pagórkami u północnego krańca jeziora, a woda nabrała koloru złota.

– Król spod Góry! – wrzasnęli ludzie. – Bogactwo jego jest jak słońce, srebro tryska ze źródeł, a rzeki płyną złotem!

Na ten krzyk w domach pootwierały się wszystkie okna, a ulice zadudniły od pośpiesznych kroków. Znowu potężny zapał i entuzjazm wybuchnął w mieście. Lecz człowiek, który zgryźliwym głosem wtrącił się przedtem do rozmowy, co tchu pomknął do władcy.

– Albo ja oszalałem, albo smok nadciąga! – zawołał. – Trzeba rąbać mosty! Do broni! Do broni!

Trąby zagrały na trwogę, a sygnał odbił się echem o skaliste brzegi. Nagle urwały się wiwaty, radość zamieniła się w zgrozę. Dzięki temu smok nie zaskoczył miasta całkowicie bezbronnego.

Leciał tak szybko, że wkrótce już zobaczyli ognistą iskrę pędzącą ku nim, z każdą sekundą rosnącą i świecącą jaśniej, a wtedy nawet największe lekkoduchy nie mogły już wątpić, że przepowiednia sprawdza się na opak. Mimo wszystko mieli jeszcze trochę czasu. Wszelkie naczynia w mieście napełniono wodą, wojownicy uzbroili się, łuki i strzały były w pogotowiu, most łączący miasto z lądem zerwano i zburzono, zanim straszliwy grzmot oznajmił bliskość Smauga, zanim jezioro wzburzyło się i poczerwieniało niczym płomień od straszliwego podmuchu skrzydeł potwora.

Wśród krzyków, jęków i nawoływań ludzkich Smaug zjawił się nad miastem i zniżył się ku mostowi – lecz tu czekał go zawód: most zniknął. Przeciwnicy byli na wyspie otoczonej głęboką wodą –

zbyt głęboką, zbyt czarną i zimną jak na gust smoka. Gdyby się w niej zanurzył, buchnęłaby para i na wiele dni zaległaby całą okolicę. Lecz jezioro było potężniejsze od Smauga: zanimby je przepłynął, ugasiłoby jego płomienie.

Rycząc gniewnie, wrócił nad miasto. Chmura czarnych strzał wzbiła się w powietrze; stuknęły, zagrzechotały odbijając się od smoczej łuski i od pancerza drogich kamieni, zapaliły się od smoczego oddechu i w płomieniach, z sykiem spadły w wodę. Trudno sobie wyobrazić fajerwerki, które by dorównały widowisku tej nocy. Brzęk cięciw i przenikliwe dźwięki trąbek rozjątrzyły smoka jeszcze gorzej, oślepł i oszalał z wściekłości. Od wieków nikt nie ośmielił się stanąć z nim do walki; nikt by się na to i dziś nie odważył, gdyby nie głos owego człowieka (nazywał się Bard), który uwijał się między łucznikami, dodając im ducha, nakłaniając władcę, by dał rozkaz walki do ostatniej strzały.

Płomień buchał z paszczy smoka. Smaug chwilę kołował wysoko w powietrzu, oświetlając całe jezioro; drzewa na brzegu zalśniły krwawo jak miedziane, a gęste, czarne cienie rozchwiały się u ich stóp. Smaug zniżył lot, nie zważając w swej wściekłości na grad strzał, nie pamiętając nawet o tym, by obracać się opancerzonymi bokami do nieprzyjaciół, za wszelką cenę pragnąc tylko podpalić miasto.

Chociaż wszystko zawczasu zlano wodą, ogień wystrzelił z krytych strzechami dachów i wystających belek, gdy smok z szumem skrzydeł przeleciał nad domami, minął je i zawrócił raz jeszcze. Gdziekolwiek jednak pojawiała się iskra, sto par rąk spieszyło ją gasić. Smok zatoczył znów koło. Od jednego zamachu jego ogona dach na Wielkim Domu rozsypał się i zapadł. Niezwyciężone płomienie wzbiły się w ciemnościach aż pod niebo. Drugi cios, trzeci, coraz dalsze domy stawały w ogniu i waliły się

z łoskotem. Ale wciąż jeszcze żadna strzała nie mogła dosięgnąć Smauga ani zrobić mu większej krzywdy niż komar z moczarów.

Już na wszystkie strony ludzie skakali do wody. Kobiety i dzieci zgromadzono na łodziach pośrodku wewnętrznego basenu. Rzucano broń w jezioro. Żałoba i płacz zapanowały w mieście, w którym jeszcze tak niedawno rozbrzmiewały radosne stare pieśni o krasnoludach. Teraz ludzie przeklinali to plemię. Nawet władca zmierzał ku swojej wielkiej złoconej łodzi, licząc, że w tym zamęcie uda mu się umknąć niepostrzeżenie i ocalić życie. Jeszcze chwila, a miasto opuszczone przez wszystkich spłonie i zrówna się z jeziorem.

Tego spodziewał się smok. Niechby wszyscy ludzie zeszli do łodzi. Miałby piękne łowy, ścigając ich ogniem lub oczekując, aż wymrą z głodu. Gdyby próbowali dostać się na ląd, i tam da im radę. Wkrótce popali lasy na brzegu, zniszczy ogniem pola i pastwiska. Na razie bawił się tym popłochem: od wieków nie miał podobnej uciechy.

Lecz wśród płonących domów jeden oddział łuczników trwał jeszcze na stanowisku. Ich dowódcą był Bard, człowiek o ponurym głosie i ponurej twarzy, ten, któremu przyjaciele wyrzucali, że prorokuje powodzie i pomór ryb, lecz którego szanowali za uczciwość i męstwo. Bard był potomkiem – choć w odległym pokoleniu – Giriona, bo małżonka władcy Dali ocalała z klęski przed laty, uciekłszy wraz z dzieckiem w dół Bystrej Rzeki. Tej więc nocy Bard strzelał ze swego olbrzymiego cisowego łuku, póki nie pozostała mu ostatnia już strzała. Pożar otaczał go z bliska, towarzysze opuszczali dowódcę jeden po drugim. Po raz ostatni Bard napiął łuk.

Nagle w ciemności coś sfrunęło mu na ramię. Wzdrygnął się, ale był to po prostu stary drozd. Bez lęku ptak nachylił się nad uchem

człowieka, by szepnąć mu ważne wieści. Bard sam się zdziwił, że zrozumiał ptasią mowę, ale przecież pochodził z plemienia mieszkańców Dali.

– Czekaj, czekaj! – mówił drozd. – Księżyc wschodzi. Kiedy smok nadleci i znajdzie się wprost nad tobą, wypatruj odsłoniętego miejsca pod lewą piersią.

A gdy Bard zdumiony znieruchomiał na chwilę, drozd opowiedział mu o zdarzeniach, które się rozegrały na Górze, i powtórzył wszystko, co tam słyszał.

Wówczas Bard podniósł łuk do strzału. Smok zataczał krąg i powracał niskim lotem, a w tej samej chwili księżyc wzeszedł nad wschodnim brzegiem jeziora i osrebrzył wielkie skrzydła Smauga.

– Strzało! – rzekł łucznik. – Czarna strzało! Zachowałem cię na ostatek. Nigdy jeszcze mnie nie zawiodłaś i zawsze znajdowałem cię z powrotem. Dostałem cię od ojca, on zaś miał cię po swoich dziadach. Jeśli to prawda, że wyszłaś z kuźni prawowitego Króla spod Góry, leć teraz celnie!

Smok zatoczył w powietrzu krąg niżej jeszcze niż przedtem, a gdy skręcał i zniżał lot, brzuch jego w księżycowej poświacie błysnął białymi ogniami brylantów. Ale jedno miejsce nie lśniło klejnotami. Jęknął olbrzymi łuk. Czarna strzała poszybowała prosto w zagłębienie pod lewą piersią Smauga, między rozstawione szeroko przednie łapy. Utkwiła w ciele potwora, a taki miała rozpęd, że schowała się w nim cała, z grotem, z drzewcem i piórkiem.

Z wrzaskiem, który ogłuszał ludzi, walił drzewa i kruszył kamienie, Smaug poderwał się, przewrócił brzuchem do góry i runął z wysokości w dół.

Padł w sam środek miasta. Miotając się w ostatnich podrygach, zasypał je skrami i popiołem. Jezioro wystąpiło z brzegów, wśród

ciemności, które nagle zaległy nad miastem, kłęby pary buchnęły w górę bielejąc w blasku księżyca, woda zasyczała, plusnęła, zawirowała – potem nastała cisza. Taki był koniec Smauga i koniec miasta Esgaroth. Ale nie był to koniec historii Barda.

Księżyc wschodził wyżej i wyżej, a zimny wiatr szumiał coraz głośniej, zwijał białą mgłę, budując z niej skośne kolumny, pędził opary na zachód i rozsnuwał je tam po bagniskach dzielących Esgaroth od Mrocznej Puszczy. Teraz można już było zobaczyć łodzie rozsypane na tafli jeziora, a z wiatrem płynęły głosy ludzi lamentujących nad stratą miasta, mienia i domów. A przecież powinni by dziękować losowi za wiele dobrodziejstw, gdyby w tej strasznej chwili umieli się zastanowić nad swoim położeniem: trzy czwarte ludności uszło z życiem, lasy, pola, pastwiska, stada i łodzie ocalały, a smok zginął. Na razie jeszcze sobie nie zdawali sprawy, co ten fakt dla nich oznacza.

Zebrali się posępną gromadą na zachodnim wybrzeżu, drżąc z zimna, i zrazu cały żal i gniew zwrócili przeciw władcy, który tak wcześnie opuścił miasto, kiedy jeszcze wielu obywateli chciało go bronić.

– On może ma dobrą głowę do interesów, szczególnie do własnych – szemrali – ale jest do niczego w chwilach niebezpieczeństwa. Chwalili natomiast Barda i jego ostatni skuteczny strzał.

– Gdyby nie to, że poległ, niestety – mówili wszyscy – wybralibyśmy go na króla. Bard, zabójca smoka, potomek Giriona! Szkoda, że zginął!

Kiedy tak rozprawiali, wynurzył się z cieniów nocy wysoki mężczyzna. Ociekał wodą, czarne, mokre włosy zwisały mu na twarz i ramiona, wojowniczy blask świecił w oczach.

– Bard nie zginął! – zawołał. – Skoczył do wody, opuszczając płonące miasto dopiero wtedy, gdy zabił napastnika. Jam jest Bard z rodu Giriona. Jam jest zabójca smoka!

– Król Bard! Król Bard! – rozległy się okrzyki. Tylko władca szczękał i zgrzytał zębami.

– Girion panował w Dali, nie był królem krainy Esgaroth – rzekł. – Tu, w Mieście na Jeziorze, zawsze wybieraliśmy władców spośród starców i mędrców, nie znosiliśmy rządów tych, którzy są tylko wojownikami. Niech król Bard obejmie znów swoje własne królestwo, Dal jest wolna dzięki jego męstwu i nic nie stoi na przeszkodzie, by tam powrócił. Kto ma ochotę, niech idzie z nim, jeżeli woli zimne głazy w cieniu Góry od zielonych wybrzeży Jeziora. Ludzie rozsądni zostaną tutaj, nie wyrzekną się nadziei odbudowy miasta, a wkrótce znów będą mogli cieszyć się pokojem i dostatkiem.

– Chcemy Barda na króla! – krzyknęli w odpowiedzi stojący w pobliżu ludzie. – Dość mamy starców i groszorobów.

Ci, którzy stali dalej, podjęli okrzyki: „Niech żyje Łucznik! Precz z groszorobami!" – aż echo poniosło zgiełk po całym wybrzeżu.

– Kto jak kto, ale ja na pewno nie chcę uchybić szacunku Bardowi Łucznikowi – rzekł władca, przezorny, bo Bard stał tuż przy nim. – Dzisiejszej nocy zasłużył sobie na poczesne miejsce wśród dobroczyńców naszego miasta; godzien jest, żeby go unieśmiertelniła pieśń. Ale, mój ludu! – tu władca wstał i zaczął przemawiać bardzo głośno, bardzo dobitnie: – Czemuż to na mnie spada wasz gniew? Cóż zawiniłem, byście mnie chcieli pozbawić urzędu? Kto zbudził smoka z wiekowej drzemki, pytam. Kto wyjednał od nas szczodre podarki i pomoc, wmawiając nam, że ziszczą się przepowiednie starych pieśni? Kto nadużył naszych miękkich serc i bujnej wyobraźni? Jakież to złoto przysłano nam

rzeką w nagrodę za naszą dobroć? Ogień smoczy i zniszczenie! Od kogo tedy powinniśmy zażądać odszkodowań za straty i wsparcia dla wdów i sierot?

Jak widzicie, władca nie przypadkiem tylko zdobył swoje stanowisko. Skutek jego przemowy był taki, że ludzie na chwilę zapomnieli o pomyśle wyboru nowego króla, a zapałali złością do Thorina i jego drużyny. Ze wszystkich stron posypały się gniewne, gorzkie słowa. Ci, którzy przedtem najgłośniej śpiewali stare pieśni, teraz zagłuszali innych krzycząc, że krasnoludy umyślnie nasłały Smauga na miasto.

– Oszaleliście! – rzekł Bard. – Po co marnotrawić słowa i gniew dla tych nieszczęśliwych stworzeń? Oni z pewnością pierwsi padli ofiarą, nim jeszcze Smaug natarł na miasto.

Ale gdy to mówił, przyszły mu nagle na myśl legendarne skarby ukryte we wnętrzu Góry, a teraz zapewne bezpańskie i nie strzeżone przez nikogo. Umilkł. Przypomniał sobie, co powiedział władca, pomyślał o odbudowie Dali, o złotych dzwonach, które znów wypełnią swoją muzyką to miasto, jeśli znajdą się ludzie chętni, by w nim zamieszkać.

Wreszcie odezwał się znowu:

– Nie pora teraz na gniewne słowa, władco, ani na wielkie zmiany. Trzeba wziąć się najpierw do roboty. Tymczasem jestem jeszcze twoim poddanym, chociaż może wkrótce, pamiętając twoje słowa, wybiorę się na północ. Poprowadzę tych, którzy zechcą iść ze mną.

Odszedł, żeby pomóc w rozbijaniu obozowiska i zorganizowaniu ratunku dla chorych i rannych. Władca jednak rzucił złe spojrzenie za odchodzącym i został na wybrzeżu. Siedział zamyślony, nie odzywając się prawie, zawołał tylko na służbę o jedzenie i ogień.

Bard tymczasem, gdziekolwiek się pojawił, stwierdzał, że wśród ludzi szerzy się jak płomień wieść o nieprzebranych skarbach, które zostały bez strażnika. Mówili wszyscy o odszkodowaniach należnych im za straty, o bogactwach, które aż nadto starczą na zakup pięknych towarów z południa; te nadzieje pocieszały ich w obecnej niedoli. Na szczęście, bo noc była zimna i położenie okropne. Dla nielicznych tylko znaleziono jakieś schronienie pod dachem (jedno, najlepsze, zajął władca), jedzenia było mało (nawet władca musiał się ograniczać). Wiele było chorych, zmokniętych, zaziębionych i rannych tej nocy, a niejeden, choć wyszedł cało z ruin miasta, zmarł wkrótce. Przez długi czas po tej klęsce panoszyły się jeszcze choroby i głód.

Bard ujął władzę w ręce i wydawał rozkazy samodzielnie, jakkolwiek zawsze w imieniu władcy; niełatwe to było zadanie utrzymać ludzi w ryzach i pokierować pierwszymi robotami tak, by wszystkich zabezpieczyć i zaopatrzyć w jakieś mieszkania. Większość zginęłaby pewnie tej zimy, która szybko nadciągała po jesieni, gdyby nie ratunek z zewnątrz. Ale ratunek przyszedł w porę. Bard bowiem, nie zwlekając, wysłał w górę rzeki gońców, prosząc króla elfów leśnych o pomoc. Posłowie zastali króla już gotowego do wymarszu, chociaż ledwie trzy dni upłynęły od śmierci Smauga.

Król elfów otrzymał wieści od własnych zwiadowców i od ptaków zaprzyjaźnionych z jego ludem, toteż wiedział już niemal wszystko o wypadkach nad Jeziorem. Wielkie było poruszenie wśród skrzydlatych stworzeń żyjących na granicy ziemi spustoszonej przez smoka. Chmary ptaków krążyły w powietrzu, gońcy chyżym lotem przemierzali niebo we wszystkie strony. Nad skrajem puszczy rozlegały się gwizdy, ćwierkanie i szczebiot. Daleko w głąb Mrocznej Puszczy biegła nowina: „Smaug nie żyje!” Liście

szeleściły, zwierzęta nastawiały uszu w zdumieniu. Nim jeszcze król elfów wyruszył ze swej siedziby, wieść dotarła na zachód do sosnowego boru w Górach Mglistych. Usłyszał ją także Beorn w swoim drewnianym dworze, a gobliny zwołały naradę w podziemnych pieczarach.

– Obawiam się, że nie usłyszymy już więcej o Thorinie zwanym Dębową Tarczą – powiedział król elfów. – Lepiej by wyszedł, gdyby został u mnie w gościnie. Mimo wszystko zły wiatr powiał – dodał po chwili – który nikomu nic dobrego nie przyniesie.

Król bowiem nie zapomniał legend o skarbach Throra. Dlatego to właśnie wysłannicy Barda zastali go gotowego do wymarszu na czele zastępu elfów uzbrojonych we włócznie i łuki. Kruki gęstą chmurą zbierały się nad tym wojskiem, myśląc, że znów zanosi się na wojnę, jakiej od dawna w tych okolicach nie widziano.

Mimo to, otrzymawszy błagalne wezwanie od Barda, król ulitował się, był bowiem panem dobrego i łagodnego plemienia; zmienił więc kierunek marszu, pierwotnie zamierzonego wprost pod Górę, i pospieszył w dół Leśnej Rzeki ku Jezioru. Nie miał dość tratew i łodzi, by pomieścić na nich całe swoje wojsko, toteż żołnierze musieli maszerować pieszo powolniejszą drogą lądową; ale wielkie zapasy jadła i sprzętu wysłano naprzód wodą. Elfy jednak są dobrymi piechurami, a chociaż odwykły w owych czasach od marszów przez niebezpieczne tereny między Puszczą a Jeziorem, posuwały się szybko. W pięć dni ledwie od śmierci smoka stanęły na wybrzeżu i ujrzały zburzone miasto. Powitano ich, jak można się było spodziewać, serdecznie, a ludzie oraz ich władca chętnie godzili się w przyszłości wynagrodzić króla elfów za udzieloną pomoc.

Wkrótce opracowano plan działania. Kobiety, dzieci, starcy i ludzie niedołężni zostali wraz z władcą nad Jeziorem; przyłączono

do nich kilku rzemieślników i wiele sprawnych do wszelkiej roboty elfów. Ci zajęli się natychmiast wyrębem drzew i ściąganiem budulca spławianego rzeką z Puszczy. Potem zabrano się do budowy chat na wybrzeżu, żeby mieć schronienie, zanim zima na dobre nastanie. Pod kierunkiem władcy zaczęto też planować nowe miasto, piękniejsze i większe niż dawne, które jednak postanowiono wznieść na innym miejscu, dalej na północ i na brzegu Jeziora, odtąd bowiem już po wieczne czasy ludzie czuli wstręt do wody, w której spoczywał martwy smok. Smaug nigdy już nie miał powrócić na swoje złote leże, zimny jak głaz spoczął na dnie płycizny. Przez wieki też można było przy spokojnej pogodzie dostrzec olbrzymie kości sterczące spośród połamanych palów zniszczonego miasta. Mało kto jednak odważał się przepływać obok przeklętego miejsca, a nikt nie ośmielił się zejść tam do wody lub podjąć próby odzyskania drogocennych kamieni odpadających od gnijącego Smaugowego kadłuba.

Wszyscy zaś ludzie zdolni do noszenia broni wraz z większością armii elfów mieli ruszyć na północ, pod Górę. Tak się też stało. W jedenaście dni od zburzenia miasta czoło pochodu wysunęło się przez skalną bramę u północnego krańca Jeziora i weszło w spustoszony przez smoka kraj.

## Rozdział 15

# Chmury się zbierają

róćmy teraz do Bilba i krasnoludów. Przez całą noc jeden z nich pełnił straż, ale do rana nie usłyszeli ani nie dostrzegli żadnych niebezpiecznych znaków. Tylko ptaki gromadziły się coraz liczniej. Całe ich chmary nadlatywały od południa, a wrony przemieszkujące w okolicy Góry krążyły w powietrzu, kracząc nieustannie.

– Dzieje się coś niezwykłego – rzekł Thorin. – Czas jesiennych odlotów już minął, zresztą widzę tu ptaki, które zostają na zimę w tym kraju. Szpaki i mnóstwo szczygłów. A tam dalej zbierają się ptaki żywiące się padliną, jakby zanosiło się na bitwę.

Nagle Bilbo wyciągnął palec wskazujący.

– Nasz drozd wrócił! – krzyknął. – Widać ocalał, kiedy Smaug zburzył górskie zbocze, ale ślimaki pewnie się nie uratowały.

Rzeczywiście, stary drozd siedział przed nimi, a gdy Bilbo go zauważył, ptak podfrunął bliżej jeszcze i przysiadł na kamieniu. Zatrzepotał skrzydłami i zaśpiewał; potem przechylił łebek, jak gdyby nadsłuchując; po chwili znów zaśpiewał, urwał i znów czekał.

– Zdaje się, że on chce nam coś powiedzieć – rzekł Balin. – Ale nie rozumiem mowy tych ptaków, za szybka i za trudna dla mnie. Może pan Baggins coś z tego pojął?

– Niewiele – odparł Bilbo; prawdę rzekłszy nie zrozumiał nic. – Ale staruszek wydaje mi się bardzo czymś przejęty.

– Ba, żeby to był kruk! – powiedział Balin.

– Myślałem, że nie lubisz kruków. Kiedy szliśmy tutaj, miałem wrażenie, że się ich lękasz.

– To były gawrony, a w dodatku szkaradne i podejrzane, i bardzo ordynarne. Słyszałeś chyba, jakie wyzwiska nam rzucały. Kruki to zupełnie co innego. Żyły niegdyś w wielkiej przyjaźni z plemieniem Throra i często przynosiły nam tajne wiadomości, a my wynagradzaliśmy je błyskotkami, które te ptaki lubią przechowywać w swoich gniazdach. Kruki żyją bardzo długo i mają dobrą pamięć, a mądrość przekazują z pokolenia na pokolenie. Kiedy byłem małym chłopcem, znałem wiele kruków z gromady zamieszkującej te skały. Przecież i ta strażnica nazywa się Kruczym Wzgórzem, ponieważ tutaj gnieździła się mądra i słynna para: Kark z małżonką żył tutaj, nad tą komorą. Wątpię jednak, czy pozostał tu choć jeden ptak z tamtego rodu.

Ledwie Balin skończył mówić, gdy stary drozd wrzasnął głośno i natychmiast odleciał.

– My go nie rozumiemy, ale on nas rozumie, to pewne – rzekł Balin. – Czekajmy teraz i uważajmy, co z tego wyniknie.

Wkrótce usłyszeli trzepot skrzydeł i zobaczyli znów drozda, ale tym razem w towarzystwie innego, jeszcze bardziej sędziwego ptaka. Był to stary kruk, ogromny, niemal ślepy, latał z wielkim trudem, a na czubku głowy miał łysinę. Sztywno spłynął na ziemię, powoli załopotał skrzydłami i kiwnął się przed Thorinem.

– O Thorinie, synu Thraina, i ty Balinie, synu Fundina! – zakrakał (a Bilbo wszystko zrozumiał, bo kruk mówił po ludzku, nie po ptasiemu). – Jestem Roak, syn Karka. Kark, którego dobrze znaliście, już umarł; sto pięćdziesiąt trzy lata upłynęły, odkąd wylęgłem się z jajka, lecz nie zapomniałem nic z tego, co mi ojciec mówił. Teraz ja jestem wodzem Wielkich Kruków z Góry. Garstka

nas tylko tu została, pamiętamy jednak o dawnym królu. Moi poddani przeważnie są w tej chwili w drodze, bo na południu dzieją się doniosłe rzeczy; niektóre z nich uradują was, ale niektóre wydadzą się wam niepomyślne. Patrzcie! Ptaki gromadzą się z powrotem na Górze i w dolinie Dal, zlatują się z południa, z zachodu i wschodu na wieść, że Smaug nie żyje!

– Smaug nie żyje! Nie żyje? – wrzasnęły krasnoludy. – Nie żyje! A więc niepotrzebnie się baliśmy! Skarb jest już nasz! – I zrywając się z miejsc zaczęły skakać z radości.

– Tak, Smaug nie żyje – potwierdził Roak. – Drozd – oby nigdy nie utracił piór – widział jego śmierć i możemy ufać słowu tego ptaka. Trzy noce temu, o wschodzie księżyca, drozd widział, jak smok poległ w bitwie z ludźmi z Esgaroth.

Sporo czasu upłynęło, nim Thorin zdołał uciszyć swoją drużynę na tyle, by wysłuchała dalszych nowin z dzioba kruka. W końcu, opowiedziawszy im całą historię bitwy, Roak rzekł:

– Tyle radosnych nowin, Thorinie! Możesz bez obawy wracać do swego pałacu, cały skarb należy do ciebie... przynajmniej na razie. Ale nie tylko ptaki gromadzą się i ciągną od południa. Wieść o śmierci strażnika skarbu rozeszła się już daleko i szeroko, a legenda o bogatym dziedzictwie Throra nie straciła blasku przez powtarzanie jej z ust do ust w ciągu tylu lat; niejeden chciałby coś uszczknąć dla siebie. Zastępy elfów już są w drodze, a ptaki żywiące się padliną lecą nad nimi, spodziewając się walki i rzezi. Wśród ludzi znad Jeziora szerzy się pogłoska, że wszystkim ich nieszczęściom winne są krasnoludy; bo mieszkańcy Esgaroth zostali bez dachów nad głowami, wielu zginęło, a Smaug zburzył ich miasto. Oni także mają nadzieję, że wezmą sobie odszkodowanie z waszego skarbu, niezależnie od tego, czy wy żyjecie, czyście polegli. Musicie teraz kierować się oczywiście własnym rozumem,

lecz trzynastu – to tylko garstka niedobitków wielkiego plemienia Durina, które niegdyś tutaj mieszkało, a dziś rozproszyło się po świecie. Jeśli chcecie posłyszeć moją radę, ufajcie nie władcy Miasta na Jeziorze, lecz raczej temu człowiekowi, który strzałą z łuku zabił smoka. To Bard z rodu Giriona, pana doliny Dal, mąż ponury, lecz uczciwy. Po długich wiekach nieszczęść doczekamy się znów pokoju między krasnoludami, ludźmi i elfami. Ale może to was kosztować dużo złota! Skończyłem.

Wówczas Thorin wybuchnął gniewem.

– Dzięki ci, Roaku, synu Karka! Nie zapomnimy o tobie i twoim rodzie. Ale złodzieje i gwałtownicy nie tkną naszego złota, póki my żyjemy. Jeśli chcesz zasłużyć na większą jeszcze wdzięczność z naszej strony, donoś nam o każdym nieprzyjacielu, który by się zbliżał. Proszę cię też, jeżeli masz wśród swoich poddanych ptaki młode, o silnych skrzydłach, wyślij posłów do naszych krewniaków osiadłych w górach na północy, zarówno na wschód, jak i na zachód stąd, z wieścią o naszym położeniu. A przede wszystkim zawiadom mojego kuzyna z Żelaznych Wzgórz, imieniem Dain, bo on ma dużo dobrze uzbrojonych wojowników i mieszka najbliżej. Powiedz mu, żeby nie zwlekał!

– Nie będę się wypowiadał, czy twoje postanowienie uważam za słuszne, czy też nie – zakrakał Roak – ale zrobię, co się da.

I odleciał ciężko.

– Wracamy do Góry! – krzyknął Thorin. – Nie ma czasu do stracenia!

– Ani śniadania do zjedzenia! – zawołał Bilbo, zawsze na tym punkcie praktycznie usposobiony. Był przekonany, że ze śmiercią smoka kończy się właściwie przygoda – jakkolwiek mylił się grubo – i chętnie by się zrzekł swojego udziału w łupach, byle cała wyprawa zakończyła się pokojowo.

– Wracamy do Góry! – krzyczały krasnoludy, puszczając mimo uszu uwagę hobbita. Nie miał więc wyboru i poszedł razem z nimi.

Znacie już przebieg wydarzeń w mieście i wiecie, że krasnoludy miały jeszcze parę dni spokoju przed sobą. Zbadały wiec ponownie pieczarę i przekonały się, zgodnie zresztą z przewidywaniami, że jedynie Główna Brama pozostała otwarta; inne wejścia (z wyjątkiem oczywiście małych, tajemnych drzwiczek) od dawna już Smaug zniszczył i pozatykał tak, że śladu po nich nie mogły znaleźć. Wzięły się więc do ciężkiej pracy, by umocnić główne wejście i naprawić drogę wiodącą do niego. Narzędzi im nie brakowało, bo górnicy i kamieniarze sprzed wieków zostawili sprzętu dość, a krasnoludy nie straciły dawnej sprawności do tego rodzaju robót.

Kiedy tak pracowali, kruki przynosiły im coraz to nowe wieści. W ten sposób dowiedzieli się, że król elfów skręcił nad Jezioro, że mają wobec tego czas, by odetchnąć. Jeszcze pomyślniejsza była nowina, że trzy spośród kucyków ocalały i błąkają się po wybrzeżu w dole Bystrej Rzeki, opodal składu, w którym złożono część zapasów. Większość krasnoludów została przy robocie, ale Fili i Kili pod przewodem kruka powędrowali po kucyki i przywieźli wszystko, co zdołali zmieścić w jukach.

Tak upłynęły cztery dni, a przez ten czas krasnoludy już się dowiedziały, że połączone siły ludzi znad Jeziora i elfów spieszą w stronę Góry. Teraz jednak kompania Thorina nabrała otuchy: żywności mieli – przy oszczędnym wydzielaniu – na kilka tygodni, co prawda przeważnie suchary, które wszystkim już się uprzykrzyły, lepsze jednak suchary niż nic. Wrota były zabarykadowane murem z kanciastych kamieni, kładzionym bez zaprawy, ale grubym i wysokim, zagradzającym w poprzek wejście. W murze zostawiono szpary, przez które obrońcy mogli wyglądać (lub strzelać), lecz nikt

nie mógł dostać się do wnętrza. Chcąc wyjść lub wejść do groty, krasnoludy wspinały się za pomocą drabin, a wszelki sprzęt i tobołki wciągały na linach. Dla źródła, tryskającego tędy, zbudowali pod barykadą niską, sklepioną bramę, lecz tak zmienili wąskie łożysko, że woda rozlewała się u wejścia groty w szeroki staw ciągnący się od skalnej ściany aż do wodospadu, przez który potok spływał w dolinę Dal. Do bramy można więc było teraz zbliżyć się albo wpław, albo wąską ścieżką biegnącą tuż pod urwiskiem po prawej stronie (jeśli patrzysz z zewnątrz ku wrotom). Kucyki podprowadzono tylko do schodów nad starym mostem, tam je rozjuczono i zalecając wracać do dawnych właścicieli, puszczono na południe.

Nagle w dolinie Dal, dość daleko na południu, rozbłysły nocą światła jakby ognisk i pochodni.

– Już są! – zawołał Balin. – Obóz wydaje się ogromny. Musieli wejść w dolinę pod osłoną zmierzchu, idąc obu brzegami rzeki naraz.

Tej nocy krasnoludy niewiele spały. Ranek jeszcze był szary, kiedy zobaczyły zbliżający się jakiś oddział. Zza muru obserwowały, jak nadciągał z głębi doliny i wspinał się powoli w górę. Wkrótce już mogły rozróżnić uzbrojonych jak na wojnę ludzi znad Jeziora obok elfów z włóczniami. W końcu pierwsi żołnierze ukazali się na szczycie usypiska skalnego nad wodospadem. Zdumieli się bardzo na widok Bramy zabarykadowanej świeżo wzniesionym kamiennym murem.

Gdy przystanęli, pokazując sobie wzajem barykadę i rozmawiając, Thorin zakrzyknął donośnym głosem:

– Coście za jedni?! Dlaczego przychodzicie zbrojni jak na wojnę pod bramę pałacu Thorina, syna Thraina, Króla spod Góry? Czego chcecie?

Nie odpowiedzieli. Zawrócili szybko, a potem reszta oddziału, napatrzywszy się Bramie i fortyfikacjom, poszła także w ich ślady. Tego dnia obóz został przesunięty bliżej między dwa ramiona Góry. Echo odbijało wśród skał gwar głosów i śpiewów, nie słyszanych tutaj od wieków. Dochodziły też dźwięki harf i muzyki elfów. A gdy melodia dotarła do uszu krasnoludów, rzekłbyś, powietrze pocieplało i zapachniało nikłą wonią leśnych kwiatów rozkwitających o wiośnie.

Bilba zdjęła wówczas ochota ucieczki z ciemnej fortecy i przyłączenia się do wesołej zabawy i uczty przy ogniskach. Młodszym krasnoludom także drgnęły serca, ten i ów mruczał, że wolałby inny obrót sprawy i chętnie powitałby przybywających jako przyjaciół. Ale Thorin zmarszczył się na to gniewnie.

Wobec tego krasnoludy również pościągały harfy i inne instrumenty wyszukane w skarbcu, by muzyką rozchmurzyć wodza. Pieśń ich nie była jednak podobna do śpiewu elfów, przypominała natomiast bardzo tę, która rozbrzmiewała niegdyś w norce Bilba:

Przyszedł wreszcie, przyszedł dzień –
Król wstępuje w groty cień.
Gad ubroczył krwią jej progi,
Tak wyginą wszystkie wrogi.

Długa lanca, ostry miecz,
Brama twarda, choć w nią siecz!
Złota śmiałe szuka serce,
Kres krasnali poniewierce.

Działa krasnoludów czar.
W ciszę mroków dźwięk się wdarł,
Tam gdzie mrok pod skałą władnie
I gdzie dziwy drzemią na dnie.

Już krasnale niżą wraz
Na drut srebrny błyski gwiazd,
A ze złotych drutów zgodnie

Dobywają harf melodię.

Górski tron już wolny znów!
Ludu, słuchaj naszych słów!
Rzucaj góry i doliny,
Bo królowi trza drużyny.

Zew nasz dudni niby młot,
Wróćcie do swych starych grot.
Król u bram już czeka oto –
W rękach skarby ma i złoto.

Przyszedł bowiem wreszcie dzień,
Że król wstąpił w groty cień.
Straszny Gad krwią zbroczył progi –
I tak zginą wszystkie wrogi.

Śpiew przypadł Thorinowi do smaku, toteż król krasnoludów uśmiechnął się znowu i poweselał; zaczął obliczać odległość od Żelaznych Wzgórz i zastanawiać się, ile czasu będzie potrzebował Dain na dojście pod Samotną Górę, jeśli oczywiście wyruszy natychmiast po otrzymaniu wiadomości od krewniaka. Ale Bilbo stracił humor pod wpływem tych pieśni i rozmów: brzmiały zbyt wojowniczo.

Nazajutrz o świcie oddział włóczników przekroczył rzekę i pomaszerował w górę doliny. Nieśli przed sobą zieloną chorągiew króla elfów i błękitną – ludzi znad Jeziora. Podeszli aż pod mur zagradzający wrota.

I znów Thorin okrzyknął ich donośnym głosem:

– Kto jesteście, że przychodzicie uzbrojeni jak na wojnę pod bramę pałacu Thorina, syna Thraina, Króla spod Góry?

Tym razem usłyszał odpowiedź. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o ponurej twarzy wysunął się naprzód i zawołał:

– Witaj, Thorinie! Dlaczego zamykasz się jak rozbójnik w swojej kryjówce? Nie jesteśmy ci wrogami, radujemy się, że wbrew

spodziewaniu żyjecie jeszcze. Szliśmy tu myśląc, że nie zastaniemy żywego ducha. A skoro się spotkaliśmy, warto by zacząć rokowania i narady.

– Kto jesteś i co chcesz ze mną rokować?

– Jestem Bard, z mojej to ręki zginął smok i dzięki mnie wasz skarb został odzyskany. Czy to was nie obchodzi? Co więcej, jestem prawowitym potomkiem i dziedzicem Giriona z Dali, a w waszym skarbcu są między innymi także bogactwa złupione ongi przez Smauga w jego pałacach i mieście. Czy o tym nie godzi się porozmawiać? Ponadto w ostatniej bitwie Smaug zburzył domy ludzi z Esgaroth, a ja dotychczas jeszcze należę do poddanych władcy. W jego więc imieniu pytam, czy nie pomyśleliście o niedoli i nędzy ludzi znad Jeziora? Oni pomogli wam w ciężkiej chwili, wy zaś, miast dobrem za dobro odpłacić, ściągnęliście na nich nieszczęście, choć wiem, że nie chcieliście tego.

Były to uczciwe i sprawiedliwe słowa, jakkolwiek wygłoszone tonem dumnym i posępnym. Bilbo sądził, że Thorin natychmiast uzna zawartą w nich prawdę. Nie spodziewał się oczywiście, by ktokolwiek przypomniał sobie, że nie kto inny, lecz on właśnie wykrył słaby punkt w pancerzu smoka; dobrze robił, że na to nie liczył, bo rzecz prosta nikt nigdy o tym nawet nie napomknął. Ale nie brał też w rachubę czaru złota, na którym smok przez tak długie lata miał legowisko, ani krasnoludzkiej chciwości. Thorin wiele godzin spędził ostatnimi dniami w skarbcu i pożądliwość ogarnęła jego serce. Chociaż przede wszystkim szukał Arcyklejnotu, nie omieszkał zauważyć mnóstwa innych nagromadzonych tam cudowności, z którymi wiązały się prastare wspomnienia trudów i niedoli jego rodu.

– Na ostatku i z największym naciskiem wymieniłeś najmniej słuszną spośród twoich pretensji – odparł Bardowi Thorin. – Nikt

nie może sobie rościć praw do bogactw mojego ludu, bo Smaug ukradł je, pozbawiając wielu z nas także życia i domu. Skarb nie należał z prawa do smoka, toteż nie można nim opłacać zbrodni Smauga. Za towary i za pomoc otrzymaną od ludzi znad Jeziora zapłacimy uczciwą cenę... we właściwym czasie. Ale groźbą i przemocą nie uzyskacie od nas nic, nawet tyle, ile kosztuje bochenek chleba. Dopóki zbrojne siły stoją pod naszymi drzwiami, uważamy was za wrogów i złodziei. Miałbym ochotę nawzajem spytać cię, jaką część dziedzictwa oddalibyście naszym rodzinom, gdybyście zastali skarb bez straży, a nas zabitych?

– Słuszne pytanie – rzekł Bard. – Ale nie zabito was, a my nie jesteśmy rabusiami. Zresztą bogacze powinni by mieć litość i niezależnie od zobowiązań wspierać w biedzie tych, którzy im okazali życzliwość w potrzebie. Nie odpowiedziałeś też na pozostałe moje argumenty.

– Nie będę, jak już mówiłem, rokował ze zbrojnymi ludźmi pod moją bramą. I nie chcę w ogóle wchodzić w układy z królem elfów, który nie zostawił mi dobrych wspomnień. Dla elfów w tych naradach nie ma miejsca. Odejdźcie, nim świsną nasze strzały. Jeżeli zaś zechcesz znów ze mną rozmawiać, odpraw najpierw zastępy elfów do puszczy, z której nie powinny były wychodzić; dopiero potem wróć tutaj, ale odrzuć broń, nim zbliżysz się do moich progów.

– Król elfów jest moim przyjacielem i wspomógł ludzi znad Jeziora w biedzie, chociaż prócz przyjaźni nie mieliśmy innych praw do jego pomocy – odparł Bard. – Zostawię ci jednak czas, żebyś mógł pożałować swoich słów. Idź po rozum do głowy, nim się znowu tu zjawimy.

I Bard odszedł do obozu. Nie minęło wiele godzin, kiedy znów ukazały się pod Bramą chorągwie, a trębacze wystąpili i zagrali

sygnał.

– W imieniu krainy Esgaroth i Puszczy! – zawołał jeden z nich. – Przemawiamy do Thorina, syna Thraina, mieniącego się Królem spod Góry, i wzywamy go, żeby rozważył zgłoszone przez nas żądania. W przeciwnym razie będziemy go musieli uznać za wroga. Co najmniej dwunastą część skarbów ma Thorin oddać Bardowi jako zwycięzcy smoka i spadkobiercy Giriona. Ze swojej części Bard wynagrodzi ludzi z Esgaroth za ich pomoc. Lecz jeśli Thorin chce cieszyć się przyjaźnią i szacunkiem sąsiadów, jak niegdyś jego przodkowie, niech dorzuci coś od siebie na wspomożenie ludzi znad Jeziora.

W tej chwili Thorin chwycił za łuk i puścił strzałę prosto w wysłannika. Trafiła w tarczę i chwiejąc się, utkwiła w niej.

– Skoro taka jest twoja odpowiedź – zawołał poseł – ogłaszam oblężenie Góry! Nie wyjdziecie stąd, póki nie poprosicie nas o rozejm i o wszczęcie rokowań. Nie obracamy przeciw wam oręża, ale zostawiamy was z waszym złotem. Możecie się nim żywić, jeśli chcecie.

Po czym parlamentariusze szybko odeszli, a krasnoludy zostały same i mogły zastanowić się nad położeniem. Thorin tak się nasrożył, że nikt nie ośmieliłby się wystąpić wobec niego z jakimiś zarzutami, choćby i miał po temu ochotę; lecz wszyscy, jak się zdawało, podzielali jego stanowisko, z wyjątkiem może grubego Bombura, Fila i Kila. Bilbo oczywiście był z obrotu rzeczy niezadowolony. Miał już po dziurki w nosie tej Góry i myśl o wytrzymaniu w jej wnętrzu oblężenia wcale mu się nie uśmiechała.

– Cuchnie tu smokiem – mruczał do siebie – aż mnie mdli. A te suchary już mi kością w gardle stają.

## Rozdział 16

# Nocny złodziej

ni wlokły się w nudzie. Wielu krasnoludów spędzało czas na układaniu i porządkowaniu skarbów. Teraz już Thorin mówił o Arcyklejnocie Thraina i gorąco prosił, żeby pilnie szukali go po wszystkich zakątkach.

– Ten klejnot mego ojca – rzekł – sam jest wart więcej niż cała rzeka złota, a dla mnie wręcz nie ma ceny! Z całego skarbu ten jeden kamień uważam za swoją osobistą własność i srodze bym ukarał tego, kto by go znalazł i przywłaszczył sobie.

Bilbo usłyszał te słowa i zląkł się na myśl, co by się stało, gdyby odkryto ów kamień schowany w zawiniątku starej odzieży, którego używał zamiast poduszki. Nic jednak nie powiedział, bo w nudzie tych powszednich dni pewien plan zaczynał się już wylęgać w małej główce hobbita.

W ten sposób przeszedł jakiś czas, aż kruki przyniosły wieść, że Dain z oddziałem ponad pięciuset krasnoludów spieszy spod Żelaznych Wzgórz od północo-wschodu i jest już zaledwie o dwa dni marszu od doliny Dal.

– Nie mogą jednak dotrzeć pod Górę niepostrzeżenie – powiedział Roak. – Obawiam się, że w dolinie dojdzie do bitwy. Nie wydaje mi się to wcale pomyślne. Chociaż to bardzo bitne plemię, nie zdołają przecież pokonać armii, która was oblega. A nawet gdyby zwyciężyli, co na tym zyskacie? Wkrótce za nimi nadejdzie zima

i śniegi. Jak się tutaj wyżywicie bez pomocy życzliwych sąsiadów? Smoka już nie ma, ale bogactwa mogą się stać waszą zgubą.

Thorin wszakże nie dał się przekonać.

– Zima i śnieg dokuczą ludziom i elfom – rzekł – a obozowanie na tym pogorzelisku ciężko im będzie znieść dłużej. Mając za plecami naszych sprzymierzeńców i zimę na karku, pewnie zmiękną i łatwiej zgodzą się na moje warunki.

Tej nocy Bilbo powziął decyzję. Noc była ciemna, bezksiężycowa. Poczekał, aż się ściemniło zupełnie, poszedł w kąt groty tuż pod bramę, wyciągnął ze swego zawiniątka zwój liny oraz Arcyklejnot spowity w jakąś szmatkę. Potem wdrapał się na szczyt muru. Zastał tam Bombura czuwającego samotnie, bo krasnoludy kolejno w pojedynkę pełniły straż u wrót.

– Diabelnie zimno – powiedział Bombur. – Szkoda, że nie mogę tu rozpalić ogniska, jak tamci w swoim obozie.

– W jaskini jest dość ciepło – rzekł Bilbo.

– Pewnie, ale ja muszę tu sterczeć do północy – mruknął grubas. – W ogóle marnie z nami. Nie śmiem oczywiście spierać się z Thorinem, oby jego broda rosła bujnie, ale ten krasnolud zawsze miał drętwy kark.

– Nie tak chyba jak moje nogi – odparł Bilbo. – Okropnie zmęczyły mnie te wszystkie schody i kamienne tunele. Dużo bym dał, żeby znów poczuć trawę pod podeszwą.

– A ja dużo bym dał za łyk jakiegoś mocniejszego trunku i miękkie łóżko po sutej kolacji.

– Nie mogę ci tego ofiarować, póki trwa oblężenie. Ale że dawno już nie stałem na warcie, chętnie cię teraz zastąpię, jeżeli chcesz. I tak czuję, że dzisiaj nie zasnę. Bądź spokojny – dodał Bilbo. – Zbudzę cię o północy, a wtedy sam zawołasz kolejnego wartownika.

Ledwie Bombur odszedł, Bilbo włożył pierścień na palec, zaczepił linę, zjechał po niej na drugą stronę muru i ruszył przed siebie. Miał mniej więcej pięć godzin. Bombur będzie spał – grubas umie spać o każdej porze, a od przygody w puszczy stale usiłuje wrócić do cudownych snów, które wówczas przeżył; reszta drużyny wraz z Thorinem zajęta jest w skarbcu. Mało prawdopodobne, by któryś z krasnoludów, nawet Fili lub Kili, wybrał się nocą na mur, póki nie przyjdzie jego kolej wartowania.

Noc była bardzo ciemna, a Bilbo, gdy opuścił nowo zbudowany odcinek ścieżki i zaczął schodzić w dół nad strumieniem, znalazł się na nieznanej drodze. Wreszcie jednak dotarł do pętli rzeki, gdzie musiał się przeprawić na drugi brzeg, jeśli chciał dostać się do obozu – bo taki miał właśnie zamiar. Woda w tym miejscu była płytka, lecz rozlana szeroko, dla małego hobbita wcale niełatwa do przebycia w bród po ciemku. Już prawie dosięgał brzegu, kiedy nagle pośliznął się na wypukłym kamieniu i z pluskiem wpadł w zimną kąpiel. Ledwie zdołał się wygramolić na drugi brzeg, drżąc i wypluwając z ust wodę, gdy z ciemności wychynęły elfy z latarniami w ręku i zaczęły badać przyczynę hałasu.

– To nie była ryba – powiedział jeden. – Jakiś szpieg tu się kręci. Zasłońcie latarnie! Jeśli to ten malec, który podobno służy krasnoludom, światło bardziej pomoże jemu niż nam.

„Służy! Coś podobnego!" – oburzył się Bilbo. I nagle kichnął głośno, a elfy, kierując się słuchem, natychmiast podbiegły w jego stronę.

– Poświećcie! – rzekł Bilbo. – Jeśli mnie szukacie, proszę bardzo, tu jestem! – i zsunąwszy z palca pierścień, wytknął głowę zza kamienia. Mimo że bardzo zaskoczeni, chwycili go szybko.

– Ktoś jest? Czy to ty jesteś tym hobbitem krasnoludów? Co tu robisz? Jakim sposobem przedostałeś się przez linię naszych straży? –

pytali jeden przez drugiego.

– Nazywam się Bilbo Baggins – odparł. – Jestem współtowarzyszem Thorina, jeśli chcecie wiedzieć. Dobrze znam z widzenia waszego króla, chociaż on pewnie nigdy mnie nie widział. Bard za to pamięta mnie z pewnością, a właśnie z Bardem pragnę rozmawiać.

– Czyżby?! – mówiły elfy. – Jakiż to możesz mieć do niego interes?

– Jakikolwiek mam interes, jest to moja sprawa, nie wasza, moi mili. Jeżeli chcecie wrócić do swojej puszczy, zamiast tkwić w tej zimnej i przykrej okolicy – powiedział trzęsąc się od dreszczów – prowadźcie mnie co żywo do ogniska, żebym się osuszył, a potem jak najprędzej pozwólcie mi porozumieć się z waszymi wodzami. Mam do rozporządzenia ledwie godzinę, najwyżej dwie.

Tak się stało, że mniej więcej w dwie godziny po wymknięciu się z Głównej Bramy Bilbo siedział, grzejąc się przy ognisku przed wielkim namiotem, a naprzeciw niego, przyglądając mu się z ciekawością, zasiedli król elfów i Bard. Pierwszy raz w życiu widzieli hobbita w zbroi księcia elfów, owiniętego na dobitkę w kawałek starego koca.

– Doprawdy, moi panowie – mówił Bilbo rzeczowym tonem człowieka interesów – położenie jest niemożliwe. Osobiście czuję się już bardzo znużony tym stanem rzeczy. Chciałbym co prędzej znaleźć się z powrotem w moim ojczystym kraju na zachodzie, wśród rozsądnych stworzeń. Ale jestem finansowo zainteresowany w tej wyprawie, jestem udziałowcem w jednej czternastej części, mówiąc ściśle, co gwarantuje mi ten list; na szczęście mam go chyba przy sobie. – Tu Bilbo z kieszeni starej kurtki (wciąż jeszcze nosił ją na zbroi) wyciągnął zmięty i złożony kilkakrotnie list Thorina, ten sam list, który znalazł w maju pod zegarem na kominku.

– Proszę zwrócić uwagę – ciągnął – że napisane jest: udział w zyskach. Dobrze wiem, co to znaczy. Ze swej strony jestem jednak skłonny rozpatrzyć życzliwie wasze żądania i odjąć od ogólnej sumy to, co wam się należy, nim upomnę się o swoją część. Nie znacie wszakże Thorina tak dobrze, jak ja go znam. Ręczę, że choćby miał umrzeć z głodu, gotów jest siedzieć na swojej górze złota, póki wy tu pozostaniecie.

– Ano niech siedzi! – rzekł Bard. – Szaleniec zasłużył sobie na głodową śmierć.

– Słusznie – odparł Bilbo. – Rozumiem wasz punkt widzenia. Ale zima nadciąga wielkimi krokami. Lada dzień zaczną się śnieżyce i tak dalej, a wtedy nawet elfom, jak sądzę, trudno będzie poradzić sobie z dostawami. Powstaną również inne trudności. Słyszeliście chyba o Dainie i jego krasnoludach z Żelaznych Wzgórz?

– Kiedyś słyszeliśmy coś o nich. Ale cóż to ma do rzeczy? – spytał król.

– A więc przewidziałem słusznie! Widzę, że nie wiecie o pewnych wydarzeniach, które są mi znane. Mogę wam powiedzieć, że Dain jest o niespełna dwa dni marszu stąd i prowadzi co najmniej pięciuset bitnych krasnoludów; wielu z nich przeszło zaprawę w okrutnych wojnach między krasnoludami a goblinami, o tym z pewnością słyszeliście. Może dojść do poważnych kłopotów, kiedy Dain tu nadciągnie.

– Dlaczego nam o tym mówisz? Czy zdradzasz swoich przyjaciół? Czy chcesz nas wystraszyć? – spytał posępnie Bard.

– Drogi Bardzie! – pisnął Bilbo. – W zbyt gorącej wodzie jesteś kąpany! Nigdy nie zetknąłem się z tak podejrzliwymi ludźmi. Przecież ja usiłuję właśnie oszczędzić kłopotów obu stronom. Posłuchajcie, co wam chcę zaproponować.

– Mów! – odpowiedzieli.

– Spójrzcie – rzekł Bilbo. – Ofiarowuję wam to! – i wyciągnąwszy z kieszeni Arcyklejnot, wyłuskał go ze szmatki.

Nawet król elfów, choć oczy jego przywykły do wszelkich cudownych i pięknych rzeczy, osłupiał z zachwytu. Nawet Bard umilkł i patrzał na klejnot w olśnieniu. Jakby kula pełna księżycowego blasku zawisła przed nimi w sieci utkanej z promieni mroźnych gwiazd.

– To jest Arcyklejnot Thraina – powiedział Bilbo. – Serce Góry, a także serce Thorina. Ceni ten kamień wyżej niż całą rzekę złota. Daję go wam. On wam pomoże w rokowaniach z Thorinem.

I Bilbo, nie mogąc opanować drżenia i żałośnie żegnając wzrokiem cudowny kamień, wręczył go Bardowi, który jakby urzeczony trzymał chwilę klejnot na dłoni.

– Jakie masz prawo nim rozporządzać? Czy jest twoją własnością? – spytał wreszcie, wyraźnie zdobywając się na wysiłek.

– No, prawdę mówiąc – rzekł hobbit zakłopotany – nie jest, biorąc rzecz ściśle, moją własnością, ale, widzicie, gotów jestem w zamian za niego zrzec się udziału w łupach. Może jestem włamywaczem – tak przynajmniej nazwały mnie krasnoludy, bo osobiście nigdy się nim naprawdę nie czułem – ale włamywaczem mniej więcej uczciwym, jak mi się zdaje. W każdym razie wracam teraz, niech krasnoludy zrobią ze mną, co zechcą. Mam nadzieję, że mój dar okaże się pożyteczny.

Król elfów z nowym podziwem przyglądał się hobbitowi.

– Bilbo Baggins! – rzekł. – Jesteś bardziej godzien zbroi księcia elfów niż niejeden elf, który by w niej okazalej wyglądał. Wątpię jednak, czy Thorin będzie także tego zdania. Lepiej chyba od ciebie znam krasnoludy. Radzę ci, zostań z nami, a doznasz w tym obozie tylko szacunku i najżyczliwszej gościnności.

– Bardzo dziękuję, szczerze jestem wdzięczny – odparł Bilbo z ukłonem. – Ale nie wypada mi w ten sposób opuścić przyjaciół, z którymi tyle wspólnie przeżyłem. Zresztą obiecałem grubemu Bomburowi zbudzić go o północy. Doprawdy, muszę już iść, i to szybko.

Nic nie wskórali dalszą namową, przydzielili więc hobbitowi eskortę, a zarówno król, jak Bard zasalutowali mu z szacunkiem na pożegnanie. Kiedy szli przez obóz, spod progu któregoś namiotu podniósł się starzec w ciemnym płaszczu i podszedł do Bilba.

– Brawo, panie Baggins! – rzekł, klepiąc hobbita po ramieniu. – Jak zawsze, więcej umiesz zdziałać, niżby się można po tobie spodziewać.

Był to Gandalf. Po raz pierwszy od wielu dni Bilbo naprawdę się czymś ucieszył. Nie miał jednak czasu wypytać czarodzieja o wszystko, czego był ciekawy.

– Przyjdzie na to pora – rzekł Gandalf. – Jeśli się nie mylę, wasza wyprawa dobiegnie wkrótce końca. Na razie masz przed sobą przykre chwile, ale nie trać ducha! Kto wie, może wyjdziesz cało z tej przygody. Szykują się nowiny, o których nawet kruki nic jeszcze nie wiedzą. Dobranoc!

Zaintrygowany, lecz także pocieszony, Bilbo ruszył w drogę. Wskazano mu wygodny bród i przeprowadzono suchą nogą na drugi brzeg, tam pożegnał się z elfami i ostrożnie pomaszerował w górę. Ogarnęło go wielkie znużenie, lecz zdążył dobrze przed północą wspiąć się na mur po linie, którą zastał tak, jak ją zostawił. Odczepił linę, zwinął i schował, po czym siadł, dumając z niepokojem, co dalej będzie.

O północy zbudził Bombura i z kolei sam ułożył się do snu w kąciku, nie słuchając podziękowań – wcale przecież niezasłużonych – którymi obsypywał go stary krasnolud. Wkrótce

zasnął mocno i do rana nie pamiętał o swoich zmartwieniach. Śniły mu się jajka smażone na boczku.

## Rozdział 17

# Chmury pękają

azajutrz od świtu w obozie zagrały trąby. Wkrótce krasnoludy ujrzały samotnego gońca spieszącego wąską ścieżką pod górę. Przystanął w pewnym oddaleniu od Bramy i zaczął nawoływać, pytając, czy Thorin nie zechce teraz wysłuchać poselstwa, ponieważ zaszły nowe wydarzenia i warunki się zmieniły.

– To znaczy, że Dain przybywa! – rzekł, słysząc te słowa Thorin. – Dowiedzieli się, że Dain nadciąga. Przewidywałem, że to na nich podziała! Zawiadom swoich, że jeśli posłowie przyjdą w nielicznej kompanii i bez broni, zgodzę się ich przyjąć! – krzyknął do gońca.

Około południa dostrzeżono sunące z doliny rozwinięte chorągwie Puszczy i Jeziora. Zbliżało się poselstwo, osób około dwudziestu. U wejścia na wąską ścieżkę złożyli miecze i włócznie, a gdy podeszli pod Bramę, krasnoludy ze zdziwieniem poznały między innymi zarówno Barda, jak króla elfów; jakiś starzec w płaszczu z kapturem niósł przed nimi szkatułkę z drzewa okutego żelazem.

– Witaj, Thorinie – zaczął Bard. – Czy trwasz wciąż jeszcze przy swoim zdaniu?

– Nie zmieniam zdania z każdym wschodem lub zachodem słońca – odparł Thorin. – Czy przychodzicie po to, by mi zadawać czcze pytania? Armia elfów nie wycofała się dotychczas, mimo że tego się domagałem. Dopóki to się nie stanie, daremnie próbujecie ze mną rokowań.

– Nie ma więc w świecie nic takiego, za co byś gotów był odstąpić część swego złota?

– Nic, co ty lub twoi przyjaciele mogliby mi ofiarować.

– A gdybyśmy ofiarowali Arcyklejnot Thraina? – spytał Bard; w tym samym momencie zakapturzony starzec otworzył szkatułkę i podniósł w górę klejnot. Blask buchnął z jego ręki, jaskrawy i biały w świetle poranka.

Thorin, zaskoczony i zdumiony, oniemiał na chwilę. Długo nikt się nie odzywał.

Wreszcie Thorin przerwał milczenie, a głos miał ochrypły ze złości.

– Ten kamień należał do mojego ojca, jest więc mój! – rzekł. – Dlaczego miałbym płacić za swoją własność? – Ale ciekawość przemogła w nim gniew i dodał: – Jakim sposobem dziedzictwo mojego rodu dostało się w wasze ręce? Pytam, choć może nie warto takich pytań stawiać złodziejom...

– Nie jesteśmy złodziejami – odparł Bard. – Oddamy ci twoją własność w zamian za naszą.

– Jakim sposobem zdobyliście ten klejnot?! – krzyknął Thorin wpadając w tym gorszą wściekłość.

– Ja im go dałem – pisnął Bilbo, wystawiając głowę znad muru i drżąc z przerażenia.

– Ty! Ty! – wrzasnął Thorin i obróciwszy się ku hobbitowi, oburącz chwycił go za kark. – Nikczemny hobbicie! Niezdarzony... włamywaczu! – krzyczał, nie mogąc wymyślić gorszej obelgi i potrząsał Bilbem niby królikiem. – Na brodę Durina! Szkoda, że nie ma tu Gandalfa. Powinszowałbym mu wyboru czternastego uczestnika wyprawy. Bodaj mu broda uschła! A ciebie, łotrze, roztrzaskam o skały! – I z tym okrzykiem podniósł Bilba do góry.

– Stój! Spełniło się twoje życzenie! – zawołał znajomy głos. Starzec, który przyniósł szkatułkę, odrzucił kaptur. – Gandalf jest tutaj! A zjawił się w samą porę, jak widzę. Nawet jeśli mój włamywacz nie przypadł ci do gustu, nie waż się go uszkodzić. Postaw hobbita na ziemi i posłuchaj przede wszystkim, co ma do powiedzenia.

– A to, widzę, spisek! – rzekł Thorin spuszczając Bilba na szczyt muru. – Nigdy więcej nie będę się zadawał z czarodziejami i ich przyjaciółmi. Co masz do powiedzenia, szczurzy pomiocie?

– Co za heca, co za heca! – rzekł Bilbo. – Doprawdy, okropnie kłopotliwa sytuacja. Pamiętasz chyba, jak mówiłeś, że pozwolisz mi wybrać, co zechcę, jako moją czternastą część łupów? Może zrozumiałem zbyt dosłownie tę obietnicę... Słyszałem nieraz, że krasnoludy bywają w gębie grzeczniejsze niż w praktyce. Ale przecież w swoim czasie uznawałeś, jak mi się zdaje, że zrobiłem dla was coś niecoś. A teraz: szczurzy pomiot! To tak wyglądają usługi, które przyrzekałeś mi, Thorinie, w imieniu swoim oraz swego potomstwa do siedmiu pokoleń? Powiedzmy, że rozporządziłem swoim udziałem, jak mi się podobało, i na tym poprzestańmy.

– Dobrze – odparł ponuro Thorin. – Poprzestańmy na tym. Puszczę cię żywego i obyśmy się więcej w życiu nie spotkali. – Odwrócił się i do stojących pod murem rzekł: – Zostałem zdradzony! Słusznie liczono, że nie zawaham się zapłacić wielkiej ceny za klejnot mego rodu. Oddam za niego czternastą część skarbu w srebrze i złocie, wyłączając drogie kamienie. Ale pójdzie to na rachunek udziału tego zdrajcy. Z tą zapłatą niech stąd odejdzie, a wy możecie z nim się podzielić wedle woli. Nie wątpię zresztą, że niewiele się wzbogaci. Zabierzcie go ze sobą, jeżeli zależy wam na jego życiu. Nie zachowam go w przyjaznej pamięci. Idź do swoich sojuszników –

powiedział, zwracając się do hobbita – jeśli nie chcesz, żebym cię strącił z muru na skały.

– A jak będzie ze srebrem i złotem? – spytał Bilbo.

– Przyślę ci je później, wedle umowy – odparł Thorin. – Idź teraz!

– Do czasu zatrzymujemy kamień! – zawołał Bard.

– Niezbyt wspaniałomyślnie poczynasz sobie jako Król spod Góry – rzekł Gandalf – ale to się, być może, jeszcze zmieni.

– Być może – powiedział Thorin. A tak potężnie owładnął nim już czar bogactw, że w głębi serca przemyśliwał, czyby z pomocą Daina nie udało się odbić klejnotu, nie płacąc w zamian umówionej części skarbu.

Bilbo spuścił się po murze w dół i odszedł, nie zyskawszy za wszystkie swoje trudy nic prócz zbroi, którą mu już przedtem Thorin podarował. Niejeden krasnolud, patrząc na to, czuł w sercu ukłucie żalu i wstydu.

– Bywajcie zdrowi! – krzyknął im Bilbo. – Kto wie, może się jeszcze spotkamy jako przyjaciele!

– Precz stąd! – odkrzyknął Thorin. – Masz na sobie zbroję wykutą przez moje plemię, ale nie jesteś jej godzien. Tej zbroi żadne ostrze nie przebije, jeśli jednak się nie pospieszysz, puszczę ci strzałę w kudłate pięty. Umykaj, a żywo!

– Nie tak ostro! – rzekł Bard. – Dajemy ci, Thorinie, czas do jutra. Jutro w południe wrócimy tutaj i zobaczymy, czy przygotowałeś czternastą część skarbu na wykup klejnotu. Jeśli rzetelnie dotrzymasz umowy, odstąpimy od oblężenia, a wojska elfów odejdą do swojej Puszczy. Tymczasem żegnaj!

Po tych słowach poselstwo wróciło do obozu. Thorin jednak wysłał gońców Roaka do Daina z wiadomością o tych zdarzeniach i zaleceniem czujności oraz pośpiechu w marszu.

Minął dzień, a po nim noc. Nazajutrz wiatr się zmienił i dął z zachodu, niebo było chmurne i posępne. Wczesnym rankiem krzyk się rozległ w obozie. Przybyli gońcy z wieścią, że zza wschodniej ostrogi Góry ukazały się zbrojne zastępy krasnoludów i maszerują ku dolinie. Dain przybył! Spieszył nocnym pochodem i dlatego zjawił się wcześniej, niż oczekiwano. Każdy z jego wojowników miał na sobie kolczugę ze stalowej łuski sięgającą po kolana, a nogi opancerzone gęstą metalową siatką, której wyrób stanowił specjalność Daniowego plemienia. Krasnoludy są niezwykle krzepkie jak na swój wzrost, lecz plemię z Żelaznych Wzgórz nawet wśród krasnoludów odznaczało się niepospolitą siłą. Do bitwy używali ci wojownicy najchętniej młotów, które dzierżyli oburącz, lecz mieli także krótkie, szerokie miecze u boku, a na plecach przerzucone okrągłe tarcze. Brody nosili rozdzielone i splecione w dwa warkocze, zatknięte za pas. Na głowach mieli żelazne hełmy, stopy obute żelazem, a twarze zawzięte.

Trąby wezwały ludzi i elfy do broni. Wkrótce ujrzano krasnoludów szybkim krokiem ciągnących w dolinę. Między rzeką a wschodnią ostrogą Góry oddział przystanął, lecz kilku wojowników poszło dalej i przeprawiwszy się na drugi brzeg, zbliżyło do obozu. Tu złożyli broń i podnieśli ręce na znak, że przychodzą w pokojowych zamiarach. Bard wyszedł na ich spotkanie w towarzystwie hobbita.

– Przysłał nas Dani, syn Naina – odpowiedzieli, gdy ich zapytano. – Spieszymy do naszych rodaków pod Górą na wieść, że prastare królestwo zostało wskrzeszone. Ale kto jesteście wy, że rozłożyliście się obozem w dolinie jak napastnicy pod obronnym murem?

Powiedzieli to grzecznym i trochę staroświeckim stylem, właściwym w tego rodzaju okazjach, lecz słowa ich znaczyły po prostu: „Nie macie tu nic do roboty. Idziemy naprzód, a jeśli nie

usuniecie się z drogi, siłą ją sobie otworzymy". Krasnoludy zamierzały przejść między Górą a pętlą rzeki, tam bowiem wąski pas terenu wydawał się niezbyt mocno broniony.

Bard oczywiście odmówił przepuszczenia wojsk Daina wprost pod Górę. Był zdecydowany doczekać najpierw chwili, gdy Thorin wyda srebro i złoto w zamian za Arcyklejnot; nie wierzył bowiem, by Thorin chciał dotrzymać umowy, jeżeli forteca dostanie tak znaczne i bitne posiłki. Wojsko Daina niosło ze sobą wielkie zapasy żywności, bo krasnoludy umieją dźwigać bardzo ciężkie brzemiona. Każdy niemal wojownik, mimo forsownego marszu, na dodatek do ciężkiego uzbrojenia obarczony był ogromnym workiem na plecach. Góra, tak zaopatrzona, mogłaby wytrzymać wiele tygodni oblężenia, a tymczasem nadciągnęłoby zapewne jeszcze więcej krasnoludów, bo Thorin miał niemało krewniaków. Oblężeni mogliby też przez ten czas otworzyć sobie na nowo inne wyjścia z podziemi, a wtedy oblegający musieliby otoczyć całą Górę dookoła, na to zaś nie wystarczyłoby im żołnierzy.

Taki właśnie plan uknuły krasnoludy (Thorin i Dain porozumieli się za pośrednictwem kruków), na razie jednak droga była zamknięta, więc po wymianie gniewnych słów wysłannicy Daina odeszli mrucząc coś w brody. Bard natychmiast wyprawił posłów pod Bramę Góry, lecz nie zastali tam umówionego okupu w złocie. Ledwie znaleźli się w zasięgu łuków, sypnęły się na nich strzały i musieli pośpiesznie wycofać się z niczym. W obozie powstał ruch jak przed bitwą, bo krasnoludy Daina posuwały się wzdłuż wschodniego brzegu.

– Głupcy! – zaśmiał się Bard. – Jakże nieopatrznie zbliżają się do ściany Góry! Nie znają się na wojnie w otwartym polu, chociaż umieją może bić się w podziemiach. Wielu naszych łuczników i oszczepników siedzi ukrytych pośród skał nad prawym skrzydłem

ich wojsk. Krasnoludzkie zbroje są wprawdzie dobre, ale wkrótce będą musiały przejść ciężką próbę. Zaatakujemy ich od razu z dwóch stron, zanim odpoczną po marszu.

Lecz król elfów powiedział:

– Długo będę się namyślał, nim rozpocznę wojnę o złoto. Krasnoludy nie zdołają przejść wbrew naszej woli, nie uda im się też żaden manewr, którego byśmy nie dostrzegli zawczasu. Nie traćmy nadziei, że mimo wszystko dojdzie między nami do jakiejś ugody. Nasza liczebna przewaga wystarczy, jeśli walka okaże się nieunikniona.

Król elfów nie znał jednak uporu krasnoludów. Wieść, że Arcyklejnot wpadł w ręce oblegających, rozjątrzyła im serca. Zauważyły też wahanie Barda i jego sprzymierzeńców, więc postanowiły uderzyć, nim tamci ukończą narady.

Nagle, bez uprzedzenia, ruszyły w głuchej ciszy do ataku. Zadźwięczały łuki, świsnęły strzały, bitwa już, już miała rozgorzeć.

Lecz w tej samej chwili jeszcze bardziej niespodzianie zapadły okropne ciemności. Czarna chmura nadciągnęła pędem po niebie. Wichura niosła zimową burzę, grzmot przetaczał się po stokach Góry, błyskawice rozjarzały się nad jej szczytem. A pod chmurą burzy inna, równie czarna, zakotłowała się w powietrzu, lecz ta nie leciała z wiatrem: nadciągała z północy niby chmara niezliczonego ptactwa, zbitego tak gęsto, że światło nie przenikało między skrzydłami.

– Stójcie! – krzyknął Gandalf zjawiając się znienacka, sam, ze wzniesionymi ramionami, między nacierającymi szeregami krasnoludów a wojskiem gotowym do odparcia tego ataku. – Stójcie! – powtórzył grzmiącym głosem, a różdżka jego błysnęła niby piorun. – Biada wam wszystkim! Niebezpieczeństwo spadło wcześniej, niż przewidywałem. Gobliny nadciągają! Bolg idzie

od północy; słuchaj, Dainie, ten sam Bolg, którego ojca zabiłeś w Morii. Patrzcie! Nietoperze lecą nad jego armią niby chmura szarańczy! Gobliny jadą na wilkach, a wargowie idą w tylnej straży.

Zdumieli się wszyscy, powstał zgiełk i zamęt. Nim Gandalf skończył przemówienie, ciemności zgęstniały wokół nich. Krasnoludy, wstrzymując pochód, spoglądały w niebo. Elfy krzyczały na różne głosy.

– Chodźcie do nas! – zawołał Gandalf. – Jeszcze czas na naradę. Niech Dain, syn Naina, spieszy do naszego obozu.

Tak zaczęła się ta bitwa, której nikt nie oczekiwał, nazwana później bitwą pięciu armii. Bój był krwawy. Po jednej stronie walczyły gobliny i dzikie wilki, po drugiej – elfy, ludzie i krasnoludy. A doszło do tych wydarzeń tak: od dnia śmierci Wielkiego Goblina z Gór Mglistych nienawiść tego plemienia do krasnoludów rozpaliła się aż do furii. Od grodu do grodu, od osiedla do osiedla między wszystkimi twierdzami goblinów krążyli posłańcy; postanowiono zdobyć władzę nad całą Północą. Tajnymi sposobami zbierano wszelkie wiadomości, wszędzie po górach kuto broń i uzbrajano wojska. Z gór i dolin pociągnęły oddziały podziemnymi tunelami lub pod osłoną nocy, aż wreszcie pod Wielką Górą Gundabad na północy, gdzie mieściła się stolica wszystkich goblinów, zgromadzono olbrzymią armię, gotową spaść niespodzianie z pierwszą burzą na Kraje Południa. Tu dotarła do goblinów wieść o śmierci Smauga i ucieszyła je bardzo. Podążyły nocami przez góry i tak doszły tutaj od północy, niemal następując na pięty wojsku Daina. Nawet kruki dowiedziały się o ich marszu dopiero wtedy, gdy gobliny wychynęły na otwarte pola dzielące Samotną Górę od Żelaznych Wzgórz. Ile o tym wiedział Gandalf, trudno zgadnąć, ale okazało się, że w każdym razie nie spodziewał się napaści tak prędko.

Czarodziej ułożył plan działania po naradzie z królem elfów i Bardem, a także Dainem, który przyłączył się do nich: gobliny były wspólnym wrogiem, w obliczu ich najazdu wszystkie spory poszły w zapomnienie. Jedyną nadzieję pokładali sojusznicy w zwabieniu przeciwnika w głąb doliny, między dwa ramiona Góry; sami chcieli obsadzić wielkie ostrogi skalne wysunięte na wschód i południe. Przedstawiało to pewne niebezpieczeństwo, bo jeśli gobliny miały dość wojska, żeby część wysłać naokoło Góry, mogły zaatakować obrońców również od zaplecza i od szczytu. Nie było jednak czasu na obmyślanie innego planu lub sprowadzanie posiłków.

Wkrótce burza minęła, przewaliła się na południo-wschód, ale nadleciała chmara nietoperzy, zniżając się nad ramiona Góry i kłębiąc nad wojskiem sojuszników tak, że przesłaniała światło dzienne i budziła grozę w sercach.

– Na Górę, na Górę! – krzyczał Bard. – Póki jeszcze czas, zajmijmy stanowiska bojowe.

Na południowej ostrodze, na jej niższych stokach i wśród skał rozstawiono elfy; wschodnią ostrogę obsadzili ludzie i krasnoludy. Sam Bard wraz z kilku najzwinniejszymi towarzyszami i elfami wspiął się na szczyt wschodniego ramienia, żeby mieć stąd widok na północ. Po krótkim czasie dostrzegł na polach leżących u stóp Góry czarny, sunący szybko naprzód tłum napastników. Jeszcze chwila, a przednie straże obchodzące wysunięty cypel ostrogi zaczęły zbiegać w dolinę. Były to najszybsze oddziały wilczej jazdy, a wrzaski i wycia z daleka już rozdzierały powietrze. Kilku śmiałków zastąpiło im drogę, symulując opór; niejeden poległ, reszta zaś uskoczyła na boki. Zgodnie z przewidywaniami Gandalfa armia goblinów skupiła się za wstrzymaną chwilowo przednią strażą, by potem wściekle runąć w dolinę i rozsypać się szeroko

między ramionami Góry w poszukiwaniu przeciwnika. W powietrzu powiewały niezliczone czarne i czerwone chorągwie, gdy horda w nieładzie i z furią parła naprzód.

Zawrzała okropna bitwa. Była to z wszystkich przygód hobbita najgroźniejsza, ta, której najgorzej nienawidził, póki trwała, inaczej mówiąc – ta, którą po latach najbardziej się chełpił i najchętniej wspominał, jakkolwiek nie odegrał w niej wcale doniosłej roli. Właściwie trzeba wyznać, że dość skwapliwie już na początku walki wsunął na palec pierścień i zniknął sprzed oczu zarówno przyjaciół, jak wrogów, chociaż nie chroniło go to całkowicie od niebezpieczeństwa. Magiczny pierścień nie może przecież stanowić zupełnie pewnej obrony podczas natarcia goblinów, nie obezwładnia strzał ani włóczni; pomaga jednak umykać z najbardziej zagrożonych miejsc, a przy tym niewidzialnej głowy nie może wybrać sobie za cel wymachujący mieczem goblin.

Pierwsze ruszyły do ataku elfy. Żywią one do goblinów zimną, zaciętą nienawiść. Tak śmiertelny gniew kierował rękami, które dzierżyły włócznie i miecze, że ostrza rozbłyskiwały w mroku lodowatym płomieniem. Ledwie zastępy wrogów wypełniły gęsto dolinę, elfy sypnęły gradem strzał, a każda z nich iskrzyła się w locie jakby rozżarzona zabójczym ogniem. Za chmurą strzał ruszyli kopijnicy do natarcia. Wrzask powstał ogłuszający. Skały sczerniały od bluzgającej goblinowej posoki.

Jeszcze gobliny nie ochłonęły po uderzeniu elfów, jeszcze elfy nie osłabły w pierwszym impecie, kiedy już po dolinie przebiegł grzmot okrzyków. „Moria!" – wołały krasnoludy; „Dain, Dain!" – odpowiadały inne i wojownicy z Żelaznych Wzgórz, wywijając młotami, runęli na wroga od drugiej strony. Z nimi zaś szli ludzie znad Jeziora uzbrojeni w długie miecze.

Panika ogarnęła gobliny. Odwróciły się, by stawić czoło nowej napaści, lecz wówczas elfy zaatakowały ze zdwojoną siłą. Już ten i ów goblin umykał z szeregu, pędząc ku rzece, by uniknąć zasadzki; wilki w furii szczerzyły zęby na swoich jeźdźców, rozdzierały rannych i trupy. Zwycięstwo zdawało się niewątpliwe, gdy nagle wrzask buchnął od szczytów Góry.

Gobliny od przeciwnego stoku wdarły się na Górę i już cały ich tłum obsiadł skały ponad Bramą, inne zaś spuszczały się w dół, nie zważając na towarzyszy, którzy z wrzaskiem spadali z urwisk w przepaść, gotowe zaatakować z wysoka placówki nieprzyjacielskie rozmieszczone w ostrogach Góry. Do każdej z nich wiodły z głównego masywu ścieżki, których obrońcy, nie dość liczni, nie mogli na dłuższy czas zagrodzić. Nadzieja na zwycięstwo zgasła. Zdołali tylko zahamować pierwszy napór czarnej nawały.

Dzień chylił się ku wieczorowi. Gobliny znów wypełniły dolinę. Zjawiły się także zastępy krwiożerczych wargów, a z nimi gwardia przyboczna Bolga, olbrzymie gobliny, zbrojne w krzywe stalowe szable. Na burzliwe niebo spływała już ciemność zmierzchu, lecz wciąż jeszcze ogromne nietoperze kłębiły się nad głowami, koło uszu ludzi i elfów albo niby wampiry rzucały się ssać krew poległych. Bard teraz bronił wschodniej ostrogi, lecz z wolna ustępował pola; wodzowie elfów otoczyli swego króla na południowym ramieniu Góry, opodal strażnicy na Kruczym Wzgórzu.

Nagle znów buchnął krzyk i od Bramy rozległ się dźwięk trąby. Zapomnieli wszyscy o Thorinie! Część muru, podważona łomami, z trzaskiem runęła na zewnątrz, w rozlaną wodę. Wyskoczył z pieczary Król spod Góry, a za nim jego drużyna. Zrzucili płaszcze i kaptury, mieli na sobie lśniące zbroje, a w oczach czerwony

płomień bojowy. W zapadającym zmierzchu wódz krasnoludów zdawał się pałać jak złoto w ogniu.

Gobliny zepchnęły z góry na nich z łoskotem lawinę kamieni. Lecz oni nie ulękli się, jednym susem zbiegli nad wodospad i ruszyli do bitwy. Wilki i gobliny cofały się przed nimi przerażone. Thorin potężnie ciął toporem, a ciosy wrogów nie imały się go wcale.

– Do mnie! Do mnie, elfy i ludzie! Do mnie, rodacy! – krzyczał, aż głos niby granie rogu rozlegał się w dolinie.

Wszyscy wojownicy Daina, mieszając szyk bojowy, rzucili się na pomoc królowi. Za nimi skoczyło wiele ludzi znad Jeziora, których Bard nie wstrzymywał; od drugiej strony biegły elfy z włóczniami w ręku. Znów zaatakowano gobliny w dolinie i wkrótce zaległy ją czarne, okropne zwały goblinowych trupów. Wargowie, zmuszeni do rozsypki, ustąpili; Thorin natarł na gwardię Bolga. Lecz nie mógł złamać jej szeregów.

Już za plecami króla między trupy goblinów padł niejeden człowiek, niejeden krasnolud, niejeden piękny elf, który mógł jeszcze wiele lat przeżyć radośnie w swoim ojczystym lesie. A w miarę jak posuwali się naprzód w szerszą tutaj dolinę, coraz było ciężej. Thorin miał za mało wojowników, nie mógł osłonić oddziału od flanków. Wkrótce atak zmienił się w obronę, drużyna utworzyła zwarty pierścień, otoczona ze wszystkich stron przez gobliny i wilki powracające do natarcia. Gwardia Bolga z wyciem rzuciła się naprzód i zmiażdżyła krąg jak fala przedzierająca się przez piaszczystą wydmę. Przyjaciele nie mogli przyjść Thorinowi z odsieczą, bo w tej samej chwili gobliny podjęły atak od Góry ze zdwojoną furią i na wszystkich odcinkach spychały w dół ludzi i elfów, mimo zawziętego ich oporu.

Bilbo patrzał na to z rozpaczą. Obrał sobie stanowisko bojowe na Kruczym Wzgórzu, wśród elfów – częściowo dlatego, że stąd miał

większe szansę ucieczki, częściowo (posłuszny kropli krwi Tuków w swoich żyłach), ponieważ wolał zginąć – gdyby już ginąć przyszło nieuchronnie – w obronie króla elfów. Gandalf również znajdował się pod strażnicą; siedział zamyślony, przygotowując, jak mi się wydaje, jakąś ostatnią magiczną sztukę na zakończenie bitwy.

A koniec bitwy zdawał się bliski. „Nie potrwa to już długo – myślał Bilbo – zaraz gobliny zdobędą Bramę, a nas wszystkich wyrżną albo wpędzą do lochu i uwiężą. Doprawdy, płakać się chce na myśl, że po tylu przygodach tak się ta wyprawa ma skończyć. Już bym wolał, żeby Smaug dalej leżał na tych przeklętych skarbach, niż żeby się dostały tym nikczemnym potworom i żeby biedny stary Bombur, Balin, Fili i Kili z całą kompanią zginęli tak marnie. Szkoda też Barda, ludzi znad Jeziora i wesołych elfów. Biada mi, biada! Słyszałem nieraz pieśni o bitwach i wyobrażałem sobie, słuchając ich, że klęska może być pełna chwały. Ale teraz widzę, że to rzecz straszna, by nie rzec: rozpaczliwa. Chciałbym być gdzieś daleko stąd!”

Wiatr rozdarł chmury i czerwony blask zachodzącego słońca rozlał się na zachodzie. Na widok nagłego światła w mroku Bilbo rozejrzał się wkoło. I krzyknął wielkim głosem, zobaczył bowiem coś takiego, że serce podskoczyło mu w piersiach z radości: ciemne sylwetki, drobne, ale dostojne na tle odległej łuny.

– Orły! Orły! – krzyknął Bilbo. – Orły lecą!

Wzrok rzadko mylił hobbita. Rzeczywiście z wiatrem nadlatywały orły, szereg za szeregiem, tak licznym stadem, że chyba z wszystkich gniazd na północy skrzyknęły się na tę wyprawę.

– Orły! Orły! – wołał Bilbo, tańcząc i machając rękami. Elfy wprawdzie go nie widziały, ale słyszały jego głos. Po chwili zawtórowały mu tym samym okrzykiem, aż echo poszło po dolinie.

Ten i ów podniósł w górę oczy, lecz z innych miejsc jeszcze nie było widać tego, co dostrzegali obserwatorzy z południowej strażnicy.

– Orły! – wrzasnął znów Bilbo, ale w tym samym momencie kamień ciśnięty z góry ciężko odbił się od jego hełmu; hobbit padł z łoskotem na ziemię i stracił przytomność.

## Rozdział 18

# Droga powrotna

iedy Bilbo przyszedł do siebie, znalazł się dosłownie i wyłącznie sam z sobą. Leżał na płaskich kamieniach Kruczego Wzgórza, w pobliżu zaś nie było żywej duszy. Niebo nad nim rozpościerało się wolne od chmur i jasne, ale chłodne. Bilbo drżał, zimny jak głazy pod jego plecami, tylko głowa mu płonęła gorączką.

– Co się właściwie stało? – spytał sam siebie. – W każdym razie nie należę jeszcze do grona poległych bohaterów, jakkolwiek niewykluczone, że zdążę się do niego wkrótce dostać.

Z trudem dźwignął się i usiadł. Wyjrzał w dolinę, lecz nie zobaczył tam ani jednego żywego goblina. Kiedy po chwili w głowie mu się trochę przejaśniło, miał wrażenie, że dostrzega wśród skał, gdzieś niżej, kręcące się elfy. Z pewnością tam, w dali na równinie wciąż jeszcze widniał obóz; a koło Głównej Bramy – czy go oczy nie mylą? – trwa ruch, krzątają się jakieś postacie, krasnoludy chyba rozbierają mur. Wszędzie jednak panowała martwa cisza. Nikt nie nawoływał, znikąd nie dochodziło echo śpiewów. W powietrzu wisiała żałoba.

– Mimo wszystko bitwa skończyła się pewnie naszym zwycięstwem – rzekł Bilbo obmacując zbolałą głowę. – Ano, widzę, że zwycięstwo to bardzo smutna historia.

Nagle spostrzegł jakiegoś człowieka wspinającego się do strażnicy i idącego w jego stronę.

– Hej! – krzyknął drżącym głosem. – Hej, bywaj! Jakie masz nowiny?

– Czyj to głos przemawia spośród kamieni? – spytał mężczyzna, przystając niedaleko od hobbita i rozglądając się wkoło.

Dopiero teraz Bilbo przypomniał sobie o pierścieniu!

A to heca! – powiedział sobie. – Niewidzialność ma także swoje przywary. Gdyby nie to, spędziłbym pewnie noc wygodnie, w ciepłym łóżku.

– To ja! Bilbo Baggins, z drużyny Thorina! – krzyknął, spiesznie ściągając pierścień z palca.

– Szczęście, że w końcu cię odnalazłem – rzekł człowiek, podbiegając do niego. – Jesteś pilnie potrzebny, szukamy cię już od dawna. Zaliczylibyśmy cię do poległych, których niestety jest niemało, gdyby Gandalf nie upierał się, że słyszał tutaj twój głos. Wysłano mnie, żebym ostatni raz jeszcze to miejsce przeszukał. Czy jesteś ciężko ranny?

– O ile się orientuję, dostałem kamieniem w łeb dość potężnie – odparł Bilbo. – Ale miałem hełm, zresztą czaszkę mam twardą. Bądź co bądź mdli mnie bardzo i nogi mi się gną jak słomki.

– Zaniosę cię do obozu w dolinie – powiedział człowiek i bez wysiłku wziął hobbita na ręce.

Szedł prędko, pewnym krokiem. Wkrótce postawił Bilba przed namiotem. Był tu już Gandalf, z ręką na temblaku. Nawet czarodziej nie uniknął rany; w całej armii niewielu byś naliczył takich, którzy wyszli z bitwy bez szwanku. Na widok Bilba czarodziej ucieszył się ogromnie.

– Baggins! – zawołał. – To mi radość! A więc żyjesz! Doprawdy, rad jestem z tego szczerze! Już zaczynałem się obawiać, czy nawet twoje wyjątkowe szczęście nie zawiodło w tym przypadku. Okropna bitwa, o włos byliśmy od klęski. No, ale na inne

wiadomości przyjdzie czas później. Teraz chodź – rzekł poważniejąc. – Jesteś oczekiwany.

I Gandalf pociągnął hobbita do namiotu.

– Przyprowadzam ci go, Thorinie – powiedział, wchodząc do wnętrza.

W namiocie bowiem spoczywał na łożu Thorin, broczący krwią z wielu ran, a jego pokłuta zbroja i wyszczerbiony topór leżały obok na ziemi. Gdy Bilbo podszedł blisko, ranny otworzył oczy.

– Żegnaj, zacny złodzieju – rzekł. – Odchodzę do wielkiego domu, by zasiąść wśród przodków i oczekiwać, aż świat się odrodzi. Porzucam srebro i złoto, idąc do krainy, gdzie te skarby nie mają wartości, chcę tedy rozstać się z tobą w przyjaźni i dlatego odwołuję wszystko, co powiedziałem i uczyniłem tam, u Głównej Bramy.

Bilbo przejęty żalem ukląkł na jedno kolano.

– Żegnaj, Królu spod Góry! – powiedział. – Gorzki to koniec naszej wyprawy! Nie ma tak wielkiej góry złota, która by opłaciła tę stratę. Ale rad jestem, że dzieliłem z wami niebezpieczeństwa, to zaszczyt, na który żaden Baggins nigdy nie zasłużył.

– Ty zasłużyłeś – rzekł Thorin. – Więcej dobrego tkwi w tobie, niż sam się domyślasz, synu miłego Zachodu. Masz odwagę i rozum połączone ze sobą we właściwej mierze. Świat byłby weselszy, gdyby więcej jego mieszkańców tak jak ty ceniło dobre jadło, zabawę i śpiew wyżej niż górę złota. Ale jakikolwiek jest ten świat – smutny czy wesoły – ja muszę go już opuścić. Żegnaj!

Bilbo odwrócił się, odszedł, siadł samotnie w kącie, otuliwszy się kocem i – wierzcie mi albo nie wierzcie – płakał tak, że oczy mu zapuchły, a głos ochrypł. Bilbo miał poczciwe, czułe serce. Długi czas upłynął, nim po tych zdarzeniach odzyskał humor na tyle, by znów zdobyć się na jakiś żart.

„Co za szczęście – powiedział sobie w końcu – że ocknąłem się w porę. Strasznie mi żal Thorina, ale rad jestem, że przynajmniej pożegnaliśmy się w przyjaźni. Głupiec z ciebie, Bilbo Baggins, narobiłeś masę zamieszania z tym klejnotem. Wszystkie twoje zabiegi, żeby ocalić pokój i zgodę, na nic się zdały, skoro i tak przyszło do bitwy, no, ale za to już doprawdy nie można ciebie winić".

O wszystkich wypadkach, które się rozegrały, gdy on leżał zemdlony, dowiedział się Bilbo dopiero później; więcej jednak smutku niż radości przyniosła mu ta historia i bardzo się czuł znużony całą przygodą. Ciągnęło go już teraz do domu, chciał co prędzej ruszać w drogę powrotną. Odwlekło się to jednak trochę, więc tymczasem opowiem wam o przebiegu bitwy. Orły od dawna podejrzewały, że gobliny zbroją się na wojnę; ruch w górach nie uszedł czujności tych ptaków. Zgromadziły się więc licznie, prowadzone przez Wodza Orłów z Gór Mglistych, a wreszcie, zwęszywszy z daleka bitwę, pospieszyły wraz z wichurą lotem błyskawicy. One to spędziły gobliny ze stoków Góry, strącając je w przepaści lub spychając wrzeszczące i oszołomione prosto pod miecze nieprzyjaciół. Szybko w ten sposób wyzwoliły Samotną Górę, a wówczas elfy i ludzie z obu jej ramion mogli zbiec na odsiecz walczącym w dolinie.

Nawet jednak po przybyciu orłów mieli przeciw sobie przewagę liczebną. W ostatniej godzinie bitwy zjawił się sam Beorn – nikt nie wiedział, jakim sposobem ani skąd. Przybył sam, w skórze niedźwiedzia, lecz zdawało się, że urósł w bojowym szale na olbrzyma. Głos jego rozbrzmiewał niczym werbel i huk dział; olbrzymi niedźwiedź usuwał ze swej drogi wilki i gobliny niby piórka. Natarł na nie od tyłu i jak grom przedarł krąg oblegających. Krasnoludy otaczały ciasno swoich wodzów, broniąc się na niskim

pagórku. Beorn dźwignął z ziemi przeszytego włóczniami Thorina i zniósł go z pola walki.

Wrócił szybko i natarł na gobliny ze zdwojoną furią, tak że nikt nie mógł mu się oprzeć, a żaden oręż się go nie imał. Rozproszył gwardię, a samego Bolga powalił i zmiażdżył. Wówczas strach padł na gobliny i w rozpaczy rozbiegły się na wszystkie strony. Wraz z nadzieją nowe siły wstąpiły w serca ich przeciwników, którzy rzucili się w pościg za wrogiem, nie puszczając prawie nikogo z życiem. Wiele goblinów zepchnięto w nurty Bystrej Rzeki, a te, które zbiegły na południe lub na zachód, ścigano na moczarach aż do Leśnej Rzeki. Tam większość potworów wyginęła, a niedobitki znalazły śmierć od oręża elfów w leśnym królestwie lub na bezdrożach w głębi Mrocznej Puszczy. Pieśni potem głosiły, że tego dnia poległo trzy czwarte wszystkich wojowników goblinów z północy, a w górach na długie lata zapanował odtąd pokój.

Zwycięstwo utrwaliło się przed zapadnięciem nocy, lecz pościg trwał jeszcze, gdy Bilbo znalazł się z powrotem w obozie, toteż nie został tu nikt prawie prócz ciężko rannych.

– Gdzie są orły? – spytał Bilbo Gandalfa, gdy tego wieczoru leżał już otulony w kilka ciepłych koców.

– Niektóre biorą udział w pościgu – rzekł czarodziej – ale większość już odleciała do swoich gniazd na szczytach. Nie chciały tu zostawać, pożegnały nas o świcie. Dain ukoronował złotem ich wodza i zaprzysiągł z nimi sojusz na wieki.

– Szkoda... To znaczy szkoda, że się z nimi nie widziałem – sennym głosem powiedział Bilbo. – Może spotkam jeszcze orły w drodze do domu. Myślę, że teraz będę już wkrótce mógł ruszyć?

– Kiedy sam zechcesz – odparł Gandalf.

Ale minęło kilka dni, zanim Bilbo wyruszył w drogę powrotną. Pochowano Thorina głęboko pod Górą, a Bard położył zmarłemu Arcyklejnot na piersi.

– Niech tu leży, póki ta Góra się nie zapadnie – rzekł – i niech tym, którzy tu osiądą, przynosi zawsze szczęście.

Król elfów złożył na grobie Orkrista miecz przez elfy ongi wykuty, a odebrany Thorinowi, gdy był więźniem w lesie. Pieśń mówi, że Orkrist rozbłyskiwał w ciemnościach, ilekroć do Góry zbliżał się wróg, tak że nikt odtąd twierdzy krasnoludów nie mógł zaskoczyć znienacka. Dain, syn Naina, objął władzę, obwołany Królem pod Górą, a z czasem mnóstwo krasnoludów skupiło się wokół tronu w starym podziemnym pałacu. Z dwunastu towarzyszy Thorina zostało dziesięciu. Fili i Kili, polegli osłaniając swego króla tarczą i własnym ciałem, był bowiem starszym bratem ich matki. Dziesięciu przystało więc do Daina, który sprawiedliwie rozporządził skarbem.

Nie było oczywiście już mowy o dzieleniu skarbu wedle pierwotnego planu, tak by każdy dostał swoją część: Balin i Dwalin, Dori, Nori i Ori, Oin i Gloin, Bifur, Bofur i Bombur – no i Bilbo. Ale czternastą część srebra i złota – surowego i kutego – otrzymał Bard. Dain bowiem rzekł:

– Dotrzymamy słowa, które dał zmarły król, on zaś na zawsze będzie miał w swojej pieczy klejnot Thraina.

Czternasta cześć skarbu stanowiła bogactwo, jakim mógł się poszczycić mało który spośród ludzkich królów. Bard wydzielił sporo złota dla władcy Miasta nad Jeziorem i hojnie wynagrodził swoją świtę oraz przyjaciół. Królowi elfów ofiarował szmaragdy – ulubione jego kamienie – które Dain zwrócił jako dziedzictwo Giriona.

Do hobbita rzekł:

– Ten skarb należy do ciebie tak samo jak do mnie, chociaż stare umowy nie dadzą się oczywiście utrzymać w mocy, skoro tak wielu jest uczestników walki i zwycięstwa, którzy mogliby rościć sobie prawa do nagrody. Mimo że gotów byłeś wyrzec się swojej części, nie chciałbym, żeby sprawdziły się słowa Thorina, których zresztą żałował: że niewiele się wzbogacisz na spółce z nami. Pragnę cię wynagrodzić hojniej niż innych.

– To bardzo pięknie z twojej strony – rzekł Bilbo – ale doprawdy odetchnąłem z ulgą, kiedy się pozbyłem myśli o tym. Jakżebym przewiózł skarb do swego kraju nie narażając się po drodze na walki i morderstwa? Nie mam też pojęcia, co zrobiłbym z nim w domu. Lepiej z pewnością, żeby został w twoich rękach.

W końcu zgodził się przyjąć tylko dwie małe skrzynki, jedną ze złotem, drugą ze srebrem, ważące tak niewiele, że silny kucyk mógł je udźwignąć.

– Nic więcej nie mógłbym z sobą zabrać! – powiedział. Nadeszła wreszcie chwila pożegnania z przyjaciółmi.

– Bywaj zdrów, Balinie! – rzekł hobbit. – Bywajcie zdrowi, Dwalinie, Dori, Nori, Ori, Oinie, Gloinie, Bifurze, Bofurze i Bomburze! Oby wam brody nigdy nie wyłysiały! – A zwracając się w stronę Góry, dodał: – Żegnaj, Thorinie! Żegnajcie, Fili i Kili! Niech pamięć o was nigdy nie zgaśnie!

Krasnoludy skłoniły się nisko, stojąc przed swymi wrotami, lecz słowa uwięzły im w gardłach.

– Do widzenia! Szczęśliwej drogi, dokądkolwiek zechcesz wędrować! – rzekł wreszcie Balin. – Jeżeli nas odwiedzisz w przyszłości, gdy pałac znów będzie piękny, wyprawimy wspaniałą ucztę na twoją cześć.

– A jeśli któryś z was znajdzie się w moich stronach – odparł Bilbo – niech bez namysłu puka do moich drzwi. Podwieczorek jest

zwykle o czwartej, ale będę wam rad o każdej porze.

I z tymi słowy Bilbo odszedł spod Góry.

Zastęp elfów, żałośnie uszczuplony, ruszył w drogę powrotną. Wielu jednak odchodziło z zadowoleniem, bo odtąd lasy północne miały na długi wiek stać się weselsze. Smok zginął, gobliny były rozgromione, więc serca elfów cieszyły się nadzieją radosnej wiosny, która nastanie po tej zimie.

Gandalf i Bilbo jechali za królem elfów, a obok nich szedł Beorn, który znów przybrawszy ludzką postać śmiał się i śpiewał głośno w marszu. Dotarli tak w pobliże granicy Mrocznej Puszczy, na północ od miejsca, w którym wypływa z niej Leśna Rzeka. Tu zatrzymali się, bo czarodziej i Bilbo nie chcieli wchodzić w las, chociaż król elfów zapraszał ich do siebie w gościnę. Zamierzali skrajem Puszczy obejść od północy, przez pustkowie leżące między nią a Szarymi Górami. Droga to była daleka i niewesoła, lecz teraz, gdy pokonano gobliny, wydawała się bezpieczniejsza niż straszliwe ścieżki w gąszczu drzew. Co więcej, tę drogę wybrał również Beorn.

– Bywaj zdrów, królu elfów! – rzekł Gandalf. – Niech się weseli i zieleni las, póki świat jest jeszcze młody! Życzymy radości całemu twojemu ludowi!

– Bywaj zdrów, Gandalfie! – odparł król. – Obyś zawsze zjawiał się w porę wszędzie, gdzie jesteś najbardziej potrzebny, choć najmniej spodziewany. Im częściej pokażesz się w moim pałacu, tym większą mi sprawisz przyjemność!

– Proszę cię – jąkając się i stając na jednej nodze, rzekł Bilbo – przyjmij ode mnie ten podarek!

I podał królowi naszyjnik ze srebra i pereł, który Dain ofiarował mu na pożegnanie.

– Jakże zasłużyłem sobie na taki hojny dar, drogi hobbicie?! – zawołał król.

– Nnno... widzisz... właśnie... – plątał się Bilbo bardzo zmieszany. – Chciałem chociaż w ten sposób odwdzięczyć się za... gościnę. Włamywacz bądź co bądź także ma swój honor. Niemało wypiłem twojego wina i zjadłem twego chleba.

– Przyjmuję od ciebie ten dar, o Bilbo Szczodry! – z powagą rzekł król – i mianuję cię przyjacielem elfów. Oby cień twój nigdy się nie skurczył (wtedy zresztą za łatwo byłoby ci kraść)! Bądź zdrów!

Elfy skręciły w las, a Bilbo ruszył w daleką drogę do domu.

Wiele jeszcze przeżył trudów i przygód, nim wrócił pod Pagórek. Dzikie kraje były podówczas naprawdę dzikie i mieszkało w nich mnóstwo groźnych stworzeń prócz goblinów. Ale Bilbo miał dobrego przewodnika i dobrego obrońcę, bo czarodziej szedł z nim razem, a przez znaczną część drogi również Beorn, toteż ani razu hobbit nie znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Nim upłynęła połowa zimy, Gandalf i Bilbo przebyli całą drogę dokoła Puszczy i stanęli u progu domu Beorna. Tu odpoczywali czas jakiś. Zimowe gody spędzili więc w cieple i wesoło. Ze wszystkich stron, z daleka nawet schodzili się ludzie zaproszeni przez Beorna na święta. W Górach Mglistych niewiele zostało goblinów, a niedobitki były wystraszone i kryły się w najgłębszych jaskiniach. Wargowie zniknęli z lasów, tak że ludzie mogli już podróżować bez obawy. Beorn później został wielkim władcą całej tej okolicy i rządził rozległym krajem między górami a Puszczą. Podobno przez wiele pokoleń mężczyźni z jego rodu zachowali moc przemieniania się w niedźwiedzie; trafiali się wprawdzie wśród nich ludzie srodzy i źli, większość jednak miała serca zacne jak sam Beorn, jakkolwiek żaden nie dorównywał mu wzrostem ani siłą. Za panowania tego rodu resztki goblinów przepędzono z Gór Mglistych i nowy pokój nastał na kresach Dzikiego Kraju.

Wiosna już była, piękna, ciepła i słoneczna, gdy wreszcie Gandalf i Bilbo pożegnali Beorna, a chociaż hobbit bardzo tęsknił do domu, opuszczał tę gościnę z żalem, bo kwiaty w ogrodach Beorna kwitły wczesną wiosną nie mniej uroczo niż późnym latem.

Wspinając się długą ścieżką w górę, wędrowcy doszli do tego miejsca pod przełęczą, skąd ongi porwały ich gobliny. Ale tym razem stanęli tutaj rankiem, a oglądając się za siebie, widzieli białe słońce błyszczące nad szeroką równiną. Z drugiej strony widać było Mroczną Puszczę, błękitną z oddali, a ciemnozieloną mimo wiosny na bliższych skrajach. A jeszcze dalej, na widnokręgu majaczyła Samotna Góra. Na jej szczycie śnieg nie stopniał dotychczas i lśnił bielą.

– Tak oto śnieg spada po ogniu, a nawet smoki nie unikną końca – rzekł Bilbo i odwrócił się plecami do kraju przygód. Krew Tuków znużyła się, krew Bagginsów z każdym dniem wzbierała silniej w jego żyłach. – Teraz marzę już tylko o moim wygodnym fotelu – powiedział Bilbo.

## Rozdział 19

# Ostatni akt

ył pierwszy dzień maja, gdy we dwóch znaleźli się nad doliną Rivendell, w której głębi stał Ostatni (czy raczej teraz Pierwszy) Przyjazny Dom. Znów był wieczór, kucyki pomęczone – szczególnie ten, który dźwigał bagaże – a jeźdźcy spragnieni wypoczynku. Kiedy zjeżdżali stromą ścieżką w dół, Bilbo usłyszał elfy śpiewające wśród drzew, jak gdyby od pożegnania z nimi nie przerwały pieśni. A kiedy dotarli na niżej położone polanki leśne, rozróżnili słowa bardzo podobne do słów śpiewanych przed niespełna rokiem. Oto jak mniej więcej brzmiała pieśń elfów:

Smok zginął i przepadł,
Rozpadły się kości,
Skruszyła się zbroja,
Sczezły wspaniałości.
Choć miecz zardzewieje,
W mrok runą korony
Dzieląc z bogactwami
Ich los zasłużony –
Tu trawka zielona,
Soczysta i miękka
A w rzecznym poszumie
Brzmi elfów piosenka:
Tine – linę – linę
Wracajcie w dolinę!

Już gwiazdy jaśniejsze
Niż błyski kamieni,
A księżyc srebrzyściej

Niż srebro się mieni.
Już ogień lśni złociej,
Żar biorąc od słonka,
Niż złoto w podziemiach –
Więc po cóż się błąkać?
Tine – linę – linę
Wracajcie w dolinę!

O, dokąd to, dokąd
Idziecie z oddali?
Tu strumień już pluszcze
I gwiazda się pali.
Skąd smutni wracacie
Z ciężarem w te strony?
Tu elfy witają
Wędrowców znużonych.
Tine – linę – linę
Wracajcie w dolinę!
Muzyczka wam gra –
Tine – linę – la
La – la!

Potem elfy zamieszkałe w dolinie wyszły spośród drzew, powitały czarodzieja i hobbita i przeprowadziły ich przez rzekę do domu Elronda. Tu przyjęto gości serdecznie i wiele par uszu z ciekawością słuchało tego wieczoru opowieści o ich przygodach. Mówił przeważnie Gandalf, ponieważ Bilbo był bardzo śpiący i wolał milczeć. Prawie całą historię znał dobrze, bo sam przecież brał w niej udział, i większości szczegółów Gandalf od niego się dowiedział podczas wspólnej wędrówki lub rozmów w domu Beorna; od czasu do czasu jednak, gdy czarodziej opowiadał o wypadkach jeszcze mu nie znanych, hobbit otwierał jedno oko i słuchał uważnie.

W ten sposób z kilku słów, które czarodziej rzucił Elrondowi, Bilbo dowiedział się, gdzie bywał Gandalf. Okazało się, że uczestniczył w wielkiej naradzie dobrych czarodziejów, mędrców i mistrzów białej magii i że wreszcie udało im się wypędzić

Czarnoksiężnika z jego mrocznej fortecy w południowej części Puszczy.

– Wkrótce więc – mówił Gandalf – w lasach oczyści się powietrze. Północ na długie wieki uwolniona została od tej zmory. Ale chciałbym, żebyśmy ją mogli wygnać z całego świata.

– Dobrze by to było – rzekł Elrond – obawiam się jednak, że nie stanie się to jeszcze ani w naszej erze, ani w ciągu kilku następnych.

Kiedy Gandalf skończył historię przygód drużyny Thorina, zaczęły się inne opowieści, a po nich jeszcze inne, z bardzo dawnych dziejów i z najnowszych, a również takie, które nie mają wieku, aż wreszcie hobbitowi głowa opadła na piersi i usnął wygodnie w kąciku.

Obudził się w biało zasłanym łóżku, gdy księżyc zaglądał przez otwarte okno. W dolinie nad brzegiem strumienia elfy śpiewały głośno i czysto:

Śpiewajmy wesoło – perlista lśni rosa,
Wiatr szumi w gałęziach, wiatr hula po wrzosach
I gwiazdy już błyszczą, i księżyc rozkwita,
Jasnymi oknami noc srebrna nas wita.

Zatańczmy wesoło, otoczmy go chmurką,
Szust stopy po trawie leciutkie jak piórko.
Już rzeka się srebrzy, cień płochy umyka –
O maju grający jak słodka muzyka!

Śpiewajmy cichutko, niech sen go jak wróżka
Omota, utuli na miękkich poduszkach!
Już śpi nasz wędrowiec! Umykaj, drużyno,
A ty go ukołysz, szumiąca olszyno!

O ucisz się, sosno, do brzasku poranka
I księżyc niech zgasi płomyczek kaganka!
Cichutko, tarnino, cichutko, dębino,
Aż nocne się mroki w mgle świtu rozpłyną!

– Hej, tam, weseli ludkowie! – zawołał Bilbo, wychylając się z okna. – Która godzina na księżycu? Wasza kołysanka zbudziłaby nawet pijanego goblina. Mimo to pięknie wam za nią dziękuję.

– A twoje chrapanie obudziłoby nawet skamieniałego smoka – odpowiedziały elfy ze śmiechem. – Świt się zbliża, a ty śpisz od zmierzchu. Do jutra może wyleczysz się ze zmęczenia.

– Odrobina snu w domu Elronda to potężne lekarstwo – odparł Bilbo – ale ja chcę zażyć jak największą porcję tego leku. Po raz wtóry zatem dobranoc, moi piękni przyjaciele!

To rzekłszy hobbit wrócił do łóżka i spał niemal do południa.

Zmęczenie prędko z niego opadło, wiele też użył zabawy, śpiewu i tańca w towarzystwie elfów z doliny, weseląc się z nimi do późna w noc i od świtu. Ale nawet tak miłe miejsce nie mogło na długo zatrzymać hobbita, który wciąż myślał o swojej własnej norce. Toteż po tygodniu pożegnał gospodarza, ofiarował mu tyle podarków, ile Elrond zgodził się przyjąć, i ruszył wraz z Gandalfem w dalszą drogę.

Ledwie opuścili dolinę, gdy niebo przed nimi na zachodzie spochmurniało, a wiatr z deszczem wybiegł na ich spotkanie.

– Oto maj grający jak słodka muzyka! – rzekł Bilbo, kiedy wiatr wiał mu prosto w oczy. – Ale zostawiliśmy legendy za sobą i wracamy do domu. To pewnie przedsmak tego, co nas tam czeka.

– Daleka jeszcze droga przed nami – odparł Gandalf.

– Ale już ostatnia – powiedział Bilbo.

Przyjechali nad rzekę, która stanowiła Unię graniczną oddzielającą pobrzeża Dzikiego Kraju, i odnaleźli broń pod wysoką skarpą, którą zapewne pamiętacie. Woda wezbrała od topniejących śniegów jak zwykle u progu lata, a dodatkowo jeszcze od całodziennego deszczu; przeprawili się mimo trudności i bez

zwłoki ruszyli dalej, bo wieczór już zapadał, a zaczynał się ostatni etap podróży.

Odbyli go bardzo podobnie jak w pierwszą stronę, z tą tylko różnicą, że kompania się zmniejszyła i brakowało poprzedniego gwaru; przy tym nie spotkali już teraz trollów. Każdy zakręt drogi przypominał hobbitowi zdarzenia i rozmowy sprzed roku – które zresztą wydawały mu się tak odległe, jakby nie jeden rok, lecz dziesięć lat od nich upłynęło – toteż łatwo poznał miejsce, gdzie kucyk wpadł do rzeki i gdzie zboczyli ze szlaku, wskutek czego narazili się na przykre spotkanie z Tomem, Bertem i Billem.

Opodal drogi odszukali złoto trollów, nienaruszone w kryjówce, w której je zakopali.

– Mam dość bogactw, starczy mi do końca życia – powiedział Bilbo, gdy wydobyli złoto. – Weź je sobie, Gandalfie. Ty na pewno potrafisz je zużyć najlepiej.

– Pewnie! – rzekł czarodziej. – Ale należy ci się sprawiedliwie połowa. Może okazać się i tobie bardziej potrzebne, niż ci się wydaje.

Włożyli więc złoto do worków i objuczyli nimi kuce, wcale nie zachwycone tym przybytkiem. Posuwali się odtąd wolniej, bo przeważnie szli pieszo obok wierzchowców. Lecz kraj otwierał się przed nimi zielony, trawa rosła bujnie i hobbit z radością maszerował po niej. Ocierał twarz czerwoną jedwabną chustką – pożyczył ją od Elronda, bo ani jedna z jego własnych chustek nie ocalała – czerwiec bowiem przyniósł lato, a dni nastały znów gorące i słoneczne.

Wszystko się kiedyś kończy, nawet ta historia, nadszedł więc dzień, gdy wędrowcy ujrzeli kraj, w którym Bilbo urodził się i wychował, w którym znał każdy zakątek i każde drzewo równie dobrze jak własne palce u rąk i nóg.

Z małego wzniesienia dostrzegł w oddali własny rodzinny Pagórek, a wtedy przystanął i niespodzianie powiedział:

Wiodą, wiodą drogi w świat,
Wśród lesistych gór zieleni,
W mrocznych grotach znacząc ślad,
Wśród zbłąkanych mknąc strumieni.
Poprzez zimny biały śnieg,
Łąki kwietne i majowe,
Omijając skalny brzeg
I pagóry księżycowe.

Wiodą, wiodą drogi w świat,
Pod gwiazdami mkną na niebie –
Choć wędrować każdy rad,
W końcu wraca w dom, do siebie.
Oczy, które ognia dziw
Oglądały – i pieczary,
Patrzą czule w zieleń niw
I kochany domek stary.

Gandalf popatrzał na niego.

– Mój kochany Bilbo! – rzekł. – Co się z tobą stało? Nie poznaję dawnego hobbita.

Przeszli przez most, minęli młyn nad rzeką i w końcu stanęli u drzwi Bilba.

– A to co znowu? Co się tu dzieje?! – wykrzyknął Bilbo.

Ruch panował niezwykły. Bardzo liczne – i zgoła niedoborowe – towarzystwo cisnęło się pod okrągłymi drzwiami, wciąż ktoś wchodził lub wychodził, nie wycierając nawet nóg na słomiance, jak zauważył Bilbo z przykrością.

Zdziwił się hobbit, ale tamci zdziwili się jeszcze bardziej na jego widok. Zjawił się w momencie, gdy odbywała się wyprzedaż z licytacji! Ogromne czarne i czerwone ogłoszenie wisiało na bramie, oznajmiając, że dnia dwudziestego drugiego czerwca firma Grubb, Grubb i Burrowes sprzeda więcej dającemu

ruchomości nieboszczyka Bilba Bagginsa mieszkającego za życia w Bag End, pod Pagórkiem, w Hobbitonie. Wyprzedaż rozpoczęła się punktualnie o dziesiątej. Teraz była niemal pora obiadowa, toteż większość rzeczy już sprzedano za ceny wahające się od zera do trzech groszy (rzecz niezwykła na licytacjach). Kuzyni Bilba, Bagginsowie z Sackville, właśnie mierzyli pokoje, żeby się przekonać, czy zmieszczą tu wygodnie własne meble. Słowem, Bilba uznano za nieboszczyka, a nie każdy z obecnych, którzy zapewniali go, że cieszą się z pomyłki, cieszył się szczerze.

Powrót pana Bagginsa wywołał niemało zamieszania pod Pagórkiem, na Pagórku oraz Za Wodą. Ceregiele prawne trwały kilka lat. Wiele wody upłynęło w rzece, nim pana Bagginsa naprawdę i formalnie uznano z powrotem za żyjącego. Osoby, które zrobiły wyjątkowo dobry interes na licytacji, nie chciały się zadowolić byle dowodem. W końcu, żeby przyspieszyć sprawę, Bilbo musiał odkupić większość swoich własnych mebli. Mnóstwo srebrnych łyżek zniknęło w sposób tajemniczy i nigdy całkowicie nie wyjaśniony. Jeśli o mnie chodzi, podejrzewam Bagginsów z Sackville; ci do końca życia nie uznali Bilba Bagginsa, który powrócił, za prawdziwego Bilba Bagginsa i nie utrzymywali z nim stosunków. Wielką mieli doprawdy ochotę mieszkać w jego ślicznej norce.

Ale Bilbo miał wkrótce przekonać się, że stracił coś więcej niż srebrne łyżki, a mianowicie – dobrą reputację. Co prawda zawsze odtąd cieszył się przyjaźnią elfów, szacunkiem krasnoludów, czarodziejów i wszystkich tym podobnych osób, które odwiedzały jego rodzinną okolicę; ale nie uchodził już za szanującego się hobbita. Wszyscy sąsiedzi uważali go za trochę „pomylonego” – z wyjątkiem siostrzenic i siostrzeńców ze strony Tuków; lecz starsi nie pochwalali przyjaźni tej młodzieży z Bilbem.

Z przykrością muszę wam powiedzieć, że Bilbo nic sobie z tego nie robił. Żył bardzo zadowolony, a szum imbryka na piecu wydawał mu się muzyką jeszcze piękniejszą niż za spokojnych dni przed odwiedzinami niespodziewanych gości. Miecz powiesił nad kominkiem, zbroję ustawił w sieni, a potem nawet oddał do muzeum. Złoto i srebro wydał przeważnie na prezenty, niekiedy praktyczne, a niekiedy fantastyczne – temu może należy w pewnym stopniu przypisać miłość siostrzeńców i siostrzenic. Czarodziejski pierścień zachował w ścisłej tajemnicy, bo posługiwał się nim przede wszystkim wtedy, gdy zjawiali się niepożądani goście.

Zaczął pisywać wiersze i często odwiedzał elfy, a chociaż ten i ów kiwał głową i stukając się palcem w czoło, wzdychał: „Biedny stary Baggins", chociaż mało kto wierzył w jego opowieści – Bilbo czuł się szczęśliwy aż do końca swych dni, a przeżył ich jeszcze bardzo wiele.

Pewnego jesiennego wieczoru w kilka lat później, gdy Bilbo siedział w swoim gabinecie zajęty pisaniem pamiętników – które zamierzał opatrzyć tytułem: „Tam i z powrotem, wakacje pewnego hobbita" – u drzwi rozległ się dzwonek. Przyszedł Gandalf w towarzystwie krasnoluda, a mianowicie Balina.

– Proszę, proszę! – rzekł Bilbo i po chwili wszyscy trzej siedzieli w fotelach przy kominku. Balin zauważył, że kamizelka pana Bagginsa jest lepiej niż przed paru laty wypełniona i ma szczerozłote guziki, a Bilbo nawzajem stwierdził, że broda Balina urosła o parę cali, pas zaś, wysadzany drogimi kamieniami, błyszczy wspaniale.

Rozgadali się oczywiście o dawnych czasach wspólnie przeżytych, a Bilbo zapytał, co słychać w krajach pod Górą. Okazało się, że wszystko tam toczy się pomyślnie. Bard odbudował miasto w dolinie i mnóstwo ludzi znad Jeziora, z zachodu i południa

skupiło się przy nim, dolina zaś, znów uprawna, rozkwitła dostatkiem; spustoszoną okolicę teraz wypełniały wiosną kwiaty i świergot ptasi, a jesienią – owoce i gwar zabaw. Miasto na Jeziorze również wskrzeszono z popiołów, bogatsze niż przedtem, bo wiele skarbów płynęło w górę i w dół Bystrą Rzeką. Między elfami, krasnoludami i ludźmi w całej tej okolicy panowała zgoda.

Dawnego władcę Miasta na Jeziorze spotkał żałosny koniec. Bard dał mu dużo złota na wspomożenie mieszkańców miasta, lecz ludzie tego pokroju szczególnie łatwo zarażają się smoczą chorobą, toteż władca zagarnął lwią część złota, uciekł z nim i zginął śmiercią głodową na Pustkowiu, opuszczony przez swych zauszników.

– Nowy władca jest mądrzejszy – rzekł Balin – i bardzo popularny, bo, rzecz jasna, ludzie jemu przypisują zasługę swojej obecnej pomyślności. Śpiewają nawet pieśni, które głoszą, że za jego panowania rzeki płyną złotem.

– A więc stare przepowiednie w pewnym sensie jednak się sprawdziły – powiedział Bilbo.

– Oczywiście! – rzekł Gandalf. – Dlaczegóż by się nie miały sprawdzić? Chyba nie przestałeś wierzyć w proroctwa tylko dlatego, że sam przyłożyłeś ręki do ich urzeczywistnienia? Nie myślisz przecież, że wszystkie swoje przygody i cudowne ocalenie zawdzięczasz wyłącznie szczęściu, które ci sprzyjało tylko przez wzgląd na twoją osobę! Bardzo przyzwoity hobbit z ciebie, panie Baggins, i ogromnie cię lubię, ale mimo wszystko jesteś tylko skromną, małą osóbką na bardzo wielkim świecie.

– Całe szczęście! – roześmiał się Bilbo, podając mu puszkę z tytoniem.

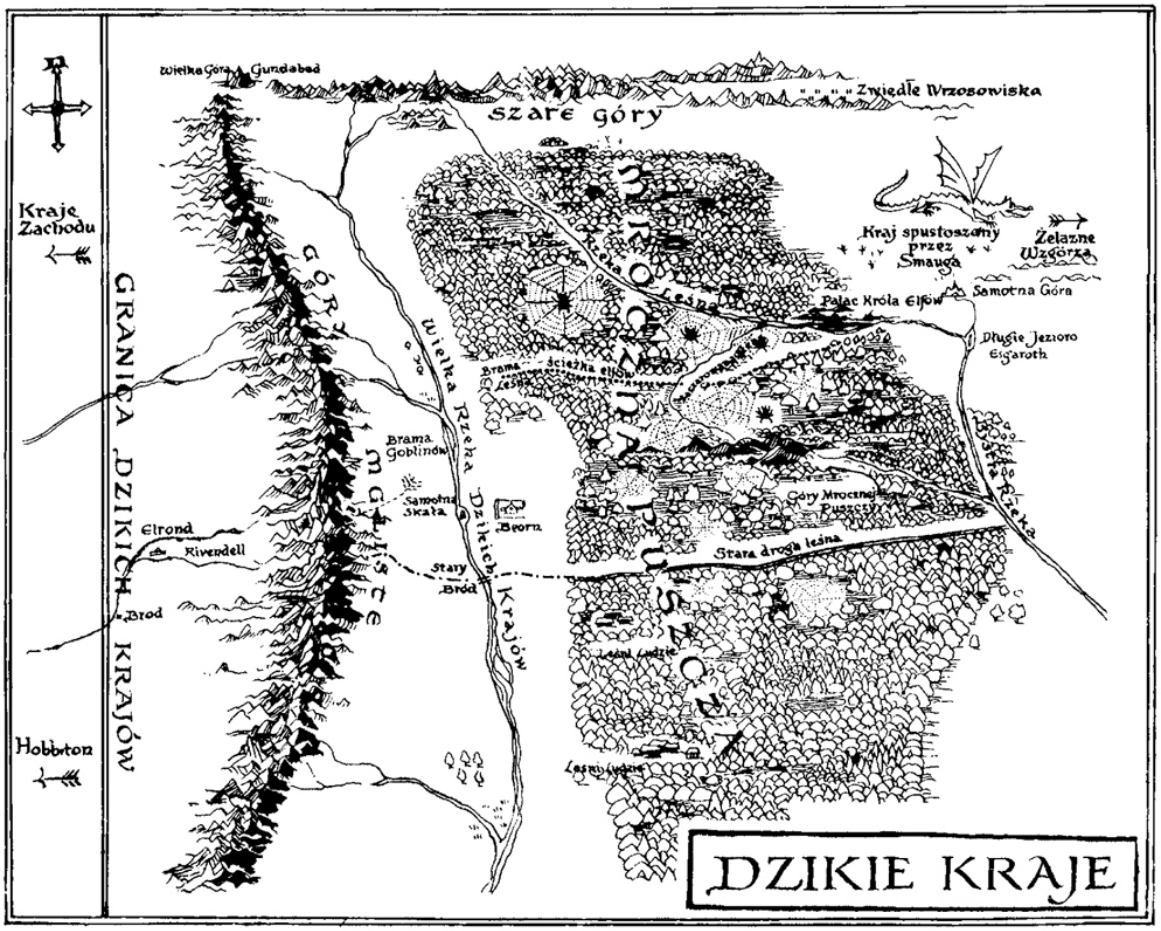
Wielka Góra
Gundabad
Szare Góry
Zwiędłe Wrzosowiska
Kraje Zachodu
Granica Dzikich Krajów
Hobbiton
Góry Mgliste
Wielka Rzeka
Dzikich Krajów
Brama Goblinów
Samotna Skała
Beorn
Elrond
Riverdell
Brod
Stary Brod
Puszcza Mirkwood
Rzeka Forsna
Kraj spustoszony przez Smauga
Żelazne Wzgórza
Pałac Króla Elfów
Samotna Góra
Długie Jezioro Esgaroth
Ścieżka elfów
Brama Lasu
Góry Mrocznej Puszczy
Stara droga leśna
Leśni Ludzie
Leśni Ludzie
Dzikie Kraje

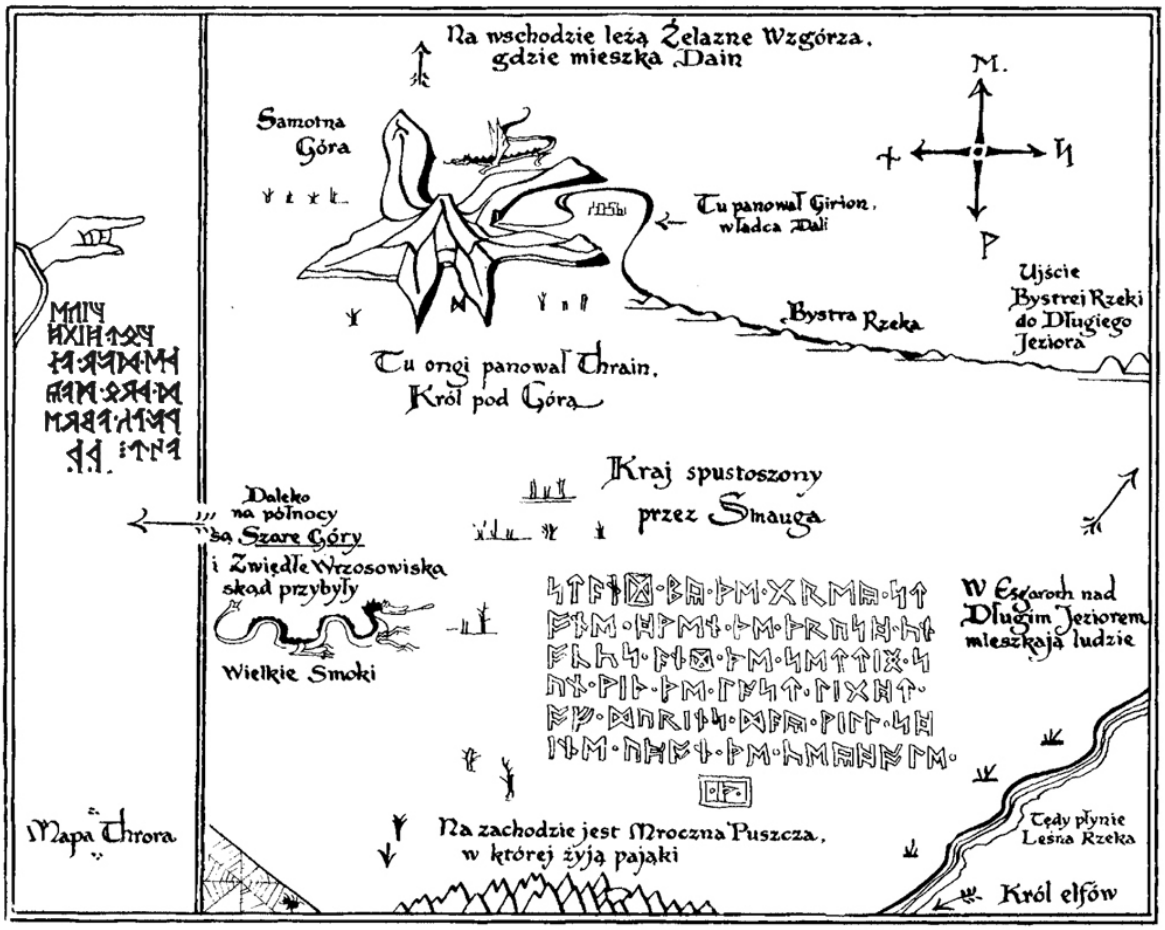
Na wschodzie leżą Żelazne Wzgórza,
gdzie mieszka Dain
M.
Samotna
Góra
Tu panował Girion,
władca Dali
Ujście
Bystrej Rzeki
do Długiego
Jeziora
Bystra Rzeka
Tu ongi panował Thrain,
Król pod Górą
Kraj spustoszony
przez Smauga
Daleko
na północy
za Szare Góry
i Zwiędłe Wrzosowiska
skąd przybyły
Wielkie Smoki
W Esgaroth nad
Długim Jeziorem
mieszkają ludzie
Mapa Throra
Na zachodzie jest Mroczna Puszcza,
w której żyją pająki
Tędy płynie
Leśna Rzeka
Król elfów